

ym. P. 9786 Chm. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/105-8/106 1956

1956

3.

P. 9786.



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

J. PONIATOWSKI : **MILOWE SŁUPY**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **KSIĄŻE NIEZŁOMNY**

Z. JASIŃSKI : **POMNIK NA ROZSTAJACH**

SPIS RZECZY

Juliusz Poniatowski :	<i>Milowe słupy</i>	3
Zbigniew Jasiński :	<i>Pomnik na rozstajach</i>	21
Józef Czapski :	<i>„Aura letsza”</i>	27
Michał Borwicz :	<i>Polski poprzednik Malraux (dok.)</i> ..	39
Czesław Miłosz :	<i>Poezja amerykańska</i>	57
Jerzy S. Sito :	<i>Człowiek o siedmiu twarzach</i>	70
Jerzy S. Sito :	<i>Siedem mieczy bolesnych</i>	77
Jerzy S. Sito :	<i>Deszcz na ulicy Ormeley</i>	79
Gustaw Herling-Grudziński :	<i>Księża niezłomny</i>	83
Jan Brzękowski :	<i>Wyprawa do miasteczka</i>	114

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Materiały do refleksji (4)</i>	125
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	131
Jul. Mier. :	<i>Sprawa Pampuch-Brońskiej</i>	136

KRONIKA UKRAIŃSKA

Iwan Łysiak-Rudnycki :	<i>Nowy Perejasław (dokończenie)</i>	138
------------------------	---	-----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Eugeniusz Hinterhoff :	<i>Armia Rokossowskiego</i>	149
Stanisław Merlo :	<i>Studia akademickie w Oflagu</i>	156

KRONIKA KULTURALNA

J. Cz. :	<i>Od Stanisława Grabowskiego</i>	165
Jerzy Horzelski :	<i>Wśród wyznaczników epoki</i>	166
Andrzej Vincenz :	<i>O tabu językowym</i>	174
Czesław Miłosz :	<i>Polemiki</i>	185
B. H. :	<i>Dom Wydawniczy im. Czechowa</i> ..	188
Abraham Andes :	<i>Kronika żydowska</i>	190

SPRAWY I TROSKI

Zygmunt Nagórski, jr. :	<i>Most</i>	193
-------------------------	-------------------	-----

KSIĄŻKI

Józef Czapski :	<i>Pluszowy album</i>	202
Andrzej Vincenz :	<i>Miedzy Wschodem a Zachodem</i> ..	206
Jerzy Pietrkiewicz :	<i>Mróz siarczysty</i>	210
K.A. Jeleński :	<i>Marzenie generała</i>	217
M. P. :	<i>Leki ludzi zagubionych</i>	220
	<i>Przegląd czasopism :</i>	
a. n. :	1) <i>Kolumbowie i inkwizycja</i>	221
ZMB :	2) <i>Wśród czasopism amerykańskich</i> ..	226
	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	228



Krok-Paszkowski, T. Daukantas, A. Gustaitis, R. Malczewski :	<i>Listy do Redakcji</i>	230
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Juillet-Août

1956

INSTYTUT



LITERACKI

KOMUNIKATY ADMINISTRACJI

Podajemy do wiadomości naszych czytelników w Argentynie, że cena prenumeraty „Kultury” została podwyższona od dnia 1 stycznia 1956 roku do 204 pesos rocznie (półrocznie 102 pesos, kwartalnie 51 pesos, nr pojedynczy — 17 pesos).

Podajemy do wiadomości naszych czytelników w Wielkiej Brytanii, że wskutek dokonanych ostatno dwukrotnie podwyżek opłat pocztowych zmuszeni jesteśmy, na prośbę naszego przedstawicielstwa „Gryf Publications Ltd.”, podwyższyć abonament „Kultury” na tym terenie, poczynając od 1 lipca 1956 r., do 2 gwinei rocznie (zamiast £2.—) oraz do 1 gwinei półrocznie (zamiast £1.—). Cena sprzedaży pojedynczych egzemplarzy „Kultury” pozostaje bez zmian.

POSZUKIWANIE

Wanda HAJDUGA (11512 - 74 Ave - Edmonton Alta - Canada) prosi matkę swoją Małgorzatę Sosińską (z domu Kwiatkowską) zam. w Polsce — w Warszawie, ul. Grójecka 45 — oraz braci Stefana, Czesława i Jerzego o skomunikowanie się z nią.

DALSZE WPLATY NA DOM „KULTURY”

Marian Jaworski, Chicago, Ill. (USA)	1.750 fr.
Zbigniew Jordan, Monachium (Niemcy)	10.000 "
A. Chmielewska, Melbourne (Australia), ponownie	1.000 "
L. Glass, Melbourne (Australia)	500 "
L. Jażdżewski, Melbourne (Australia), ponownie	1.000 "
W. Karnas, Melbourne (Australia)	1.000 "
A. Misiak, Melbourne (Australia)	1.000 "
R. Neuman, Melbourne (Australia) ponownie	500 "
T. Pancerz, Melbourne (Australia)	500 "
C. Rymanowski, Melbourne (Australia) ponownie	1.000 "
K. Waszak, Melbourne (Australia)	1.000 "
oraz anonimowo od czterech osób w Melbourne łącznie	2.500 "

DZIEKUJEMY

Imprimé en France



P. 9786 chr. Arch.

Milowe słupy

Marii Dąbrowskiej —
w przyjaźni i w sporze —
autor.

Przemiany zachodzące w Polsce zdają się wzywać do obserwacji głębszej sięgającej poprzez skorupę zjawisk przygodnych i do skupienia uwagi na procesach formujących nową strukturę naszego narodu.

Spółczeństwo w kraju wchodzi bodaj w końcowy okres tego długotrwałego etapu, niezmiennie dla Polski charakterystycznego, gdy istniały obok siebie dwie bardzo różne, czasem aż przeciwstawne części narodu: wieś i miasto. Odmienność ich trwała w pełni do ostatnich czasów.

Nie dotyczyła już wprawdzie formalno-prawnej sytuacji obywateli w państwie. Tej natury różnice i upośledzenie chłopów wyrównała Polska niepodległa u samego swego progu istnienia: dekrety Naczelnika Państwa ustalając równe i powszechne prawo wyborcze, wprowadziły od razu i całą wieś w obręb politycznego życia narodu. Stawał olbrzymi graniczny słup nowych czasów.

Wiemy jednak, że między dostępem do udziału w rządach, a realnym uczestnictwem istnieje znaczny dystans. Nie dość mieć uprawnienia, trzeba umieć z nich korzystać — a do tego prowadzi zazwyczaj dopiero długa droga, poprzez jakie takie wyrównanie wykształcenia, poprzez wyzbywanie się zależności materialnych i tradycyjnych, opartych na hierarchii społecznej. Przy najdalej nawet posuniętej, pozytywnej ocenie demokracji życia, jaka zaszła w Polsce niepodległej — nie podobna przeczyć, że aż do samej wojny istniał straszliwy dystans kulturalny i gospodarczy przedzielający dwie grupy narodu.

Statystycznie, 35 milionowa ludność obejmowała 21 milionów żyjących z rolnictwa i 14 milionów ludności miejskiej, prze-



mysłowej i wszelkich innych zawodów. Skorygujmy nieco ten podział, przesuwając jeszcze 1 milion od ludności rolniczej ku grupie drugiej, a będziemy bliżsi granicy istotnej.

Ów milion obejmie bowiem swobodnie zamożniejszą część rolnictwa, a więc kilkanaście tysięcy rodzin większej własności i jej administrację, oraz bogatszych chłopów, o dochodzie przekraczającym najniższy próg opodatkowania (1.500 zł rocznie na rodzinę) — jednym słowem tę część wsi, która w życiu kulturalnym i gospodarczym mogła dotrzymać kroku ludności miast. Pozostałe 20 milionów to już bezspornie ci, o dochodzie poniżej złotego dziennie na głowę. Ich zerowy niemal udział w budżecie państwa i w zakupie wyrobów przemysłu stanowił o naszej słabości gospodarczej i wyznaczał nasz techniczny potencjał obronny na poziomie 15-stomilionowego narodu. W roku 1939 przeciwstawiliśmy 75-ciu milionom Niemców pięciokrotnie mniejszą zasobność i nie tylko w produkcji, ale i w umiejętności.

Kontrast 35 i 15, zagadnienie uaktywnienia pozostałych 20 milionów, doprowadzenie ich do poziomu jako tako europejskiego — to było podstawowe zadanie państwa. Nie zdołaliśmy go rozwiązać w krótkim 20-stoletciu.

Szczególny stan naszej struktury narodowej był naturalnie wynikiem długich wieków historii. Zarówno proporcje, jak i charakter układu zostały wykute w swoistym i niepowtarzalnym przebiegu zdarzeń — bardzo przewlekłych. Można więc było sądzić, że raczej długi okres czasu będzie niezbędny, aby przybliżyć się wewnętrzne ujednolicenie narodu. Zanim poczną się upodabniać psychiczne cechy ludzi wsi i miasta — utrwalić by się musiały same warunki życia zezwalające na taki proces. Zdało się wszystko we mgle bardzo odległej.

A oto, poprzez wojenną katastrofę, poprzez obce rządy w Polsce, a popod skorupą zmian pomniejszych, dotyczących form życia gospodarczego, odbywać się począł proces kurczenia się liczebnego wsi i jej wsiąkania w jednolitą kulturalno-ekonomiczną całość narodowej społeczności. Nasza struktura narodowa przybliżyła się szybko do typu społeczeństw zachodnich. Stajemy się organizmem bardziej zwartym i bardziej silnym niż kiedykolwiek w dziejach. Już nie same tylko prawa polityczne obejmować będą jednolicie wszystkich obywateli — ich poziom życia, ich dostęp do kultury staje się podobny. Czy nie są to jednak tylko złudzenia?

ZIEMIA I PRAWO

Zawile procesy dojrzewania narodu i jego przetapiania się w kulturalnie jednolity blok społeczny nie zachodzą bodaj nigdy w trybie równomiernego krystalizowania całej masy ludności. Społeczeństwa pierwotne, mało zróżniczkowane, nie odbywają

ewolucji prowadzącej bezpośrednio ku wyrównaniu bytu obywateli na innym, wyższym poziomie. Przeciwnie — najprzód przechodzą z reguły coraz dalej idące zróżniczkowanie i zaostrzenie przeciwieństw społecznych, wytwarzają też warstwę przodującą i szczególnie uprzywilejowaną.

Jej uprawnienia i jej obyczaje w zbiorowym i prywatnym życiu stanowić będą cel i wzór dla grup innych, zdobywających stopniowo sytuację zbliżoną. Rządzący, nawet obaleni przez rewolucję, pozostawiają zwykle w spadku swoje kryteria, jeżeli nie polityczne to przynajmniej kulturalne. Toteż podstawy, na których odbył się historyczny proces różniczkowania się danego społeczeństwa, mają bezpośredni wpływ na charakter późniejszego scalania się narodowego.

Wiele u nas napisano, a jeszcze więcej naczyniono wrzasku w toku wieków na temat ukochania ziemi w Polsce i jedyne, niepowtarzalnego stosunku Polaka do rolnictwa. Zawód rolniczy jako najbardziej godny i posiadanie ziemi jako źródło uprawnień — to były fundamenty budowy Rzeczypospolitej szlacheckiej. Byłoby jednak trudno dopatrzeć w Polsce istotnie większego poważania pracy rolnika, niż wśród innych narodów. Dopokąd bowiem ten zawód dawał tylko normalną podstawę żywienia rodzin i społeczności całej — był cenną ale zwykłą koniecznością. Dopiero posiadanie ziemi, jako źródła dyspozycji ludźmi i jako narzędzia do zdobycia grosza stało się czymś szczególnie cennym. Nie praca bowiem przyjęta została za miernik wartości, a jedynie fakt posiadania ziemi. Do niej dowiązywano ludzi. W jej imię, poza zasłoną świętych potrzeb matki-gleby ugruntowano poddaństwo. Dwa hasła posłużyły szlachcie do pełnego ujęcia państwa w swoje ręce: 1) gdy rycerz na wojnie — muszą go zastąpić inni w pracy na roli, 2) tylko rolnictwo jest zajęciem godnym szlachcica. I gdy mieszczaństwo XV wieku, przez swe uchylanie się od wojaczki dało się łatwiej odepchnąć od praw politycznych, zostało też pozbawione prawa nabywania ziemi. Jakby zakończeniem tej osobliwej budowy państwa stała się nałożona sobie przez szlachtę dyskryminacja za zajęcie się handlem.

Tak stanął na długie wieki dogmat ziemi i prawa. Gdy w Anglii skala podatku płaconego państwu decydowała o przynależności do wyższej grupy społecznej, gdy w Rosji dziedzic liczył swój stan posiadania na „dusze” i niekiedy, zmieniając miejsce osiedlenia, przenosił też swój inwentarz „w duszach”, to Polska uczyniła „łany” i „włóki” symbolem ojczyzny i niemal miernikiem cnoty obywatelskiej. Tylko szlachcic possessionatus był pełnym obywatelem. Można rolnictwa nie pełnić, można strawić życie na urzędzie, czy wśród duchowieństwa, na wojnie czy w podróżach — cechą istotną pozostawać będzie to, że ma się wieś. Socjologicznie, szlachta nie stanowi wsi, ona ją posiada. Nie zmieni to zasadniczej struktury, że mnoży się później drobna szlachta. Przez trzysta lat z górą ludzie na łanach są tylko ko-

niecznym do nich dodatkiem, ktoś je przecież obrabiać musi. W toku tego czasu 60 „konstytucji sejmowych” zostaje poświęconych przywiązaniu chłopów do ziemi i ściąganiu zbiegłych — urasta to do głównej niemal czynności sejmów. Toczą się po świecie przemiany, odnawiają się oblicza społeczeństw, ale życie wsi polskiej stoi zmartwiałe, zamieniono je w zeschłą ziemię. Gdy za Kazimierza Jagiellończyka wprowadzono ograniczenie, że tylko jeden syn z rodziny chłopskiej może wieś opuścić — to po trzech wiekach patriota i marzyciel Wybicki proponuje powrócić do tej starej normy, aby polepszyć byt chłopów i choć tyle im zezwolić. Daremnie. Łatwiej było Wybickiemu przejść do historii, jako twórcy mazurki, niż uniknąć niepopularności w gronie szlachty, za reformatorskie pomysły.

Owe dawne czasy uformowały wiele poglądów i sentymentów aż do naszej epoki. Nie wnikając w historyczne powstanie mitu „ziemi”, nie podobna pojąć ani smutnej historii chłopów, ani fatalnej polityki naszej na kresach, ani naszej przewlekłej słabości gospodarczej, również w okresie niepodległości, ani wreszcie całego polskiego charakteru sprawy: wieś i miasto.

Za rozbiórów losy sprawy chłopskiej są ustawicznie przedmiotem walki między przodującą garścią patriotyczną, a ociężałym konserwatyzmem ogółu szlachty. Ciągłe „ziemia”, owe „włóki” przesłaniają istnienie chłopów. Może jeszcze szlachta jako tako strawić teoretyczne zniesienie poddaństwa za Księstwa Warszawskiego, ale do ziemi zdecydowanie chłopów nie dopuści. Osiągnie utrzymanie pańszczyzny z „dobrowolnej umowy”, a nawet wykorzysta zmiany formalne dla szerokiego rugowania chłopów i rozszerzania folwarków. Dawne radykały, spod rewolucyjnych sztandarów Napoleona, okazały się u siebie nie mniej twardymi dziedzicami.

Zgoda na każdy etap w reformie stosunków przychodzi zawsze wówczas, gdy potrzeby życia poszły już znacznie dalej. Spóźnione ustępstwa są nikomu niepotrzebne i przez chłopów niedostrzegane. W rezultacie wszystkie realne i powszechne akty poprawy bytu wsi w wieku XIX przypadły w udziale władzom zaborczym. Począwszy od wyjęcia chłopów spod jurysdykcji dziedzica, poprzez ochronę wsi przed rugami z gruntów i przed samowolnym nakładaniem dodatkowych świadczeń, aż do ostatecznego uwłaszczenia — wszystko pozostawi szlachta obcej decyzji. Na terenie Królestwa, przy istniejącej resztkie odrębności administracyjnej, nie obudziła się ambicja uprzedzenia Rosji. Przeciwnie — dopuszczono do wynędznienia wsi największego, jakie tam było znane (w połowie XIX wieku ustał już na wsi przyrost naturalny) i rękami Wielopolskiego opóźniono uwłaszczenie, aż poza okres tej reformy w barbarzyńskim cesarstwie.

Lekceważenie losów wsi przetrwało przy tym o wiele dłużej niż poddaństwo. Do dziś nie obowiązuje polskiego inteligenta znajomość historii najliczniejszej części narodu, a nawet nasi

szanowni historycy zadowalają się nie raz w tej sprawie powtarzaniem płytkiej Chołoniewszczyzny (*).

Jeżeli w ostatniej ćwierci ubiegłego wieku, w okresie pozytywizmu, zaczyna wieś zajmować jakieś miejsce w myśli narodowej, jeżeli chłop wychyla się odrobinę spoza sprawy włók i morgów — to ten proces powolny zostaje znów skutecznie przytłumiony przez hasła „obrony ziemi polskiej”, wydieranej narodowi przez zaborców. Zdrowa w zasadzie reakcja społeczeństwa — przeciwstawienie obcemu naciskowi wytrwałej woli zbiorowej ku utrzymaniu ziemi w narodowym posiadaniu — zostaje niezmiernie jednostronnie sprowadzona do wysiłku zachowania tytułów własności folwarczej.

Nie dojrzała jeszcze świadomość, że najsilniej utrzymują ziemię ręce chłopskie. W żadnym z zaborów akcja umocnienia polskiego stanu posiadania nie przybrała formy zagęszczenia ludności polskiej na zagrożonej ziemi, a więc skolonizowania wielkiej własności. Przeciwnie — hasło nie pozbywania się ziemi objęło generalnie i sprzedaż parcelacyjną. Utrzymać ziemię narodową, to znaczyło utrzymać ją jako własność rodziny. Tak pojęty „patriotyczny obowiązek” powodował, że setki tysięcy naszych emigrantów zaczęły zaludniać zagłębienie westfalskie, czy brazylijskie pustki i okupywały w ten sposób trwałość rodowych tytułów własności oraz tradycyjne unikanie przez szlachtę innych zawodów, jak posiadanie wsi.

Katastrofalne skutki tego podstawienia włók za ojczyznę były naturalnie najjaskrawsze na kresach wschodnich. Gdy przyszedł czas próby — polskie tytuły własności na wielkich obszarach folwarcznych nie obroniły nic, ani dla Polski, ani dla zainteresowanych.

Powrót do życia państwa naszego nie zdołał też przełamać rodowego kultu własności ziemi. Państwo twierdziło, że wielka własność winna wyzbyć się części morgów na rzecz małorolnych i w tym zabiegu dopatrywano celowego kroku do podniesienia poziomu życia wsi. Do czasu gdy rozwój przemysłu poczynił już na stałe zabierać wszystkie chętne ręce, do czasu gdy stosunki nasze upodobiły się nieco do zachodniej Europy — dodanie chłopom ziemi przybliżyłoby bardzo znacznie naszą gospodarkę ku pełnemu zatrudnieniu. A bez tego warunku, jak wiemy, niepodobna dobrobytu kraju dźwignąć.

Postawa ziemianstwa była jednak skrajnie tradycyjna. „Jak to? — przez całe pokolenia chroniliśmy tę ziemię przed obcymi, a teraz przyszło własne państwo i miałoby nam ją wydrzeć?” Właśnie — wydrzeć, a tu cały rachunek zasług krwi, przelanej

(*) W niedawnym zeszycie „Kultury”, doskonały znawca naszych dziejów politycznych: p. Michał Sokolnicki, zamieścił list o sprawach uwłaszczenia w Królestwie. Nie napisałby zapewne tego listu, gdyby uważał sprawy wsi za mające jakiegokolwiek znaczenie i zechciał sobie ich przebieg odświeżyć w pamięci.

i „nieprzelanej”. Kończyły się na tym rozumowania i bóstwo włók, kultywowane od wieków dochodziło arbitralnie do głosu. Było przy tym niezmiennie charakterystyczne, że nawet gdy podejmowano jakąś dyskusję i zdobywano się na wysłuchanie przeciwnych argumentów, to jedynie jeszcze względy gospodarcze brane były na serio. Natomiast strona społeczna — los ludności wiejskiej, chałupnicza nędza, czy emigracyjna tułaczka nie stanowiły z reguły przedmiotu zainteresowania dla opinii ziemiańskiej. Nie miał również żadnej siły przekonywującej argument, że już najwyższy czas zlikwidować przeżyłą formę gospodarki folwarcznej, opartą na dworskiej służbie, tej najbardziej upośledzonej i najciemniejszej grupie społecznej. Nie budziło to szczególnego zawstydzenia, gdy jeszcze w drugiej ćwierci XX wieku, młody rekrut z województw zachodnich — na powitalne w wojsku zapytanie: „Wy, skąd jesteście” — potrafił odpowiedzieć: „Ja, od pana hrabiego Iksińskiego...”

Odwieczna zasada, że wobec morgów ludzie nie są ważni, a stanowią tylko do ziemi dodatek — miała jeszcze pełny walor. Proces istotnego przezwyciężenia psychiki szlacheckiej, wyrosłej na pniu wiary: Ziemia daje Prawo — bynajmniej nie był ukończony. Przejawy przestarzałego kultu własności ziemi występowały często i poza sprawą reformy rolnej. Nie sam tylko obyczaj społeczny otaczał ziemianstwo szczególnymi przywilejami — czyniło to nieraz i prawo. Wymownym przykładem jest ustawa o zwrocie obszarów leśnych przez Skarb Państwa żyjącym spadkobiercom powstańców, których dotknęły konfiskaty. Wyróżnienie spomędzy pokrzywdzonych tylko tych, którzy stracili „dobrą”, a brak troski o losy potomków wszystkich pozostałych, daje się tłumaczyć tylko trwającym jeszcze wśród inteligencji kultem dla „włók” (*).

ZIEMIA I CHLEB

Stosunek chłopów do ziemi, choć urastał z tejże historii, musiał się jednak ułożyć odmiennie. Nie prawo niosła im ziemia a warsztat pracy, nie przywilej czy wyróżnienie społeczne — a chleb. Mimo że formuła końcowa: pragnienie ziemi, przywiązanie do niej — była wyrazem wspólnym, to jednak jej realny

(*) Współczesne nam poczucie sprawiedliwości oczywiście nie było skłonne uznać, ani tego by narażenie przez powstańców swoich dóbr na konfiskatę miało być czynem bardziej patriotycznym, niż każde inne narażenie losu swych rodzin, wobec ryzyka śmierci czy zesłania, ani też nie mogło przyjąć, że właśnie potomkowie „wydziedziczonych z ziemi” kwalifikowali się w pierwszym rzędzie do obdarowania przez państwo. Mniejsza już nawet o to, że byli to najczęściej ludzie o znacznym już i tak stanie posiadania — przynębiający był sam fakt wyróżnienia tej garstki spośród olbrzymiej większości rodzin inaczej pokrzywdzonych na skutek patriotycznej walki swych przodków.

sens dla chłopów zawierał o wiele więcej cech życiowej konieczności.

Trzymanie się ziemi, wkładanie w nią właśnie swej pracy, upatrywanie jedynie w niej trwałego źródła egzystencji nie było w żadnej mierze rezultatem wyboru. Inne drogi życia i zarobku były najczęściej szczelnie zamknięte — i to nie przez świat własnych wyobrażeń o „godnej” pracy, nie przez odziedziczone tradycje, ani tym mniej przez osobiste zamiłowania, tylko po prostu przez cudzą wolę, przez narzuconą, twardą rzeczywistość. Do trwania na ziemi zmuszał chłopów już sam los urodzin i odcierwać się od niej za Rzeczypospolitą szlacheckiej, było stopniowo coraz trudniej. Odpychany od rzemiosła przez cechy, wydalany z miasta jako zbiegły poddany, ścigany w zasadzie przez wszelkie władze, gdy wyruszał na kresowe bezludzie — wrastał chłop w ziemię z przymusu. Nie zmieniły wiele ani zabory, ani przemijające poddmuchy wolnościowe aż do drugiej połowy XIX-go wieku.

Pod koniec okresu pańszczyźnianego silniej jeszcze niż prawo działały same stosunki gospodarcze, *wytworzone* przez szlacheckie prawo. Za Księstwa Warszawskiego nie podobna było wykorzystać formalnego zniesienia poddaństwa, gdyż nie było dokąd z ziemi odejść i pańszczyzna uzyskiwała potwierdzenie przez umowę. Nawet najwcześniej rozpoczęte uwłaszczanie chłopów w zaborze pruskim nie niosło przemiany zasadniczej, aż do czasu gdy powstał odpływ ludności wiejskiej do przemysłu niemieckiego. Dopiero wówczas ugruntować się może zwyczaj nie dzielenia gospodarstw w spadku, a stosowanie spłat rodzinnych. Przestaje narastać przeludnienie rolnicze, a synowie chłopów poczynają zaludniać miasta i przejmować w swoje ręce handel. Co więcej, fala zarobków emigracyjnych pozwala tak natężyć polski zakup ziemi z rąk Niemców, że przewyższa on straty naszego posiadania, pomimo znanego nacisku państwa ku zniemczeniu całej dzielnicy.

Podobnie i inne możliwości emigracyjne, najczęściej związane z porzuceniem rolnictwa, wykorzystywane są jednak przez wieś stopniowo coraz szerzej, aż do wybuchu pierwszej wojny. Galicja zawdzięczała przede wszystkim emigracji amerykańskiej powstanie licznych placówek kulturalnych: szkół, kościołów, domów ludowych itp. Równocześnie fantastycznie wysokie ceny ziemi także miały swe źródło w zarobionych dolarach. Pomagano pozostałym rodzinom poszerzyć skąpe morgi, ten jedyny, dostępny w Polsce warsztat dla *zdobycia chleba*. Ten sam trzeźwy stosunek do sprawy posiadania ziemi cechuje wieś i w Polsce niepodległej. Wszelkie możliwości zarobkowe otwierające się poza rolnictwem są natychmiast podchwycane, nie ma pracy wzgardzonej.

Wszystko zdaje się przemawiać za tym, że w gruncie rzeczy na wsi polskiej, jak w każdym normalnym skupisku ludzkim, istnieją i ujawniają się najbardziej różnorodne dążenia indywi-

dualne i zamiłowania pracy. Tłumione przez wieki różniczkowanie się upodobań i włączanie w jednaki tryb rolniczy wszystkich do ziemi przynależnych — pozostawiły niewątpliwie swoje ślady w pewnej nieśmiałości dokonywania pierwszego kroku „od ziemi”, oraz w przesadnym nieraz zaufaniu do niezawodnej żywicieli-ziemi. Któż jest bardziej skłonny do przepłacania jej wartości, któż bardziej łatwo padał ofiarą wszelkich oszustw politycznych i pieniężnych na tle pozyskania dostępu do własnego „gruntu”? Toteż część ludności wsi, istotnie, poza ziemią „świata nie widzi”. Jest jednak przesadą doszukiwanie w psychice *chłopów w ogóle* jakichś tajemniczych, czy mistycznych więzów z ziemią. To raczej opinia inteligencja lubi uprawiać tak uproszczoną psychologię, w miłym samopoczuciu, że przyznając chłopom pełne prawo do tego sentymentu i przyzwalając im na całkowite, a nie-ludzkie zatopienie się w rolniczym trudzie, obdarza ich niejako rekompensatą za to wszystko, czego są chłopcy w życiu pozbawieni.

Ujmując rzeczy porównawczo, można twierdzić, że zbieżna postawa w adorowaniu ziemi istniała wśród ziemiaństwa i wśród chłopów tylko w granicach grup, tak rozmiłowanych w zawodzie rolniczym, że aż wynoszącym go na wyłączone i zaszczytne miejsce — natomiast dla pozostałej większości wśród obu kategorii sytuacja była całkowicie odrębna. W rodzinie ziemiańskiej już od dawna posiadanie ziemi nie przesądzało o pracy na niej, nie wyznaczało zawodu — ten bywał obierany dowolnie. Posiadanie ziemi dawało legitymację polityczno-społeczną, a zwykle i niezależność materialną — wszystko przemawiało zatem jedynie na korzyść posiadania. W rodzinie zaś chłopskiej, ci, którzy woleliby inny zawód obrać, musieli przyjmować związaną z ziemią jako konieczność, narzuconą na całe życie, wbrew ich nadziejom. Ziemia dawała wprawdzie skąpy chleb, ale za cenę rezygnacji z podstawowego już dziś prawa — wyboru pracy. Im bardziej posuwała się wieś od czasów „Janka Muzykanta” ku powszechnej świadomości o mnogości talentów, tym cięższy był haracz przykucia do ziemi.

POD CIĘŻAREM PRZESZŁOŚCI

Okres niepodległości otworzył wsi nową epokę. Zrównanie praw politycznych było podstawą do nadziei na rychłe podniesienie kulturalne i gospodarcze. Wiara we własne państwo, szczęśliwie okrzepła przez skuteczną obronę w 1920 i zapowiadała chłopom właściwe miejsce w rządach krajem — więcej, otwierała perspektywę przejścia pełnej odpowiedzialności za losy Polski. Rola gospodarza dla najliczniejszej grupy narodu zdawała się być bliską i w pełni zasłużoną przez długie wieki upośledzenia.

Marzenia ogarniały wszechstronne zmiany życia wsi. Naturalnie inny poziom bytu, inny podział ziemi, by wszyscy mieli pracę; naturalnie rozbrat stanowczy z emigracyjną tułaczką — towary będzie się wywoziło a nie ludzi — miasta i przemysł zapewnią normalny odpływ ze wsi i ustanie bezsensowny podział „gruntu”, a swobodny wybór zawodu przestanie być tylko pańskim przywilejem. Szeroko otwarta szkoła nie tylko da zawód i łatwiejszy chleb, ale nowemu pokoleniu wsi ułatwi dostęp do grupy kierowniczej, wprowadzi nowe siły do współpracy w tworzeniu kultury narodowej.

Były to wszystko naturalnie pocziwe życzenia, ale nie program.

Natężenie żądań, jawne domaganie się nowego układu społecznego — były o dużej sile. Nawet reakcyjne i klerykalne stronnictwa poprzybierały szyldy i hasła ludowe, aby zyskać poparcie. Sejm załudnił się przeto w ogromnej mierze przedstawicielami chłopów, ale przewodniej myśli ludowej wyraźnie brakło. Intelktualna słabość właściwych stronnictw ludowych była oczywista i jej trzeba przypisać, że przez całe 20-lecie nie było stać ruchu ludowego na własny program gospodarczy. Nie jest to dyskwalifikacja wobec innych warstw społecznych, które również na żaden program się nie zdobyły. Ale gdy podtrzymywanie dawnego stanu posiadania bez żadnej koncepcji może jeszcze uchodzić za jakiś praktyczny plan, to sięganie „po nowe”, bez przewodniej myśli graniczy tylko z bezradną śmiesznością.

Obok braku jakiejkolwiek tradycji myślenia kategoriami gospodarstwa narodowego, dźwigali jeszcze ludowcy ciężar przeszłości dzielnicowej, zwiężający horyzont do stosunków jednego zaboru. Myśl gospodarza Witosa wychodziła z trudem poza granice subwencji skarbu dla jakiegoś terenu lub dla grupy ludności — szablon galicyjskiej polityki wobec Wiednia nie był przełamany. Pusty skarb nadawał się do kuracji przez mniej lub więcej czarnoksiężskie działania ministra finansów — np. próba ożywienia jakiejś zмумifikowanej, wiedeńskiej ekscelencji Steczkowskiego, czy Bilińskiego.

Najbliższe otoczenie Witosa nie mogło mu być pomocne. Wątpliwy poziom moralny, a niewątpliwe ubóstwo intelektualne Bryłów, Bardłów i Kierników nie kwalifikowało ich w żadnej mierze do roli reformatorów gospodarstwa. Inne, radykalne grupy ludowców kierowane były przez ludzi raczej typu społeczników, niż działaczy gospodarczych i nie wносиły tu inicjatywy.

Zapożyczyć się programowo w otoczeniu, lub przyłgnąć do czyjegós kierunku również nie było łatwe. Ubóstwo ówczesnej myśli ekonomicznej było generalne. Grupy konserwatywno-burżuazyjne, obejmujące niemal całkowicie ludzi „życia gospodarczego”, hołdowały skrajnemu liberalizmowi ekonomicznemu, bały się wszelkiej interwencji państwa. Ufność, że wszystko samo

się ułoży, opierały na dwu podstawowych założeniach: otworzy się ponownie rynek rosyjski i polski przemysł rozwinie się bardzo szybko, kapitał przemysłowy napłynie z zagranicy, trzeba tylko nie krępować jego skali zarobku i utrzymać niskie płace robocze. Oba te założenia okazały się fałszywe. Ofiary naszej polityki gospodarczej na rzecz tych nadziei były całkowicie daremne, a przypięczętowane nie jedną słuszną falą goryczy robotników.

Wreszcie nie podobna było doszukać zdrowych tendencji ekonomicznych i wśród naszego obozu socjalistycznego, który błędnie oceniając stosunki gospodarcze całości kraju, sądził naiwnie, że wystarczy stosować politykę wysokich płac robotniczych, na podobieństwo Stanów Zjednoczonych, a pozyskamy rozległy rynek krajowy dla swego rolnictwa i dla swego przemysłu.

Tracono z oczu, że nasza nieliczna klasa robotnicza, nawet przy doskonałych płacach, nie mogła dać tak znacznego wzrostu zakupów żywności, by to zaważyło w rolnictwie, zapobiegło potrzebie eksportu itd. Natomiast polityka socjalistów, krzykliwe domagająca się zabiegów potaniania żywności, nie tylko niekiedy realnie szkodziła i tak biednemu rolnictwu, ale co gorsze ułatwiała przekonywanie ludowców, że interesy wsi są sprzeczne z interesami robotników. Naturalny sojusz elementów radykalno-demokratycznych, który jedynie dawał widoki szybszego przełamania archaicznych stosunków społecznych w Polsce, ulegał osłabieniu, czy nawet rozbiću.

Toteż gdy Witos, po wojennym gabinecie koalicyjnym, postawiony przed wyborem drogi: z lewicą czy z prawicą?, poszedł na kompromis na prawo — dokonał zapewne kroku decydującego o całym przebiegu reform demokratycznych w toku zolecia. Nie powtórzyła się już później ta atmosfera przełomu dziejowego, która jest konieczna dla głębszych reform społecznych. Dotyczy to na pewno reformy rolnej. Wepchnięta raz na tory kompromisu, sprowadzona do głównie prywatnej sprzedaży ziemi po wysokich cenach, a przez rządzące stronnictwo „Piasta” podtrzymywana raczej od strony interesów przedsiębiorstw parcelacyjnych, niż od strony reformy przez rząd wykonywanej — straciła swój zasadniczy charakter: wielkiego aktu państwowego wobec wsi. Zeszła na tor zabiegów pomniejszego znaczenia i politycznie i gospodarczo.

Utracona sposobność została zmarnowana bezpowrotnie nie tylko dla tej sprawy. Podjęta z większym rozmachem przebudowa społeczna została przytłoczona przez kompromis przedwcześnie, kompromis bodaj typowo polski, polegający na tym, by wykonanie reform oddawać w ręce ich przeciwników. Rozum polityczny nakazywałby wykonać twardo potrzebne zmiany, po czym dopiero zawierać kompromis ze skwaszonymi i koić bóle. Porządek odwrócony: kompromis niepewnych siebie, czy nieumiejętnych z przeciwnikami reform — musiał się zemścić. Odtąd prze-

obrażenia wsi sączyły się już tylko wolnym strumykiem i głównie zawdzięczając je własnemu wsi wysiłkom (*).

Byłoby jednak niewątpliwie krzywdzące, gdybyśmy całość niepowodzeń, jakie spotykały wieś na drodze jej rozwoju w Polsce odrodzonej, chcieli przypisywać wyłącznie jej własnej niezaradności i brakowi politycznego doświadczenia. Jako nowy przybysz na szerszej scenie narodowego życia, nie zaznała wieś zyciowego przyjęcia i musiała nieustannie walczyć o realne uznanie swoich praw, zgodnych z nową literą ustaw, ale obcych jeszcze obyczajowi i zastarzałym przesądom.

Fakt pochodzenia naszej inteligencji przeważnie z grupy szlacheckiej i trwające jeszcze jej podleganie opinii ziemiańskiej — zaciążyły w decydujący sposób na stosunku aparatu urzędniczego do spraw chłopskich. Dla większości wyższej administracji i dla wszystkich niemal sędziów chłop zjawiał się na horyzoncie jako brutalny pretendent do dziedzicznych morgów ich pociotków, czy ich kolegów. Trzeba było ich „bronić” — toteż w zgodnym wysiłku administracji i sądów zsabotowano pierwszą ustawę o reformie rolnej. Druga — po kilku latach i przy obniżonej już temperaturze napięcia społecznego, miała charakter czysto gospodarczy i zapowiadała powolne ślimaczenie się procesu.

Negatywny stosunek do reform społecznych ubierano najczęściej w szatę walki ze wszelkim interwencjonizmem państwowym, a oczywiście nie mogły się one inaczej odbyć jak rękami państwa. Pierwszy Zjazd Prawników i Ekonomistów polskich, w Poznaniu w 1925, daje świadectwo niewiarogodnego zacofania.

Dla znacznej części zawodowej inteligencji było drażniącym widowiskiem że chłop „pchał się” do szkół średnich i wyższych, bo gotował się „zabierać miejsce” synom zamożniejszych rodzin, rzekomo lepiej przygotowanym. Ukuto wówczas rozpowszechnione twierdzenie, mające pewne pretensje do pięknoduchostwa, że „tak zwana demokratyzacja to równanie w dół” i tym obejmowano wysiłki ku upowszechnieniu kultury.

Nawet dla tak przoduującego umysłu, jakim był niewątpliwie

(*) Sztuka zawierania kompromisów nie leży widocznie w naturze polskiej, skoro mamy w historii tak fatalny szereg spraw przegranych przy pozornym ich załagodzeniu. Pelen wymowy jest tragiczny los Konstytucji 3 Maja, gdy reformatorzy dla kompromisu z konserwatystami zrezygnowali z głębszej demokratyzacji państwa, nie tknęli pańszczyzny, ostro stłumili współczesne „opory” chłopskie, a nie śmieli skarcić magnatów-warcholów. W rezultacie ani nie zapobiegli Targowicy, ani nie stworzyli wojska, ani nie pozyskali chłopów dla obrony kraju w 1792 czy 1794 roku.

Początek nowego okresu niepodległości zostaje zwichnięty przez bezpłodny kompromis Witos. Porzucenie łączności z socjalistami i ludową lewicą decyduje na długo o stylu naszego państwa i jego zwolnionej ewolucji. Jakkolwiek nie należy zwykle wdawać się w supozycje, „co by było, gdyby...”, trudno nie sądzić, że przy większej odwadze w reformach, i należytych poskromieniu prawicy — nie przyszedłby ani grudzień 1922, ani maj 1926, ani Nieśwież.



Władysław Grabski było nienaturalne i zbędne wprowadzenie jednolitego programu nauczania dla szkół powszechnych w mieście i na wsi. Jego zdaniem, na wsi należało rezygnować z ogólnego poziomu kształcenia na rzecz zawodowego przygotowania rolniczego — twierdził to pod koniec 20-lecia. Nie rozumiał zatem, że dla dziecka wsi będzie krzywdą zamknięcie mu z reguły drogi do dalszego kształcenia się i nie przyjmował tego, że dziecko wiejskie może być na równi z każdym innym uprawnione do wyboru zawodu, także poza rolnictwem. Dochodziło tu jakby do głosu zadawnione mniemanie, że już z tytułu urodzenia samego chłopie dziecko musi na ziemi pozostawać, lub co najmniej, był to wyraz głębokiego pesymizmu, co do unowocześnienia i uprzemysłowienia Polski w niedługim czasie. Dzięki tylko szczęśliwemu rozmachowi w organizacji szkolnictwa powszechnego, dzięki wielkiej sile jaką nauczycielstwo tych szkół zaczęło już stanowić — obroniło się nasze szkolnictwo od różnych, tego rodzaju wstecznych pomysłów i wytrwało na drodze wytkniętej przez Prausa jeszcze za rządu Moraczewskiego.

Zdawałoby się, że proces wielkiego dźwignia się warstwy chłopskiej na poziom całego narodu, winien był zaznać wydatnej pomocy ze strony duchowieństwa. Ta liczna i wpływowa u nas grupa posiadała wszelkie tytuły po temu, aby spełnić rolę rzecznika i opiekuna chłopskich spraw. Znała je, wśród wsi żyła, w znacznej większości sama z niej wyszła, a pełniona funkcja nakazywała troskę o sprawiedliwość społeczną. Wszelkie jednak nadzieje doznały zawodu. Ten sam niechętny lub nawet wrogi stosunek większości kleru, jaki charakteryzował okres rodzenia się stronnictw ludowych i emancypacji politycznej chłopów w Galicji, czy Królestwie, został przeniesiony na teren młodego państwa. Zdecydowane opowiadanie się duchowieństwa przeciw chłopskim rewindykacjom wyrastało zapewne głównie z kompleksu niższości wobec „dziedzica” i tradycyjnej zależności plebana od pana. Było też może refleksem materialnych interesów Kościoła lub wreszcie naiwną polityczną rachubą na to, że w końcu i na trwałe zagrozi obóz zachowawczy (*).

W rezultacie nie tylko polityczna, ale i kulturalna działalność ludowców doznawała ze strony kleru znacznie więcej szykan niż pomocy. Dopiero młodszy księża, wychowani już w państwie polskim, zaczęli przełamywać tę żalosną postawę i próbowali raczej konkurować w pracy oświatowej.

Wreszcie — poza stosunkiem tych czy owych grup społecz-

(*) Mniemanie, że obrona dóbr kościelnych przed parcelacją nakłada wspólnotę interesów z ziemiaństwem, miało pozory rozsądnego wyrachowania tylko do czasu, gdy konkordat z Watykanem ustalił, że Kościół sam w imię pokoju chrześcijańskiego rozparceluje nadwyżki swych dóbr, ponad wyposażenie probostw, biskupstw itd. Nie zostało to wykonane, ani nawet rozpoczęte i świadczyłoby o tym, że mając aprobatę Watykanu, polski kler nie chciał jednak uznać głodu ziemi u chłopów i trzymał się polityki prawicy ze świadomego wyboru.

nych — pełne włączenie chłopów do narodu napotykało jeszcze na przeszkodę tradycyjnego w Polsce, innego pojmowania demokracji, niż na świecie. Za podstawową zasadę demokracji przyjmuje się wszędzie obowiązek mniejszości podporządkowania się większości. Wśród Polaków zaś trzyma się jeszcze wcale mocno tradycja „liberum veto”, to znaczy uznawania woli większości tylko wówczas, gdy jest zgodna z wolą zainteresowanego. Każdy nacisk byłby „niedemokratycznym” gwałtem wolności. Nawet ci, którzy są formalnie skłonni do uznawania praw większości, mają jeszcze swoje własne rozróżnienia: które głosy obywateli są równe, a które „równiejsze”. Narutowicz został zabity na tej zasadzie, że głosy etnograficznych Polaków są „równiejsze” od głosów innych obywateli; cały szereg decyzji sejmowych nie ma wartości w oczach tych, którzy lekceważą głosy „ciemnego tłumu”, a za „równiejsze” uważają jedynie głosy swojej warstwy, lub stronnictw przez siebie uznanych. Mówi się: „Oni tam sobie uchwalili...”, a chęć wymuszenia posłuchu na mniejszości — byłaby jawnym barbarzyństwem, faszyzmem, rządzeniem przy pomocy „karabinów maszynowych”. Jeszcze dziś, na emigracji, od młodych ludzi można usłyszeć naiwne liberalizowanie, o wiele bliższe do kultu „liberum veto” niż do współczesnego rozumienia demokracji (*).

W niełatwych przeto warunkach wypadało wsi stawiać pierwsze kroki na szerokiej drodze. Upływ czasu doraźnie pogarszał jeszcze sytuację. Wraz z zanikającym wstrząsem wojennym i opadaniem nastrojów niemal rewolucyjnych, wzmacniał się nawrót do dawnych zwyczajów i krzepły tendencje konserwatywne. Równocześnie uderzyły pierwsze klęski gospodarcze. Mijał okres dobrych cen rolniczych, regulacja stosunków walutowych przywracała realne przejawy polskiej biedy. Wyjrzało bezrobocie, a z nim i ponowna konieczność emigracji, tak oddalana we wszelkich nadziejach na nowy porządek.

Najwięcej chłonie Francja, na ten raz, i to jej oddajemy ponad pół miliona pracowników. Prócz tego znów sezonowi robotnicy masowo wspomagają rolnictwo niemieckie, a nawet lotewscy chłopci, doskonale prosperujący po rzetelnej reformie rolnej, korzystają z naszej taniutkiej pracy. Jak to się stało?

Zamknięcie dostępu do Stanów i skurczony stamtąd do-

(*) Przed paru miesiącami, w toku wykładu w SNPS w Londynie, wypadło mi zaznaczyć żal, że nie zdołaliśmy za 20-lecie przeprowadzić reformy rolnej. Młody publicysta, p. B. Brodziński pośpieszył napisać w „Merkuryszu”, że Polska przedwojenna nie realizowała idei swego ministra ze względu na brak karabinów maszynowych.

Dotychczas zatem, dla liberała tego pokroju, nie ma żadnego znaczenia, że owa reforma była kilkakrotnie przez Sejm uchwalana, że leżała w interesie kilku milionów rodzin, a nie dogadzała kilkunastu tysiącom. Sama myśl o tym, by do tej garstki zastosować przymus, jest zdrożna, jest poczytana za amatorstwo do karabinów maszynowych. Demokratyzacja nie jest łatwa!

piływ zarobków emigracyjnych uderzył przede wszystkim Małopolskę; wyjście z protekcyjnej orbity niemieckiej pogorszyło ogromnie sytuację rolnictwa w byłym zaborze pruskim, a w byłym Królestwie przemysł bez rynków nie chłonał nowych robotników ze wsi. Narasta przeto wszędzie przeludnienie rolnicze, a drobne ciurkanie reformy rolnej zaledwie coś nie coś ten proces łagodzi. Światowy kryzys gospodarczy niepomrotnie zaostrza sytuację i natężenie biedy chłopskiej w latach 31 do 36 przekracza bodaj stan przedwojenny. Ale inna już jest skala zaradności i umiejętność chłopskiego działania.

Nic nie charakteryzuje lepiej, jakiego rodzaju wkład został dokonany przez państwo nasze w sprawę dźwignięcia wsi, jak konstatacja, że poważniejsze, istotne przemiany w jej życiu zaszły dopiero w drugim 10-leciu niepodległości, pomimo znacznie gorszej wówczas koniunktury gospodarczej. Nie mogła, czy nie umiała Polska rozwiązać w krótkim czasie swoich głównych problemów gospodarczych, ani nie zorganizowała dostatecznego ze wsi odpływu do miast, ani nie wyposażyła wsi w lepszy, nowocześniejszy warsztat pracy rolniczej, by zdecydowanie podnieść produkcję. Ale postawiła wyraźnie na sprawę zmiany człowieka, na jego wykształcenie, na rozwój jego organizacyjnych uzdolnień, na swobodę kierowania własnym czy zbiorowym życiem wsi. Samorząd, organizacje zawodowe i spółdzielczość były inowacją dla ogromnej części Polski. Materialnie nie wiele tu państwo pomagało, ale sprzyjało każdej inicjatywie i już co najmniej nie przeszkadzało. A dynamizm organizacyjny wsi narastał z rozmachem i głos szczególnie mieli tu młodzi. „Nie bieda była źródłem buntu młodzieży wiejskiej, a społeczna niesprawiedliwość” — pisze Chałasiński.

DOROBK ZBUNTOWANYCH

Pisano już nieco o tym, jaką rolę odegrało młode pokolenie chłopów rosnące za 20-lecia. Uwaga jednak głównie skupiona była na tym, co wnoszą i co jutro wnieść obiecują nowi obywatele, włączeni do narodowej społeczności. Chałasiński pisał w 1938 na podstawie ogromnej ankiety: „Warstwa dawnych gleba adscripti... w młodym pokoleniu jest już tak ściśle z ideą wolnej Polski zespolona, że wydrzeć jej sobie nikomu nie pozwoli”. „Ruch młodo-chłopski nie jest ruchem klasowym, lecz narodowym i demokratycznym”. Istnieje „odpolitycznienie podstawy życiowej młodego pokolenia... zainteresowania polityczne sprowadzają się do właściwych proporcji — narzędzia organizowania życia w wolności”. Trwa „proces ugruntowania wartości narodowych we wsi”.

A w 1946, rejestrując już i zdarzenia wojenne, mogłem napisać: „Od chwili wybuchu wojny było jasne, dla każdego kto pamiętał wojnę poprzednią, czy choćby rok 1920 — że stanął

przed nami inny naród... doznał on potężnego przypływu sił. Jest twardszy, wytrwalszy i ufniejszy w sobie niż kiedykolwiek był w dobie nieszczęść”.

Nie w płaszczyźnie zatem przeżyć narodowych, nie w postaci politycznej istniały ziarna buntu młodych. Nasz dorobek myśli narodowej, doniesiony poprzez niewolę do progu niepodległości, wzbogacony w walkach — odegrał swą rolę, gdy tylko młode państwo otwarło do niego dostęp. Asymilacja nowych sił była naturalna i łatwa.

Cytowane opinie, potwierdzane zresztą przez tysiące bezpośrednich obserwacji z czasu wojny i okupacji, pozwalają ustalić, że na drodze swego rozwoju naród nasz minął już słup miłowy politycznej jedności. Pozostawały niewyrównane krzywdy i przepaście społeczno-gospodarcze. Przeciw nim zwrócone było ostrze buntu dorastającego pokolenia wsi, przy tym całość stosunków wsi była przedmiotem krytyki. Zgoła temu nie przeczy stwierdzenie, że przecież ogromna większość ideowej młodzieży właśnie w idealizowaniu bytu wsi, w agraryzmie — znajdowała ujście dla swoich pragnień. Tak, — ale przyszłej wsi, a wcale nie obecnej. Młody chłop zachodni, marząc o lepszej przyszłości, widzi zmiany w swoim gospodarstwie, lub co najwyżej jeszcze poprawę koniunktury. Nasi młodzi zamierzali zmienić wszystko: równie stan posiadania i wsiowe bezdroże jak kształcenie dzieci, równie dobrze organizację handlu jak konserwatywne upory starych. Zaczynali atakować rzeczywistość z każdej strony: poprzez własne „Przysposobienie rolnicze” i „Uniwersytety ludowe”, jak poprzez udział w pracy darmowej przy budowie drogi, czy Domu Ludowego.

Nadto i co szczególnie jest ważne, nie urosła żadna przeciwność między idealizującymi przyszłą wieś pionierami nowego rolnictwa, a narastającą gromadką zawodowców technicznych, porzucających wieś na zawsze. Łączność obu kierunków trwała na szczeblu młodzieży uniwersyteckiej, łączność na gruncie wspólnego zadania: popchnięcia rozwoju wsi — i to, nie jako obszaru iluś tam morgów, a jako olbrzymiego zespołu ludzi o różnych aspiracjach i uzdolnieniach, a zatem i o wszechstronnym dotyku do życia. Zapewne jedynym w swoim rodzaju przykładem tej szczególnej wspólnoty było utworzenie spółdzielczego przedsiębiorstwa technicznego pod nazwą „Grupa Techniczna”, które prowadząc prace inżynierskie na znaczną skalę, nie tylko zapewniało swoim członkom rzetelnie dzielony zarobek, ale znaczną część dochodów oddawało na swą dawną, macierzystą organizację: młodzieży wiejskiej.

Gdy w Rosji, koestlerowski Gletkin, jako sędzia śledczy, opowiada Rubaszewowi, że uprzemysłowienie przyszło i do jego rodzinnej wsi, by rewolucyjnie zmienić życie — ale chłopci nie mogli się nałamać do fabrycznego trybu pracy, trzeba ich było przeto wystrzelać, to oddaje zapewne prawdę rosyjskiej wsi. Tam, ani przed reformami, ani po salwach karabinowych nie

było „buntu młodej wsi”. U nas, przygotowanie psychiczne do przemian daleko już było posunięte. Wymaganie jednakiego dostępu do kultury i jednakich możliwości w poziomie życia było uznane, jako uprawnienie wszystkich obywateli i realizację tego uprawnienia gotowała się młoda wieś przyjąć *na ziemi lub i bez niej*.

KU NOWEMU A PRZECIW NOWATOROM

Nie zamierzając dokonywać przeglądu zdarzeń i zmian jakie dotknęły wieś w czasie wojny i 10-lecia okupacji rosyjskiej, porzestaniemy na bardzo ogólnikowym porównaniu stanu obecnego z sytuacją przedwojenną, a więc innej ludności i innego terenu. Podzielimy też zagadnienia na grupy: „na ziemi” i „bez niej”.

Liczebnie wieś się kurczy, względnie i absolutnie. Wszystko przemawia za tym, że odpływa co roku więcej niż wynosi przyrost naturalny. Jest to zresztą stan wszystkich niemal krajów europejskiej cywilizacji. Stanowiliśmy jeden z żalosnych wyjątków, dziś nadganiamy pośpiesznie. Wieś to ludzie żyjący z rolnictwa, mieszkanie na wsi nie daje kryterium właściwego. Ale i granica zatrudnienia jest coraz bardziej zatarta. Mnożą się rodziny tak zwanych chłopów-robotników, gdy mężczyźni dojeżdżają do fabryk czy kopalń, a starzy i kobiety prowadzą dalej małe gospodarstwo. Liczą takich rodzin koło miliona — jest to dość dowolne, bo jaką działkę gruntu uważać jeszcze za gospodarstwo? Przed wojną ludność rolnicza liczyła koło 60%, w granicach obecnych w roku 1950 miało być 46%. Odpływ w czasie planu 6-letniego jest raczej konspirowany, przekroczył przewidywania, projektowano go na blisko milion osób *pracujących* (*).

Do zakresu możliwości otwierających się przede wsią, prócz porzucenia ziemi dla zarobku niekwalifikowanego, należy droga przygotowania przez szkołę. Uległa poprawie nie tylko sytuacja w szkole powszechnej (dziś zwanej podstawową). Gdy w 1937 koło 46% dzieci wsi uczęszczało do szkół niżej zorganizowanych, czyli zapewniających tylko kurs programowy 4 klas pomimo 7 lat nauki, a więc do szkoły praktycznie zamykającej przyszłość, to dziś w szkołach o 1 lub 2 nauczycielach ma być tylko 15% i nauczanie na poziomie 7 klas zbliża się do pełnej powszechności. Ponadto nałożono nie dawno obowiązek *ukończenia* szkoły 7-letniej. Uczeń będzie zatrzymany dłużej w szkole lub zobowiązany do nauki w czasie pracy, jeżeli w normalnych latach programu nie przyswoił. Według danych oficjalnych ponad 50% ab-

solwentów szkoły podstawowej idzie na dalsze 4 lata nauki, do liceum najczęściej zawodowego. Tą drogą wychodzi w życie znaczna już część młodzieży wiejskiej. Spotkanie tych możliwości, z pełną gotowością szukania swojej drogi życia, choćby „poza ziemią” — cechuje niewątpliwie wieś dzisiejszą. Na wszystkich szczeblach szkół i na wszystkich polach pracy znaleźli się tłumnie wczorajsi spadkobiercy karłowatych gospodarstw.

Naturalnie prócz szkoły, również prasa, kino i radio mają dziś swój zwiększony udział w formowaniu umysłów na wsi. Budzą i rozwijają różnorodność zainteresowań, zupełnie tak, jak u młodzieży miejskiej. Przywilej wyboru zawodu — ta składowa część współczesnej ludzkiej wolności — stał się także udziałem wsi. Praca dobierana do skłonności, a nie dziedziczna z urodzenia, staje się wspólnym, powszechnie dostępnym, a więc i jednoczącym elementem życia.

Łatwość wyjścia poza rolnictwo, możliwość każdorazowego znalezienia pracy innej, gdy w rolnictwie jest zbyt ciężko — stała się decydującym zupełnie czynnikiem obrony wsi przed narzucanymi rozwiązaniami bytu wsi „na ziemi”, jakie nowe władze chciały ustalić. Wzór sowieckiej ekonomii polega na uznaniu dwóch różnych poziomów bytu: chłopskiego, niższego i miejsko-przemysłowego, wyższego, który ma być rozwijany kosztem pierwszego. Dysproporcje tych poziomów są olbrzymie, haracz ściągany ze wsi aż nieprawdopodobny, wedle naszych pojęć. Wieś zamknięta w kołchozach — organizacji produkcji najbardziej zbliżonej do naszego folwarku z parobkami na ordynarii — pozostaje bezbronna, nie mogąc ani stylu życia zmienić, ani wsi porzucić. Ten model, ani żaden jemu podobny nie dał się w Polsce zastosować. Z chwilą gdy przekroczony został próg zasadniczy i przyszła możliwość porzucenia rolnictwa — skończyła się odwieczna konieczność bezradnego postuszeństwa. Rolnik opuszczający ziemię musiał stać się przedmiotem zabiegów władz, aby go od ucieczki powstrzymać i zapewnić znośny w kraju poziom produkcji rolnej. Stąd powolna kolektywizacja i zbliżanie jej do prawdziwej spółdzielczości, stąd urastająca troska o lepsze zaopatrzenie gospodarstw chłopskich w środki produkcji, stąd także zupełnie odmienna polityka cen płaconych chłopom, niż w Rosji. Broniąc swego poziomu życia, broniąc swoich marzeń o pełniejszym bycie ludzkim, bliskich mu realizacji — wieś swą odrębność narodową, ma poczucie wyższości. Odrzuca nasją łączności. Pogłębiające się zrastanie wsi z miastem wzmocni zapewne odpór naszej społeczności przed całością rosyjskiego wpływu.

Pobłażliwszy stosunek do niezbędnej, rzekomo rosyjskiej, protekcji niesie raczej myśl inteligencka, wywodząc go z oceny naszej sytuacji politycznej. Pomijam naturalnie postawę ludzi giet-

(*) Rocznik Statystyczny 1955, wydany po kilku latach przerwy, pomija dyskretnie podział ludności według zatrudnienia po roku 1950, poprzestaje na wykazaniu zamieszkania. Otwiera się więc pole do sporów o ścisłe liczby. Za istotne i za wystarczające uważam stwierdzenie procesu kurczenia się absolutnego wsi, bo z tym idzie w parze również selekcja negatywna: wychodzą młodzi lub w pełni sił, kształceni i energiczniejsi.

kich i skłonnych do przystosowania, mam na myśli jedynie tych, którzy w pełni rzetelnego patriotyzmu, zdają się przyjmować tezę zbliżoną do rosyjskiej propagandy, że tylko potęga Rosji broni nas przed odradzającym się niemieckim niebezpieczeństwem, a stąd konieczność łączności, konieczność jej protektoratu. Groza nowego najazdu niemieckiego, po niedawnych doświadczeniach, budzi zrozumiały lęk. Skłonne są poddawać mu się i umysły przodujące, jak np. Maria Dąbrowska.

Dla nas rzeczywistość polityczna jest czytelniejsza, widzimy stąd lepiej, że podział Niemiec, utrzymywany wspólnym wysiłkiem obu stron — Rosji i Stanów Zjednoczonych, odsuwa możliwość agresji niemieckiej. Byłby czas okrzepnąć i nam i narodowi sąsiadom. Obecny wysiłek zbrojeniowy Polski podtrzymuje tylko ogólną potęgę imperialistycznej polityki Rosji — nie wynika z naszych narodowych interesów. Nie ma słusznego powodu by ulegać propagandzie o losie, który skazuje nas na rosyjską opiekę.

Dokonywujące się scalanie psychiczne i gospodarcze narodu polskiego, zanikanie przeciwstawień wsi i miasta podnosi jego siły, uzdolni go zapewne bardziej do samodzielniejszej roli wśród sąsiedzkich narodów.



Dla politycznych marzeń warstwy chłopskiej bieg zdarzeń historycznych okazał się istotnie okrutny. Po wiekach czekania i nadziei na sprawiedliwość zabłyśła krótka chwila 20-lecia otwierające szanse spełnienia dziejowej roli. Wymagała jednak od razu pełnej dojrzałości politycznej, nie była skłonna tolerować ani odrobiny dziecinnego egoizmu klasowego. Takim wymaganiom nawet wspaniały polski chłop nie mógł sprostać. Sposobność przeminęła bezpowrotnie. Kurcząca się liczebnie i jałowiona przez silny odpływ ku miastom wieś polska nie odegra już samodzielnej roli politycznej, podobnie jak to nie jest udziałem tej grupy w innych europejskich społeczeństwach. Ludowa myśl polityczna mogłaby sięgać po twórczy udział w dorobku narodowym już w zupełnie innej skali i innym sensie. Czy zdoła, zapominając o wszelkim klasowym zacieśnianiu się, zrodzić ogólnonarodowy kierunek polityczny, który obok tego rodzaju kierunków jak socjalistyczny, czy chrześcijańsko-demokratyczny byłby wsparty o własne podstawy filozoficzne i stanowił określony światopogląd — odpowiedzieć może jedynie dalsza przyszłość.

Juliusz PONIATOWSKI

Pomnik na rozstajach

Bajazet Błyskawica obdarzył wolnością piętnaście tysięcy chrześcijańskiego rycerstwa.

Rzecz równie dziwna stała się w prasie Kraju: w tygodniku „Po prostu” trzech młodych ludzi wyszło „Na spotkanie ludziom z AK”. Wołają o rehabilitację tych, których dotychczas nazywano „zapłutymi karłami reakcji”. Stwierdzają: „Dzisiaj nie istnieje już problem dowództwa AK. Tę sprawę załatwiła historia. Jest natomiast ciągle jeszcze aktualne zagadnienie masy żołnierskiej całego AK-owskiego pokolenia”; masa ta rozgorączkowaną niezasłużoną pogardą i wstydzając się niedawnej walki w powstaniu, „zasiliła szeregi wewnętrznej emigracji”. Apel kończy się słowami: „Czy wolno nam dłużej, powołując się na odległą tradycję narodową, zaprzepaszczać bliską i drogą każdemu z nas tradycję walki z okupantem hitlerowskim? Należy przywrócić bohaterom tej walki właściwą rangę. Jej tradycję wręczgnąć wszystkimi możliwymi środkami zarówno dla naprawienia krzywd jak i sprawy wychowania tych, którzy przyjdą po nas. Nie wolno dłużej czekać. Oszczędźmy trudu przyszłym pokoleniom”.

Bajazet Błyskawica był władcą przezornym. Nim wolno puścił piętnaście tysięcy braniców, kazał oprawcom by wytłupili im oczy.

W trosce o przyszłość, wkrótce odezwały się inne pisma Kraju. „Nowa Kultura” poświęciła Akowcom aż dwa artykuły. Zakończenie pierwszego kończy się tak: „Zbudujmy, korzystając z ofiarności społecznej, pomnik powstańcom Warszawy. Pomnik, który da wielki dowód historycznej prawdy jedności naszego narodu w walce z hitlerowskim barbarzyństwem. Wiem, że na tym pomniku powinien stać harcerz z „Parasola” czy „Zośki” bratersko ramię w ramię walczący z żołnierzem AL

z „batalionu Czwartaków”. Wiem, że dla tego pomnika sam mistrz Dunikowski nie odmówi swego dłuta. A naród dla tego prawdziwego symbolu — swego ofiarnego, gorącego serca”.

Wspaniałomyślnym sultanem był Bajazet Blyskawica. Co setnemu jeńcowi — stu pięćdziesięciu takim setnikom — wzrok darował, aby nieszczęsnej armii ślepców miał kto wskazać drogę do ojczyzny.

W tym samym numerze „Po prostu” gdzie indziej widnieją cytata ze Starego Testamentu: „Ktoby pobił niewolnika swego albo niewolnicę laską, że umarliby pod ręką jego, winien będzie kary. Ale jeśli przez jeden dzień albo dwa przy życiu zostaną, nie będzie podlegał karaniu, bo chodzi o własny jego pieniądź. — Exodus, XXX, 20-21”.

Stare są zatem dzieje niewolnictwa, starsze niż kodeks Hamurabiego, cztery tysiące lat liczący. Historia, którą przy łada okazji tak chętnie wycieramy sobie gęby zarówno w Kraju jak na emigracji, jest historią niewoli. Kroniką nikczemności, gdy nas w jasyr pętano, a pomnikiem chwały, gdy nam się udało brać jeńca.

O demokracjo helleńska, przodownico naszej cywilizacji! Jakże chętnie powołujemy się na spadek po tobie — demokracjo, uprzywilejowanych, wyłączająca niewolnych. Dumni z dziedzictwa wieków, dumni też bądźmy że, po klęsce zadanej Perseuszowi Macedońskiemu, 150 tysięcy jeńców sprzedano do kopalni.

Chwalimy też Spartę bohaterską, której Termopile po dziś dzień zagrzewają mężnych: Spartę demokratyczną, Spartę stałowych eforów, Spartę wolnych obywateli którym nie wolno było opuścić granic własnego państwa, obywateli przykutych do miejsca pobytu, obywateli z przepustkami wewnątrz państwa — Spartę, na domiar, gniołącą swe bydło robocze, helotów. Spadała na nich tajna crypteia, gepiści eforów: w rytmicznych czystkach przeredzała masy helotów za to że było ich więcej niż partyjnych Spartan; zniknął helota za to, że niedość dobrze pracował, że tęsknił helota i że był helotą. Chwalmy Spartę: twardą, spartańską, często głodną, nie znającą spokoju dnia dzisiejszego, żyjącą gorączkowo dla mglistego jutra — Spartę demokratyczną, totalitarną.

Chwalmy Spartę, heloci z AK! Ufajmy Spartanom, bo nikogo tak jak was, jak mnie, jak nas, Akowców, nie odarto tak strasznie ze złudzeń w ludzkość ludzkości. Do was wołam, heloci z AK, bo mówimy ponoć wspólnym językiem — bo ten kto upadł pod serią z rozpylacza, z kneblem gipsowym w ustach, pod murami Pawiaka — był, wiecie przecież, rozwalony, a nie „skazany na śmierć przez rozstrzelanie”; a kto wyciągnął kopyta pod barykadą — nie „za Ojczyznę poległ”, lecz po prostu dostał w czapę, co wychodzi na jedno, tylko że bez tej świątecz-

nej marmelady na codzienny użytek takiej czy innej propagandy. A więc, heloci, Sparta przyznaje że jeszcze żyje w Polsce pamięć owej straszliwej wolności, wolnych dni sześćdziesięciu trzech, gdy wolno było krzyżeć to co się czuło, gdy rozpierała nas duma, gdy było już wszystko jedno — wszystko jedno! — bośmy zdobyli sobie nasze psie prawo do samych siebie! — w imieniu wszystkich, dla wszystkich, nie gorsi od innych, przeciwnie: z najlepszych najlepsi!

A dziś, heloci, czy naprawdę wstydzicie się tamtych dni?... Zaszczuci, wypieracie się samych siebie?... A dziś — chwała wasza jest waszą zbrodnią?... Mają wam przebaczyć?... Za flaki wasze, na bezlistnych drzewach rozwieszane wybuchami granatów jak straszne girlandy, mają wam przebaczyć?... Dopiero teraz?... Po tylu latach włóczenia po kaźniach, po obelgach potwarczych, mają was — pariasów parszywych — przytulić do czujących piersi!...

Ciszej, serce...

Niech rozum przemówi.

Niech przemówi stara dziwka, historia. Niech pochwali cywilizację rzymską, spadkobierczynię Hamurabiego, poprzedniczkę Wielkiej Brytanii dumnej z rzymskiego dziedzictwa. Niech przypomni że w Galii, w cesarowej transakcji, nie pierwszej, nie ostatniej, 63 tysięcy jeńców sprzedano jak bydło.

Niech przypomni historia kwiat rycerstwa chrześcijańskiej Europy. Któż to z bitew opiewa Froissart — pod Aljubarratą czy pod Agincourt? — w obu bowiem podczas nagłej paniki stała się rzecz niepowetowana: „O przynodo niewczesna, coś spadła na mężnych rycerzy owej soboty nieszczęsnej!” — biada rozżalony kronikarz, pieśniarz cnót rycerskich — „W pień niepotrzebnie wycieli wiele zacnych jeńców, którzy jeden z drugim, warci byli ponad czterysta tysięcy franków!...”

Niech pochwali historia Polskę Zygmunta Starego, za to że tematu dostarcza w czytankach dla dzieci, w jednym z tygodników polskich na Zachodzie: „Król Zygmunt pozwolił Ostrogskiemu odbyć triumfalny wjazd do stolicy. Zdobyte chorągwie zawiesić kazał Ostrogski w katedrze wawelskiej. Jeńcami, wziętymi do niewoli, których car nie chciał wykupić, załudniono ziemie litewskie”. Co czuli ci jeńcy, na zawsze oderwani od wszystkiego co własne?... Czy to samo co my, wywożeni do Niemiec i Rosji?...

I niech Anglię przypomni, dziedziczkę rzymskiej praworządności: w jednym tylko ostatnim stuleciu handlu czarnymi, ponad 2.130.000 Murzynów wywoziła do swych amerykańskich kolonii. Drugie tyle skonało w transporcie. Gdy Jamajka w 1775 roku nałożyła cło od niewolników, zniosła je angielska Izba Handlowa, „bo nie można pozwalać koloniom, by choć w najmniejszym stopniu miały hamować handel tak intratny”.

I niech nie zapomni hitlerowskich Niemiec: za masowe łapanki uliczne, za tatarskie porwanie milionów niewolników,

za dymiące piece oświęcimiów, mające sparaliżować wszelki ruch oporu.

I sojusznikom naszym z czasów wojny niechaj będzie chwała. Wiem, za co chwałę: w 1943 roku sam byłem w Berlinie. Chwałę ich za celne, conocne bombardowanie baraków, w których nas skoszarowano na roboty. Wtedy jeszcze oszczędzano zakłady przemysłowe: miały się przydać przyszłym zwycięzcom. Unieruchomiali je wyniszczaniem siły roboczej wroga. Dziesiątkowali: Polaków, Czechów, Ukraińców, Rosjan, Belgów, Francuzów, Holendrów — celnie i skutecznie. Mordowali — nas — obiekty strategiczne.

Chwałę wreszcie raj sowiecki. Mam prawo chwalić: w roku 1940 sam byłem w raju. Chwałę sute posiłki dawane niewolnikom, chwałę betonową pościel, chwałę krótki dzień żmudnej pracy od świtu do północy, chwałę conocne zaprosiny na grzeczne rozmowy na temat moich poglądów politycznych, których jeszcze nie żywiłem — chwałę zatem arcyludzką wykazaną w mistrzowskiej modernizacji kodeksu Hamurabiego. A nade wszystko chwałę wyzwolenczą armię sojusznika. Wiem, za co chwałę: w roku 1944 sam ją z Warszawy widziałem za Wisłą.

„...bo chodzi o własny jego pieniądz” — cytuje „Po prostu”.

Główne centra pracy niewolniczej — czy to będą Ateny i Korynt starożytnej Grecji, czy też obszar Kołymy lub kopalnie śląskie — zawsze ogniskowały się wokół ośrodków przemysłu. Tam gdzie o pieniądzu chodzi, głuchną wyrzuty sumienia narodów. Zbrodni nadaje godność racji stanu. Anglia, która pierwsza przystąpiła do żarliwej i skutecznej walki z niewolnictwem czarnych, usłyszała głos sumienia dopiero po roku 1783 gdy po oderwaniu się niepodległej Ameryki w roku 1783 zabrakło rynków zbytu na handel tak intratny. Nigdy i nigdzie nie wyrzeczono się niewolnictwa z pobudek wyłącznie humanitarnych. System ten zwalczano dopiero pod naciskiem nowych sił gospodarczo-politycznych: bądź to gdy znajdowano rozwiązanie dogodniejsze, bądź też gdy niewolnych warto było obdarzyć wolnością, często stopień po stopniu, by dobrowolnie wciągnęli się w nowy ład gospodarczy i pracowali wydawniej.

Jakkolwiek nikczemne są takie przyczyny rozwoju wolności — system który dorósł do przekreślenia niewolnictwa staje się systemem wolnych. System zaś, który choćby tylko zapowiada zelazienie niewoli — zasługuje na czujną uwagę świata wolnych. Wolność bowiem — rewolucyjna czy ewolucyjna — jest najwyższym dobrem człowieka.

Dlatego — podkreślam — to, co w tej chwili dzieje się w Kraju, zasługuje na naszą czujność. Kpiny z tragicznego szamotania się własnego narodu zostawmy uroczystym matołkom i bezdusznym błaznom.

Tyle — rozum.

Rozum — skłócony z piekłem uczuć.

„Historia rozwiązała problem dowództwa AK”. A teraz rozwiązuje problem emigracji: apelem do powrotu. I emigracji „wewnętrznej”: apelem o pomnik. Wali się w piersi sowiecki kolos, wali ośmiorgiem ramion, głuche dudnienie ogarnia podbite ziemie, drzenie przenika zmęczoną ziemię — co się w tym kryje?... Ile w tym prawdy, a ile nowych podstępów?...

Opuśćmy znużone powieki i milczeniem pokryjmy historię — historię twoją i moją. Zmuszmy się do wsłuchania w te słowa gorące, młode, słowa przecież naszych braci z Kraju: słowa tak pełne uznania dla pariasów z AK... Wsłuchajmy się w te słowa w martwej ciszy, spłoszonej nagłym biciem serca: radujmy się że i w Kraju biją dla nas serca.

Armio AK, niegdyś rycerska! Armio straszna, której wylupiono serca! Do jakiej ojczyzny wiedzie cię stu pięćdziesięciu lunatycznych setników, którym zostawiono serca? Dlaczego zostawiono? By zabiły — gdy trzeba?...

Wam i nam — powrót? Nam — także powrót? Z orkiestrą i pomnikiem? Nawet mnie — powrót? Powrót do ojczyzny? Do jakiej ojczyzny? Gdzież moja ojczyzna? Dokąd powrócić? Czy do ziemi ojców, gdzie się urodził? Czy było to nad Odrą? A jeśli za Bugiem — gdzież moja ojczyzna? A może nie o ziemię chodzi, lecz o język wspólny? Gdzież ten język wspólny? Jakże nam rozmawiać, niemi z głuchymi? A może — nie granice, nie język stanowią ojczyznę, lecz wspólne cele, jutro wspólne? Jeśli tak — jakie cele, jakie jutro? Jutro wolności? Jakiej wolności? Zwykłej, człowieczej wolności stanowienia o samym sobie, czy wolności poddańczej? Gdzież moja ojczyzna? A może chodzi tu o pamięć wspólnej przeszłości, o te nieuchwytnie związki duchowe? Związki z kim? Z tymi, co wstydzą się wczorajszej chwały, wstydzą samych siebie? Lub może z tymi, co wstydem zatruli? Gdzież moja ojczyzna?

Bajazet Błyskawica, w dwanaście lat po oślepieniu armii rycerstwa Zachodu, wpadł w ręce Tymura Kulawego. Z ciała żołnierza wspaniałej armii sultanskiej, pojmanej w jasyr i w pień wyciętej, wznosił Tymur mur wokół Małych Aten. Ostał się z muru tylko szczątek nędzny — w bibliotece katedry w Lincoln.

W dwanaście lat po Powstaniu Warszawskim, gdzie dwieście tysięcy murem padło w samotnej walce o wolność — historia rozwiązała problem Stalina. Padają druzgotane pomniki słonecznego wszechojca sowieckiego kosmosu. Pomniki — rzecz śmieszna. Stawiane po to, by w potrzebie padły.

Bajazet, jak pies parszywy, nagi, bezimienny, życia dokoła na dworze Tymura, w klatce.

Gdzież jest moja ojczyzna?... Jest tam gdzie godność człowieka. A godność tylko tam gdzie ludzkość. Ludzkość zaś tylko

tam gdzie wolność. A wolność tylko tam, gdzie system gospodarczy dorósł do przekreślenia niewolnictwa. A to znaczy: ani jednego obywatela drugiej klasy; ani jednego heloty pozbawionego praw obywatelskich. Heloty ani jednego. A to znaczy: nie tylko Akowca.

Bracia w Kraju — stawiajcie ten pomnik!

Tak, najpierw postawcie ten pomnik. A potem — poczekamy, popatrzymy, zobaczymy: czy to tylko nowy bałwan kamienny, znaczący zsyłkę na dno piekła — czy też może żywe serca ludzkie zabiły naprawdę po ludzku?... Tymczasem zaś niech nam wolno będzie zachować jedyną postawę, jakiej nas dobry świat nauczył — Wschód i Zachód na równi: bardzo gorzką, bardzo cierpliwą i bardzo czujną nieufność.

Pomniki — rzecz śmieszna. Dziś stawiane, jutro wywracane. Oklasków nam nie trzeba. Ale jeśli pomnik darowanej zbrodni — zbrodni umiłowania wolności — miałby rzeczywiście pomóc braciom w Kraju i przyczynić im choć trochę wolności, niech stanie ten pomnik.

Zbigniew JASIŃSKI
(„Rudy”)

Ś. P.

JAN LECHOŃ

Leszek Serafinowicz

Poeta,

ur. 1899 r., zmarł dn. 8 czerwca 1956 r. w N. Jorku.
W Zmarłym traci Literatura Polska twórcę wielkiej miary.

Cześć Jego pamięci!

ZWIĄZEK PISARZY POLSKICH
NA OBCZYŻNIE.

“Aura letsza”

Motto: „Co ci ludzie z pocztowości
słowa zrobili.”

Prasa na całym świecie aż dudni od ocen i prorocstw na temat odwilży. Treść mego artykułu jest znacznie węższa. Sta-
rałem się prześledzić na odcinku plastyki, szczególnie malarstwa, na podstawie prasy fachowej i wiadomości otrzymanych bezpośrednio, czy i jakie tam zaszły przemiany. Otóż przemiany obiektywne, konkretne — można stwierdzić. Jakby nie był skromny ten odcinek — „aura letsza” na tym skrawku kultury ma swoje znaczenie, w dalszych powiązaniach może i dla całości życia w kraju.

W plastyce od 1948-1949 roku oddychać było coraz trudniej; w pewnej chwili nie było już czym oddychać, więc ewolucja, której początki zaznaczyły się już około 1954 roku, znaczy więcej, niż nam tutaj mogłoby się zdawać.

A jeżeli wolność rodzi wolność?

Wczytanie się w materiały z kraju dało mi przekonanie, że zmiany te mają charakter głębszy i bardziej zasadniczy. Trzy czy pięć lat temu jakże trudno było czytać artykuły o sztuce pisane w Polsce. Choć ludzie bardziej w prasę krajową wgryzieni dawali mi klucze, odkrywali śmiałość jakoby niektórych zwrotów — w których ja widziałem tylko drobne wychylenia — jakieś półodmykanie drzwi dawno otwartych — nie było rady, od tej drętwej mowy, od tego obchodzenia istoty sprawy, przysypywania wszystkiego prawomysłnymi cytatami, dygania w kierunku sowieckiej siostrzyczki, miało się wprost nudności. Nagle w tych samych pismach ilość artykułów, w których słychać głos żywego człowieka, gdzie nie trzeba być talmudystą dialektycznym, żeby odkryć o co autorowi chodzi, ilość takich artykułów zaczęła nagle wzrastać: niektóre świetne, inne nieporadne, zaczęły dawać możliwość wyczucia sytuacji i temperatury myśli, któ-

ra już sama w sobie była czymś nowym w prasie mówiącej o plastyce, jakby się wylewała na inne dziedziny, zarażała je.

Z pism, które miałem w rękę, „Przegląd Artystyczny” ma znaczenie specjalne: wydawnictwo Państwowego Instytutu Sztuki i Związku Artystów Plastyków z prof. dr. Juliuszem Starzyńskim, jako przewodniczącym kolegium redakcyjnego, jest ono jak najbardziej oficjalne, a do tego w czasie zwykle ogromnie spóźnione (nr 5/6 z 1955 roku wyszedł w kwietniu 1956). Poglądy tam wyrażone można mniej niż gdziekolwiek podejrzewać o to, by były ryzykownym wyskokiem indywidualnym, mają one bądź co bądź „imprimatur” aż prof. dr. Starzyńskiego. Rzeczywistość artystyczna w kraju jest prawdopodobnie znacznie bogatsza niż to co tam możemy znaleźć. Warto jest jednak porównać parę roczników — chociażby od 1950 — do numerów ostatnich. Rok 1950 to ofensywa socrealizmu w pełni. Co strona wypowiedzi czy Bieruta o obowiązkach planowania kultury, czy Sokorskiego jak naród musi kształtować twórców, czy Lenina że sztuka musi być zrozumiała dla mas. Portrety Stalina i bohaterów rewolucji plus doszukiwanie się wszystkich wątków „polrealizmu”, które mogłyby służyć jako narodowa tradycja dla socrealizmu. Naturalnie apoteoza Matejki. Słusznie, bo jeżeli mówić o malarzu polskim wyłączając *qualité* malarską (forma, kolor, kompozycja i inne źródła formalizmu), o jego sile ewokacji psychologicznej „rozumiałej dla mas”, nie ma nikogo kogo by w Polsce można było postawić nawet blisko Matejki. Ileż razy w prasie krajowej cytowano jego słowa „ja nie mogę robić tak jakbym chciał, ja nie komponuję, jak rozumiem warunki artystycznej doskonałości obrazu, o rzeczy ważniejsze chodzi mi więcej niż o nie, o wyraz postaci lub wyrazistość grupy, więcej niż o czystość linii, jak o piękno układu”.

Ten podział u Matejki na formę i treść — treść ważna, forma nieważna — jakby w sztuce te sprawy mogły istnieć osobno, to stanowisko które tak zaciążyło na sztuce w ogóle, a w szczególności na sztuce polskiej drugiej połowy XIX wieku, stało się dla socrealizmu drogocenne. Odwrotu od kryteriów malarskich dokonać było można w imię hasła sowieckich pod *polskim* sztandarem. Jeszcze do tego Riepin, patron rosyjskiego socrealizmu podziwiał Matejkę. Tu był nowy symbol do wygrania, symbol zbratania dwóch narodów poprzez sztukę, prawie Mickiewicz i Puszkina. Poprzez Matejkę socrealizm będzie socjalistyczny w treści i narodowy w formie.

Obok Starzyńskiego i innych, także Janusz Bogucki występuje w „Przeglądzie Artystycznym” z artykułem o Matejce. Jest on całkowicie po linii zadań ówczesnej krytyki: ataki na Matejkę w Polsce to „inteligentkie uprzedzenia ostatniego półwiecza” (biedny Stanisław Witkiewicz!). W Matejce widzi Bogucki „nieświadomego wprawdzie, ale niemniej twórczego poprzednika naszych czasów”, a więc socrealizmu. Pomimo, że był malarzem „mieszczańskim” łączy go się z dzisiejszymi oficjalnymi nakaza-

mi, które autor nazywa „zapotrzebowaniem społecznym”. Wtedy naród wołał o mitologizację własnej przeszłości, dziś woła o mitologizację proletariatu i rewolucji. W ocenie Matejki Bogucki, jak i inni, wprost zapomina, że chodzi także o malarza, ważne jakby jedynie jest, że „w poczuciu wielkości swego posłannictwa polityczno-artystycznego (moje podkreślenie) przeciwstawia się prądom realizmu krytycznego Zachodu”. (Walka z prądami współczesnymi Zachodu jest stale łączona z wyraźnym podkreśleniem co różni socrealizm od realizmu krytycznego XIX-wiecznego na Zachodzie). Przy tym Bogucki porównując Matejkę do Delacroix daje naturalnie Matejce palmę pierwszeństwa, stwierdzając, że Delacroix *uciekł* „od barykady rewolucyjnej w efektowną egzotykę i fantastyczność”.

Po przeczytaniu takiego tekstu krytyki *malarskiej* czyż jest dziwne, że trzeba się przymuszać, by dalsze teksty tego samego krytyka czytać poważnie. A przecie tenże Bogucki w 1955 roku nazywa ironicznie „młotem na czarownice” artykuły, które należały do *tej samej* ofensywy „planowania kultury”, co jego artykuły ówczesne, do tego samego „zapotrzebowania społecznego”, gdzie te same tendencje wyrażone są jedynie brutalniej, gdzie p. P. Krajewska pisze o zdobyczach formalnych „reklamowanych przez agentów kulturalnej ekspansji dolara”, gdzie poucza jak obraz bez „postępowej treści ideowej” i „powszechnie czytelnej realistycznej formy” jest „po myśli wrogiej postępowi ideologii burżuazyjnej”. Bogucki w roku 1955 przyznaje, że tego rodzaju artykuły były odbitką „szablonu myślowego, który odnaleźć można bez trudu nie tylko w dziesiątkach ówczesnych przemówień, artykułów i referatów, lecz również w obszernych i gruntownie opracowanych publikacjach naukowych, ukazujących się zarówno u nas jak i w innych krajach obozu socjalizmu”. Nie dodaje autor, że i w jego artykułach ówczesnych było to samo.

Obok portretu generalissimusa Stalina, Bieruta szlachetnie pięknego, wśród schludnych i szczęśliwych robotników, znajduję jeszcze artykuł Starzyńskiego o A. Gierymskim. Jego również stara się on uratować dla genealogii socrealizmu stawiając jako szczytowe dzieło artysty jeden ze słabszych jego obrazów „Trumnę chłopską”. Cały artykuł wybraniający Gierymskiego przed grzechami tak wielkimi, jak to, że wyjechał z Polski, że ulegał wpływom impresjonizmu, wygląda tak, jakby największy malarz polski drugiej połowy XIX wieku dostał trójkę z plusem od łaskawego profesora.

Kiedys, parę miesięcy przed wojną, w 1939 roku, zorganizowana pierwsza zbiorowa wystawa Gierymskiego zdawała się nam nareszcie ustaleniem słusznej hierarchii wartości, jego apoteozą. Biło w oczy że Gierymski jako malarz, jako świadomość malarska, stoi ponad Matejką i ponad Chelmońskim, czyż mogliśmy wyobrazić sobie, że jeden z organizatorów tej wystawy będzie po kilkunastu latach tak o nim pisał! Ten wielki artysta, który

umarł w opuszczeniu bliski wariacji, w Rzymie, który zgrzytał dosłownie zębami, gdy wspominał lata spędzone w Polsce, napisał w jednym ze swych listów słowa które cytuję Starzyński z podniosłym zgrozzeniem:

„Nie lubię, przynaję, ludzkości i trudno lubić ludzkość. Tylko indywidua, które mogą zamrzeć zaraz czy za parę pokoleń, one jedne coś robiły lub robią dla ludzkości... A ludzkość, która będzie żyć przez wieki wieków to jest ta, której my musimy unikać, która wszystkie swoje instynkty zwierzęce, szczególnie w dni świąteczne, spod wieńców ukazuje”.

Takie bolesne cytaty listów, jako argumentacja *obciążająca* Gierymskiego, charakteryzuje bardziej niż artykuły Krajewskiej poziom oficjalnej, wówczas jedynej krytyki artystycznej w Polsce. To okres w którym Starzyński dwoi się i troi na zjazdach, w referatach i esejach w obronie socrealizmu. U tego historyka sztuki, który kiedyś, o ile pamiętam, napisał poważne studium o impresjonizmie, pełno zdań o „pozostałościach kosmopolitycznego formalizmu”, o tym jak „zarówno naturalistyczny, jak i formalistyczny typ myślenia... są jednakowo obce i wrogie w stosunku do tych dążeń i myśli, którymi dziś żyje polska klasa robotnicza, prowadząca cały naród do socjalizmu”. Formalizm, naturalizm to „pasżytnicze narośle na zdrowym organizmie sztuki” — powinny być „d e m a s k o w a n e”, zwalczane w ogniu ostrej krytyki i samokrytyki. Tenże Starzyński jednym tchem żąda potem od kolektwy twórców „zdobywczego nowatorstwa”!

W tym samym czasie koledzy Starzyńskiego, prof. Waliński, Sienkiewicz, siedzieli po więzieniach, może Starzyński tak pisać musiał (choć i tego wcale nie jestem pewny), ale trzeba stwierdzić, że lata, gdy poważni krytycy tak pisali i gdy otwarta polemika z nimi była niemożliwa, były to lata ostatecznej dewaluacji słowa. Dziś czytamy wołanie na alarm, że młodzież jest chuligańska, że jest cyniczna, że mówi jedno, a myśli drugie, ale coś mogła dać innego pogarda słowa, którą czujemy w wyżej cytowanych artykułach (a która była zjawiskiem nagminnym we wszystkich dziedzinach życia)? Te lata socrealistycznej krytyki uczą nas przede wszystkim jednego: jak głęboko sięgać może rozkład wywołany „niepoczciwością słowa”, jak systematyczne kłamstwo musi doprowadzić do cynizmu.

W „Przeglądzie Artystycznym” z 1952 roku ostrze ataków zdaje się skierowane przede wszystkim przeciw „realizmowi krytycznemu”. Dobry socrealista nie może malować święta 1-go maja w deszcz; 1-szy maj może być tylko malowany w słoneczną pogodę — pouczał w Warszawie pewien sowiecki krytyk sztuki. Sokorski wyraża to samo „naukowo” w „Przeglądzie”: „nie kopiowanie rzeczywistości, ani fragment własnej wyobraźni, ale zastosowanie nowych kryteriów twórczych organizowania rzeczywistości”. (Te kryteria twórcze są naturalnie wypracowywane przez Partię). Oglądając się wstecz na lata 1949-1951, minister

Kultury i Sztuki pisze, że to było „łamanie starego światopoglądu”, czasy „walki frontalnej... z impresjonizmem, ekspresjonizmem, kubizmem, formizmem, abstrakcjonizmem”. Krytycy obrazów na wystawach *zapominają* o ocenach malarskich, lub zbywają je paru zdawkowymi słowami, za to obraz Sokołowskiego „Kostka Napierski” dostaje zły stopień, bo w obrazie tym „klasowy sens jest niewydobyty”. Piwocki zarzuca S. Tisseyre, że jego obraz „Zagroda” jest dobry, ale „nie widać uspołecznienia gospodarstwa”. Ejbisz, malarz typowo paryski, próbuje kompromisów dając tytuły sentymentalno-ideowe swoim obrazom „Wieś czyta”, czy „Promocja”. Może takim sposobem uda się by wilk był syty a koza jeszcze żywa. Ale i jego spotyka krytyka za koloryzm, za to że martwa natura na stole odciąga uwagę od tematu.

Ataki tych lat wcale nie są prowadzone tylko na „wyżynach” teorii. Jest to walka z ludźmi, którzy nie chcą iść po linii kompromisów czy ustępstw. Jako ofiara spektakularna pada Kantor, już w 1949 roku. Ten młody profesor (komunista) zorganizował z Jarembianką, Sternem i paru innymi wystawę abstrakcjonistów w Krakowie. Zostaje usunięty z profesury i jego obrońa wyobraźni twórczej na zjeździe katowickim w 1949 roku była ostatnim głosem w obronie „nowoczesnych”. Ówczesne przekreślenie tej grupy miało sporo analogii z likwidacją proletkultu zaraz po 1920 roku, w Rosji.

Drugą spektakularną ofiarą ówczesnej polityki jest Jan Cybis, usunięty w 1951 roku z profesury Akademii w Warszawie. Widocznie nie próbował szukać w swym malarstwie żadnej formy kompromisu. Metody tej likwidacji zdają się jednak inne niż w Rosji Sowieckiej. Kantor przecie jakoś przetrwał nie wystawiając i do zmiany kursu malując „dla siebie”, Cybisowi zaś dają posadę, która również umożliwia mu pracę.

Kim jest Jan Cybis? Nikt chyba w Polsce głębiej niż on nie przeżył Cézanne’a „z paletą w ręku”, nie przemyślał i pokochał Bonnard’a. Cybis przed 1939 rokiem był nie tylko malarzem najwyższej wśród malarzy cenionym, ale stworzył pewnego rodzaju szkołę tego doszukiwania się walorów malarskich w płótnach, niezależnie od fabuły (to stanowisko diametralnie przeciwne socrealizmowi budziło także w okresie przedwojennym gwałtowne opory, ale wówczas „polrealistów”).

Jego poszukiwania malarskie wśród Kapistów były najbardziej abstrakcyjne nie w znaczeniu abstrakcja-antynatura, ale w znaczeniu matematyki kolorów, budowy obrazu kolorem. Jego płótna o dziwnej, ciężkiej fakturze nie mają nic ze smakoszostwa niektórych malarzy abstrakcyjnych na Zachodzie, u których sprawy takich czy innych efektów fakturalnych wysuwają się na plan pierwszy. „To galanteria” mówi o nich Cybis w rozmowie z Kępińskim, autorem przedmowy do katalogu jego ostatniej wystawy.

Zaraz po uwolnieniu Warszawy od Niemców Cybis oraz jego

najbliżsi przyjaciele i koledzy zostają powołani na profesorów Akademii i szkół malarskich. Nazywano ich wszystkich Kapistami, choć autentycznych Kapistów z pierwszej doby było zaledwie paru.

Powojenny atak na tę grupę szedł w Polsce równolegle z wzrastaniem i rozszerzaniem się walki o socrealizm. W lipcowym numerze „Przeglądu” z 1950 roku Mieczysław Porębski pisze, że nie abstrakcyjniści, nie „uniści” są najgorsi, Kapiści są „równie jeżeli nie bardziej szkodliwi”. Zarzuty? Naturalnie formalizm, no i uległość poszczególnych artystów wobec nacisku obcych idei i wzorów (pewien minister faszystowski na jednej z przedwojennych Biennale ogłaszał, że kto z włoskich artystów ulegać będzie obcym wpływom, będzie zdrajcą). Kapiści w dobie dwudziestolecia niepodległości walczący o pewne elementarne prawdy malarskie w ostrej opozycji do ówczesnej krytyki oficjalnej to „drobnomieszczańscy nihilisci”, którzy jednocześnie używali „argumentów solidnego kupca, zachwalającego jakoś swojego towaru”. Kapiści — a więc Waliszewski, który w tamtym okresie chyba największej ilości ludzi otworzył oczy na malarstwo, pełen fantazji, inwencji, czucia malarskiego i rzadkiej malarskiej kultury, drapieżnie dowcipny, zdobywca i twórca, nawet wtedy, kiedy był unieruchomiony po pięciu amputacjach; Mitera, który odmawiając sobie wszystkiego w wytartym ubranku, redagował i wydawał, nie wiadomo za co, numer „Głosu Plastyków” poświęcony Gierzymskiemu, a umierając pisał testament, gdzie wyrażał żal, że już nie zobaczy numeru w przygotowaniu, poświęconego Cézanne'owi; Tytus Czyżewski, gorzki, gwałtowny i czuły poeta, zawsze w skrajnej nędzy, wielki malarz związany z Kapistami najbliższymi; Jan Cybis, który po pierwszym roku Paryża chorował z niedojadania, a gdy mu żona przypomniała, że mają wszystkiego 15 franków w kieszeni, odpowiadał, że go to nic nie obchodzi, Cybis, który uczył nas wszystkich istoty malarstwa i bezinteresowności — ci ludzie i ich najbliżsi koledzy, których walka o malarstwo w Polsce, to już karta w kulturze polskiej, byli przez ostatnie lata szkalowani przez zawsze na fali oficjalnej płynących „krytyków”. Te metody niskie, to były w latach 1948-1953 metody normalne, prawie obowiązujące.

Rok 1953 przynosi dalsze wypowiedzi o Stalinie, „nieśmiertelnym symbole” i nowe wypadki Porębskiego przeciw formalizmowi, koloryzmowi etc. Rzucam ten rocznik i biorę rok 1955. Oczy przecieram. W numerze I-szym czytam ogromny, rzeczowy artykuł o prądach sztuki na Zachodzie. Ten sam Mieczysław Porębski, wyznawca socrealizmu, pogromca groźnych Kapistów, pisze z uznaniem o całym szeregu malarzy zachodnich i nawet Klee jest dla niego „czułym i pełnym humanistycznej mądrości komentarem do pewnych pojęć i wyobrażeń o znaczeniu nie tylko subiektywnym”, a więc nie tylko Picasso i Léger są w łaskach, bo o nich jako o komunistach i przedtem mówiono bez wy-

zwisk. Nawet krytyka Picabii, Duchamps, Arpa i Maxa Ernsta są utrzymane w tonie nieagresywnym. Kiedy autor pisze o Mondrianie, o Bauhausie przechodzi na unizm Strzemińskiego i nawet wspomina suprematyzm Malewicza i konstruktywizm Tatlina, więc okres nowatorskiego proletkultu, o którym jeszcze Strzemiński opowiadał mi z zimną wściekłością, jak się po nim „żelaznym tankiem” przejechali bolszewicy likwidując wspaniały, jego zdaniem, eksperyment. Ekspresjonizm jest znów w tym artykule przepracowany serio i wprost nie można uwierzyć, że to pisze ten sam dawny Porębski. Dopiero na samym końcu powtarza on komunały socrealistyczne o sztuce sowieckiej. Ma się jednak uczucie, że z tych słów wyparował nawet wysiłek adaptacji. Co jednak w artykule najciekawsze, to stwierdzenie, że w ubiegłych latach zadanie nowej sztuki zostało zrozumiane jako

„zadanie wyrzeczenia się wszystkiego co było nam drogie... Próbowaliśmy niektórzy przynajmniej to zrobić. Sądzę i dziś, że tak było trzeba. Dało to nam doświadczenie jakiego nie zyskalibyśmy trwając uparcie przy swoim, dało to nam także wewnętrzne prawo do wyciągnięcia z dokonanych doświadczeń wniosków dla siebie i innych” (Moje podkreślenia).

Porębski widzi swoją zasługę (Brandys wypowiada się podobnie na odcinku literatury) w swoim dawnym posłuszeństwie i lakiernictwie, które trudno nazwać inaczej jak potulnym oportunizmem czy dyskwalifikującą krytyką pomyłką. Porębski nie wspomina co ten oportunizm *zniszczył*, ile talentów *zmarował*, ilu artystów autentycznych *zafalszował* czy doprowadził do rozpacz, więc skąd naraz te prawa i przywileje dla już uprzywilejowanych w dobie socrealizmu. „Dziś wiemy — pisze dalej — całkowite wyrzeczenie było kłamstwem, po drugie błędem. Kłamstwem, bo niemożliwe jest odcięcie od prawdy tych wszystkich przemyśleń i wzruszeń. Walka powinna toczyć się na gruncie sztuki współczesnej a nie przeciw niej”.

W tym samym roczniku, zastanawiając się na początku cytata z Żółkiewskiego o „drewnianej estetyce recept”, otwiera słuzy zbiorowej samokrytyki:

„.... ileśmy sobie tym drewnianym stylem myślenia narobili szkody..., gdy rozgrodzono stare deskowe parkany, które przez lat kilka chronić nas miały przed pokusami wroga, a chroniły głównie przed samodzielnością historycznego myślenia — to rozpoczął się dziwny pias intelektualny w dwóch kierunkach: anarchicznym i poplochowym.

Anarchiści poczęli wołać, że wszystko nad czym trudziliśmy się w ostatnich latach to wyłącznie nieudolność namaszczona wazeliną i że teraz wszystko będzie wolno.

Poplochowcy wstrząśnięci uczynkami anarchistów i nade wszystko zbyt udręczeni lękiem przestrzeni historycznej, którą do niedawna bezpiecznie osłaniały parkany — jeli z rozrzuconego drewna kleić pośpiesznie nowe ogrodzenia, tyle że luźniejsze i bardziej bezładne od poprzednich...”

Bogucki jest może najciekawszy jeżeli chcemy poprzez jego artykuły prześledzić zmianę w dziedzinie poglądów na plastykę

w Polsce. W tymże roku 1955 wychodzi tomik Boguckiego „Rozmowy o sztuce” (prowadzone już w 1954). To dialog malarza i krytyka. Forma tu jeszcze o wiele ostrożniejsza. Podejrzewam, że przekonania Boguckiego są podłożone to pod malarza, to pod krytyka, by trudniej było zgadnąć — niemniej w usta malarza wkłada autor szereg uwag niedopuszczalnych dla prawdziwego socrealisty chowu Bieruta i Sokorskiego. Chociażby ten kwiatek:

Malarz: „Odrzucamy z naszej tradycji malarstwo impresjonistów, wszystko co było po nich, trzeba to sobie wybić z oka i głowy. A co trzeba sobie wbić w zamian... Zagniecione na siłę w tym mętym słodkawym sosie męczą się w nim socjalistyczne tematy. Męczą się niemniej grzęznący wraz z nimi malarze. Męczą się i nie wiedzą dlaczego, bo przecież sami to ciasto przyrządzili. Przyrządzili je ze szczerzej ideowości, w najlepszej wierze. Bo przecież tak jak należało, odwrócili się tyłem do schyłkowej sztuki europejskiej... Ani sumienie socjalistyczne, ani stęsknione oko malarskie nie mają swojej radości”.

Jeżeli te teksty, zresztą bardzo rozwodnione, wyłowić jest tam herezja na herezji z punktu widzenia polskiej żdanowszczyzny, są one jednak przykryte jeszcze niezliczonymi figowymi listkami. Pretensje „malarza” są tu konkretne i na pewno huczeć już musiały w malarskich kawiarniach.

„Całą sztukę poczynając od impresjonistów odgradziliście parkanem, że niby jej nie ma i coś z tego wyszło? Wyciąga się teraz deski z tego parkanu tu i ówdzie, żeby bodaj przez dziury można było popatrzeć to na Van Gogha, to na Matisse’a...”

Krytyk się broni, że to była taktyka uzasadniona trudnościami wstępnego okresu bojków o realizm. Ale Malarz mu odpowiada, że właśnie Cézanne, Van Gogh czy Matisse walczyli z „rozkładem świata”, a Krytyk na to jedynie: „No tak, ale widzisz, mimo wszystko nie są to przecie malarze, którzy by mogli służyć nam za wzór do naśladowania...”

Wnioski ostatnie tej książki to nie tylko delikatne przygotowanie rehabilitacji sztuki Zachodu. Pod uspakajającą nazwą ostatniego rozdziału „Droga do realistycznej syntezy” — to walka o prawo do czerpania nauk nawet u abstrakcjonistów.

Dopiero wystawa młodych malarzy w Arsenale, w roku ubiegłym, zdaje się być datą decydującą w zmianie klimatu dyskusji, gdzie pióra tej klasy co Przyboś, Kałużyński, Guzówna biorą udział w polemikach, gdzie piszą w nich Czeszko, Marcin Czerwiński i szereg innych, stwarzając nareszcie jakąś autentyczną temperaturę. Czytelnik z Zachodu nagle zapomina o zakazach i instrukcjach, bo zginał ten przymusowy żargon i sam jest w koło dyskusji wciągnięty.

Od „Rozmów o sztuce”, prowadzonych w 1954 roku, a wydanych w 1955 — wiele wody upłynęło. Wystarczy wziąć do ręki ostatnio otrzymany „Przegląd Artystyczny”. Ma się wrażenie,

że się ogląda dawny „Głos Plastyków”, kiedy nim kierowali szkodliwi Kapiści. Janusz Bogucki daje całą topografię obficie ilustrowaną żywych kierunków malarstwa w Polsce lat ubiegłych, a więc „nowocześni” z Kantorem na czele; łączy ich z nazwiskiem Henryka Stażewskiego (przed 1939 rokiem najwybitniejszego obok Strzebińskiego przedstawiciela „unizmu”) i podkreśla, że w okresie ich likwidacji w 1949 roku pisał, że „awangardowego konia należy karmić choć wydaje się niesforny. Opowiada jak próby wciągnięcia „nowoczesnych” ku syntezie realizmu z ich sztuką zostały przez nich odrzucone, uznane za „kompromisowe i płytkie”. (Mieli naturalnie rację, Ejbisz na innej płaszczyźnie te próby kompromisu podjął ze swoim „Leninem i spółniakami” z rezultatem jak najdalej nieprzekonywującym.)

Druga grupa o której pisze Bogucki to „młodzi”. Powstanie ich wiąże z wystawą meksykańską w 1949 roku. (Niestety chodzi tu o Diego de Riveira i Siqueiros, chyba nie o Tamayo.) Z Celnikiem na czele mieli się zbuntować „młodzi” przeciwko postimpresjonistycznym tendencjom części profesorów Akademii Krakowskiej, w imię malarstwa monumentalnego o tematyce rewolucyjnej, ale

„wpływowa grupa działaczy przygotowująca właśnie ofensywę realizmu ilustracyjnego, lakierniczego nie poparła również artystycznych dążeń zbuntowanego zespołu krakowskich studentów, bo radzi byli osłabić potężnych postimpresjonistów, sterując ku malarskim ideałom Gierasimowa nie mogli pochwalić brutalnej ekspresyjnej wymowy tych młodzieżowych obrazów”.

I tutaj zaczyna się w Polsce okres „krajewszczyzny”, radośna twórczość na modłę sowiecką, więc panowanie tego co w Rosji reprezentował Gierasimow a u nas J. Krajewski, przy tym Porębski, do pewnego tylko stopnia Bogucki, ale już najkonsekwentniej chyba Starzyński krytycznie podbudowywali.

Trzecia grupa w topografii sztuki współczesnej Boguckiego to kolorysty spod znaku Kapistów, od Cybisa, Rudzkiej-Cybisowej, Rzepińskiego, aż po Taranczewskiego. Bogucki wyznaje w tym numerze, że „atmosfera uległa pewnemu rozrzedzeniu dopiero pod koniec 1954 roku, gdy bankructwo socjalistycznego akademizmu stało się zbyt jawne, a żywy rozwój sztuki „podziemnej” zbyt żenujący dla odpowiedzialnych za ten stan działaczy” (moje podkreślenia).

W ostatnim numerze „Przeglądu Artystycznego” artykuły nie tylko mają inny akcent, ale mówią rzeczy całkowicie zaprzeczające treści artykułów dawnych. Znajdujemy tam piękny artykuł o Taranczewskim z licznymi ilustracjami: szereg wersji malarskich na temat „Mała malarka” z lat 1942-1950, potem szereg martwych i „Pani przy stole”. Jasność kompozycji, urok barwy, który daje się przeczuć gdy się znało malarstwo Taranczewskiego przed wojną. Może te reprodukcje przekonywują najbardziej swoim piśmem, niezagubioną i niczym niezafalszowaną autentycznością i bezkompromisowością.

Cóż jaśniej wykazuje inny kierunek oficjalnej krytyki, jeżeli w „Materiałach do studiów i dyskusji” (Warszawa 1955) sam profesor Starzyński drukuje studium o Picassie z całym essem na wstępie o malarstwie francuskim XIX wieku, gdzie impresjoniści stają się na powrót wielkimi malarzami, a o groźnym Cézanne’ie pisze się jak o „wielkim reformatorze”. W tym samym tomie mamy jeszcze taki pasztet z sieczki jak „aktualne zagadnienia estetyki marksistowsko-leninowskiej w pracach radzieckiej historii sztuki” pióra radzieckiej siostrzycy pani Dymitriewej. Operuje ona jeszcze skostniałymi formułkami, gdzie po raz nie wiem który atakuje Cézanne’a, demaskuje naturalizm i pieje na cześć „płomiennej” rzeźby Muchinej oraz malarstwa Gierasimowa.

W ostatnim „Przeglądzie Artystycznym” możemy oglądać reprodukcje wykreślonych w swoim czasie z wystaw i pism artystycznych obrazów Kantora, Sterna, Jaremiarki, a Jan Cybis, usunięty z Akademii w 1951 roku, w 1955 dostaje pierwszą nagrodę za to właśnie, za co go usunięto, bo za dzieło malarskie całego życia, a w 1956 roku zostaje zorganizowana wystawa, gdzie pokazano 221 jego płócien, wydano duży katalog z poważnym wstępem Z. Kępińskiego. Wstęp jest tym ciekawy, że z nie-spotykaną dotąd swobodą pisze o powiązaniach francuskich artysty i cytuje słowa malarza „nikt nie nauczył więcej jak Cézanne i Bonnard — może najwięksi jakich miała Francja”.

Dzisiaj chciałoby się nie sądzić, ale przecież wprowadzić pewne *rozróżnienie*: chodzi o przywrócenie wagi i malarstwu autentycznemu i słowom, które zatracają w ogóle sens po przeczytaniu wypracowań *tych samych* krytyków *na te same* tematy, o 180° różnych, zależnie od aktualnej linii. Obok malarzy jak Kantor, jak Cybis, jak Rudzka-Cybisowa (portret Dunikowskiego) jak Taranczewski, których trudno równać z malarzami nieustannego kompromisu, którzy może tymi kompromisami utrzymywali się przy stanowiskach, ale sztukę swą gubili — są i krytycy i historycy sztuki, którzy przecież pisali jak Białostocki o Fromentinie, dziś Walicki o Breughlu, jak Przyboś o „uniżmie”, Guzówna o malarzach, gdzie nagle czuje się styl ludzi za słowo swoje w pełni odpowiedzialnych. Tego rodzaju styl spotykamy przecież w prasie polskiej od szeregu miesięcy coraz częściej. Grodecki i Sierpiński w „Życiu Warszawy” piszą o cynizmie, który wzrasta u młodzieży, o tym jak „miłość i wiara giną w chłodzie i zostaje pustka osłonięta zgrabnym parawanikiem kwiecistych sformułowań”. Przez lata uprawiano w każdej dziedzinie „pogardę słowa” (papier wszystko zniesie).

Dopiero na tle tych cytatów, wypowiedzi na XIX Zjeździe Kultury w Warszawie (artykuł K.A. Jeleńskiego nr 5/103 „Kultura”) — zdają mi się osiągać swą pełną wymowę. Nie są one bynajmniej wybrykiem paru indywidualności, świadczą o rzeczywistej reakcji na to co dławii, o zmianie klimatu, w każdym razie w kręgu ludzi zajętych sztuką.

Liczyć się musimy z faktem, że po sześciu latach diety i bezwzględnej cenzury, gdy do Polski nie wiele dochodziło poza reprodukcjami kiczów ze Związku Sowieckiego, musiała nastąpić pewna forma barbaryzacji artystycznej, która dotknąć musiała wielu młodych, może właśnie najlepszych, i dziś asystujemy przy tym co Pronaszko nazwał „ofensywą nowoczesności”. W swojej skrajności świadczy ona, że jest przede wszystkim brutalną i do pewnego stopnia konieczną reakcją na ofensywę socrealizmu. Celnikier atakuje Gierasimowa (najsłuszniej), ale nazywa malarzem kontrrewolucyjnym to bożyszcze z przedwczoraj. Jacek Puget występuje przeciw Celnikierowi, bo twierdzi, że ta forma ataku malarza na malarza jest równie niedopuszczalna jak wczorajsze jego apoteozowanie. Gierasimow nie jest kontrrewolucyjny — najprościej zły malarz — mówi Puget i broni tutaj autentycznej, niezdegradowanej przez politykę kultury sądu. Pronaszko, który nazywa przeszłe wystawy socrealistyczne „wystawami brudnych ścierek”, ma również odwagę ostrzec młodych malarzy, aby nie wpadali znowu zbyt symplicystycznie w ofensywę odwrotną, właśnie ofensywę nowoczesności:

..... tematyka makabryczna, spotworniałe typy ludzi i zwierząt, rzezie i mordy... Oczywiście w odpowiedniej formie... najchętniej lakierem pokostniczym, ostatnio moda Paryża (?) forma jak najbardziej dziwaczna, reprodukcje kolorowe ostatnich krzyków mody na Zachodzie, oto bilans zaledwie dwóch lat tak zwanej odwilży... Jak z realizmu socjalistycznego zrobiono banał naturalistyczny, tak teraz każde niewybredne dziwactwo uważa się za nowoczesność”.

Mam list z Polski od artysty czekającego z najwyższym wzruszeniem na wystawę francuskich mistrzów XIX wieku. Po raz pierwszy zobaczy nie fotografię, ale arcydzieła sztuki francuskiej. „Nie wiem — pisze mi — jakie to zrobi wrażenie na najmłodszych, bo dla większości z nich tutaj istnieją tylko „ta-szyści”, istnieje Pollock i Klee, Picasso także, ale już trochę jako zacofany staruszek. Tegoroczna wystawa sztuki francuskiej może odegrać w malarstwie polskim rolę jedyną. Dla tych paru malarzy, paru krytyków zdolnych wyczuć kwalitety płócien Delacroix, Courbetta, Cézanne’a, czy twórców impresjonizmu, bo na nich wystawa się kończy, mogą to być rewelacje, ratujące od eksperymentów najzupełniej oderwanych od nurtów tradycji, która nieustannie karmiła autentycznych nowatorów jak Delacroix, Cézanne, Bonnard czy Picasso. Specjalnie Cézanne zdaje mi się tutaj kluczem prawdy malarskiej. Chodzi o odkrywanie zawsze nowej pożywki w coraz to innych nurtach sztuki. Zasilają one każdą generację dając wyzwalamą świadomość wciąż nowej „jedyności” sztuki i zarazem ich ciągłości.

Woźniakowski w czujnych, inteligentnych sprawozdaniach z wystaw i wydawnictw artystycznych Zachodu w „Przeglądzie Artystycznym”, pisząc o powodzi nowych książek, o impresjonistach w Paryżu pyta „Czy zdrowy szacunek dla tradycji? Czy

ciągłe trawienie spadku po pradziadach jest dowodem artystycznej słabości wnuków? Czy też dowodem siły, świadomej swych źródeł?"

Odpowiedź wydaje się jasna. Jeżeli sztuka francuska wykazała zdolność nieustannych odrodzeń to właśnie dzięki temu, że artyści francuscy nie gardzili tradycją, umieli na nią spojrzeć coraz to na nowo. Nie bali się wpływów w swoim czasie, ani Włoch, ani Holandii; Delacroix biegł by przemałować — „Rzeź z Scio” po obejrzeniu pejzażu Constable’a, Manet byłby nie do pomyślenia bez Hiszpanów i portretu angielskiego, Cézanne bez Poussin’a i Wenecjan. A u nas? Czy istniałby Michałowski bez Velasquezów wiedeńskich i bez Gericault, Gieryski bez Weneccjan i Ver Meera, Pankiewicz bez szoku, którego doznał w 1890 roku na widok białego obrusa martwej Maneta.

— Może jak kiedyś Constable stworzył świat kolorów Delacroix — tak Courbet, Delacroix czy Cézanne zaważają decydująco na rozwoju jakiegoś polskiego Cézanne’a czy polskiego Courbета, który mając dziś 18 lat po raz pierwszy ich zobaczy.

Ta wystawa może posunąć dalej świadomość malarstwa w Polsce, dalej od socrealistycznych zakłamań, którymi od 1948 roku była karmiona młodzież malarska w Polsce, dalej od koniunkturalnej sieczki. Dzisiejsza zaś „ofensywa nowoczesności” może być pogłębiona niezależnie, twórczo, i, przez każdego z malarzy dla siebie, swobodnie odkrytą nauką zawsze żywej przeszłości.

1 czerwca 1956.

Józef CZAPSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
UKAZUJE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Korespondenci: we Francji, Holandii, Wielkiej Brytanii,
Hiszpanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych,
Argentynie, Brazylii, Australii i Afryce.

Redakcja, administracja, drukarnia
MANNHEIM-SCHENAU, Gendarmerie Kaserne

Polski poprzednik Malraux (2)

PRZEMOC I HEROIZM

Inną grupę tworzą w *Płomieniach* konflikty, związane z zagadnieniem fizycznej przemocy i z niezatartym urazem, jaki ona po sobie zostawia: „Ty nie wiesz, co to jest kobieta skrzywdzona” — mówi Katia. — „... Zdaje się, że każda kropla krwi staje się jadem, że każde włókno duszy jest zdeptane i zbrukane... Kobieta tylko może mieć prawdziwą, nieprzebaczalną nienawiść”, albowiem „nienawidzi tylko ten, kto czuje, że nigdy już nie uczyni niebyłym, nieistniejącym tego, co się stało” (*Pl.*, I. 184). Ponieważ całe państwo rosyjskie oparte jest na przemocy i ponieważ przemoc nasyciła wszystkie jego dziedziny, więc motyw ten, w różnym naświetleniu i okolicznościach, wraca w każdym prawie rozdziale. Istotą konfliktu jest wspomniany wyżej uraz pokrzywdzonego. Uraz ten bywa głęboki i niezapomniany, ponieważ zapomnieć można „to, co się uczyniło, nigdy to, co uczyniono z nami, co w nas wrosło” (*Pl.*, I. 183). Z tej przyczyny „samo życie gwałcicieli i tyranów jest niebezpieczeństwem, ... bo oni zatrują samym swym istnieniem krew ludzkości, krew przyszłych pokoleń” (*Pl.*, I. 183). Jednak walka obliczona jest na pokolenia. Natomiast w skali osobistej przeciwstawić można przemocy tylko godność i heroizm.

Odpowiedniki tych motywów w powieściach Malraux są tak liczne i tak przytłaczają wyrazistością, że nie musimy ich szerzej przytaczać. Przypominam tylko sceny więzienne w *Doli człowieka i w Czasach pogardy*. Zastanawia w nich nade wszystko analogia refleksyj: istotę zainteresowania Malraux, podobnie jak Brzozowskiego, stanowi nie sam ból katowanych, lecz ohyda przemocy i poniżenia krzywdzonego. Kyo „czuł tak głęboko, że zbierało go aż na wymioty — poniżenie, jakie cierpi

człowiek, podlegający człowiekowi" (*Dola czł.*, 334). A kilka stron dalej: „Nikczemność strażnika, tak wierna swojej legendzie, wyglądała na poły jak urojenie, a równocześnie trąciła jakimś plugawym fatalizmem, jak gdyby władza zmieniała prawie każdego człowieka w bydlę" (str. 336).

Podobieństwo sięga jednak głębiej: Koenig, dygnitarz policyjny w Szanghaju, nie może zapomnieć, że kiedyś, będąc jeńcem na Syberii, był bity i płakał. Moment ten „powtarzał sobie za każdym razem, kiedy miał kogoś zabić; ... chciał zdrapać z siebie aż do krwi to bezgraniczne upokorzenie, co gnębiło go aż do tej pory"; tu tkwi źródło jego sadyzmu: „Moja godność" — powiada — „polega na zabijaniu ich (317). Gdzie indziej Suen stwierdza melancholicznie: „Synowie katowanych stają się dobrymi terrorystami" (218). Czy ustępy te nie są mimowolną trawestacją wynurzeń Katarzyny Moroszkinoj w *Plomieniach* i jej twierdzenia, że „samo życie gwałcieli... jest niebezpieczeństwem. ... bo oni zatruwają samym swym istnieniem krew ludzkości?" I u Malraux wreszcie przeciwważa jest tylko godność i heroizm. Obok krwią pisanych wynurzeń Kyo i innych bohaterów na ten temat, również Kassner „myślał niejasno, że człowiek zdołał być człowiekiem mimo lochów, mimo okrucieństwa i że bez wątpienia tylko godność można przeciwstawić bólowi" (*Czasy pog.* 180-181).

OBSESJA ŚMIERCI

Bohaterowie *Plomieni* nie tylko idą na śmierć po kolei, ale śmierć zajmuje także niepoślednie miejsce w ich rozmyślaniach. Refleksje na ten temat rozsypane są gęsto po całej książce i czynić mogą wrażenie urazu: „Kir się rozesłał na ziemi i niebie" — pisał o tym patetycznie Jellenta — że trudno się oprzeć zarówno głębokiemu wzruszeniu, jak i wrażeniu, że pióro Brzozowskiego nastroiła własna jego chmura człowieka, skazanego na rychłą zagładę... Wszystkie prawdy i aforyzmy, mające zbagatelizować śmierć samą przez się, ażeby w niej widzieć tylko okup nowego życia, pozostały osobno, izolowane w swej skorupie, nie rozplynęły się po książce i nie rozświetliły jutra ani jednym promieniem" (10).

Z podobną zupełnie obsesją spotykamy się w utworach Malraux, nie mówiąc już o tym, że obydwa pisarze „uśmiercają" większość powieściowych postaci. U Brzozowskiego śmierć jego bohaterów podyktowała jednak po prostu historia. Nie należy przy tym również zapominać, że pewne powtórzenia mają źródło w psychologii twórczości, mianowicie w chęci wykorzystania do dna pewnych treści, którą autor opracował zrazu

(10) Cezary Jellenta: *Powieść stosowana* St. Brz. („Rydwan", Kraków, 1912, nr 3.

tylko szkicowo. Nader wymowny pod tym względem jest na przykład opis uczuć Czena, przed i po zabiciu handlarza broni, w pierwszym rozdziale *Doli człowieczej*, będący wiernym rozszerzeniem i pogłębieniem opowiadania Kleina, w *Zdobywcach*, o zamachu dokonanym przez niego na Konińskim. Odruchowy łęk przed oporem przebijanego ciała oraz obsesja mordercy przed i po zabójstwie, a nawet szczegóły tej obsesji (np. natrętna myśl o twardym przedmiocie znajdującym się na piersi ofiary i mogącym zatrzymać wbijany sztylet) były już w tym pierwszym szkicu (11). Jakże jednak miejsce zajmuje fakt śmierci w koncepcji samych autorów?

W pierwszym już rozdziale *Plomieni*, w rozdziale wyłącznie refleksyjno-nastrojowym, mającym wprowadzić czytelnika w atmosferę utworu, Michał Kaniowski, dumając nad wypadkami, które pragnie opisać i nad sensem ofiar, twierdzi: „Życie jest zawsze egoistyczne i jednostronne; ja miałem w sobie sprawiedliwość śmierci" (*Pl.*, I. 14). Nie chodzi zatem o komuną w rodzaju „bagatelizowania śmierci samej przez się" lub widzenia w niej „tylko okupu nowego życia". Śmierć pojęta jest tutaj jako czynnik, którego świadomość pozwala wznieść się ponad egoistyczne przesłanki i sugestie, oraz pozwala dzięki temu widzieć prawdziwy cel życia. Nie ona jest tym celem, lecz walka o to, „żeby człowiek już tu żył, aby nie przeciekało mu szczęście i życie między palcami, aby je miał" (*Pl.*, 5. 38), o to, by „wyiskrzyło się kiedyś nowe niebo, nowa ziemia ludzkości" (*Pl.*, II. 221).

W powieściach Malraux refleksje na temat śmierci są bardziej zróżnicowane. Tęsknota za „komunią śmierci" bywa często wynikiem nie poglądów, ale nietłumaczonej, na wskroś uczuciowej obsesji, jak np. — w *Doli człowieczej* — u Czena; tragiczne osamotnienie i makabryczne ekstazy Czena powoduje przy tym dokonane przez niego zabójstwo, świadomość że to on zabił. Natomiast już Perken, bohater jednej z najwcześniejszych powieści Malraux pt. *Droga królewska* (*La voie royale*), mówi (str. 161): „O śmierci mej myślę nie aby umrzeć, lecz by żyć". Celem dla postaci Malraux jest walka o to „co było pełne najmocniejszej treści i największej nadziei" (*Dola czł.*, 362). Kyo zauważa: „Zdychać to zdychać, ale przynajmniej po to, żeby się stać człowiekiem" (*Dola czł.*, 183). Jego zgon to była „śmierć przepojona tą bratnią drżączką, pospólna śmierć zwyciężonych, w których masy poznają swoich męczenników, legendą krwawiącą, z której złote powstają legendy" (*tamże*, 362). Gdy Czen usiłuje nakłonić Suena, żeby rzucił się z bombą pod auto Czang-Kai-Czeka, Suen odpowiada: „Ja walczę za swoich, a nie dla siebie" (*tamże*, 185); dlatego odpycha nawet myśl samobójstwa dla ekstazy. Podobnie, lecz z bolesną ironią, osądza May dobi-

(11) W wypadku Kleina była to natrętna myśl o mogącym się tam znajdować portfelu, w wypadku Czena — myśl o zegarku.

jającego do ukojenia przez śmierć Gisorsa: „ale w tym samym czasie, kiedy ty uwalniasz się od swojego życia, myślała w duchu, dziesiątki innych Katowów płoną żywem w kotłach, dziesiątki innych Kyo...” (*tamże*, 399). W obliczu represyj Czang-Kai-Czeka, rewolucyoniści rozważają myśl emigracji do Kantonu, dokąd droga trwa pięć dni; jest to „trudne zadanie, może trudniejsze niż iść pod mur, ale na pewno nie tak bezmyślne” (*tamże*, 236). Kassner, zamknięty w celi więziennej „odczuwał potrzebę spokojnej śmierci a równocześnie chęć wzięcia za gardło pierwszego strażnika który wejdzie i nie popuścić cokolwiek by miało nastąpić...” Ta ostatnia potrzeba wynika przy tym z rozmyślań „jak uczynić swoją śmierć pożyteczną” (*Czasy pog.* 83). Odpowiednikiem dewizy Brenneisena „żyć jak chcę i umieram jak chcę”, jest pogląd Kyo, który „sądził, że pięknie jest umrzeć swoją śmiercią, śmiercią podobną do swojego życia” (*Dola czł.*, 360).

PERSPEKTYWY

Zatem kontemplacja faktu śmierci pozwala jedynie dojrzeć najdalszy cel czynów ludzkich i przezwyciężyć egoizm. Czy zadanie takiego sprawdzianu nie jest jednak wynikiem ostrowidztwa? Czy nie odwraca mimowoli od realnych zadań? Dotykamy tu zagadnienia o charakterze ogólniejszym, ale powieść obrazująca wybrany odcinek życia, z natury rzeczy musi posługiwać się nieraz gotowym rezultatem rozmyślań; aby dotrzeć do wcześniejszych przesłanek, należy sięgnąć również do innych wypowiedzi omawianych autorów.

— „Człowiekowi” — pisze Brzozowski w *Filozofii czynu* — „do działalności potrzeba przekonania, że działalność ta właśnie odpowiada istotnemu znaczeniu świata. Filozofia jest właśnie usiłowaniem konstrukcji takiego świata, którego zewnętrzną formą byłby świat nauki, a wewnętrzną i prawdziwą treścią to, co stanowi treść najgłębszą naszego ja” (zbiór *Idee*, str. 38). Zaś kilkadziesiąt stron dalej: „Filozofia... jest formą stającego się czynu. Filozofia nie wymyśla się, nie poznaje, przeżywa się ją” (*tamże*, 65). Kyo, w *Doli człowieczej* (79) posiadał „przeświadczenie, że poglądy istnieją nie po to, aby je wyznawać, lecz po to, aby je przeżywać”.

Świadomość dalekich celów nie tylko nie osłabia czynu, ale go nakazuje: „Rewolucyjna działalność — czytamy w *Plomieniach* — „aby była zdrowa, opierać się musi na pozytywnej treści, którą wnosi w życie dane organizujące ją pokolenie... Rewolucjonista walczy w imieniu swojej myślowo już istniejącej rzeczywistości, która jest bogatsza, niż ta, przeciw której on występuje” (*Pl.*, II. 83). Podobnie formułuje swoje poglądy we wstępie do *Czasów Pogardy*, André Malraux: „... człowiek jest związany ze zbiorowością, która go otacza ... Jeśli zarazem nie jest związany z tą zbiorowością, która po niej nastąpi, jego

zasadniczy wyraz nie może być bohaterski”. Dobitniej jeszcze, i jakby w odpowiedzi na późniejsze zarzuty krytyków, wypowiada się rzecznik poglądów autora, Kyo, w dramatycznej rozmowie z Koenigiem: „Wiem. Nasi też katowali, dużo radości trzeba będzie dać ludziom, żeby to okupić (*Dola czł.*). W *Nadziei* (64), Manuel, świadek sadyzmu ze strony chłopów z obozu republikańskiego, myśli: „Trzeba będzie budować nową Hiszpanię przeciw jednemu i przeciw drugiemu. A z tym pierwszym sprawa wcale nie będzie łatwiejsza niż z drugim”. Rewolucja nie jest więc bynajmniej ziemią obiecaną rzeczonych bohaterów, lecz — w najlepszym wypadku — złem koniecznym; złem, które usprawiedliwić może tylko i wyłącznie budująca przyszłość. Co jednak nie znaczy, aby obaj autorowie nie byli świadomi roli, jaką odgrywają w rewolucji siły par excellence destruktywne. U Brzozowskiego, Nieczajew, inspirowany jedynie bezwzględną nienawiścią, chce tylko niszczyć. U Malraux jest cały szereg podobnych postaci. Hong „nienawidzi idealistów, ponieważ chcieliby ułożyć rzeczy. On wcale nie pragnie, by rzeczy się ułożyły. On nie chce zrezygnować ze swojej teraźniejszej nienawiści, na rzecz niepewnej przyszłości”. W jego mniemaniu „jedynie działalność w służbie nienawiści nie jest ani kłamstwem, ani tchórzostwem, ani słabością: tylko ona przeciwstawia się dostatecznie słowom” (*Zdobywcy*, 104-105).

O skutkach braku wzmiankowanych wyżej perspektyw, pisze Brzozowski: „Wytwarza się atmosfera samej walki, samego zaprzeczenia, beztreściwej swobody; wtedy już świat rewolucyjny idzie, żyje tylko siłą pozyskanego rozpędu. Wyradza się pokolenie epigonów o pustce w głowach i wielkiej zuchwałości. Zuchwałości — nie męstwa, gdyż, aby naprawdę głęboko sięgać w rzeczywistość, trzeba ją zrozumieć” (*Pl.*, I. 83). Inaczej mówiąc, rewolucjonista pozbawiony perspektyw swojej działalności, staje się „rewolucjonistą z profesji”, awanturnikiem. Tak oto jesteśmy na antypodach zarzutu, wysuniętego przeciw Malraux.

Przyszłość, w imię której walczą ludzie Brzozowskiego i Malraux, cechuje bohatera walka z przyrodą i bezustanne zdobywanie. Według Brzozowskiego, „idea ludzkości prowadzącej walkę z żywiołem istnienia stać się musi zasadniczą formą świadomości”. W walce tej „każdy okrucieństwo żywiołu, bezwiedność przewyciężonej — jest zwycięstwem”. Dopóki żyjemy, życie nasze nie jest zamknięte: „giną w nas bezpłodne akty, wybory, porywy, marzenia; gdy skojarzymy to nasze czynne ja z walką pracy, usiłującej zawiązać całym aparatem nowoczesnej techniki i wykluczyć w sobie wolę, zdolną nim władać, każdy moment nasz będzie miał znaczenie żywe, walka będzie kłęską albo zwycięstwem — czymś jedynym, męstwem naszemu, stanowczości raz na zawsze powierzonym. Poczucie walki i odpowiedzialności, epicki stan duszy, niezbędne są do moralnego zdrowia” (*Legenda Młodej Polski*, Lwów, 1910; 128). Jednak

dotychczasowe kultury, dając swobodę życia i twórczości garstce uprzywilejowanych, były kulturami cząstkowymi oraz nosiły w sobie pierwiastki rozkładu i upadku. Właśnie fakt ich cząstkowości powodował, że były one odporne wobec rozmaitych przejawów swobody, albowiem przejawy te mogły się obrócić przeciwko nim. Kultura cząstkowa stawała się więc konserwatywna i konwencjonalna, a w ślad za sztywnieniem jej dogmatów szła obłuda i cynizm, zwiastujące upadek danej kultury. Z tego też powodu wszystko, co było przed socjalizmem, nazywa Brzozowski — przyjmując określenie Marksa — epoką przeddziejową (*Vorgeschichte*) i głosi, że dopiero po zawładnięciu ekonomicznymi warunkami życia, rozpocznie się „właściwa, swobodna, samowładna twórczość ludzkości” (*Kultura i życie*, Warszawa, 1936, str. 3-4).

Tę także „swobodną” twórczość miał prawdopodobnie na myśli Malraux gdy (biorąc życzenie za rzeczywistość) pisał, że „komunizm przywraca jednostce jej żyźność” (Wstęp do *Czasów pogardy*, str. 12). Warto przy tym zwrócić uwagę na opis lotu Kassnera z Niemiec do Pragi, w towarzystwie oddanego mu na śmierć i życie pilota: „...Zioła i rośliny zdawały się po mału łączyć swe ukojne losy poza światem więzień. A jednak w obrębie tego widnokręgu był niewątpliwie jakiś obóz koncentracyjny; z niestrudzonym okrucieństwem dzieci ludzie torturowali tam ludzi aż do beznadziejnej agonii”. W walce z żywiołami natury, z burzą gradową, bijącą w skrzydła aparatu, przeżywa się motyw braterstwa ludzkiego z pilotem: „Wspólna akcja związała tych ludzi na podobieństwo starej i trwałej przyjaźni” itd. (*Czasy pog.*, 131).

Opis ten jest zmienny z kilku przyczyn: „skrzydlate zdziwienie” wynikłe z konfrontacji wspaniałej przyrody z nierozsądnym sadyzmem ludzkich kreatur, przypomina żywo podobne i liczne motywy u Brzozowskiego; akcentowanie ideowego znaczenia tego opisu wskazuje, że „walkę z żywiołem” (przedstawioną tu n.b. w demonstracyjnym uproszczeniu na skutek zbyt „pokazowej” sytuacji) i Malraux pojmuję jako główny motyw dążeń ludzkich po zawładnięciu ekonomicznymi warunkami życia; wątek ludzkiego braterstwa z pilotem, również mocno i kilkakrotnie akcentowany, jest symbolicznym skrótem wiary (szeroko zresztą na innych stronach powieści wyrażanej i powtarzanej) w wspólnotę, opartą na pracy i walce z żywiołem, co zgodne jest znowu z teorią Brzozowskiego o „pracy swobodnej”.

Nie musimy jednak uciekać się do tłumaczenia symbolów, by stwierdzić zadziwiającą analogię w poglądach obu omawianych pisarzy na rolę pracy, albowiem rozważania na ten temat wypełniają ostatnie ustępy *Doli człowieczej*, ustępy pointowe. Hemmerlich mianowicie, który po upadku rewolucji chińskiej schronił się do Rosji, pisze w liście: „Niegdyś zaczynałem żyć, kiedy wychodziłem z fabryki; teraz zaczynam żyć, kiedy tam

wchodzę. Pierwszy raz w życiu pracuję, wiedząc po co, a nie czekając cierpliwie, aż przyjdzie zdychać”... Za czym przypomina z wdzięcznością dawny wykład Gisorsa, który mówił: „Cywilizacja przeobraża się, nieprawdaż, kiedy najboleśniejszy jej element — upokorzenie dla niewolnika, praca dla robotnika nowoczesnego — staje się nagle wartością, kiedy nie idzie już o to, aby się z tego upokorzenia wyrwać, lecz — aby dostąpić w nim zbawienia: nie o to, aby oderwać się od tej pracy, lecz — aby znaleźć w niej rację bytu. Fabryka jest obecnie jakby kaplicą w katakumbach, a powinna stać się tym, czym była potem katedra i ludzie powinni w niej dojrzeć nie bogów, ale siłę ludzką w walce z ziemią”... Autor dodaje: „Tak: niewątpliwie jedyną wartość ludzi stanowi to, co przetworzyli” (*Dola czł.*, 394). W *Nadziei* (60), Magnin powie: „Chcę, by ludzie wiedzieli po co pracują” (12).

Do indywidualizmu przesadnego, do indywidualizmu przekory i zakochania w sobie, obaj pisarze odnoszą się zdecydowanie negatywnie. — „Wierzę” — gromi Brzozowski w *Legendzie Młodej Polski* — „że dla najbliższych generacji wstrętny będzie nasz kabaretowy indywidualizm, nasza kabotyńska mistyka”. Malraux, we wstępie do *Czasów Pogardy* twierdzi: „Trudno jest być człowiekiem, ale nie jest trudniej nim zostać pogłębiając swoją wspólność, niż kultywując swą odmienność” (13).

MARKSIZM JAKO FILOZOFIA KULTURY

We wstępie do *Idej*, pisze Brzozowski, że „ortodoksyjnym marksistą nie był nigdy”, a marksizm „interesował go zawsze w związku z najogólniejszymi zagadnieniami filozoficznymi”. W rozprawach występuje on, w istocie, szereg razy przeciw pewności siebie ortodoksyjnych marksistów. W *Plomieniach* (I. 214) pisze z sarkazmem: — „Oni z niego (to jest z Marksa) religię robią. Nowy rodzaj opatrności. Maszyny się rozwijają, doskonała, w końcu cały świat jest doskonale działającym (...) mechanizmem ... Oni z niego robią nową teologię, zobaczysz!”

Podobnie wytykał braki marksizmu skostniałego A. Malraux, między innymi odpowiadając na przyjacielską krytykę, której przedmiotem był na kongresie pisarzy sowieckich (w 1934 roku w Moskwie).

(12) Natomiast, nawet w jego epoce pro-komunistycznej, był Malraux bardziej wstrętniejszy, niż Brzozowski, odnośnie niewzruszoności kultury „nie-cząstkowej”. Później, w „*Walce z Aniołem*” powie: „...Jeśli przynajmniej ludzka trwa za cenę bezlitosnych przemian, niewielkie znaczenie ma fakt, że ludzie przekazują — na przeciąg kilku wieków — ich koncepcje i ich techniki: albowiem człowiek jest przypadkiem a świat, w jego istocie, polega na niepamięci” (str. 118-119).

(13) Później, w *Walce z Aniołem* napisze: „Nie trafia się do człowieka, dłużej bez końca w jednostce” (26).

Co nie przeszkadza, że o Marksie i jego teorii wyrażał się Brzozowski zawsze, nawet po zmianie przekonań, z największym entuzjazmem; marksizm nazywał ostatnią (to jest defini tywną) filozofią (*Kultura i życie*, 282) i twierdził, że ponad nią nie ma niczego i niczego być nie może, ponieważ jedyną konsekwentną próbą przewyciężenia marksizmu byłaby tylko magia (*tamże*, 277).

Swoje ujęcie marksizmu (nie mówiąc o licznych dygresjach w innych studiach) wyłożył Brzozowski w rozprawie pn. *Materializm dziejowy jako filozofia kultury* i nazwał ją „programem filozoficznym”. Według niego „materializm dziejowy jest samowiedzą twórczości dziejowej, rodzącej z siebie sztukę i literaturę, naukę, prawo, moralność, religię, gospodarkę społeczną, ukazuje nam to wszystko jako dzieło ludzkości i ją samą poza tym dziełem, ukazuje nam więc siłę, którą świat kulturalny rodzi z siebie, wytwarza jej formy i — później znowu poza nie, ponad nie wyrasta”; jest on dalej jedyną konsekwentną metodą rozwiązywania zagadnień i „ukazuje nam problematy w ich prawdziwym znaczeniu to jest jako zadania do rozwiązania przez działalność” (*Idee*, 3). Materializm nie jest kamieniem filozoficznym alchemików; nie uwalnia od pracy. Nie zastępuje życia. Przeciwnie, raz na zawsze zabija złudzenie, że myśl może zastąpić życie, twórczość, gdyż wobec twórczości kulturalnej i dziejowej jest on tym tylko, „czym jest wiedza teoretyczna względem praktyki technicznej i wynalazczości” (*tamże*, 4). Innymi sławy, materializm jest filozofią czynu, widzącą podmiot historii w człowieku: — „Tu” — formuluje Brzozowski — „zarysowuje się najdumniejsza myśl, jaka kiedykolwiek istniała: — ludzkość, jako własne swoje, świadome dzieło” (*tamże*, 9).

A Malraux? — „Moim punktem wyjścia” — mówi on w wywiadzie udzielonym „Wiadomościom Literackim” (nr 642) kilka lat przed wojną — „jest człowiek, jednostka... komuniści zaufali człowiekowi (!?). Po caryzmie dostali w spadku kobietę uciemiężoną, pogrążoną w straszliwej nędzy moralnej i materialnej. Uczynili z niej kobietę sowiecką. Zaufali dzieciom — i stworzyli z nich pionierów... Komuniści zaufali mordercom, złodziejom, sabotażystom — uratowali ich od zagłady moralnej i razem z nimi zbudowali kanał, prowadzący do Morza Białego. Mimo wojnę domową, głód i tyfus, po raz pierwszy w dziejach ludzkości, komuniści stworzyli doktrynę, polegającą na ufności człowieka do człowieka” (!).

Mniejsza w tej chwili o zdumienie, jakie wywołuje w nas każde z tych zdań, konfrontowane z rzeczywistą rzeczywistością Związku Sowieckiego. Zwróćmy za to uwagę na podobieństwo (z Brzozowskim) w strukturze myśli. Analogię tę odnajdziemy również w powieściach Malraux. Gisors, w *Doli człowieczej* (81) wyklada: „Marksizm nie jest doktryną — jest wolą: dla proletariatu i dla tych, co przechodzą do niego — dla was — jest to wola poznania siebie, poczucia siebie jako proletariatu, zwycię-

żenia jako proletariatu; nie po to powinniście być marksistami, aby mieć rację, ale po to, aby zwyciężać, nie sprzeniewierzać się sobie”.

I jeszcze jedno: Brzozowski w *Legendzie Młodej Polski* (128), akcentuje: „Życie nasze, ja nasze, to jest posterunek; gdy my go opuścimy — utraci go już ludzkość cała na zawsze”. Malraux, ustami Garina (*Zdobywcy*, 81) tłumaczy: „Cała nowoczesna Azja dociera do odczucia bytu indywidualnego, do odkrycia śmierci. Nędzarze zrozumieli, że dla ich niedoli nie ma pocieszenia, że darmo czekać na powtórne życie. Równocześnie, okropność śmierci bez znaczenia, śmierci która nie odkupuje i nie nagradza, rodzi myśl o możliwości istniejącej dla każdego człowieka, przewyciężyć zbiorowe życie nieszczęśliwych, osiągnąć owo jednostkowe życie indywidualne, które uważają niejako za najcenniejsze dobro bogatych”. Zdania te zawierają nie tylko analogiczny pogląd, ale pośrednio tłumaczą również źródło zainteresowania się obu autorów zjawiskiem śmierci. Albowiem: „Podstawową rzeczą w śmierci” — powie Moreno w *Nadziei* (182) — „jest to, że czyni ona nieodwracalnym wszystko, co ją poprzedziło, nieodwracalnym już na zawsze; tortura, gwałt, po którym następuje śmierć, oto co jest na prawdę straszne”.

W ślad za tym, idzie analogia poglądów Brzozowskiego i Malraux na rolę sztuki. Brzozowski widzi jej zadanie w „uprzystępnieniu innym swoich własnych stanów wartościowych” (*Współczesna krytyka literacka*, 31), przy czym wartościowymi nazywa te tylko, które przyczyniają się do powiększenia stopnia świadomości ludzkiej. — „Sztuka” — mówi na innym miejscu — „ma tworzyć tę niebywałą duszę wolnego, rządzącego sobą, na pracy własnej wspartego człowieka” (14). Jeszcze gdzieś indziej nawołuje: „Literatura musi karmić rodzące się pokolenia lwim mlekiem; wszystkie inne będzie trucizną” (*Kultura i życie*). A Malraux? W referacie, wygłoszonym w Moskwie, w 1934 roku, wywodził: „Sztuka nie jest poddawaniem się; ona jest zdobywaniem. Zdobywaniem czego? Uczuć i środków wyrażania ich. Na czym? Prawie zawsze na nieświadomości; bardzo często na logice. Marksizm jest świadomością elementu społecznego; kultura jest świadomością elementu psychologicznego. Burżuazji, która mawiała *jednostka*, komunizm odpowie: *człowiek*. Hasłem kultury, którym komunizm odpowie na zawołania największych epok indywidualizmu, będzie słowo którym Marks łączy pierwsze strony *Ideologii niemieckiej* z ostatnimi brulionami *Kapitału*, a mianowicie: — Więcej świadomości!” (15). We wstępie do *Czasów pogardy* Malraux formuluje: „Najwyższy sens słowa „sztuka”, to uświadomienie w lu-

(14) St. Brz.: *Ludzkość i naród* („Świt”, 1907); cytuję za B. Suchodolskim: *St. Brz. Rozwój ideologii*. Str. 123.

(15) Cytuję za André Breton: *Position politique du surréalisme*. Str. 51-52.

dziach wielkości, o której istnieniu w nich samych nie mają pojęcia”.

FORMA

Podobieństwo nie dotyczy pisarskiego rzemiosła obu autorów. Pod tym względem każdy z nich jest już synem swego czasu. Pomimo jego ataków przeciw romantycznemu rytmowi polskiej literatury, Brzozowski jest sam nasycony tym rytmem. Dzieli on ponadto smak estetyczny epoki. Jego język, pełen metafor, bywa często obrazowy i zachowuje dużą siłę wyrazu. Mimo to, nasycony symbolami intelektualnymi, jest on raczej deklamacyjny, koturnowy. W przeciwieństwie do niego, oszczędny i konkretny styl Malraux jest bardziej zwizły i bardziej ścisły.

U Brzozowskiego, części opisowe są zredukowane do minimum; często bywają one sensacyjne i nie zawsze prawdopodobne. Malraux, przeciwnie, w określaniu wypadków i sytuacji, odznacza się troską o dokładność, posuniętą nierzadko aż do wpłatania w tekst reportażu (zresztą w najlepszym tego słowa znaczeniu). Podczas gdy budowa powieści Malraux bywa celowa i świadoma, Brzozowski, by umożliwić swoim postaciom udział w tym czy innym wypadku, nie cofa się przed motywacją konwencjonalną i skrzyżowaniem wątków w typie *deus ex machina*. Jeśli wrażenie pozostaje mimo to sugestywne, dzieje się to za sprawą wszędobylstwa Michała Kaniowskiego, rzekomego autora pamiętników.

Odmienność jest wszakże przede wszystkim sama substancja odnośnych utworów. Wystarczy pod tym względem porównać ustępy, mające wyrazić istotę wizji (miłość, przyjaźń, braterstwo, broni, śmierć, tortury). Obrazy Brzozowskiego, jeśli abstrahować od ich siły sugestywnej, są — w gruncie — rozumową ilustracją wcześniejszych przesłanek. Obrazy Malraux posiadają natomiast swój *wewnętrzny autentyzm*. „Inteligencja Malraux i jego intelektualizm obleczone są w ciało i krew”, zauważa słusznie Claude Mauriac. „Związek z elementami nigdy się nie przerywa. Człowiek z jego rozumem, zapewne; ale także z jego rękami, z jego płcią; — materia i dusza jego ciała nie są izolowane od innych żyjących istot, i nawet od wszechświata” (16).

(16) C. Mauriac: *Malraux ou le mal du héros* (Paris, 1946; str. 21-22). Warto tu zauważyć, że po *Plomieniach*, utworze w pewnym sensie „stosowanym”, Brzozowski doszedł już w najbliższej swojej (a równocześnie ostatniej) powieści to jest w *Samym wśród ludzi* do zdobyczy bardzo podobnych. K. Irzykowski pisał o tej ostatniej książce, że jest w niej „próbą postawienia ludzi całych, a więc z każdej strony: społecznej, ekonomicznej, fizjologicznej, uczuciowej, intelektualnej”. Są to „ludzie, o których się wie, skąd są, jak się wychowali, co wiedzą, co myślą, co kochają, czego nie-nawidzą, czego chcą, jakie są ich wyżyny i niziny” (K. Irzykowski: *Słowo i czyn*, str. 366-367).

A przecież istnieje coś, co zbliża obu pisarzy także do stro-
ny formalnej. Mam tu na myśli przerywany tok opowiadania. Jeden i drugi operuje mianowicie nawarstwianiem *epizodów*. Sposób ten pozwala jednemu i drugiemu ukazywać ich postacie niemal wyłącznie w sytuacjach mniej lub więcej dramatycznych, a sprawę której ludzie ci służą — wyłącznie w trakcie heroicznej walki, prowadzonej na domiar — w warunkach tragicznie nieprzyjajnych. Tak jest w *Plomieniach* Brzozowskiego, tak jest w *Zdobywcach*, w *Doli człowieczej*, w *Nadziei*. Jeśli *Czasy pogardy*, przeciwnie, odznaczają się ciągłością wątku, różnica ta wzmacnia tylko wyrażoną wyżej obserwację: rzeczona ciągłość wynika bowiem, tym razem, z faktu, że wypadki które przeżywa Kassner, bohater książki, są od początku do końca dramatyczne: więzienie, tortury, ucieczka, niebezpieczny lot. Nawet scena końcowa, przynosząca pewne odprężenie (powrót do domu, do żony) niepozbawiona jest psychicznego napięcia. I nawet jeszcze tam znalazł autor miejsce na włączenie dodatkowego konfliktu (dotyczącego mianowicie niepodobieństwa pełnego wzajemnego zrozumienia się nawet z osobą sobie najdroższą).



Zarówno Brzozowski jak Malraux, są mistrzami *charakteryzującej* anegdoty, mającej na celu lapidarnie uplastyczyć tragiczne aspekty panującego ustroju. Oto, na przykład, jedna z wielu podobnych w *Plomieniach*, dotycząca procedury sądowej w rosyjskim imperium i funkcjonariuszy-sadystów: Prokurator Strelnikow, gdy przybyła do niego — z prośbą — siostra uwięzionego, pokazywał, jak jej brat „będzie chrypiał i wyciągał język na szubienicy... Naśladował w sali do przyjęć, w obecności dwudziestu osób, z których połowa miała synów lub braci w więzieniu, aresztowanych za sprawy polityczne, rżenie kornajęcego, kiedy dławi go stryczek i wysuwanie się języka z ust zaduszonego”. W kasynie oficerskim, ten sam Strelnikow założył się z miejscowym generał-gubernatorem, że uzyska wyrok skazujący na niewinnego człowieka i że zaraz egzekucję wykona. Generał-gubernator zauważył: — „Jeżeli pan zdoła wyrok taki dostać, jeżeli pan znajdzie taki sąd, który go skaze, ja go nie ułaskawię”. ... „Słowo?” — zapytał Strelnikow. — „Słowo”. (Pł., II. 112).

W *Doli człowieczej* należą do takich „anegdot” opowiadania May o młodych Chinkach, popełniających samobójstwo w lektykach ślubnych (przytoczone dla ilustracji niedoli młodych kobiet); wspomnienie Hemmerlicha o sąsiadce policzkującej zwłoki męża który popełnił samobójstwo (przytoczone na dowód, że świat pozbawia nędzarza nawet „jedynej godności jaką posiada — jego śmierci”) (217); oraz mnóstwo innych, rozsianych we wszystkich powieściach Malraux. Każdą z tych „aneg-

dot" można zakończyć zwrotem: „Wypadek ten mówi dużo więcej, niż wszystkie wywody na ten temat”.

Podobieństwa powyższe wynikają z dążenia do intelektualnych i dramatycznych zagęszczeń. Kłębienie się konfliktów u Malraux nie uszło w istocie uwadze krytyków. Jeden z nich podkreśla na przykład, że pisarz „eliminuje prawie z powieści... momenty zwykłe, ludzkie”, by zasłonić brak konsekwencji w swoich poglądach. Tak więc rewolucjonistę Kyo przedstawia tylko i wyłącznie w chwili bohaterskiej śmierci i tuż przed nią, ale „zasłania jego zwyczajność, w której ostre spojrzenie artysty mogłoby dojrzeć więcej konfliktów w rodzaju arcyłudzkiego konfliktu z May”. Podobnie z rewolucją, będącą wyrazem największego napięcia różnorodnych energii, a którą Malraux „przekształca w stan, przez samo rozciągnięcie go jako tworzywa powieści, utworu bądź co bądź epickiego” (17).

Dodajmy do tych słów, że Malraux unika również motywów „zużytych”, czyli — w sensie literackim — banalnych. W powieściach jego (które obrazują jednak cały szereg sytuacji intymnych), żaden z rewolucjonistów nie jest na przykład zakochany w kobiecie, która nie podzielałaby jego poglądów: ewentualność taka odwróciłaby uwagę na rzecz konfliktów „okolicznościowych”. W momencie najwyższej próby, żaden z tych ludzi (18) nie bywa nawiedzany obsesją wspomnienia o kochanej osobie (kobiecie, dziecku...), chociaż w podobnych okolicznościach motyw ten pojawia się niewątpliwie z przemożną siłą, a płomienni rewolucjoniści wyjątku pod tym względem nie stanowią. Jeśli Hemmerlich (*Dola czł.*) liczy się z swoją rodziną, wypadek ten jest świadomie „odpoetyzowany”. Ponieważ żona Hemmerlicha jest chora a jego dziecko kaleką, chodzi tam raczej o uczucie odpowiedzialności i obowiązku, nie o uczucie miłości. Autor nie omieszkął zresztą podkreślić, w związku z tym samym wypadkiem, jego innych aspektów, sięgających — w jego interpretacji — samego dna ludzkiej nędzy.

Czyżby znaczyło to, że — odnośnie bojowców — ignoruje Malraux związki między kobietą i mężczyzną, niewarunkowane braterstwem walki? By odrzucić tę hipotezę, wystarczy przeczytać ustęp, w którym Kyo określa swoją miłość („rozdartą”, czego nie zapomina dodać) dla May, jedynej osoby dla której był czymś innym niż „swoją biografią”: „Współnotą przyjętą, zdobytą, wybraną”. Charakterystykę powyższą, bogatą w swojej zwięzłości, uważa autor za celowe rozpięcie na tle wydarzeń gwałtownie dramatycznych. W ten sposób, określenia ważne również na „codzień”, okupione są tutaj napięciem, wynikłym z okoliczności.

(17) Silvester: A. Malraux („Verbum”, marzec 1936, str. 109-110).

(18) Z wyjątkiem Kassnera, którego obrazy i refleksje na ten temat czynią czasem wrażenie „inkrustacji”, jak gdyby były pisane oddzielnie.

Rzeczony zagęszczenia nie odbywają się bez pewnych stylizacji typowych. Obydwaj autorowie pogłębiają („intelektualizując” je) osoby na pozór najmniej skomplikowane. Malraux (a jest to tylko jeden z wielu przykładów), każe nawet Walerii, kochance Ferrala rozstrzygać i powodować się „problemami zasadniczymi”. Co do Brzozowskiego, jego skłonność zupełnie podobna, podyktowała jednemu z jego krytyków (E. Haeckerowi) ironiczną uwagę, że: „Cytaty z Hegla słyszymy tam z ust (...) tak wielu, że po przeczytaniu książki czytelnik nie jest już pewny, czy furman Spirydion lub łapacz policyjny Aron Vogel także nie cytowali Hegla”.

Powyższa tendencja do odwewnętrznego intelektualizmu wymaga tym więcej pewnych uprzedopodobnień, że (za wyjątkiem postaci pierwszo-planowych), chodzi zwykle o „szarą masę”, o proletariatus, nienawykły do definicji nazbyt ścisłych, nazbyt subtelnych i nazbyt zróżnicowanych. By osłabić nieufność czytelnika, obaj autorowie posługują się systematycznie wypróbowanym środkiem: albo wypowiedzi proletariuszów bywają cytowane przez intelektualistów (co usprawiedliwia przekazanie tylko samej istoty ich słów i dopuszcza przestylizowanie), albo też proletariusze, wyrażając swoje uczucia, powołują się na sformułowania ich przyjaciół-inteligentów: Hemmerlich (w ustach którego porównanie pracy do kościoła w katakumbach, a następnie do średniowiecznych katedr, byłoby — mimo wszystko! — zbyt nieoczekiwane) cytuje erudyte Gisorsa; czyniąc to, umie on — po wielu latach! — powtórzyć wiernie wszystkie odnośne zdania, nie gubiąc żadnej z ich subtelności. Nie koniec jeszcze i na tym: wypada przecież przyjąć, że zwracając się do proletariuszy (i to w przewadze — Chińczyków!) nawet erudyta Gisors posłużyłby się porównaniami mniej wyszukanyymi i to raczej z repertuaru pojęć bliższych kulturze chińskiej.

Prawować się o podobne szczegóły, znaczyłoby jednak — niedoceniać głębokiej wartości faktu, że Malraux — w ten albo w inny sposób — obdziela swoje postacie nie erudycją człowieka z „dołów”, ale — przeciwnie — swoją własną.

Nie jest zatem przypadkiem, że zarówno Brzozowski jak Malraux nie tylko wprowadzają do swoich utworów pisarzy i artystów, ale jeszcze każą im, w chwili krwawych walk, czynić zwierzenia na temat sztuki i stylów (Gisors w *Doli człowieka*, Lopez i Scala w *Nadziei*, oraz szereg innych). Zainteresowania te nie są bynajmniej okolicznościowe i nie tłumaczą się tylko materiałem odnośnych powieści. Brzozowski był równocześnie autorem licznych dzieł krytycznych, które zapewniły mu jego stanowisko w literaturze polskiej. Malraux przerwawszy (czasowo?) twórczość powieściopisarską, ogłosił całą serię wybitnych dzieł, poświęconych sztukom plastycznym (19).

(19) Niektóre z nich datują się sprzed wojny i są współczesne jego powieściom. Także koncepcja jego *Muzeum imaginacyjnego* sięga roku 1935. Z źródłowego zawodu Malraux jest zresztą w istocie historykiem sztuki.

Także w tej dziedzinie ich twórczości jeden i drugi pisarz nie są w gruncie ani historykami ani krytykami w ogólnie przyjętym znaczeniu tych słów. W obu wypadkach chodzi głównie o odszyfrowywanie — poprzez dzieła sztuki — samego człowieka i sens jego istnienia. Obaj autorowie są „dalekowidzami historii”; porównania, które stosują, zbliżają wieki a nawet całe epoki dziejowe; ich kryteria powołują się bez przerwy na niekończoność.

Łatwo byłoby się zresztą dosłodzić, jak dalece, nawet w ich studiach krytycznych, pozostają oni często — beletrystami. Brzozowski posługuje się nieraz dialogami i dramatyczną konfrontacją; jego wykład zamienia się raz po raz w strumień obrazów, gdzie metafory zastępują przesłanki a wezwania i zaklęcia syllogizmy. U Malraux, każda jego opinia bywa troskliwie dokumentowana. Co nie przeszkadza, że istotą jego wykładu pozostaje — poezja. Sprawozdawcy odnośnych jego dzieł, cytują zwykle jego syntezy i jego definicje ontologiczne. By wyjaśnić jego stanowisko wobec analizowanych dzieł sztuki, warto jednak zatrzymać się również nad szczegółami. Okazałoby się wtedy, że jego spojrzenie na sytuacje, na postacie tworzone przez artystów i na postacie samych artystów, przypomina sposób, w jaki rysował on bohaterów swoich powieści. Ogląda je — rozmyslnie — z różnych punktów obserwacyjnych, poddaje je różnym naświetleniom, usiłując utrwalić ich oblicze, ich gesty oraz ich kolejne metamorfozy (i... przebrania), ich prawdy i ich wewnętrzną „dialektykę”, na koniec — funkcję i współzależność wszystkich tych elementów.

Niechaj nie myli nas również konstrukcja owych dzieł. Mimo pozornej ciągłości, budowę tę cechuje przyjęta z góry różnorodność: chodzi, w gruncie, o ciąg „wybranych epizodów”, nieoczekiwanych skojarzeń i stymulujących dygresyj. Podobnie jak w powieściach, Malraux osiąga w ten sposób zagęszczenie ukazywanych problemów. W rezultacie *wyeliminowania partyj „statycznych”*, bogactwo szczegółów staje się częścią ustawicznych konfrontacji, i to zawsze w stanie narastania.



Dalecy od wszelkiej chęci przeciągania niniejszego zestawienia ograniczyliśmy się do wybranych dzieł obu autorów i cytowaliśmy wyłącznie analogie zupełnie niewątpliwe. Tytułem uzupełnienia chcemy tutaj (z wszystkimi zastrzeżeniami jakich wymaga podobne roszczenie) zwrócić jeszcze uwagę na szczegóły, zbyt złożony i świeży by służył za podstawę do ostatecznych ustaleń, lecz równocześnie zbyt symptomatyczny by można go było pominąć milczeniem.

Płomienie były ostatnią powieścią w której Brzozowski niemal całkowicie przechodził do porządku dziennego nad polskimi problemami narodowymi. Idzie tu przy tym nie tylko o zbyt su-

maryczne uogólnienia, ale również o pewnego rodzaju oderwanie od polskiej rzeczywistości, o redukowanie jej do jednego i to z góry potępionego aspektu.

Pod tym względem rychło miała nastąpić gruntowna zmiana (20). Już najbliższa z kolei jego powieść pn. *Sam wśród ludzi* (21) daje bogaty przekrój poprzez kilka polskich pokoleń i poprzez właściwe tym generacjom zagadnienia. Ewolucja pisarza nie ma przy tym nic ani z „oswojenia”, ani z „ugrzecznienia”. Brzozowski pozostaje bezlitosny w sądach. Można by nawet powiedzieć, że dopiero w tym dziele zdobył się na myśli marksistowskie, mimo że nienazwane, wzbogaciły samą fakturę powieści, pozwalając autorowi ukazać w niej społeczne i kulturalne uwarstwienia. Różnica (jakże ważka!) polega za to na tym, że odnalazły żywy kontakt twórczy z faktyczną rzeczywistością „cielesnej ojczyzny” (22), z niej właśnie i poprzez nią zmierza do prawd uniwersalnych. Podobna tendencja cechuje również jego *Powieść o starej kobiecie* (23).

Byłoby rzeczą przedwczesną wdawać się w bardziej szczegółową analizę wyników artystycznych, jakie podobna zupełnie ewolucja wniosła i wnosi do powieściowej twórczości A. Malraux. W każdym razie, jego *Walka z aniołem* stanowi, pod tym względem, pozycję pełną najbardziej wymownych zapowiedzi.

WSPÓLNE ŹRÓDŁA?

Takie są oto wybrane zbieżności w dziełach dwóch autorów, żyjących i tworzących w dwóch różnych okresach, krajach i środowiskach. Ponieważ wszelka bezpośrednia współzależność jest tutaj z góry wykluczona, cytowane wyżej i sięgające aż do szczegółów powinowactwa stanowią zagadnienie tym bardziej frapujące.

Równoległość tego typu nie obywa się, to pewne, bez wspólnych „duchowych protoplastów”, bez promieniowania wspólnych źródeł, bez krzyżowania się pokrewnych prądów. Bardziej dokładne wysledzenie tych wszystkich elementów wymagałoby odrębnego studium, które — rojąc się od nazwisk i tytułów — byłoby jednak w sumie... całkowicie jałowe. Ograniczmy się zatem do wskazania tylko kilku filiacji, za to widocznych na pierwszy rzut oka:

Zarówno w twórczości Brzozowskiego jak Malraux niewątpliwym jest wpływ — z jednej strony teoretyków marksizmu,

(20) W gruncie rzeczy, narastanie tej ewolucji było dużo wcześniejsze, o czym świadczą jego rozległe prace krytyczne i publicystyczne.

(21) Jest to pierwsza część projektowanego cyklu pn. „Dębina”, przerwanej śmiercią pisarza.

(22) Określenie Malraux, po zmianie stanowiska i poglądów politycznych.

(23) Również niedokończona wskutek śmierci autora.

z drugiej — myśli katolickiej, zwłaszcza Pascala i Bossueta. Ci ostatni zaszczepili obu omawianym autorom pasję absolutu, zainteresowanie zjawiskiem śmierci, nacisk położony na czystość intencji i na żarliwą wiarę, koncepcję grzechu pierworodnego, moralnego odkupienia i ofiary (co — przełożone na język świecki — wyraziło się w zbrodni ciemieżyciela, walce i zaciętości w heroizmie), myśl o promieniowaniu zła, wreszcie obraz duszy ludzkiej, pojętej jako ustawiczny ośrodek duchowej walki. Przypomnijmy, choćby tytułem przykładu, znane powszechnie zdanie Bossueta: „Życie ludzkie jest niby droga, zakończona straszliwą przepaścią... Pocieszamy się, unosząc kilka zebranych w przejściu kwiatów, które wędzną w rękach... Zasłepienie, złudzenie!” I zdanie Pascala: „Wyobraźmy sobie dużą liczbę ludzi w kajdanach, skazanych bez wyjątku na śmierć; ponieważ jedni spośród nich bywają zarzynani na oczach innych, pozostali widzą w losie bliźnich swoje własne przeznaczenie... Oto jest obraz *człowieczej doli* (24).

Brzozowski rozczytywał się, skąd inąd, w utworach zrodzonych w klimacie — bardzo specyficznie rosyjskiego — prądu „poszukiwaczy Boga”. Jeśli to samo nie odnosi się do Malraux, pozostaje jednak przemożny wpływ, wywierany na obu pisarzy przez dzieła T. Dostojewskiego, nasyconego do dna wspomnianym ruchem, darzącego swoje postacie nieokiełznanym życiem i niepokojem wewnętrznym, demonem sumienia i opętaniem myślą o śmierci.

Co do teorii marksistowskich, promieniowanie jej na omawianych tu pisarzy zabarwione jest myślą Sorela (25). Charakterystyczne są wreszcie (zwłaszcza w tym powiązaniu!) sublimowane echa Nietzschego (26). W postawie bojowców, łatwo mianowicie dojrzeć (u obu autorów) odbicie nietzscheańskiej „woli mocy”, „śmierci Boga” i wrogości do idei odkupienia.

Wszystko to nie tłumaczy jeszcze omówionego powinowactwa. Istotne jest przecież nie czerpanie z tych czy innych źródeł, ale przyczyna *wyboru*, powód przyjęcia takich a nie innych

(24) Malraux cytuje powyższe zdanie w *Walcie z aniołem* (str. 237-238). Łatwo je porównać z cytowanym już ustępem z *Plomieni*, o „nieustannym trzasku kości, śmiertelnym jęku konających, krzyku myśli zalanych przez czarne wody zguby” itd. Powoływania się na Pascala i Bossueta liczne są również w krytycznych pismach Brzozowskiego i w jego *Pamiętniku*.

(25) Brzozowski poświęcił Sorelowi dużo uwagi w swoich pismach. Wpływ Sorela na myśl Malraux stwierdzała krytyka francuska. Dorzućmy, odnośnie Brzozowskiego, wpływ anarchisty Krapotkina. Echa pewnych idei anarchizmu łatwo odnaleźć u Malraux: w *Nadziei* np. cytuje on kilkakrotnie Bakunina. To prawda, że ustami anarchistów, ale z troską o odwrotną wierność.

(26) F. Nietzsche stanowi temat kilku odrębnych rozpraw Brzozowskiego. Malraux cytuje Nietzschego, począwszy od swojej pierwszej publikacji („D'une Jeunesse Européenne”), aż do ostatnich (m. in. w *Walcie z aniołem* i *Głosach milczenia*).

składników, wreszcie — tajemnica ostatecznego ich wypostacowania.

Rozstrzygający ten czynnik wolno upatrywać w poraniu się z podobnym niedosytem, właściwym artystom i myślicielom, stawionym wobec ograniczoności marksizmu w jego oficjalnej interpretacji (27): zredukowanie człowieka i sił rządzących historią do czynników wyłącznie ekonomicznych, schematy uproszczone i łatwe do przyswojenia, lecz zapoznaające doniosłość wartości psychicznych i imponderabiliów. Brzozowski i Malraux wracają do punktów wyjścia wszelkiej wielkiej twórczości to jest do człowieka i humanizmu. Z tą różnicą, że nie czynią tego kosztem niedowidzenia czynników społecznych. Inaczej mówiąc: „sprawy ducha” czynią oni „sprawami z tego świata”.

Odnośnie momentu historycznego: Brzozowski należał do typu pisarzy — meteorów, którego działalność, krótka w czasie, miała jednak wywołać cały szereg oddźwięków „pośmiertnie”, inspirując kierunki bardzo różne i często sobie przeciwstawne. Po dosyć długim osienceniu jego literackiej spuścizny, „powrót do Brzozowskiego” nastąpił w Polsce dopiero w okresie międzywojennym, ściślej mówiąc — w drugim dziesięcioleciu owego okresu. Dokładnie w tym samym czasie rozpoczynał rozwój wielkiej swojej twórczości André Malraux, zdobywając nią od razu rozgłos w całym szeregu krajów. Chociaż zjawiska te nie były z sobą związane bezpośrednio, całkiem być może, że ich równoczesność tłumaczy się klimatem rzeczonyj epoki i zagadnieniami które stawiała ona na porządku dziennym.

Obaj pisarze walczyli w imię „swojej myślowo już istniejącej rzeczywistości, która była bogatsza niż ta, przeciw której występowali”. Podczas jednak gdy Brzozowski ograniczał się, z natury rzeczy, do antycypowanych ogólników (28), Malraux identyfikował swoją wizję z systemem społecznym już zrealizowanym, mianowicie ze Związkiem Radzieckim.

W roku 1939 nastąpił pakt zawarty między Ribbentropem i Mołotowem oraz jego znane konsekwencje: wybuch drugiej wojny światowej, podział Polski między Rosją Sowiecką i hitlerowskimi Niemcami. *Malraux zerwał z komunizmem*. (29).

(27) ...kilku Kościołów.

(28) Zważywszy, że akcja tej książki odbywa się głównie w Rosji XIX wieku, *Plomienie* nie dotykają konfiguracji politycznej początku XX wieku. Całość myśli Brzozowskiego, wyłożona w licznych jego innych pracach, nie zapowiadała niczym możliwości przyjęcia późniejszej platformy komunistycznej. Przeciwnie: za życia, aż do momentu wycofania się z życia politycznego (na skutek znanej „Sprawy”, która nie należy do naszego tematu) uczestniczył on w ruchu, kierowanym przez PPS, przeciwstawiającym się zdecydowanie „Socjał-Demokracji Królestwa Kongresowego i Litwy”.

(29) W szkicu o Malraux, ogłoszonym w roku 1937, autor niniejszej rozprawki, czyniąc aluzję do świeżych wówczas „procesów” moskiewskich, pisał: „Fakt, że realizację swoich tęsknot widział Malraux w Rosji Sowieck-

W *Posłowi*, dodanym (w roku 1949) do kolejnych wydań *Zdobyców*, mówi o tym:

— Wiemy odtąd, że będąc mniej Francuzami, nie stajemy się bardziej ludźmi, ale po prostu więcej Rosjanami.

— Nie było wcale powiedziane, że *śpiewającym jutrem* ma być ów długi skowyt idący od morza Kaspijskiego do morza Białego ani że tym śpiewem będzie (kajdaniarska) pieśń katorżników.

Wreszcie: — „Będą mi tłumaczyć, że nie znam *dialektyki*: katorżnicy także jej nie znają, a trupy znają ją jeszcze mniej”.

A oto, na zakończenie, apostrofa jaką F. Mauriac kierował do A. Malraux, niemal u zarania twórczości autora *Doli człowieka*, kładąc te słowa w usta europejskiej cywilizacji:

— „Na przekór obelgom, którymi mnie poisz, jesteś moim przez twoją inteligencję, twoją kulturę, twój styl; ... Moje dziedzictwo przylega ci do ciała... Nie wyrwiesz z siebie mego ducha, którym cię obdarzyłem... Twoje książki, które napisałeś z nienawiści do mnie, niezrozumiałe są dla barbarzyńców, spoglądających na ciebie okiem nieufnym; ... Twój bunt... nie obchodzi zbuntowanych, ale wzbogaca literacką moją spuściznę” (30).

Michał BORWICZ

Poezja amerykańska

Współczesna mapa poezji światowej ma trzy barwy, języków: francuskiego, angielskiego, hiszpańskiego. W pewnym sensie istnieją na niej Włosi. Z Niemców figuruje właściwie tylko Rilke i częściowo Bertold Brecht. Przegrody językowe eliminują wiersz portugalski, holenderski, skandynawski, grecki. Świat języków słowiańskich nie jest prawie wcale reprezentowany. Nie stanowi to nowości bo nigdy reprezentowany nie był. Tłumaczono Majakowskiego i próbowano tłumaczyć Borysa Pasternaka, ale przekłady dają równie słabe pojęcie o oryginalnym, jak przekłady z Mickiewicza i Puszkina: już nie tylko przegroda językowa, ale zupełnie inny stosunek do materii języka. Poza tym upadek poezji rosyjskiej i upadek w krajach na które rozciągnęły się jej wpływy nie kusi do odkryć; tamten gatunek uczuciowości nie jest z dwudziestego wieku. Może to być przykre dla poety polskiego. Jeżeli jednak jest on nawet zaangażowany w walkę z tendencjami dominującymi w jego języku, ma zbyt wiele wewnętrzno-domowych spraw do załatwiania, żeby mógł liczyć na rozgłos poza swoim gospodarstwem.

Francuska antologia poezji amerykańskiej Alaina Bosquet (*) ukazuje się w momencie, kiedy kolorowy barok i wielomówność poetów południowo-amerykańskich budzą podejrzliwość. Odczuwa się potrzebę większej powściągliwości i dyscypliny. Podobnie malarstwo Meksykańczyków może olśniewać, ale w końcu wyznacza mu się miejsce drugorzędne. Poeci północno-amerykańscy z ich wstydem uczuć i z dużym (nieraz za dużym) ładunkiem intelektualnym bliżsi są dzisiejszemu czytelnikowi.

Zestawiać nową poezję amerykańską (z ostatnich paru dziesiątków lat) z francuską i ustalać „rangę” znaczyłoby porównywać rzeczy nieporównywalne. Jednak należy przyznać, że wielkie postacie poezji francuskiej należą do starszego pokolenia — będzie to St. John Perse, niektórzy też powiedzą: Reverdy, inni:

(*) Alain Bosquet, *Antologie de la poésie américaine*, Stock, 1956.

kiej, jest już tylko typowym podstawianiem życzenia za rzeczywistość. Ostatnie wypadki musiały podciąć same korzenie jego wiary”. Zerwanie nastąpiło dużo później.

(30) François Mauriac: *Prix Goncourt* (w *Journal* 1932; 1939, str. 207).

Supervielle. Nie widać nowej krystalizacji (René Char?). Może to być błędem perspektywy, niedostrzeżeniem powolnego dojrzewania nowych, wybitnych twórców. Obserwuje się jednak osłabienie weny i rodzaj impasu. Amerykanie młodszego pokolenia wykazują natomiast dużą żywotność — miejmy nadzieję, że ich żywotności nie obsłabią honory, jakie zaczęły w Stanach Zjednoczonych spływać ostatnio na poetów, najczęściej, niestety, w postaci uniwersyteckich katedr.

Antologia Bosqueta daje wybór od autorów „kolonialnych” (Anne Bradstreet ur. w 1612) do niemal najmłodszych (Daniel G. Hoffman ur. w 1923). Zawiera tekst równoległy, dwujęzyczny i jest bardzo użyteczna jako źródło informacji na europejskim kontynencie. Ze względu na jej cenę (1.200 franków) znającym dobrze angielski polecić można raczej kieszonkowe antologie Selden Rodmana w cenie kilkudziesięciu centów.

Największą wadą antologii, przeszczepiających literaturę obcą na własny teren, jest zwykłe stosowanie kryteriów swojskich czyli pewna redukcja zjawisk dziwacznych i zaskakujących do zjawisk już znanych. Bosquet w swoim wstępie często używa porównania: ten i ten poeta jest podobny do — następuje nazwisko europejskie. Niby wstęp nie jest tak ważny. Wiele on jednak mówi o wysiłku wnikięcia w inną cywilizację, albo o braku takiego wysiłku. Na przykład dwaj, zdaniem Bosquet’a, protoplaści: Edgar Poe i Walt Whitman. Ameryka 1845 roku była za mało perwersyjna, żeby ocenić Edgara Poe — twierdził Bosquet. Może, choć jest to dosyć słabe wyjaśnienie tragedii poety, której analizie — socjologicznej, psychologicznej — poświęcono tomy. Faktem jest jednak, że Ameryka (ani Anglia) nigdy nie wyznaczyła mu tak wysokiego miejsca jak kontynent europejski. Doro-bek ściśle poetycki Edgara Poe jest szczupły a jego wirtuozeria razi ucho współplemieńców przez swój stuk rytmiczny, doprowadzający staccato angielszczyzny do przesady. Poe pozostał pro-rokiem tylko we Francji — dzięki Baudelaire’owi. Co do Whitmana, to prawdą jest, że wpłynęła na niego aura zdobywczej Ameryki i teorie socjalistyczne przedostające się z Europy. Prawda też, że jego fraza o szerokim oddechu została następnie zastosowana przez Kiplinga, Varhaerena, Claudela, Majakowskiego, Cendrars’a, Valérego Larbaud. To jednak włączenie Whitmana w „nurt” europejski pomija szczegół najbardziej zasadniczy: ten mianowicie, że Whitman wychował się na Biblii i że z niej pochodzi forma jego wersetu.

Dochodzimy tutaj do złudzeń *równoległości* rozwoju poezji w różnych krajach. Złudzenia te powstają kiedy lekceważy się odmiennosć tradycji i różnice *ucha*. Historia wiersza francuskiego i angielskiego wykazuje podobieństwa tylko w nowszych czasach, kiedy Francja przez kilka dziesiątków lat była „macierzą” wszelkiej awangardy. Przeszłość jest zupełnie odmienna. Tak jak się dziś współczesnym uchem i okiem mierzy (a nie jest to sąd jedynie mój własny tylko St. John Perse’a) był we Fran-

cji Renesans, a później olbrzymia dziura wypełniona retoryką i elokwencją. Proza doskonalila się, wiersz sztywniał. W tej żałostnej dziurze tkwią i rzekomi buntownicy przeciwko klasycyzmowi, jak Lamartine i Victor Hugo (porównać ze znaczeniem Mickiewicza w Polsce!). Rewolucja poetycka jaka się zaczyna od Baudelaire’a jest walką ze zwapnieniem francuszczyzny w wierszu. Pomyślmy teraz o tysiącach naśladowców francuskiej moderny w Pradze, Krakowie czy Bukareszcie, nieświadomych że szturmowała ona swoją i tylko swoją Bastylę — a będziemy mieli przyczynek do roli nieporozumień w dziejach kultury. Obecny impas poezji francuskiej ma oczywiście swoje powody złożone — ale wśród nich liczy się i paradoksalna słabość zaplecza, to jest permanentna rewolucja z konieczności. Renesans a tym bardziej Villon są za daleko, ostatnie próby wskrzeszania struktury logicznej i metryki przez nawiązanie do odległej epoki są porażką.

Poezja amerykańska oddzieliła się od angielskiej, ale nie tak znowu bardzo. T.S. Eliot i W.H. Auden, których nie wie się gdzie umieścić, symbolizują tę łączność. Nic podobnego do „dziury” historycznej, jaka zniszczyła francuski aleksandryn, w angielskim języku się nie zdarzyło. Dzisiejsi Amerykanie tyleż zawdzięczają Johnowi Donne i satyrom XVIII-go wieku, co przewrotom artystycznym naszych czasów.

Stąd wniosek, że Francuz będzie wrażliwy raczej na utwory czystej liryki niż na ironiczne epistola i monologi, nie mające już w jego ojczyźnie odpowiednika. O tym nurcie poezji amerykańskiej antologia Bosquet’a da słabe pojęcie.

Nie da też pojęcia o zaczepno-odpornej postawie poety wobec społeczeństwa, w którym jest on dziwaczną naraślą, o cierpkim patriotyzmie odrzuconych. A przecież znaczna część dorobku Amerykanów na tej właśnie rozprawie z własnym społeczeństwem polega.

Użyję przykładu. Znam poemacik (nie znajdzie się go w antologii) pt. „Every artist’s secret dream — allegory for America” (Tajemne marzenie — alegoria każdego artysty o Ameryce). Autorem jego jest Peter Viereck (ur. 1916). Jest to cykl epigramatycznych piosenek. Zaczyna się od słów: *Ani trud, ani pług nie zmuszą gleby do wydawania owoców. Gleba tylko wtedy służy, kiedy wabi i błogosławi ją czarodziejstwo. Tak śpiewa sekret poety, który w istocie jest ukrytą zawzięcią, który właściwie jest nienawiścią, właściwie miłością, właściwie miłosną walką o miłość. Samotny poeta zwraca się do Ameryki: dziewczyny (ta z niego kpi) i jej strażnika, pytając czemu nie uprawiają róż tylko zboże. Dziewczyna śpiewa w odpowiedzi:*

*My guardian is, as guardians always are,
A dragon. But a baker by profession.
It is a treat to watch my dragon roar.
But, ah, to watch him bake — there’s my obsession.*

*He just plain simply bakes and bakes and bakes.
Why? Better hungry hears than stomach aches.
We hug Restraint with madly sane abandon.
What mystic hot heavens of Cool Fact descend on*

*Our orgies of ecstatic Utility!
In bread-carousals drunk with Soberness, we
Bake, bake and never stop — except to weed
Roses ... Go, poet, and on roses feed.*

Co w dosłownym przekładzie brzmi: „Mój strażnik jest, jak zwykle strażnicy, smokiem. Ale piekarzem z zawodu. Warto widzieć mego smoka jak ryczy. Ale przyglądać się jak piecze — oto moja obsesja. Po prostu piecze, piecze i piecze. Dlaczego? Lepsze głodne serca niż cierpiące brzuchy. Bierzymy w uścisk Powściągliwość z szaleńczo zdrowym oddaniem. Jakież mistyczne, gorące nieba Zinnego Faktu zstępują na nasze orgie ekstazy Użyteczności! W chlebnym rozpasaniu, pijani Trzeźwością, pieczemy, pieczemy i nie zatrzymujemy się nigdy — chyba żeby pieć róże. Idź poeto, karm się różami.

Poeta, żegnany śmiechem dziewczyny: *Wróc nie wcześniej, aż mąka będzie potrzebowała drożdży rymu, odchodzi. I cóż się dzieje? Urodzaje zawiodły, panoszył się głód. Kiedy poeta wraca do swojej Ameryki widzi wszędzie róże — na przeblaganie zagniewanej ziemi.*

W Europie, gdzie ceni się róże a nie dość ceni się chleb i gdzie poezja dzieli się na „czystą lirykę” i lirykę w służbie ideologii, utwór wygląda egzotycznie i można zrozumieć, dlaczego nie w tym rodzaju nie przyciągnęło uwagi Bosquet'a — choć przez to antologia została zubożona.



Rokiem „nowoczesnego przełomu” był w poezji Stanów Zjednoczonych 1912. Wtedy zaczęło się ukazywać w Chicago pismo „Poetry” (wychodzi ono dotychczas. Jego redaktorem jest obecnie znany poeta Karl Shapiro). Data owa zbiega się z początkami samolotu (lot Bleriota 1909) i z wprowadzeniem na rynek masowego taniego samochodu przez Forda. W 1907 Picasso maluje „Panny z Avignonu”. otwierając okres kubizmu. W 1911 powstaje obraz „Czerwone Studio” Matisse'a, w 1913 „Sędziowie” Rouault. Pierwsze obrazy abstrakcyjne rodzą się w 1910 (Rosjanin Kandinski) i 1913 (Rosjanin Kazimierz Malewicz). Ferment w poezji znaczą w Paryżu nazwiska Apollinaire'a, Cendrars'a, Larbaud, we Włoszech Marinettiego.

Manifesty amerykańskich „imażystów” z 1912 roku warte są przypomnienia. Głoszą one, jak słusznie cytuje Bosquet:

1) Powrót do mowy codziennej, do słowa zastosowanego ściśle, a nie dla celów dekoracyjnych.

2) Nowe rytmy. „Uważamy, że poeta może lepiej wyrazić się w wierszu wolnym niż w formie tradycyjnej”.

3) Wolność wyboru tematu.

4) Użytek obrazu. „Nie jesteśmy malarzami, ale sądzimy, że poezja powinna rysować dokładnie szczegóły i nie ograniczać się do ogólników, nawet wspaniałych czy dźwięcznych.

5) Poezję twardą i jasną, nigdy mglistą czy nieokreśloną.

6) Zwartość, która jest „samą istotą poezji”.

Założenia tego manifestu najlepiej chyba zrealizował John Gould Fletcher (1886-1951). Obecnie jego sława datuje się głównie od jego śmierci. Liczyli się w okolicach pierwszej wojny światowej przede wszystkim Sandburg („Chicago poems” 1916) Lindsay („Kongo i inne wiersze” 1914), Frost („Na północ od Bostonu” 1914). Edgar Lee Masters („Spoon River Anthology”, 1914). No i „apatrydzi”, zbiegowie do Europy: Ezra Pound i T.S. Eliot, który zaczyna publikować w 1909 roku.

Później nowe kierunki, zmagania, wstrząsy, „poezja społecznie zaangażowana” w latach wielkiego kryzysu i ataki jej wrogów. Okolicznością sprzyjającą amerykańskiej poezji było wyłonienie się „Nowej Szkoły” krytyków. Takich zawodowych dłubaczy, biorących pod lupę każde słowo i umiających pisać całe rozprawy o jednej zwrotce, nie ma chyba w żadnym kraju. Nigdzie też poezja nie jest traktowana tak poważnie przez parę tysięcy maniaków jak w Ameryce, gdzie pozostałe miliony odnoszą się do niej obojętnie. Dzisiaj klan jej zwolenników się zwiększa — nie wiadomo czy z korzyścią. Te drogi są zawite. Po tylu doświadczeniach z „masowym odbiorcą” odnosimy się już do „rzędu dusz” a tym bardziej do funkcji inżynierów dusz nieco sceptycznie.

W ukryciu, prowadząc podwójne życie: lekarzy, bibliotekarzy czy urzędników ubezpieczeń, stworzyli niejedno trwałe dzieło następcy Marlowe'a i Szekspira. Komuż dzisiaj stawia pomniki młode pokolenie, kogo wieńczy? Wallace Stevens (1879-1955), William Carlos Williams (ur. 1883), Marianne Moore (ur. 1887), wspomniany już Fletcher. Awantury dokoła Ezry Pounda, spory o Frosta (Bosquet go nie docenia), oczywiście stale obecne „Cztery kwartety” Eliota (dziś Brytyjczyka), hold albo wręcz przeciwnie Conradowi Aiken (ur. 1889 r.).

I mnóstwo tych, co urodzili się już w erze ludowego Forda, jak Robert Lowell, Karl Shapiro, Theodore Roethke, Delmore Schwartz, Muriel Rukeyser, Richard Eberhardt, Elisabeth Bishop, Randall Jarrell. Ale czy obecna poezja amerykańska jest poezją czy filozofią? To pytanie. Zdaje się, że z chwilą kiedy filozofia na uniwersytetach zajęła się zadawaniem sobie śmierci i przyznała otwarcie, że jest tylko filozofowaniem, na poetów spadły nowe obowiązki. To oni ostatecznie są świadomością współczesnego człowieka.

Trudności tłumaczenia wierszy z angielskiego są duże, z bardzo prostej przyczyny. Kilka linii W.C. Williams'a o tym czym jest poemat wykazują to lepiej niż rozważania.

*It's all in
the sound. A song.
Seldom a song. It should
be a song — made of
particulars, wasps,
a gentian —*

Po francusku już zupełnie co innego, bo krótkie i uniwersalne „song” (i pieśń i piosenka i śpiew) zmienia się w „chanson”, zwarte, nakazujące „should” zmienia się w „devrait”. Poza tym tłumacz gubi się w syntaksie i nie wie z czym związać słowo „gentian”. Tłumaczy więc:

*Il est tout
Dans le son. Une chanson.
Rarement une chanson. Il devrait*

*être une chanson — faite
de détails, de guepes,
une gentiane —*

Po polsku można sobie na trochę więcej pozwolić, ale wynik nie lepszy:

*Cała rzecz w
dźwięku. Pieśń.
Rzadko pieśń. Musi być*

*pieśnią — złożoną
ze szczegółów, os
z gencjany —*

Angielski to trzaskanie ognia, francuski to szelest fali. Tłumacze Szekspira wrywają sobie włosy z głowy, bo nieodmiennie roztapia się im on w prozę. Każdy język ma ostatecznie inną chwałę. Ten nie darmo wydał Montaigne'a i Stendhala. Toteż przyjął się obyczaj nie od-twarzania ale transkrypcji dosłownej. Tylko bardzo nieliczni stosują tutaj większe wymagania. Obyczaj ten ma swoje dobre strony i w pewnych, niezbyt szerokich granicach, zasługuje może na przeniesienie do języka polskiego, łatwiej naginającego się do obcych rytmów, odgradzonego jednak od nich swoim stałym akcentem na przedostatniej sylabie. Czasem lepiej może, żeby istniał przekład pół-prozaiczny, niż żeby

nie było żadnego. Dobrze, co prawda, że Antologia Bosquet'a ma tekst oryginału, bo jego przekłady wierszami nie są.

Wracam do szczególnego nastawienia francuskich poetów, które wyraża się np. u Bosquet'a upartym odrzucaniem utworów wykraczających poza kanony nowoczesnej liryki. Amerykanom ten strach przed „nieczystością” jest obcy. Obcy jest też Polakom — ich nie gnębi śmieszność jakiegoś Victora Hugo i nie ostrzega przed „prozaizmem”.

Antologia zrobiona przez Polaka byłaby zupełnie inna — zapewne umiałby uwzględnić inny nurt, przypominający mu erę stanisławowską.

Ponieważ dotknęliśmy lęku przed retoryką, szkoda, że nie ma w antologii pewnego wiersza Conrada Aikena, tym bardziej godnego wzmianki, że zawiera w skrócie przygody literackiej awangardy — od Rimbaud'a. W buncie przeciwko retoryce są jakby dwa pietra i obawiać się można, że wielu (przede wszystkim Francuzów) zatrzymało się na pięttrze subiektywnym — u Aikena jest już jakby bunt przeciwko buntowi (dość dialektyczny). Poza tym wiersz jest ciekawy, jako że podkreśla związek Amerykanina z francuską „macierzą” kulturalną.

RIMBAUD I VERLAINE, DWAJ CENNI POECI

*Rimbaud i Verlaine, dwaj cenni poeci,
Geniusz w nich obu (co to geniusz?) grają
W szachy oparci o stół w gospodzie
A kwiat kasztanów prószy w jasne piwo,
Spada na włosy, na laufra i wieżę.
Słońce kwadraty tnie na szachownicy,
Cirrus na niebie, kwiczenie muzyki
Z obitych skórą oddrzawi St. Sulpice.*

*Miedzy ruchami klóć się o spondej,
Anakoluton, jamb i samogłoskę,
O Boga — parwia i anioły — parwie
I jego służbę, parwie lśniących gwiazd.
O losie, Plato jak go lubił, mówią,
Jak mu Sofokles dawał gniew i podziw,
Jak nim się bawił, kochając, Sokrates.
Verlaine postawił figurę na liściu,
Zamyka oczy, oczy nieuczciwe,
Powiada: „Jedno jest ważne, Rimbaud:*

Weźmy retorykę i skrećmy jej kark!"
Rimbaud rozważa, przesuwając królową
I wycofuje się sam do Timbaktu.

I Verlaine umarł — czerni, liliowość na nic.
I Rimbaud umarł, w Marsylii, z wizjami.
Nogę odcięto, jak raz przedtem serce.
A wszystko kiedyś opowiedział lokaj
Którego cnotą jest spóźnienie w czasie.

Opiszmy wieczór tak tylko jak jest,
Gwiazdy na niebie tak tylko jak są.
Verlaine i Szekspir, niech gdzie leżą, gniją.
Pamięć Rimbauda jest sprawą niczyją.

Ład mieszka w rzeczach i logika w mroku,
Układ w atomie i w iskrze i w oku,
Czas w sercu, w głowie kolejność codzienna —

Zgniotła Rimbauda, zbłaźniła Verlaine'a.
A wtedy boskość weźmiemy za gardło
Zdusimy ją, a z nią, retorykę.

Odgadywanie sensu zostawmy czytelnikom. Jak zwykle w poezji, sens jest niejako na pograniczu, tutaj na pograniczu ironii i nie-ironii, bo nieugięty porządek świata (los) jest akceptowany i nie-akceptowany. Natomiast przekład pozwala na kilka uwag. Oryginał jest pisany białym wierszem, który, jeżeli we francuskim nie ma odpowiednika, to ma go w polskim. Jednak przy końcu zjawiają się rymy — a tak gdzie są rymy, zaczyna się szwindel. U Aikena „dark” rymuje się ze „spark”. „Mrok” to bardzo ładne, stare słowiańskie słowo i choć Młoda Polska je zajeżdżała, warto je przywrócić do honorów. Ale żeby otrzymać rym trzeba „iskrę” przesunąć i wprowadzić „oku”, którego nie ma w oryginale. „Brain” rymuje się z „Verlaine” i trzeba dodać — samowolnie choć zgodnie z sensem — przymiotnik „codzienna”. Oto dlaczego głosowałbym za przekładami tylko doślovnymi w wielu wypadkach.

Recenzja z antologii Bosquet'a jest tylko pretekstem. Brak jakoś okazji do pisania o tych problemach, odkłada się je ciągle na później. Ponieważ wspominałem o poezji jako świadomości współczesnego człowieka, usprawiedliwiony będzie jeszcze jeden przykład. Tłumaczenie tym razem jest dosłowne, ale inne nie byłoby możliwe, bo Marianne Moore nie używa tutaj ani rymów ani metrum, rozbija swoje zdania na okruchy.

CZYM SĄ LATA?

Czym jest nasza niewinność,
czym jest nasza wina? Wszyscy są
nadzy, nikt
nie jest bezpieczny. Stąd
odwaga: pytanie bez odpowiedzi,
śmiałe z wątplenie
Przyzywa, nieme, nasłuchuje, głuche. Więc to
w nieszczęściu, nawet śmierci
dodaje innym odwagi
i, przegrywając, wstrząsa nami
każąc być silnym? Ten
patrzy głęboko i jest rad, kto
wstępuje w śmiertelność
i w tym więzieniu wznosi się
ponad siebie jak
morze w przepaści, które chce być
wolne i wolne nie jest.
W swoim poddaniu
Odnajduje ciągłość.
Ten czuje mocno,
działa jak trzeba. Nawet ptak
co ogromnie śpiewając, prostuje
mu plecy. Niewolny,
jednak potężnym śpiewem opowiada,
że nasycenie jest
niskie, że czystą rzeczą jest
radość.
To jest śmiertelność,
To jest wieczność.

Owszem, jeżeli ktoś chce, może to przepisać jednym ciągiem i do tak normalnie ułożonych zdań zastosować swoje lektury Tao, polskich Chasydów, Bubera czy Jaspersa. Nie zmienia jednak w rozprawę wiersza, będącego ze swojej istoty tylko próbą komunikacji.

Bosquet myli się, zarzucając poezji amerykańskiej brak troski o formę: „nie ma ona ani różnorodności ani doskonałości formalnej (tego jej brak najbardziej) jakie są właściwe poezji francuskiej” — powiada. Jest to błąd perspektywy, ten sam jaki popełnił pewien paryski krytyk zaopatrując wykrzyknikiem *sic!* czyjeś zdanie: „wielki poeta Kaukazu Szota Rustawelli” co mnie, przyznam się, rozwścieczyło, bo niewiedza krytyka nie może służyć za miarę wszechrzeczy. Zdanie Bosqueta jest o tyle poży-

teczone, że idzie wbrew rozpowszechnionym opiniom o „formalistycznym” charakterze amerykańskiego eksperymentu. Tak więc oba te sądy niwelują się znakomicie. W istocie dążenie do *na-*gości języka u niektórych amerykańskich poetów nie jest bynajmniej lekceważeniem formy — tak jak nie jest w Polsce u Tadeusza Różewicza (oby wyzwolił się z okropnej słodkawej manier w jaką go wpędzili!) i u nowych poetów emigracyjnych. Czyżby wiersz Czaykowskiego, jednego z najmłodszych dzisiaj polskich poetów, drukowany w „Kulturze” (marzec 1956) był mniej piękny przez to że nowoczesne rygory (metaforyczność) nie są zachowane? Zaczyna się, jak pamiętamy, tak:

*Urodziłem się tam.
Nie wybierałem miejsca.
Chętnie bym się urodził po prostu w trawie.*

Jeżeli wiele odmian prostoty wpędza francuskiego poetę w panikę, nie jego trzeba winić, ale „permanentną rewolucję”. Choć niektórzy, jak Pierre Emmanuel, Francuz niewątpliwy, winią:

*Ces Harlequins de non-sens
Parlent en soufflant des bulles*

W antologii Bosqueta figuruje jeden utwór Delmore Schwartza, zgodny z wyobrażeniem o tym „czym liryka być powinna”. Osobiście i tutaj wybrałbym co innego, bliższego barwie lokalnej, życiu, ironii: „Balladę o dzieciach cara”. W skrócie zawiera ona dzieje rodziny niejednego amerykańskiego poety, którego przodkowie wywędrowali z ghett Polski, Ukrainy czy Besarabii. Nie ma tu rymów, mało metafor, ale rzecz ma szorstki wdzięk i wiele przemyślanego sensu — choć sensu tego nie dałoby się zapewne przetłumaczyć na prozę.

BALLADA O DZIECIACH CARA

I.

*Bawiły się dzieci cara
Piłką skaczącą*

*W majowy ranek, w ogrodzie cara,
Rzucając ją sobie z rąk do rąk.*

*Upadła pomiędzy klomby
Czy koło północnej bramy.*

*Wisiał na niebie księżyc,
Dzienny, łysawo-blady.*

*Jak twarz tatusia, powiedziała siostra
Ciskając białą piłkę.*

2.

*Jadłem pieczony kartofel
Sześć tysięcy mil stamtąd*

*W Brooklynie, w 1916,
Dwuletni, irracjonalny.*

*Wtedy Franklin D. Roosevelt
Był reklamą kołnierzyków Arrow.*

*O Mikołaju! Niestety! Niestety!
Kaszał mój dziad w twojej armii.*

*Schował się w beczkę śmierdzącą winem
Na trzy dni w Bukareszcie.*

*Potem wyjechał do Ameryki
Bo sam chciał zostać królem.*

3.

*Ja jestem ojcem mojego ojca,
Winą swoich dzieci ty jesteś.*

*Groza i litość historii,
Dziecko jest znów Eneaszem.*

*Troja w dziecinnyim pokoju,
Koń na biegunach w ogniu.*

*Praca dzieci! Tak, niosą
Ojców swoich na plecach.*

*Widząc, że wiele minęło,
Że dzieje nie mają względów*

*Dla jednostki co pije herbatę
I łatwo dostaje kataru*

*Upowszechnijmy gniew:
Nienawidzę abstrakcyjnej rzeczy.*

4.

Brat i siostra podbili
Nieszłomną piłkę skaczącą.

Drapieżne słońce padało
Jak miecze na ich zabawę.

Na wschód szło między gwiazdami
Tam gdzie luty i gdzie październik.

Im gładził wietrzyk majowy
Policzki, jak dotyk matki.

Jeżeli bić się będą
Wydzierając piłkę skaczącą

I siostra uszczyźnie brata
I kopnie ją w kostkę brat,

Cóż! Znamy serce człowieka:
Ono jest kwiatem kaktusa.

5.

Ziemia odbija piłkę,
Jest inną piłką skaczącą.

Kołuje, wiruje świat,
Nikommu nie jest po woli.

Kręci się w swojej ciemności
Za wielki na ich ręce.

Bezlitosna, bezcelowa Rzecz,
Samowolna i nieużyta.

Nie dla zabawy, nie dzieciom,
Goniąca tylko siebie.

Niewinni będą schwytani.
Niewinni nie są niewinni.

Ojcami są swoich ojców.
Przeszłość nieunikniona.

6.

A ja, w ten inny październik
Naszej gwiazdy tragicznej

Przeżywam swój drugi rok,
Zjadam pieczony kartofel.

Mój masłem podlany świat
Pchnięty niewprawną ręką

Leci z fotela w dół,
Zaczynam ryczeć.

Widzę jak toczy się piłka
Pod zamkniętą bramę żelazną.

Płacze siostra i ryczy brat,
Piłka umknęła ich woli.

Nawet skacząca piłka
Jest nie do skontrolowania,

Leży pod murem ogrodu.
To groza, kiedy pomyśle

O ojcach mojego ojca
O mojej własnej woli.

Mam nadzieję że w zacytowanych wierszach i fragmentach
czytelnik odnajdzie jakiś wspólny element, łatwiejszy do wyczu-
cia, niż do nazwania słowami.

Czesław MIŁOSZ

Człowiek o siedmiu twarzach

I

słowo o narodzeniu

*Któryś wynurzył się z matki,
niby z krateru wulkanu
lub morza u stóp Helespontu
co gra jak człowiek gdy kona
na ostrzu włócznie przyjaznej,*

*który odwiedzasz mnie nocą,
śpiącego z czołem miedzianym
a jesteś gwiazdą białą
wiodącą do przystani*

*a jesteś laską białą
wiodącą do przystani
gdzie ciężko błyszczy woda,*

*wyznaczam ci spotkanie
na placu Siedmiu Krzyży.*

*Noc ciężką szatę Chrystusa
noc podzielimy na dwoje.*

*Niechaj cię Bóg prowadzi
ja pewnie tutaj zostanę
nie chcę jej dźwigać z tobą,
więc na pewno zostanę.*

*Tylko zaznacz spotkanie
zaznacz nożem
na dziesięciu tablicach
na dziesięciu kamiennych tablicach
dłoni.*

rozważania

Jeśli bym ugryzł w usta —

*lecz mierzą mnie twoje usta
może skrecone i lepkie
jak białe oczy ślepców.*

*Więc spotkamy się nocą
na placu Siedmiu Krzyży,
każdy ze swoim ciężarem*

*przyginającym do ziemi.
Jeżeli spojrzysz mi w oczy
odwrócę wstydliwą głowę,
jeżeli spojrzę ci w oczy
odpłyniesz głową w dół.*

weswanie

*Którzy nie rozumiecie słów moich,
nie wściekcie mnie bracia;
noc przepłynęła przez nie
nie przekreślisz głową nocy.*

2

słowo o ludzkim cierpieniu

*Których poczęły matki,
wyjące Sury drapieżne
co dłońmi okrywają oczy
pruły nieboskłon siny
i wiatr łapały w nozdrza
legawe suki tragiczne
czy nie zobaczą dymu
czarnych chmur nad Oświęcimem,*

*wyznaczam wam spotkanie
na placu Siedmiu Krzyży.*

*Zapiszcie je drutem
zapiszcie drutem miedzianym
na czołach.*

*Jeżeli w słodkich ogrodach
słonecznej Nagasaki
drobne kwiaty konwalii
kładały się małe dziewczynki
niby zwęglone patyki
którymi dzwonią wiatry
wiejące od Peloponezu,*

w e z w a n i e

niech winni nie ujrzą słońca.

3

słowo o spotkaniu z człowiekiem

*Plac jak noc
noc jest pusta
żółty krąg latarni*

*usta drżą
(pewnie śmiech)
kreślisz krąg
krąg jak noc
nie ogarniesz.*

*Twoja ręka
zataczająca bezradny krąg
jest wiankiem ruty
wiednącej na ramionach krzyża.*

*Twoje skamlące usta
są jak obwisłe sutki
przeraźliwie głodnej.*

r o z w a ż a n i a

*Wprowadziłem cię w nastrój nocy
w jałowe wnętrze placu
więc drżysz,
ale gdy minę
zostaniesz sobą
i nikt nie zdoła cię dźwignąć,
nawet skrwawieniem warg.*

w e z w a n i e

*Omijajcie place,
które są przedłużeniem księżyca.*

*Niechaj niepokój nocy majowych
będzie wam obcy,*

*i obce niech będą rozmowy
ze sobą.*

4

słowo o odpływie głowy

*Stoimy na placu
moje oczy w tobie,
moje oczy przez ciebie.*

*Rozwiązujemy szelest
pochylającej się głowy,
odprowadzamy wzrokiem
powolny jej odpływ.*

*Niby cis
wielki wiatr przegina*

*burlak
splata przeciąga splata
barkę i dal*

*wielki wąż
(może boa
pewnie boa)
drży w objęciu
miłosnym barwota.*

r o z w a ż a n i a

*Twoja głowa odpływa
ukośnie i w dół;*

*w wielkim napięciu,
może koloru krwawnika
lub berberysa.*

*Nie mogę powstrzymać
odpływu twojej głowy,
choć wabię jak wąż
szumię jak prostytutka.*

Nie mogę pochwycić
twoich tonących oczu,
choć tyś jak ptak
albo samotny nocą.

w e z w a n i e

Niechaj twój widok
nagrodzi ubóstwo
i ciekawość ludzi.

5

s ł o w o o l u d z k i m u b ó s t w i e

Na krawędzi światła
stoją mali ludzie.

Cierpliwe bociany
na krawędzi światła.

Zaraz zapłacimy
cenę ich ubóstwa.

Może ciekawości
jeśli się odwrócisz.

Na krawędzi światła
kłujący jak oset.

Prawie tak ciekawi
jak zęby wiewiórki.

Prawie tak łagodni
jak szpilki w kołnierzu.

Na krawędzi światła
stoją biedni ludzie.

r o z w a ż a n i a

W jaki kształt zakląć
rozpaczę żydowskich matek?

Jakim słowem ukotysać miauczenie
spalonych dziewczynek,
bolesnych jak polne dzwonki.
Symbol jest jak serwetka
pod brodą grubego mistrza.

w e z w a n i e

Niech więc
tragiczne
czarne
ślepe
ćmy
czy
nietoperze

6

s ł o w o o ś w i a d k a c h o s k a r ż e n i a

We włosach,
niby wieniec szeleszczących jezuitów
albo swąd palonego mięsa,
usiadły ćmy —
czyżbyki słonecznej Japonii.

Już przyleciały ciche ćmy,
już jest ich wiele,
wiozą miauczającą śmierć
i oczy jak popielec.

Ćmy ciemne —
chrząst płomieni.

Ponad głowę,
wciąż spływającą w dół
niby przepiórka,
jak nieudolny krawiec prują noc nietoperze

opadające płatki
dymów Oświęcima.

r o z w a ż a n i a

Będzie tragedia w stylu antycznym.

w e z w a n i e

Zmyjcie mu z twarzy
śmieszny porwag.

Zetrzyjcie z ust
słowa o racji.

Wypalcie na języku
frazes: wszechobecność Boga.

słowo o wtórności wydarzeń

Plac jak noc
noc jest pusta
żółty krąg latarni

usta drżą
oczy szklą
kreślę krąg
krąg jak noc
nie ogarnę.

rozważania

Właściwie powinienem odejść.
Wcisnąć się między ludzi
i klnąc z ciekawości
wydłużać szyję
ponad ramiona sąsiadów.

Jeśli zostaję
niepowoławszy cię do życia
prostym skrwawieniem warg,
to jedynie przez słabość.

Wiem, że ci dobrzy ludzie
stojący wokół nas,
są może nieco bezduszni.

Chcę zobaczyć
jak ćma znosi błysk szpilki
łamiącej kręgi karku.

A jeśli kolekcja owadów...

wezwanie

Przyjacielu

obaj jesteśmy

więc nocy

nie dzielmy

na dwoje.

Jerzy S. SITO

Siedem mieczy bolesnych

Jerzemu Z.

PROLOG

Gdzie ławousty archaniół
wydarł z ciała kobiety
siedem mieczy
i w ziemię wbił
głodną,

noc jak krzyk albatrosa
w siedmiu skałach zblakany
wokół morze zielone
piasek ciało optywa

ślepe dłonie poety
z pustki nocnej wysnuły
ciało gorzkie jak przedzę,
przedzę lekką jak morze
zielone.

Wysnuł tkacz doskonały,
dłońmi wysnuł ślepyimi.

Więc spróbuję opisać
to misterium przedziwne
prawdziwe.

MISTERIUM

A więc przede wszystkim włosy,
skrzypiące cumy, na których
dnie niespokojne jak mewy
pod wiatrem dmącym
trzepocą —

na cumach statki tęskniące,
nawy szalone i słote
nurt Acheronu obmywa.

Jak silne są włosy
kobiety.

Twarz miał wyciętą w nocy —
jak bzy w ogrodzie sąsiada
kiedy ku niebu ją wznosił
zbryzgany mlekiem miesiąca.

A więc przede wszystkim oczy
zielone perły wydobyl,
na liściu nenufara
na dłoni płaskiej słożył,
ku oczom niósł je białym.

Te światła gestniejące,
we mgle jedyne światła,
uważnie i w skupieniu
rozcinał mieczem warg.

A więc pięciolistne ramiona,
i burzę piersi wspaniałych,
i kolan nawy wyniosłe —
dorodne delfiny wysnuł.

EPILOG

Noc jak ła archaniola
nad boleścią kobiety,
wokół pustka i morze,
szumi morze zielone.

W białym mleku miesiąca
ślepe dłonie poety.

Płyną nawy szalone
piasek ciało pokrywa
w siedmiu skalach zblakany
Acheron — krzyk albatrosa.

Jerzy S. SITO

Deszcz na ulicy Ormeley

Pada.

Na płotach koty jak czarne klarnety
zauroczył zmierzch.

Jeżeli idziesz ulicą Ormeley
zamknij oczy.

Pada deszcz.

Jeżeli oczu nigdy już nie otworzysz
powiedz: trudno...
i nie będziemy o to kruszyli kopii.

Lecz jeśli przejrzysz, zobaczysz przystań cichą
i latarnię, gwiazdę ulicy Ormeley.

Pada deszcz na ulicę.

Jeżeli zamkniesz tylko lewe oko
latarnia wystrzeli słupem.

Pielgrzymie
uchyl kapelusza:
w tym słupie mieszka pan bóg ulicy Ormeley.

Jeżeli zamkniesz tylko prawe oko
wyprysną z niej gołe druty.

Tak nieprzytomny starzec
otwiera nad śmietnikiem zardzewiały parasol.

Ale to wszystko nieprawda...
deszcz pada...
i wiersz muszę zacząć od nowa:

Jeżeli idziesz ulicą Ormeley
nie zamykaj oczu.
Niech cię Bóg twój zachowa.

Przymruż je tylko chytrze
i na rzęsach zmrużonych
zagraj jak na grzebieniu.

A na dźwięk twoich rzęs
jak baletnice wybiegną z latarni promienie,
zakolysz się, zawisną
na gałęziach czarnej jodły
srebrnym włosem.

Bo dziwnym zrzędzeniem losu
opodal mojego domu
w sercu martwego miasta
wyszturza jodła czarna.

Kiedy wieczorem
w pielgrzymim Burberry
uzbrojony w tańczący parasol
w szumie i kląskaniu
(deszcz kląska na cymbałach kocich grzbietów)
z sercem pełnym powracam od ciebie,
zawsze idę ostrożnie:
trochę kot, trochę czapla,
wysoko podnoszę nogi.

A jeżeli przypadkiem
napotkam stopą omdlały promień latarni,
co jak anielski włos zwisa z jedliny,
jak akrobata balansuję ku górze
hen aż po czub tej jodły
opodal mojego domu.

Do godziny trzeciej,
czasem czwartej nad ranem
z wierzchołka ulicy Ormeley
hukam na koty i prostytutki,
skłócony z deszczem,
skłócony z sobą,
mijający ulicą Ormeley.

Kiedy już dobrze przemarznię,
wyfruwam z konarów,
z parasolem w zębach,
nocny ptak na spotkanie świtu.

Kochanie
wszystkie drogi prowadzą do Boga.

Więc jeśli runę
odmierzę różnicę czasu pomiędzy mną a Ikarem,
zbierz mnie i odnieś pod jodłę
opodal mojego domu,
abym w dzień zmartwychwstania
znalazł drogę do nieba.

Jerzy S. SITO

PRZESZŁO **1.000** EGZEMPLARZY

SPRZEDANO W CIĄGU 2 TYGODNI.

ZOFIA ROMANOWICZ **BAŚKA I BARBARA**

Cena egzemplarza frs 500, sh. 10/., dol. 1,50.

Zamówienia prosimy kierować do :

„LIBELLA” – Składnica Książek Polskich

12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris 4. (France)

Warunki sprzedaży :

We Francji książkę wysyłamy po wpłacie sumy frs 500 — na nasze konto pocztowe CC Paris 5651-50, lub za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze.

Do Belgii, Włoch, Holandii, Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Luksemburga oraz Austrii, książkę wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze, lub po otrzymaniu należności.

Do innych państw jak USA, Kanada, Brazylia itd., książkę wysyłamy DOPIERO po otrzymaniu należności, którą bez trudu można nam przesłać za pośrednictwem poczty — „international money order” — na nasze konto pocztowe CCP Paris 9709-46 lub czekiem bankowym wystawionym na „Libella”.

Książkę można również zamawiać we wszystkich polskich księgarniach oraz u przedstawicieli polskich pism, jak również w księgarniach „Hachette”, jeżeli takowe są w danym kraju — podając adres „Libelli” jako wydawcy.

Książę niezłomny

Nigdy nie zapomnę tego dnia kwietniowego 1947 roku. Przed dwoma laty uciły ostatnie strzały wojny, Neapol wracał szybko do życia. Nic tak nie goi ran wojny, jak słońce Południa. Wystarczy podnieść oczy do góry, wtopić je w gorącą płytę nieba, ześlizgnąć się leniwym wzrokiem na pomarszczoną tarczę morza i zgubić nagle horyzont, by znaleźć się w świecie który nie zna praw zniszczenia i śmierci. Miasto przyklepione do wzgórz kolorowymi muszlami domów, prażone upałem, nabrzmiące tłumem i chwiejące się co pewien czas nierealnie w szklanym dźwięku dzwonów — gdzież tu miejsce na wspomnienie wojny?

Mieszkalem wówczas stale w tej części Neapolu, która nosi nazwę Posillipo. Posillipo oglądane z dołu, z nadmorskiej promenady, robi tylko wrażenie zielonej kotwicy miasta wczepionej w morze; ale przyjrzyjcie mu się dobrze z jakiegoś wysokiego „belvedere”, a zobaczycie Neapol podobny do olbrzymiego skorpiona, który zagiął swój włochaty i kolczasty ogon. Zajmowałem mały pokój w willi moich przyjaciół położonej u nasady tego kolca, na skalnym urwisku spadającym ku Marechiaro. Niedaleko stąd tabliczka wmurowana w ścianę jednego z domków głosi dwuwierszem poety neapolitańskiego dialektu Salvatore di Giacomo, że kiedy wschodzi księżyc nad Marechiaro, nawet ryby *fanno l'amore*. Morze jest tu rzeczywiście jaśniejsze niż w innych częściach zatoki, natura bujniejsza i dziksza, nędra mniej rzucająca się w oczy. Szare masywy skał, białe domki wychylające się z pożółklej zieleni palm, kaktusów i pinii, w pogodny dzień — przezroczysty prawie lazur nieba. Nocą księżyc wisi na aksamitnym pułapie jak lampion i swoim sztucznym światłem obrysowuje kontury przedmiotów, zagęszczając jednocześnie ich kolory. Zresztą — któż opíše dobrze Posillipo! Nawet malarze łamali sobie na nim pędzle: w XVIII wieku

zwłoszczony Holender Van Vittel nie potrafił tu stworzyć nic więcej niż „vedutismo”, w XIX wieku Gigante i Pitloo założyli tu „Szkolę posillipską”, która na wszystkie następne pokolenia rzuciła błady „strach przed widokówkami — *paura delle cartoline*”.

Owego dnia obudziłem się z nieznosnym uczuciem, że życie płynie obok mnie. Nie wiem czy znacie to uczucie: nachodzi ono zazwyczaj ludzi których spotkało wielkie nieszczęście, a przyroda przygląda się ich bólowi z tym większą obojętnością, im bardziej chcieliby w niej zobaczyć płaczkę żalobną. Na Południu jest coś w niebie, morzu, słońcu, powietrzu i drzewach, co nie dopuszcza cierpienia, nie daje czasu na obejrzenie się wstecz. Tutaj żyć, to biec naprzód, biec bez wytchnienia, nie przystawać ani na chwilę, nie oglądać się za siebie, płakać nawet w biegu. Nie darmo w Neapolu pogrzeby przypominają spieszne orszaki, zmarłych oplakuje się szybko i obficie, a cmentarze nie należą do miejsc często odwiedzanych. Nie darmo też ci którzy nie chcą dać przyschnąć swoim ranom, zatrząskują drzwiami od życia na wiele dziesiątków lat, jak tu się chętnie mówi — *si rinchiudono in casa*, zamykają się w domu. Nie jest to kraj ludzi wierzących w ukrytą wartość buntu: albo idzie człowiek wraz z własnym losem dalej, albo zamyka się w domu.

Śmieszne może się wydawać to wiązanie przyrody z życiem ludzkim, a jednak tak to wówczas odczułem. Leżałem tego ranka na łóżku i pęczniejące za oknem słońce, śpiew ptaków, nawoływanie się rybaków, śmiech dzieci a nade wszystko miarowe uderzenia morza o przybrzeżne kamienie ostrzegły mnie nagle, że zamknąłem się w domu. Około południa poszedłem do portu i przesiedziałem parę godzin w pobliżu moła przyglądając się okrętom, które stąd właśnie uwiozły przed rokiem większość moich towarzyszy broni do Anglii, a drobną część do Polski. Wreszcie, pod wpływem jakiegoś niejasnego impulsu, kupiłem bilet na Capri. Zdążyłem jeszcze na ostatni popołudniowy statek.

2

Mniej więcej w połowie zatoki, kiedy znika z oczu wyraźny zarys Neapolu a nabiera ostrości półwysep sorrentiński i wieniec wysp, podróż na Capri staje się wycieczką poza granice rzeczywistości. Jest to martwy punkt, znany dobrze miłośnikom hus-tawki; statek zdaje się zawieszony na okamgnienie między lądem trwałym który obsuwa się wolno w głąb morza, a halucynacją przymrużonych na słońcu powiek, która wynurza się z głębi morza tylko przed oczami wyobraźni. I choć wkrótce potem Capri odsłania się w całej swojej materialnej dotykaności, ten akcent snu na jawie pozostaje do końca.

Z Marina Grande przeprawiłem się bocznymi ścieżkami do znajomego pensjonatu w Monetella, mniej zamieszkałej części

wyspy nazwanej tak dla dużej ilości znalezionych tu monet rzymskich. Wpisując się do książki gości, zauważyłem w niej nazwisko głośnego pisarza włoskiego Guido Battaglia, który po dwudziestu latach pobytu na emigracji wrócił pod koniec czterdziestego trzeciego roku z Londynu do kraju, do uwolnionego wówczas Neapolu, i odegrał później w Rzymie znaczną rolę w pierwszym roku „Liberazione”. Od pewnego czasu słyszało się o nim coraz mniej i mniej; teraz dowiedziałem się od właściciela pensjonatu, że pracuje tu od paru miesięcy nad nową książką a wieczory spędza przy jednym z licznych stolików Piazzetty.

Na Piazzettę było za wcześnie (słońce jeszcze nie zaszło), postanowiłem więc że najlepiej będzie zabić te dwie puste godziny spacerem na Monte Tiberio. Jest to jeden z najpiękniejszych spacerów na Capri, ale nigdy dotąd nie zdarzyło mi się wybrać nań wieczorem. Wspiąłem się w górę wąską dróżką między białymi domkami ukrytymi wśród kwitnących drzew owocowych, przystawałem co parę minut dla odpoczynku obok murku z szarych kamieni, który na zakrętach związany jest prawie zawsze dziwnymi zielonymi kokardami agaw. Cały czas towarzyszyło mi z lewej strony morze, przed zachodem słońca cudownie spokojne, wygładzone, lekko tylko drżące, jakby pokryte chmurą robaczków świętojańskich. Nie spotkałem po drodze nikogo. Gdy dotarłem do pierwszych schodów willi Tyberiusza obok ruin starej rzymskiej latarni morskiej, zapadł zmierzch.

U wejścia do willi Tyberiusza znajduje się kamienna tablica z napisem ze Swetoniusza: *Capreas se contulit praecipue delectatus insula quod uno parvoque litore adiretur septa undique praeruptis immensae altitudinis rupibus et profundo mari*. Wyspa, w tym miejscu naprawdę „zewsząd otoczona stromymi skałami bezmiernej wysokości i głębokim morzem”, nasuwała historykom wielokrotnie temat do rozmyślań dlaczego *tristissimus hominum* tu właśnie postanowił spędzić ostatnie lata swego życia. Może nie tak trudno odgadnąć dlaczego. Istnieje tajemniczy, pociągający urok przepaści i przez długą chwilę nie mogłem mu się oprzeć, patrząc ze szczytu „bezmiernej wysokości” skały na biały wrzątek morza tuż u jej stóp. Jeżeli można mówić o smutku i dumie samotności, to dzięki takim miejscom jak willa Tyberiusza na Capri. Umierał tu człowiek pełen niechęci do świata choć był jego władcą, zżerany powoli (jak twierdzi pewien hiszpański uczony) chorobą *resentimiento*, pogrążony w bezgranicznej samotności ducha, odcięty od przeszłości i przyszłości, powtarzający — według kronikarzy — że nie pamięta kim był niegdyś i że po jego śmierci ogień może pochłonąć ziemię.

Było cicho i zdawało mi się że w tym kotłownisku u podnóża skały rozróżniam poszczególne uderzenia fal. Zachód rozciągnął na niebie między Capri a Ischią chłodną smugę czerwieni. Wspiąłem się jeszcze wyżej, na sam wierzchołek Monte Tiberio, gdzie nad ruinami willi imperatora zbudowano mały kościółek z typ-

wym w tych stronach wielokopulastym, arabskim dachem, i postawiono wysoką kamienną Madonnę, odpychającą rękami od wyspy gwałtowne burze. Powiał lekki wieczorny wiatr, który zmywał do kredowej białości ściany kościoła i posąg. Na zwietrzałych kamieniach moje buty miały dźwięk drewnianych trepów.

Jest chwila gdy Capri zapala się nagle wszystkimi światłami i można by wówczas pomyśleć, że to rybacy rozwiesili na noc niewód pełen martwych za dnia gwiazd. Tutaj było ciemno. Tylko w odległości jakichś trzystu metrów od szczytu zapłonęło jedno okno w samotnej willi. Schodząc w dół, zboczyłem trochę, zatrzymałem się przed nią i z trudem odczytałem zatarte litery na kolumnie bramy: *Villa Scorpione*. Zbliżały się najlepsze godziny Piazzetty.

3

Jeżeli przyjedziecie na Capri nawet na jeden dzień, zorientujecie się czym jest w życiu wyspy Piazzetta. Nie to że nie możecie jej w żaden sposób ominąć, że tu jest stacja „Funicolare” z Marina Grande i autobusów na Anacapri, że tutaj kupuje się gazety i pije najlepszą kawę, że tu wstępuje się do biura turystycznego, odnajduje zgubionych przyjaciół i ogląda piękne kobiety. To wszystko jest ważne, ale nie oddaje jeszcze w pełni charakteru Piazzetty. Piazzetta jest sercem wyspy w dosłownym tego słowa znaczeniu, pompuje krew ze wszystkich i do wszystkich jej arterii. Chcecie się bez większego wysiłku dowiedzieć co się dzieje na Capri? Posiedźcie parę godzin przy stoliku jednej z trzech kawiarni Piazzetty. Nikt wam tego nie opowie, ale oswoicie się szybko z twarzami, zaczniecie je coraz lepiej rozpoznawać, znajdziecie klucz do stosunków między ludźmi i przy odrobinie wyobraźni życie wyspy stanie się dla was równie czytelne jak mapa wyspy sprzedawana tu w wszelkich możliwych wariantach — na małych kolorowych kafelkach, na dużych płytach stolikowych, na chustkach i koszulach. Nie trzeba zresztą tej wyobraźni za wiele: życie Capri ma w sobie jakąś nagą i bezwstydną swobodę — rzeczy szepcane zazwyczaj na ucho mówi się tu śmiało, na głos i ze śmiechem, zdrady małżeńskie projektuje się na oczach tłumnie zgromadzonej publiczności, najciekawsze plotki słyszy się wprost z ust zainteresowanych przy sąsiednim stoliku, znajomość nawiązuje się nie wstając z krzesła. Nikt, kto mieszka stale lub przyjechał tylko na krótko na Capri, nie poskąpi paru godzin dnia zaklętym rewirom Piazzetty. Kiedy znalazłem się tu po raz pierwszy w życiu, jakiś przystojny ale siwiejący już pan tracił młodą kobietę, która przeglądała tygodniki w kiosku. „Wielkie nieba — krzyknęła rzucając mu się na szyję — Franco! Jesteś tu sam? Bez żony? Na pewno?” Jest w tym wszystkim jakieś nieskrępowane niczym szaleństwo południowego wiatru, różowego moc-

nego wina, tropikalnego słońca i chłodnego morza, które tak dobrze opisał Norman Douglas w swoim „South Wind”. Sam Douglas umarł niedawno po czterdziestu spędzonych na Capri latach, do ostatniej chwili uczepiony codziennie Piazzetty w coraz bardziej nietrzeźwym stanie.

Piazzetta zbudowana jest tak, że robi wrażenie małej sceny teatralnej. Z trzech stron otoczona jednopiętrowymi kamieniczkami; czwarty bok, trochę w głębi, wznoszący się ku górze kamiennymi schodami które prowadzą do kościoła, rzecz by można — to wtedy aktorzy schodzą z wyższej kondygnacji; między tym bokiem ze schodami a ścianą zasłaniającą stację „Funicolare” otwór wylotowy z pięknym horyzontem teatralnym, zamkniętym w oddali skalistym przedprogiem Monte Solare, Góry Słonecznej; wąskie schodki ze stacji „Funicolare” wprost na Piazzettę — wtedy aktorzy wychodzą z podziemi scenicznych; w ścianie na przeciwko kościoła brama i pasaż a zaraz obok, na rogu, korytarz uliczki z łukowatym sklepieniem — dwie łączące się później drogi do Monetelli, idealne wyjścia zza kulisów; cały plac, z wyjątkiem niezbyt szerokiego przejścia, zastawiony stolikami trzech kawiarni; parę drzew w jednym kącie sceny i fasady kamieniczek jak z pomalowanego kartonu. Wszystko mikroskopijne, nawet kawałek nieba w górze.

Punkt kulminacyjny życia Piazzetty utrzymuje się na niezmiennym poziomie w ciągu dwóch godzin przed dziesiątą wieczorem. Trudno wtedy znaleźć wolne krzesło przy stoliku i trzeba nieraz długo czekać w tłumie spacerującym w miejscu na deptaku przejścia. Tego wieczoru było mniej nadziei niż kiedykolwiek i zamierzałem właśnie po półgodzinnym bezowocnym czekaniu wracać do pensjonatu, gdy nagle moją uwagę przykuł niezauważony dotąd przy jednym z dalszych stolików sławny Battaglia. Czytał książkę i zdawał się nie widzieć swoich sąsiadów i nie słyszeć ich hałaśliwych rozmów. Jego twarz, którą znałem z wielu fotografii, była zamyślona, zupełnie nieobecna i jakby trochę obolała. Mimo skończonej zaledwie pięćdziesiątki zestarzał się bardzo, ale opalenizna nadawała jego pomarszczonej cerze odcień zdrowej czerstwości. Niewysokiego wzrostu, raczej szczupły i odrobinę zgarbiony, z charakterystycznym szerokim wąsem, siwą czupryną i w złotych okularach, wyglądał na profesora gimnazjum który przyjechał tu bez rodziny na kilka dni wypoczynku z Neapolu. Zmieniłem mój zamiar powrotu do pensjonatu i obserwowałem go oparty o drzewo. Po kwadransie z wolnito się krzesło przy najbliższym mojemu posterunkowi stoliku.

Około jedenastej zaczęło się wyludniać. Tylko w moim sąsiedztwie zostało jeszcze parę zajętych stolików, a w kącie obok szyby wystawowej kawiarni siedział samotnie, nieporuszony i zacytany, Guido Battaglia. Z wybiciem pełnej godziny odezwał się dzwon kościelny, napieniając Piazzettę czystym echem, i jednocześnie na schodach z górnej kondygnacji pojawiła

się jakaś postać. Było to wejście prawdziwie teatralne. Nieznajomy schodził w dół wolno, opierając się na lasce i przechylając przy każdym stąpieniu długi tułów do przodu, a w całej jego sylwetce — zwłaszcza w pięknej wykutej z marmuru głowie o bladej twarzy, cienkim orlim nosie, nieruchomym spojrzeniu i zaciśniętych ustach — było coś budzącego mimowolny respekt. Miał lat nie więcej pewnie niż sześćdziesiąt pięć i biła od niego szlachetna duma. Gdy szedł teraz w kierunku stolika Battaglii, powieki jego oczu opadły lekko i zobaczyłem na chwilę żywą maskę, pośmiertną. Wśród otaczających mnie gości rozległy się szepty *il principe costante, il principe costante*, niektóre w tonie szacunku, inne z nutą drwiny.

— Płacić — zatrzymałem przechodzącego kelnera. — Kto to jest? — dodałem ciszej, wskazując głową w kierunku stolika Battaglii. Domyślił się od razu o kogo mi chodzi.

— Książę Gaetano Santoni — odpowiedział. — Jaki diabeł, *che diamine* — wzruszył ze zdumieniem ramionami — sprowadził go dziś na Piazzettę? Czy pan wie — zwrócił się do mnie — że po wojnie widziałem go tu wszystkiego może ze dwa trzy razy? Przez dwadzieścia lat faszyzmu siedział zamknięty w domu.

— Nie ruszył się po upadku faszyzmu z Capri? — zapytałem z bijącym sercem.

— Na parę miesięcy. Potem wrócił i zamknął się znowu w domu.

— Gdzie?

— Niedaleko Monte Tiberio. Villa Scorpione. Mieszka tam z dwudziestoletnim synem. Żona mu umarła kiedy dziecko zaczęło ledwie chodzić. Ładny chłopak, ale też postrzelony jak ojciec. — Spojrzał w stronę stolika w kącie i westchnął do siebie: — Nie zamknijemy dziś tak szybko kawiarni, jeśli doktor Battaglia zaczął mówić...

Wielki pisarz tłumaczył coś zżywieniem swemu towarzyszowi, pomagając sobie wahadłowym ruchem dłoni, a książę słuchał go uważnie z przymkniętymi oczami.

4

Niezwykłość sceny której byłem świadkiem nie polegała jedynie na tym, co tak oszołomiło kelnera z Piazzetty. Pewnie, zdumiewające było w ogóle to że książę pojawił się nagle w unikającym dotąd tak skrupulatnie miejscu wyspy: wstąpił nieprzejednanego przeciwnika faszyzmu do Piazzetty oblepionej w ciągu dwudziestu lat rządów Mussoliniego jego „hierarchami” był powszechnie znany i mógł się rozciągać nawet na ów rok 1947, w którym na Capri wróciła w otoczeniu wiernego i niezbyt „epuracja” uszczuplonego dworu Edda Ciano, a w trzech kawiarniach zapanowała znowu — tym razem raczej żałobna niż zwycięska — moda czarnych koszul męskich i czarnych szali

kobiecych. Ale jeszcze bardziej, stokroć bardziej zdumiewające było to, że pojawił się tu by rozmawiać ze swoim wrogiem. Gaetano Santoni i Guido Battaglia w przyjaznej pogawędce — nie do wiary!

Ich wzajemna niechęć była tematem rozmów, komentarzy i plotek pierwszego roku pofaszystowskich Włoch. Battaglia, którego krążownik angielski wysadził na Capri wkrótce po *armistizio*, nie złożył wizyty księciu twierdząc że jego długa *splendid isolation* była możliwa tylko dzięki majątkowi oraz więzom pokrewieństwa łączącym bogatego eremita z rodziną królewską, niczego nie ryzykowała, nie miała nic wspólnego z oporem szero- kich mas, odbywała się w idealnej i luksusowej próżni poza granicami kraju; więcej nawet — to zamknięcie się w domu dawało zdeorientowanej zagranicy do ręki łatwy i szkodliwy dowód, że pod rządami faszyzmu można było spokojnie żyć i pracować hołdując innym przekonaniom i nie mieszając się do polityki. Dziwne oskarżenie — miał na to odpowiedzieć w gronie przyjaciół Santoni — w ustach tego, który opuścił Włochy, płakał nad ich losem w swoich książkach w dalekim Londynie, pisał memoriały które wypełniały kosze zagranicznych kancelarii dyplomatycznych, zaplątał się w jałowy aktywizm wszystkich *fuorusciti* oderwanych całkowicie od kraju i żyjących w państwach gdzie ani rządy ani społeczeństwa nie doceniały groźby faszyzmu, gdy tutaj żyło się z ręką na pulsie narodu i codziennie najdrobniejszymi nawet aktami oporu stawiało się czoło tyranii; im bardziej szalała burza, tym więcej warta była płonąca samotnie i urągająca spienionym bałwanom latarnia morską w pobliżu Monte Tiberio.

Był to więc pojedynek o palmę pierwszeństwa dwóch rywalizujących ze sobą arystokracji antyfaszystowskich, z których jedna broniła sensu wygnania z kraju, a druga sensu wygnania w kraju.

Nie sądzę aby nazwę „księcia niezłomnego” zawdzięczał Santoni treści dramatu Calderona i aby ci co go tak ochrzcili pamiętali dobrze dzieje rycerskiego Portugalczyka Don Fernando, który wołał umrzeć w niewoli niż wzamian za swoje życie oddać w ręce wyznawców Mahometa miasto podbite przez znak Krzyża. Myślę raczej, że przylepił się do niego sam tytuł dramatu, jak to często bywa z używanymi przez wiele lat tytułami arcydzieł poezji gdy zawierają najłżejszą choćby aluzję do żyjących osób. Książę Gaetano był tylko formalnym synem Kościoła, wychował się w rodzinie znanej z antyklerykalnych tradycji *Risorgimenta* i pomawianej o ścisłe związki z masonerią, a do od- dania nie miał nic poza swoim świetnym nazwiskiem i królestwem niezależnej myśli. Ale są u Calderona dwie sceny, spokrewniające nieco bliżej portugalskiego księcia z bohaterem naszej opowieści. Jedną, w której Don Fernando zwraca się do córki króla Fezu: „Wcześniej wstają róże by zakwitnąć; i zakwitają by się zestarzeć: w tym samym kielichu znajdują swoją

kołyskę i swój grób. Taki jest los ludzi: w jednym dniu rodzą się i umierają; gdyż stulecia, kiedy już przeminęły, są jak go-dziny". Druga, w której król Fezu tak mówi o swoim książę-cym niewolniku: „Jeśli, by dochować wierności i lojalności swo-jej wierze cierpi on tak długą i ciężką karę, nie ja jestem okrut-ny wobec niego lecz on sam jest okrutny wobec siebie. Nie jest-że w jego mocy wyjść z tej nędzy i żyć?" Gdy chodziło o zachowanie godności i wewnętrznej wolności ducha, lata pły-nęły dla Santoniego jak godziny, i było na pewno w jego mocy wyjść w każdej chwili z honorami z pustelni na Capri i żyć.

Historię tych dwudziestu lat spędzonych w pustelni capryj-skiej znałem z własnych wspomnień księcia, które ukazały się nazajutrz niemal po wyzwoleniu Neapolu i były przez pewien czas najpoczytniejszą książką we Włoszech. Muszę tu od razu wyjaśnić pewien drobniaczek, by uniknąć ze strony przesadnie w ta-kich wypadkach uważnych czytelników oskarżenia o nieścisłość. W przeciwieństwie do większości książek tego typu, w *Venti anni di tempo perduto* (tak się nazywały pamiętniki Santoniego) nie było ani jednej ilustracji: autor i jego pustelnia występowali bez podobizny fotograficznej, a willa nawet bez imienia. Podob-no w recenzjach z książki gazety, a zwłaszcza tygodniki, wyrów-nały ten brak z grubą nawiązką (dowiedziałem się o tym znacz-nie później); jedyna którą czytałem (pióra Guido Battaglii) nie nadawała się naprawdę do okraszania fotografiami. Tym się tłumaczy fakt że nie rozpoznałem od razu sam księcia i jego willi, i mam nadzieję że pedanci pozwolą mi teraz ciągnąć moją opowieść dalej.

Wspomnienia Santoniego były książką dnia w smutnym tych słów znaczeniu, meteorom który zabyłszy i zgasł natych-miast na zmiennym niebie aktualności, i dziś nikt ich już pew-nie nie pamięta. Tym bardziej więc warto je tu przypomnieć. Tytuł książki nawiązywał do proroctwa przypisywanego Nittie-mu, który po zwycięskim marszu czarnych koszul na Rzym miał jakoby powiedzieć: *Sarà per l'Italia una grande perdita di tempo* — „Będzie to dla Włoch ogromna strata czasu". Motto określało te „dwadzieścia lat straconego czasu" słowami z wiersza Carducciego: *Son la ruina d'un'onta senza nome* — „Są ruiną hańby bez imienia". Wstęp informował pokrótce o lo-sach autora w pierwszym roku „ery faszystowskiej". Książę Santoni, kawaler *medaglia d'oro* z wojny światowej, znakomity pisarz polityczny i wysoko ceniony amator-historyk sztuki, czło-wiek o wielkich walorach towarzyskich i kandydat na ministra oświaty, nie wahał się długo: z Florencji (w której podówczas mieszkał) przeniósł się wraz z żoną, ogromną biblioteką i pry-watną kolekcją obrazów do pustej willi rodzinnej na Capri. Było to oczywiście odruchowe, protestacyjne trząśnięcie drzwiami. Ale także coś więcej. „Zdawałem sobie sprawę — pisał — że dzięki okolicznościom, które nie zawsze zawdzięczałem własnym zasługom, oczy wielu moich inteligentnych rodaków skierowa-

ne są na mnie; chciałem aby w przyszłości te oczy odwracały się niekiedy od błazna z balkonu Palazzo Venezia i przymknięte, wywoływały w chwili zamyślenia pod powieką obraz willi na wyspie Mediterraneo i jej samotnego mieszkańca, któremu łas-kawy los pozwolił powiedzieć „nie". Była to jedyna forma wal-ki, jaką pozostawił mi dyktator. Wchodził wprawdzie jeszcze w rachubę wyjazd zagranicę, ale uważałem go za ucieczkę, za bezpłodny anachronizm z czasów Risorgimenta i porzucenie Włoch w okresie ich śmiertelnej choroby".

Dalej następowało kilkanaście pisanych z roku na rok roz-działów; na tle pilnie śledzonego rozwoju sytuacji we Wło-szech i na świecie rozbrzmiewał w nich dwudziestoletni blisko monolog polityczny, moralny i osobisty autora. Ileż tam było wspaniałych, dygocących od pasji inwektyw! Santoni widział nieuchronną katastrofę faszizmu („tego cyrku atletów o ptasich mózdkach i marsowym spojrzeniu, podnoszących ku ucieście oszukanej gawiedzi ciężary z kartonu pomalowanego na kolor stali"), ubolewał nad tym że pociągnie ona za sobą ruinę całego kraju, grzmiał na „bufonów tracących czas i zajętych zabawą w Imperium gdy historia nie stoi w miejscu", nie posiadał się z oburzenia że Mussolini śmie porównywać się z Machiavellim, wyszydzał liturgię faszystowską „ukradzioną temu kabotynowi i złemu poecie D'Annunzio", piętnował „codzienne deptanie przez dzicz w czarnych koszulach włoskiego daru inteligencji, włoskich walorów ludzkich i humanistycznych, włoskiego poczu-cia wolności". Jak używać dziś — skarżył się — słów ojczyzna, naród, historia, jeśli się pamięta że przywłaszczył je sobie fa-szyzm aby zrobić z nich szczeble w swojej drabinie perfidii, nie-godziwości, głupoty i śmieszności? „Wszystko jest teraz we Włoszech fałszem — dodawał. — Fałszywe są ulice i pałace w obrzydliwej scenografii architektury faszystowskiej. Fałszywe są słowa i gesty. Fałszywe twarze faszystów z surowym gry-masem wojowników. Fałszywe mundury hierarchów z maska-rady karnawałowej. Fałszywe pozdrowienie rzymskie, nieznane nigdy Rzymianom. Fałszywy tak zwany krok rzymski, który był tylko krokiem gęsi, produktem teutońskiej sztywności nie do pomyślenia we Włoszech, gdzie wywoływał jedynie przepuklinę u piechurów a wesołość wśród gapiów. Ma rację Giustino For-tunato: jeśli faszizm potrwa dość długo, to dlatego, że nie boi się własnej śmieszności".

W rozdziale „Winy włoskie i obce" książę nie rozgrzeszał własnego kraju z odpowiedzialności za faszizm, lecz równocześ-nie z bezlitosną goryczą oskarżał cały Zachód, całą jego „poli-tykę Poncjusza Piłata". To Zachód, który przegrał na polach bitwy w Rosji próbę zduszenia rewolucji, przeniósł teraz walkę przeciw komunizmowi na płaszczyznę dyplomatyczną, tuczy fa-szyzm i buduje z niego wał ochronny przed zagrożeniem ze Wschodu. Za jaką cenę? Za cenę oddania w niewolę dyktatury i chamstwa kolebki cywilizacji europejskiej. Ciężko jest żyć

z nieczystym sumieniem i poczuciem winy, oglądamy więc zagranicą gorączkowe wznoszenie mitu faszyzmu jako formy rządów nie odpowiadającej wprawdzie Anglikom czy Francuzom, lecz przykrojonej jak ulań, niemal jak kaftan bezpieczeństwa, do „niesforenego i anarchicznego charakteru włoskiego”. Angielscy ministrowie labourzystowscy, którzy zaklinali się że nie podadzą nigdy ręki mordercy Matteottiego, ściskają ją teraz z wylewną serdecznością. Francja, która powitała narodziny nowego „Cezara i Napoleona z Predappio” nienawistnym wybuchem śmiechu, gotowa była teraz dać mu wszystko czego żądał w Afryce byle tylko odpuścić od siebie groźny cień włoskich rewindykacji granicznych. Papież, który słuchał ze ściśniętym sercem pierwszych filipik antykościelnych Duce, nazywał go teraz po paktach laterańskich „mężem opatrności”. Nawet Żydzi, którzy tak zdawałoby się byli zawsze czuli na wszelkie pogwałcenie wolności, nie skąpili „obrońcy cywilizacji chrześcijańskiej” (oczywiście przed wprowadzeniem ustaw rasistowskich we Włoszech) okrzyków podziwu i zachwyty. Czy to nie Emil Ludwig napisał ociekające pochlebstwem „Rozmowy z Mussolinim”? Czy to nie Stefan Zweig rozplątywał się w czasie wizyty u Santoniego na Capri nad punktualnością pociągów włoskich, widząc w niej dowód solidności i praworządności ustroju? „Tu jest życie — powiedział — i tu jest porządek”. „Porządek — odpowiedział mu książę — panuje także w dobrych domach publicznych”.

Gdzie więc szukać nadziei? „Jeśli régime upadnie — pisał Santoni — to nie dzięki interwencji z zewnątrz, nie dzięki masom łatwym zawsze do zaspokojenia chlebem, igrzyskami i koloniami, ale dzięki własnej głupocie i temu rozkładowi wewnętrznemu nad którym dzień w dzień pracuje kultura, stawiając faszyzm w stan oskarżenia i niższości. To włoscy filozofowie, literaci, artyści, dziennikarze, lekarze, uczeni, adwokaci i studenci prowadzą od lat potajemny dialog z narodem; to oni podtrzymują wysoko imię swego kraju i zachowują łączność duchową z tą cywilizacją europejską, którą pogardza bezgranicznie faszyzm; to oni bronią linii podziału między prawdziwymi Włochami a Włochami w niewoli i ratując godność kraju, przygotowują lekarstwo na rany zadane ojczyźnie Dantego przez barbarzyński aktywizm faszystowski”.

Z biegiem czasu jednak ta wiara w zakapturzone bractwo kultury zaczęła w książęcym pustelniku jak gdyby słabnąć. W pierwszym dziesięcioleciu „ery faszystowskiej” jego wille na Capri odwiedzali często ludzie myślący i czujący tak samo jak on — profesorowie uniwersytetów, pisarze, artyści, politycy z Neapolu, Rzymu i Florencji. Spędzone z nimi chwile zaliczał Santoni do najpiękniejszych w życiu i czytając ich opis, trudno się było niekiedy oprzeć wrażeniu że pojęcie straconego czasu było w jego osobistym rozwoju intelektualnym i moralnym co najmniej względne, jeśli nie wręcz — użyte w cudzysłowie. Mnóstwo czytał i pisał, owocował z niezaznaną dotąd obfitością,

a te wizyty przyjaciół dawały mu posmak spotkań w katakumbach, mimo — a może właśnie dlatego — że dzień i noc śledziły je uważnie dwie pary oczu z wynajętego przez policję obok wille domku. Gdzieś około roku trzydziestego czwartego (po dojściu Hitlera do władzy) nastąpiła gwałtowna zmiana: z przystani na Marina Grande coraz rzadziej wspinali się wierni pątnicy w kierunku Monte Tiberio. Coraz rzadziej i coraz ich było mniej. Coraz częściej za to dochodziły do rąk księcia listy wymawiające się brakiem czasu lub kłopotami rodzinnymi, a do jego uszu wiadomości o niezłomnych którym puklerz na piersiach pękł nagle dostatecznie szeroko, aby można było przez szparę w nim włożyć do wewnętrznej kieszeni marynarki legitymację faszystowską. Dokoła willi na Capri zamykało się powoli kredowe koło wyklęcia. Santoni bronił się jeszcze, mówił o koniecznościach życiowych które każą ludziom nakładać maski lecz nie zmieniają ich twarzy, ba — usprawiedliwiał nawet zbyt gorliwych eks-przyjaciół atakujących go teraz w prasie melancholijną refleksją, że właściwy wszystkim nawróconym pod przymusem neofitom nadmiar gorliwości jest haraczem zapłaconym nowej wierze za długie „trwanie w błędzie” i aktem samoobrony wobec własnego wstydu za odstąpienie starej wiary. Ale równocześnie, niepostrzeżenie może dla samego autora, z jego pióra zaczął się sączyć jad pogardy. A wraz z pogardą dla tych co go porzucili, tym większa miłość do tych — jakże nielicznych! — którzy pozostali mu wierni.

Jeśli dotychczas w „katakumbach” pustelni capryjskiej zbierała się sekta sprawiedliwych, to obecnie jej znikome resztki zamieniły się w jakąś supersektę wybranych. Byli to fanatycy niezłomności związani przysięgą do grobu i słowo *libertà* nabrało w ich ustach odcienia prawie mistycznego. Pierwsze lata wojny światowej przeżył Santoni w uniesieniu i utraciwszy częściowo wiarę we własnych rodaków, odzyskał wiarę w Zachód, przede wszystkim w Anglię która „odnalazła w końcu siebie” i w Amerykę „która musi pójść wkrótce w jej ślady”. W takim też duchu wychowywał swojego dorastającego syna Sandro, dumny z tego że nie oddał go do szkoły faszystowskiej i nie wypuścił ani na dzień z Capri. „Kształciłem go sam i czułem się jak rzeźbiarz, który tworzy swoje najlepsze dzieło dla przyszłych Włoch”.

Posłowie pamiętników pisał książę po obaleniu Mussoliniego przez Wielką Radę Faszystowską, gdy na Sycylii wyładowali już Sprzymierzeni. „Tak kończy się dwadzieścia lat straconego czasu dla Włoch. Nie były to lata stracone dla mnie, dla moich najbliższych przyjaciół i dla tych, w których nasz przykład podsycał słabnący czasem lecz nigdy niewygasły ze szczętem płomień wolności. Teraz jednak powinniśmy zapomnieć o przeszłości i zwrócić się wszystkimi myślami ku przyszłości, gdzie oczekuje nas tyle pracy. Opowiadano mi że kiedy admirał Cagni wrócił z Bieguna Północnego, urządzono na jego cześć w Tury-

nie uroczysty bankiet i pośrodku stołu ustawiono trofeum z lodu. 'Jeśli tego natychmiast nie zabieriecie — powiedział po przybyciu Cagni — nie tknę ani jednej potrawy. Przez cały okrągły rok nie robiłem nic innego tylko patrzyłem na lód i walczyłem z lodem'. Tak mówię i ja o tyranii i głupocie, w której nasz wzrok musiał być utkwiony przez dwadzieścia lat".

5

Nazajutrz rano zdania Piazzetty były podzielone. Jedni twierdzili że Santoni postanowił raz jeszcze wyjść ze swojej borsuczej nory na „światło dzienne” i wstąpić w szranki walki politycznej; najpierw jednak chciał się zorientować z pierwszej ręki jaka jest sytuacja na lewicy i odstawwszy dumę do kąta, zatelefonował do Battaglii, który był posłem do parlamentu z listy socjalistycznej; ponieważ wielki pisarz odmówił przyścia do Villi Scorpione a książę mimo wszystko nie kwapił się z odwiedzeniem go w naszym małym pensjonacie, umówili się na neutralnym gruncie kawiarni o jedenastej wieczorem, gdy Piazzetta pustoszeje już i układa się do snu. Inni — z przewagą czarnych koszul — tłumaczyli to spotkanie rozkazem anglosaskiej loży masońskiej, która miała dość kłótni swoich dwóch wybitnych włoskich członków. Jeszcze inni — z wyraźną przewagą kobiet o odsłoniętych plecach i głęboko wyciętych dekoltach — uważali sprawę za znacznie prostszą: młody Sandro Santoni zapisał się niedawno na uniwersytet w Rzymie, poznał tam swoją rówieśnicę Paolę Battaglia, zakochał się w niej i teraz obaj ojcowie muszą się chcąc nie chcąc pogodzić.

Co do mnie, byłem po wypiciu kawy w nastroju zdolnym do ocenienia tylko dwóch słów w pierwszej wersji: światło dzienne. *La luce del giorno!* Pogodny, kwietniowy poranek na Capri! Powietrze podobne do schnącego na lekkim wietrzyku muslinu. Niebo jak wymyta proszkiem srebrna miednica. Słońce jeszcze nie za mocne — krząsek cytryny w czystej wodzie. Zielone i niebieskie parasole nad witrynami sklepów, oślepiająco białe ściany domów, czerwony autobusik na Anacapri. A nade wszystko niewidoczne z Piazzetty lecz wszechobecne morze, o tej porze dnia pokarbowane i chłodne.

Dopiero później, schodząc w dół do Marina Piccola, przejadłem się załadną harmonijką widokówek wyspy w technicolorze wymyślonym przez naturę, przestałem się przyglądać krajobrazowi i wróciłem myślami do księcia. Mam dobrą pamięć wzrokową i jakby to było wczoraj a nie przed trzema blisko laty, zobaczyłem numer dziennika socjalistycznego z artykułem o książce Santoniego. Recenzja zajmowała dwie całe szpalty z lewej strony, a w środek stronicy włamano rysunek bez podpisu przedstawiający półwysep apeniński w kształcie faszystowskiego buta z cholewami i Capri z latarnią morską odwróconą do góry nogami w głąb morza.

Książę — pisał Battaglia, używając tego tytułu nie bez delikatnego odcienia ironii — raczył zauważyć, że cała działalność emigrantów, *fuorusciti*, była bezpłodnym anachronizmem z czasów Risorgimenta, że uciekli oni z Włoch i pozostawili je samym sobie w okresie śmiertelnej choroby. Jego książka jest świadectwem tragicznej pomyłki człowieka, któremu nie odmawiam tej skromnej lecz jałowej pociechy, że zachował do końca czyste ręce i pewną szlachetność intencji. Ale kto kogo oskarża o anachronizm? Komu i na co przydały się te czyste, niezbrudzone ręce i szlachetne intencje? W pierwszej części pamiętników księcia odczuwa się pogardę do „kupionych” przez faszyzm mas, niechęć (w wielu wypadkach zresztą uzasadnioną) do Zachodu i wiarę jedynie w ludzi kultury. Jak to wygląda w ostatnich rozdziałach książki? Pogarda do mas trwa i rozszerza się teraz na lwia część ludzi kultury, których brak majątków rodowych i willi na Capri zmusił do wzięcia legitymacji faszystowskiej, nadzieja przesuwana się ku Zachodowi i przerzedzonej rozpaczliwie garście przybocznych rycerzy. Jak się potoczyły wypadki? Pierwszym aktem *Liberazione* ze strony Sprzymierzonych jest próba uratowania faszystowskiej monarchii i małego sabaudzkiego giermka „Cezara i Napoleona z Predappio”, pierwszym aktem uwalnianych Włoch jest opór mas przeciwko tej polityce w szeregach *Resistenza*. Czyste ręce z Capri odepchnęły z oburzeniem własny naród i pozostały puste. Naród był zarazony śmiertelną chorobą, a jego lekarz pokazywał mu w ciągu dwudziestu lat zbawienne lekarstwo przez grubą szybę zatoki neapolitańskiej. *Fuorusciti* popełnili wiele błędów, ale uniknęli największej pomyłki: nie utracili wiary w masę. Nie, nie — jeżeli gdzie tkwił anachronizm, to w tej latarni morskiej, która wskazywała drogę duchom zatopionego przed wiekami miasta, żyjącym jeszcze na dnie morza w świecie teatralnych gestów.

Zbliżało się południe i trzeba było wracać z Marina Piccola na górę. W pobliżu Torre Saracena rozminąłem się na ścieżce z najbardziej chyba nieoczekiwaną parą. Guido Battaglia siedł z młodą, niezbyt ładną i zdumiewająco do niego podobną dziewczyną. Była nieopaloną, ubraną jeszcze nie „po capryjsku”, przyjechała więc przypuszczalnie dopiero dziś rano pierwszym statkiem z Neapolu o dziesiątej. Rozmawiali o czymś żywo, a nawet — jak mi się wydało — podniesionymi trochę głosami. Nie mam zwyczaju pozdrawiania nieznajomych w miejscowościach wypoczynkowych, tym razem jednak powiedziałem *buon giorno*.

— *Buon giorno* — odpowiedział Battaglia z roztargnionym uśmiechem. Dziewczyna miała nachmurzoną i zaciętą twarz.

6

Upłynął miesiąc. Maj jest już na Capri upalny i ściąga pierwszą dużą falę turystów. Powietrze staje się cięższe, skały

prazą ogniem, ziemia schnie i twardnieje, zieleń nabiera płowego odcienia. Nawet niebo wydaje się trochę zwiotczałe i szare jak wysuszony worek na wodę, a słońce rozplywa się w otocze własnego żaru. Ale nadejście lata poznać najlepiej na Capri po sposobie poruszania się ludzi: poza bezpośrednim zasięgiem szybkiego skoku do morza wszyscy próbują się daremnie wyplątać z sennego lenistwa, które oblepia całe ciało cienkim i niewidzialnym pokrowcem. Zobaczycie to zwłaszcza w południe po ruchach ludzi wstających od stolika kawiarnianego w królestwie Piazzetty, po zmęczonym powłóczeniu nogami w wąskich uliczkach, po chwiejnym wychodzeniu ze sklepów tak jakby to były tawerny, po niechętnych suchych i zdyszanych pocałunkach dziewcząt. Około trzeciej wyspa zamiera i pogrąża się w drętwości siesty; jeśli przebiega ktoś przez placik na Capri lub Anacapri, to niemal z półprzytomnym błyskiem amoku w oczach. Ciszy tego popołudnia strzegą nieruchome i zielone szkielety kaktusów.

Upłynął miesiąc i mimo że przyjechałem tu tylko na parę dni, niespieszno było mi do Neapolu. Książę nie pojawił się więcej w rejonie Piazzetty, ale wiedzieliśmy wszyscy że Battaglia odwiedza go codziennie wieczorem w Villi Scorpione. W ciągu tego miesiąca widziałem też parokrotnie na plaży koło Marina Piccola młodego Sandro Santoni i Paolę Battaglia. Nie zrobili na mnie wrażenia zakochanych, co najwyżej — skazanych wzajemnie na siebie z braku towarzystwa. Szczególnie Sandro, wysoki i doskonale zbudowany chłopiec, przyglądał się swojej towarzysze w dziwny sposób: piękna czerń jego oczu znikła nagle za firankami długich rzęs jak od zbyt męczącego patrzenia na jakiś przedmiot. Nic tak jak wzrok ludzi młodych nie zdradza prawdziwych uczuć. Jest w nim okrucieństwo szczerości, bezlitosna i obnażająca prawdomówność lub — gorączkowy zachwyt miłości, który przesadza w przeciwnym kierunku. Młodzi ludzie umieją widzieć za dużo i dlatego czasem nie widzą nic. Paola nie była ładna, ale nie zasługiwała na pewno na to znudzone i obojętne spojrzenie. Na szczęście nie brała go do serca i sama zdawała się być zajęta czymś innym.

Ostatni tydzień przyniósł mi ważną zdobycz: poznałem Battaglię. Z pocałunku nie zwracał na mnie przy obiedzie w pensjonacie uwagi, lecz któregoś dnia — właśnie przed tygodniem — sam nawiązał ze mną rozmowę. Trudno w to uwierzyć, a jednak staliśmy się bardzo szybko prawie przyjaciółmi. Battaglia miał rzadką u przywódców socjalistycznych a jeszcze rzadszą u pisarzy cechę; nabrawszy raz zaufania do przygodnie spotkanych ludzi, lubił z nimi rozmawiać dla samej przyjemności konwersacji i bez podświadomej rachuby że — kto wie! — mogą być w przyszłości jego wyborcami, czytelnikami czy postaciami powieściowymi.

Spędzaliśmy razem godziny popołudniowej siesty na leżakach w cieniu werandy. Battaglia był świetnym znawcą literatury

i poruszać się z nim wśród starych książek dawało tę przyjemność, jakiej zaznaje się w czasie spacerów z archeologami po odkopanym mieście. Tego dnia jednak przyszedł na swój leżak z grubym oprawnym zeszytem i ledwie go bez słowa w środku otworzył, duszna fala spiekoty zasunęła mu wolno powieki, pozostawiając wąziutkie szparki w oczach, i odgięła na kolana ręce. W uśpionych palcach kartki wróciły szybko do dawnej pozycji i odsłoniły pierwszą stronicę zeszytu. Daleko w dole morze zasłysłę w niebieskim bezruchu i żagle paru łodzi rybackich straciły oddech wiatru. Z krzaków w ogrodzie dochodziło srebrne piłowanie świerszczów smyczków.

Nie poruszając się z miejsca, przyglądałem się pierwszej stronicę zeszytu Battaglii. Drukowanymi literami wypisany był na niej u góry tytuł „La valle dello esilio” („Dolina wygnania”), a niżej równym i wyraźnym pismem rozkładało się jak na grządkach motto: cztery tercyny z XVII canta „Raju” Dantego.

*Tu lascerai ogni cosa diletta
Più caramente; e questo è quello strale,
Che l'arco dello esilio, pria, saetta.
Tu proverai sì come sa di sale
Lo pane altrui, e come è duro calle
Lo scendere e'l salir per l'altrui scale.
E quel, che più ti graverà le spalle,
Sarà la compagnia malvagia e scempia,
Con la qual tu cadrai in questa valle;
Che tutta ingrata, tutta matta ed empia
Si farà contro a te; ma, poco appresso,
Ella, non tu, n'avrà rossa la tempia (*).*

Rzadko się zdarza czytać motto, które by tak dużo mówiło o książce. Kiedy Battaglia otrząsnął się z drzemki i zobaczył mój wzrok przykuty do tytułowej stronicy jego rękopisu, wiedział o nim więcej na pewno niż przypuszczał.

— Najtrudniej jest — powiedział — opisać jakiś okres własnego życia, nie zniekształcając go późniejszymi doświadczeniami.

— Ma pan na myśli swój pobyt na emigracji?

— Tak — uśmiechnął się smutnie samym spojrzeniem za okularami. — Mam na myśli mój pobyt na emigracji. Kiedy uciekłem w dwudziestym czwartym roku z Włoch na Korsykę,

(*) Porzucisz każdą rzecz którą kochałeś/ najbardziej; i to jest owa strzała/ którą łuk wygnania pierwszą wypuszcza./ Spróbujesz jak gorzki ma smak/ cudzy chleb i jak ciężko jest/ schodzić i wchodzić po cudzych schodach./ A tym, co najbardziej ugnie ci ramiona,/ będzie kompania zła i niegodziwa/ z którą zejdziesz w dolinę wygnania;/ co cała niewdzięczna, szalona i bezbożna/ powstanie przeciw tobie; lecz nie zadługo/ to ona, a nie ty, zarumienione będzie mieć ze wstydu skronie.

znałem te cztery tercyny Dantego tak jak się zna ulubiony wiersz który nas nie dotyczy. Przekonałem się o ich prawdziwie stopniowo: najpierw dwie pierwsze, potem dwie następne... I we Francji i w Anglii...

— Pozostaje jeszcze ostatnie półtora linijki czwartej tercyny.

— O, to są właśnie te późniejsze doświadczenia, którymi nie chciałbym zniekształcić moich wspomnień. Wówczas należały one do przyszłości, dziś należą do przeszłości. Bo widzi pan — ożywił się i uniósł na leżaku — emigracja ma to do siebie że jest innym czasem, czasem rozkraczonym nad teraźniejszością, która przepływa jej między nogami. Jedną nogą tkwi w historii już ostygłej, a drugą szuka punktu oparcia w historii dopiero oczekiwanej. Nie może zmienić tej pozycji, choćby nie wiem jak próbowała wyszarpnąć tylną nogę z ostygłego brzegu i zanurzyć ją w strumieniu historii bieżącej. Cała jest nastawiona na jutro, które *musi* jej przyznać rację. I bywa czasem że jutro przyznaje jej rację, ale w zupełnie inny sposób niż sobie to wyobrażała.

W jego głosie było tyle rozżalenia, że jak często w takich sytuacjach wyrwało mi się zdawkowe i dla mnie samego niezbyt przekonujące pocieszenie.

— Ostatecznie — powiedziałem — nie robił pan przez te dwadzieścia lat nic innego, tylko żył teraźniejszością własnego kraju.

— Co innego jest oglądać ojczyste wzgórza z doliny wygnania, a co innego być na nich. Jeżeli — dodał po namyśle — jeżeli mam uciwieć opisać te dwadzieścia lat emigracji, to muszę zejść znowu w dolinę wygnania i zapomnieć o jej widoku który zobaczyłem później, gdy wdrapałem się wreszcie na górę. I muszę znowu spojrzeć na Włochy między wojnami oczami emigranta, a nie oczami człowieka, który wrócił do kraju po upadku faszyzmu. Tylko wtedy dowiem się czy mimo wszystko i my, *fuorusciti*, mieliśmy jakąś teraźniejszość która jest dziś częścią składową przeszłości naszego narodu, czy straciliśmy bezpowrotnie dwadzieścia lat życia. Jak pan widzi, mojej książce politycznej nie brak także pewnych proustowskich ambicji literackich.

Po ostatnich słowach zaśmiał się z przymusem i opadł na leżak. Muzyka w krzakach przycichła, powiał chłodny wiaterek i wzdęte żagle ruszyły wolno w kierunku Ischii. Jednocześnie słońce zapłonęło czystszy światłem i nadało matowemu morzu bardziej metaliczny połysk.

— Każdy emigrant — podjął Battaglia — który ucieka przed dyktaturą z własnego kraju, jest przekonany o dwóch rzeczach: o tym że ma rację i o tym że historia staje w końcu po stronie tych którzy mają rację. Pierwsze lata są okresem gorączkowego oczekiwania i zaufania do przyszłości. Wie pan, czeka się tak jak na wypogodzenie po burzy. Burza nie może przecie-

trwać wiecznie: naród będzie miał tego dosyć, wolny świat otworzy oczy i straci cierpliwość, régime potknie się o własne sprzeczności i głupstwa. Jest to okres kiedy emigranci mają rację *wspólnie* i nie kłócą się o szczegóły, u nas okres Koncentracji Antyfaszystowskiej wszystkich partii politycznych. Ważne jest tylko to by nie zamókł lont. Każdy dzwonek alarmowy ma sens i rozbrzmiewa w uszach emigranta jak dzwon wolności. Zaniboni strzela do Mussoliniego, a De Rosa do następcy tronu w Brukseli; Bassanesi zrzuca ulotki z samolotu nad Mediolanem, a De Bosis nad Rzymem. W prasie francuskiej ukazują się nasze artykuły, a w Londynie jakiś poseł angielski przemawiał na naszym zebraniu. Czy to nie wystarczy żeby zadrzała ziemia? Nie, nie wystarczy. Z biegiem czasu okazuje się, że jeśli nawet naród ma dosyć to boi się policji faszystowskiej; że wolny świat nie otwiera oczu i jest cierpliwszy niż kiedykolwiek, albo otwiera je po to by zobaczyć coś zupełnie innego niż my; że régime radzi sobie jakoś z własnymi sprzecznościami i głupotą, bo ma sprzymierzeńca w jeszcze większej głupocie i sprzecznościach swoich przeciwników. Zaczyna się drugi okres. Okres, w którym emigranci tracą zaufanie do wspólnej racji i szukają jej *z osobna*, w swoich partiach lub na własną rękę. Powstaje pierwszy spór kto ma większe wyczucie rzeczywistości i rozumie lepiej sytuację we Włoszech.

— Z tego co wiem — przerwałem — wyjazdy do Włoch i z Włoch nie były takie trudne.

— To prawda — odpowiedział Battaglia. — Widywalismy często ukrytych i jawnych antyfaszystów przyjeżdżających na kongresy międzynarodowe, nasi ludzie organizowali od czasu do czasu nielegalne wyprawy do kraju za fałszywymi paszportami. Ale szkopał z takimi spotkaniami polega na tym, że widuje się tylko wypróbowanych antyfaszystów, elitę oporu. Co do mnie, byłem... jestem — poprawił się — socjalistą i do elity przywiązuję bardzo niewielką wagę. Bałem się zawsze arystokratyzmu antyfaszystowskiego i dlatego lekceważyłem ludzi typu księcia Santoniego. Chodziło o ustalenie co się dzieje w dolach, wśród milionów Włochów pracujących w fabrykach, na roli, w małych sklepikach, na skromnych posadkach urzędniczych. A to właśnie było trudno ustalić. Ilekroć o tym myślałem, zadawałem sobie pytanie czy trwająca coraz dłużej burza nadlać ich, czy wieloletnia ulewa propagandy faszystowskiej zmyła z nich pewne wartości i ideały. Nie, nie — odpowiadałem — to niemożliwe. Moja nadzieja, moja wiara tkwiły w masach. Tylko masy — powtarzałem codziennie mojej córce — mają niezarażony niczym instynkt wolności, bo tylko masy żyły zawsze w niewoli; i przyjdzie chwila, że go zadokumentują. Oczywiście nie masy spędzane przez Mussoliniego na placu z napisami *obbedire, credere, combattere* i wrzeszczące na komendę policji: *A chi Impero? A noi!*

— W każdym razie — ciągnął po dłuższej przerwie — Koncentracja Antyfaszystowska rozsypała się. My, socjaliści, stworzyliśmy z komunistami jednolity front, który przetrwał do końca wojny domowej w Hiszpanii. Czysto emigracyjny twór radykalizujących intelektualistów *Giustizia e Libertà* pozostał sam i odgrywał pewną rolę do śmierci swoich przywódców, braci Rosselli, zamordowanych przez faszystów francuskich za piniadze policji włoskiej. Wielkie nazwiska w rodzaju Sforzy miały dość wydeptanych zagranicą własnych ścieżek dyplomatycznych i mogły sobie pozwolić na trzymanie się z boku. W Szwajcarii powstał samodzielny ośrodek socjalistyczny pod wodzą Silonego. Połączyła nas wszystkich jeszcze raz wojna w Hiszpanii — pierwsza wojna z międzynarodowym faszyzmem, rozumie pan, po drugiej stronie okopów byli przecież między innymi faszyci włoscy. Wyszliśmy z niej z pogruchotanymi kośćmi. Zrozumieliśmy że Zachód ma tylko jedno zmartwienie: walkę z komunizmem za pomocą faszyzmu. I zrozumieliśmy też że komuniści potrzebują wiernych i użytecznych idiotów, a nie sojuszników: w gruncie rzeczy Front Ludowy skończył się zanim się zaczął i pakt sowiecko-hitlerowski rozwiązał jedynie nieskonsumowane małżeństwo. I da pan wiarę? — w tym czasie byłem bardziej niż kiedykolwiek przekonany że mam rację. Istnieje w życiu ludzkim osobliwe zjawisko, które nazwałbym utwierdzaniem się w nadziei poprzez klęski. Otóż ja utwierdzałem się w nadziei, że tylko nietknięte przez faszyzm masy stanowią prawdziwy materiał wybuchowy pod gipsową fasadą *régime'u* i trzeba z zagranicy pracować nad stworzeniem sytuacji rewolucyjnej we Włoszech. Podobnie jak ja myślał w zasadzie Nenni, ale była między nami głęboka różnica...

— Która godzina? — zapytał nagle.

Piąta wymalowana była w górze przypalonym kolorem nieba. — Zbliża się piąta — odpowiedziałem.

— Jak ten czas leci — szepnął do siebie, spoglądając z niepokojem w kierunku furtki pensjonatu. — Nenni nie wierzył przede wszystkim w nietknięte przez faszyzm masy, podejrzewał, że te lata nie mogły minąć bez pozostawienia pewnego śladu. Wyciągał z tego wniosek, że faszyzmowi udało się stworzyć we Włoszech *faszystowską sytuację psychiczną*, której nie można będzie opanować oddolnym i spontanicznym ruchem mas lecz żelaznym i niezbyt demokratycznym aparatem partyjnym. Cały był nastawiony na szybkie zbudowanie po powrocie tego aparatu i moich wywodów słuchał potakując głową i wzruszając pobłażliwie w duchu ramionami. Wkroczyliśmy pełną stopą w wiek ideologii masowych; pozostawało pytanie czy będą to ideologie umundurowane i czy ich produktem będzie *l'uomo-massa*, pogardzający po cichu demokracją i wolnością i płaszczący się przed silną ręką aparatu partyjnego. Togliatti znalazł na to pytanie odpowiedź w Moskwie i przypuszczam że tak samo jak on rozumował w Paryżu Nenni. Jedno jest pewne: już wtedy

Nenni krzywym okiem patrzył na nasze oddalanie się od komunistów.

Pierwsze ostrzeżenie że coś w tym wszystkim jest na rzeczy usłyszałem po przystąpieniu Włoch do wojny. Tak, to prawda, znakomita większość Włochów była wówczas po stronie *régime'u*, oczekując udziału w łupach łatwego i szybkiego zwycięstwa. Gorycz, rozczarowanie i nienawiść do Mussoliniego zaczęły się dopiero później, po zimnym prysznicu klęsk. Nie miałem już jednak czasu na przemyślenie tych spraw od nowa: wojna toczyła się naprzód i dwoilem się, troilem przed mikrofonem BBC. Potem, kiedy pod koniec czterdziestego trzeciego roku krążownik angielski wysadził mnie na Capri, przeżyłem krótką chwilę złudzenia że spełnia się słowa tercyny Dantego: „lecz niezadługo to ona, a nie ty, zarumienione będzie mieć ze wstydu skronie”. Nie zgadnie pan kto mnie pierwszy odwiedził na Capri. Jedna z największych kanałii literackich *régime'u*...

— Ezio Malatesta! — krzyknąłem.

— Tak, Ezio Malatesta. Przyszedł i zapytał czy mógłby mi codziennie przynosić obiad ze swojej willi. Czego się boi? — myślałem. — Na pewno nie mnie, nie Anglików i nie Amerykanów. Boi się własnego narodu za plecami, narodu nietkniętego przez faszyzm...

Skrzypnęła furtka. Odwróciłem się i zobaczyłem Paolę Battaglia.

— *Papà, sono pronta* — powiedziała.

— Skończymy tę rozmowę kiedy indziej — rzucił w półochu Battaglia, wygrzebując się z leżaka. Zdawało mi się tylko, że trochę zbladł?

7

Nazajutrz w południe zdania Piazzetty były znowu podzielone. Ale najprzód trzeba opowiedzieć na jaki temat. Około dziesiątej widziano Paolę Battaglia idącą z walizką w kierunku stacyjki „Funicolare”: jasne że mogła jechać tylko na Marina Grande, skąd o wpół do jedenastej odchodził statek do Neapolu. Miała zaczerwienione od płaczu oczy i nie odprowadzał jej ojciec.

Jedni twierdzili, że Battaglia nie pozwolił jej zostać na Capri i kazał jej się przygotowywać do egzaminów w Rzymie. Inni — znowu z przewagą czarnych koszul — ręczyli głową za wiadomość z „najlepszych źródeł”, że Paola postanowiła wstąpić do partii komunistycznej i na tym tle zerwała z ojcem. Jeszcze inni — znowu z przewagą kobiet — powtarzali po prostu w kółko: „nic nie wyszło z młodym Santonim”.

Tego dnia zaszedłem rano do jedynej na Capri księgarni i znalazłem na półce pożółkły egzemplarz pamiętników Santoniego. Wysłuchawszy tedy opinii Piazzetty, zagłębiłem się w lekturze. Po chwili poczułem na sobie czyjś wzrok. Siedzący przy

sąsiednim stoliku samotny i milczący mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat przyglądał mi się istotnie z uwagą i wyraźnym zainteresowaniem. Jego obrzękła chorobliwie twarz o ziemistej cerze i trochę zaropiałych przymrużonych oczach za okularami była tak brzydka, że mimowoli opuściłem głowę i zacząłem bezładnie przerzucać kartki. Nie dał jednak za wygraną.

— Mało kto czyta dziś książkę Santoniego — zagadnął pierwszy.

— Cóż, zdarza się — odmrugnałem niechętnie.

— Jestem Renato Ortese — powiedział z ujmującą prostotą i wyciągnął do mnie rękę.

— Krewny profesora? — ożywiłem się natychmiast.

— Syn — uśmiechnął się jak człowiek, który wiedział z góry że nie chybi. — I od roku też profesor.

— Możemy zjeść razem obiad?

— Oczywiście — odpowiedział z tą samą prostotą.

Pojechaliśmy czerwonym autobusikiem na Anacapri. Jest tam w bocznej uliczce mała restauracja, którą zwykły capryjski chłop urządził na podwórzu przerobionym na altanę. Ta altana, ocieniona od góry dzikim winem wijącym się na kracie z żerdzi, wisi prawie na urwisku. Nigdzie chyba na wyspie nie ma się takiego poczucia intensywności przyrody i fizycznego dosytu, jak przy tych stolikach z brązowych płytek kamiennych. Nigdzie słońce nie zapala tak różowego wina w karafkach, a usługujące dziewczęta nie są tak pięknie opalone, zdrowe i swobodne w ruchach. I nigdzie morze nie wydaje się bardziej podobne do popękanego lustra.

W takich miejscach jak to ludzie chorzy i nieobdarzeni przez naturę urodą stają się zazwyczaj jeszcze brzydsi. Ale pojęcie brzydoty ludzkiej jest względne: wystarczy odrobina dobroci i inteligencji w odrażających na pozór rysach, a na naszych oczach dokonuje się cud przeobrażenia. Ortese miał właściwie przyjemną twarz.

Rozmawialiśmy najpierw o rzeczach obojętnych, przeskakując z tematu na temat: sytuacja międzynarodowa, turyści na Capri, ceny pensjonatów, włoskie nowości literackie.

— Jest pan żywym appendixem do tej książki — nie wytrzymałem wreszcie i wskazałem leżący obok mego nakrycia egzemplarz. — Przecież pana ojciec był jednym z niewielu wiernych do końca bywalców Villi Scorpione.

— Znacznie ciekawsze jest to, że Santoni był przez parę miesięcy stałym bywalcem naszego domu po uwolnieniu Neapolu.

— Nie potrafię go sobie wyobrazić w Neapolu po tych dwudziestu latach izolacji. Nie śmiem pana prosić, ale...

— Nic prostszego — zaśmiał się przyjaźnie. — Tej książce należy się epilog.

Ortese przecierał długo i dokładnie okulary.

— Pierwsze tygodnie nie były jeszcze mimo wszystko naj-

gorsze. Mimo wszystko, to znaczy mimo samego Neapolu. Santoni zobaczył miasto zniszczone, zagłodzone, tratowane przez cudzoziemskich żołnierzy, zamienione w dużej części na burdel z napisami *out of bounds*, sprzedające się zdobywcom za puszkę konserw, zapchane po brzegi uciekinierami, chwiejące się na nogach z oszołomienia. Mógł sobie powiedzieć i powiedział sobie na pewno: oto jest dzieło faszyzmu. Ale ofiary wojny rozumują inaczej i przyglądają się z wyrzutem zarówno régime'owi, który doprowadził kraj do katastrofy, jak zwycięskim armiom, które tę katastrofę przyniosły. W miarę upływu czasu i przewlekania się trudności wojennych ta obosieczna pretensja zaostrza się stopniowo w stosunku do zwycięzców...

— W każdym razie nie Santoni był odpowiedzialny za to co się stało.

— Właśnie. Toteż przyjęto go początkowo z bojaźliwym szacunkiem, widziano w nim człowieka jutra, człowieka który wygrał. Włosi mają łatwość dostosowywania się do jedynej istniejącej alternatywy, w okresach triumfów są mistrzami „zawrotnych” improwizacji, w okresach klęsk celują w tak zwany *possibilismo*. Faszyzm umarł, niech żyje antyfaszyzm! Wszyscy byli teraz antyfaszystami. Nie o to chodziło Santoniemu. Szukał prawdziwych antyfaszystów. Wierzył że zrujnowane przez faszyzm Włochy mogą odbudować tylko ci, którzy podobnie jak on sam stali dwadzieścia lat z boku z zaciśniętymi dumnie ustami i czekali. Był gotów przebaczyć swoim dawnym przyjaciołom, którzy go opuścili dla legitymacji faszystowskiej ułatwiającej życie, ale jednocześnie pogardzał nimi w duchu i sądził, że powinni przez pewien przynajmniej czas pozostać w cieniu. Ze względów czysto praktycznych chciał przeskoczyć szybko przez epurację w dołach, ale ze względów moralnych i zasadniczych był zwolennikiem absolutnego puryzmu na szczytach. Szukał czystych i niezłomnych. Gdzie ich jednak znaleźć w dostatecznej ilości po dwudziestolecu dyktatury? Nie wiedział że łatwiej jest spiłować drzewo faszyzmu, niż wykarczować jego pień z korzeniami...

— Widzę jeszcze dziś — uniósł się nagle na krześle, gestykulując prawą dłoń w zwinęty pęk — pierwsze zgromadzenie publiczne, które mu urządzono w wielkiej auli uniwersytetu. Sala była wypelniona inteligencją neapolitańską, wysłuchała jego przemówienia w skupieniu, nagrodziła je oklaskami. Wtem z kąta, gdzie stała z założonymi na piersiach rękami grupa kilkudziesięciu osób o, powiedzmy, proletariackim wyglądzie, rozległ się skandowany chóralnie i powtarzany z uporem okrzyk „Repubbli-ca”. Santoni nie był monarchistą, wprost przeciwnie — natychmiast po przyjeździe do Neapolu zaczął swoją działalność polityczną od ataku na monarchię, żądał abdykacji Wiktora Emanuela nazywając go „brelokiem u zegarka Mussoliniego”, ba — nie chciał nawet słyszeć o uratowaniu następcy tronu księcia Piemontu i co najwyżej brał w rachubę możliwość utworze-

nia aż do referendum Rady Regencyjnej przy małoletnim księciu Neapolu. I w tym okrzyku zastanowiło go zupełnie co innego: to że był skandowany dokładnie tak samo jak niegdyś „Du-ce, Du-ce”. Zapytał o demonstrantów. Odpowiedziano mu, że są to byli faszystyści zapisani świeżo do partii komunistycznej...

— W *Venti anni di tempo perduto* nie ma zbyt wielu złudzeń co do mas...

— Być może. Santoni jednak patrzył na te masy trochę okiem sprzed pierwszej wojny światowej. Kiedyś wentyl bezpieczeństwa stanowiła emigracja do Ameryki, potem Mussolini roztoczył miraż Imperium i nowoczesnego potężnego państwa, przed którym drży Anglia, teraz przyszedł komunizm. Nie chodziło już o lepszy czy gorszy rząd demokratyczny, który gorzej czy lepiej załatwi problem bezrobocia i nędzy, ale o samą zasadę demokracji. *Beati possidentes* nie zamierzali dla jej uratowania tak łatwo zrezygnować z tego co posiadali. Wczorajsi faszystyści stawiali się dzisiaj komunistami. „Grozi nam neofaszyzm — powtarzał Santoni. — Coś się tu w ciągu tych dwudziestu lat zmieniło, coś czego jeszcze dobrze nie rozumiem”. Zmieniło się znacznie więcej. W naszym domu zbierała się ta sama garstka czystych i niezłomnych, która do ostatniej chwili odwiedzała Villę Scorpione. Santoni rozumiał że to za mało. Darował kwarantannę swoim ex-przyjaciółom i wyciągnął do nich rękę. Po paru takich rozmowach przyszedł do nas przybity i wytrącony z równowagi. W swojej książce pisał o ludziach zmuszonych przez faszyzm do nałożenia masek. Jego książka nie wyszła jeszcze z drukarni, a już mówił że maski zmieniały im od długiego noszenia twarze. Czy wszyscy Włosi stali się w ciągu tych dwudziestu lat faszystami? W gronie niezłomnych walcowano to pytanie bez przerwy i Santoni zbliżał się powoli do odpowiedzi twierdzącej. W pewnym stopniu przyczyniła się do tego polityka aliantów.

Przyniesiono nam kawę i zapaliliśmy papierosa. Ortese palił nerwowo, strzepywał ciągle popiół na spodnie, obracał papierosa w ręce parząc sobie często czubki palców.

— Można nawet od biedy tę politykę usprawiedliwić. Wojna jeszcze się nie skończyła, kampania włoska zaczęła się dłużyć, front zatrzymał się pod Cassino i do Rzymu było daleko. Król i Badoglio pod skrzydłami opiekuńczymi aliantów dawali jaką taką gwarancję, że Niemcom i faszystom nie uda się po tamtej stronie zebrać do kupy i wysłać na linię resztek armii włoskiej. To wszystko prawda. Ale pozostaje fakt, że jeśli po *armistizio* istniała jakaś możliwość nadania impetu antyfaszyszmowi, to alianci natychmiast ją zdeptali. Rzeczywistość była prosta: faszyzm upadł i przejście do nowej sytuacji politycznej odbywało się po zbudowanym przez Anglików i Amerykanów moście pontonowym faszystowskiego monarchy i faszystowskiego marszałka. Gdzie tu miejsce na gwałtowne potrząśnięcie znieprawionymi w ciągu dwudziestu lat duszami i zdercie jednym pociągnię-

ciem masek z twarzy ludzi słabych duchem? Gdzie tu miejsce dla księcia niezłomnego? Ukryci faszystyści przestali się bać, ukryci antyfaszystyści, którzy skapitulowali niegdyś wobec *régime'u*, znajdowali teraz wykręt psychologiczny dla swojej zagrożonej godności w „wyższej polityce” i w „wewnętrznej logice historii”. Obraz, zamiast nabrać ostrości konturów i kolorów, stawał się coraz bardziej wieloznaczny. Czy pan wie, że kiedy Wiktor Emanuel poprawił się trochę po pierwszym wyslizgnięciu się ze strzemion w siodle, wpadł na pomysł spięcia ostrogami swego królewskiego rumaka? Jak? W zadziwiająco prosty sposób. Postanowił wysondować aliantów czy w jego rządzie nie przydałby się Dino Grandi, który na posiedzeniu Wielkiej Rady Faszystowskiej postawił wniosek obalający Mussoliniego. Dla zachowania pełnej ciągłości historycznej... Tego było za wiele i usłyszał zdecydowane „nie”. Ale Churchill powtarzał przy byle okazji, że Włosi mogą się skupić tylko wokół monarchii i wojska, nie chciał słyszeć o abdykacji i starych antyfaszystach, nienawidził emigrantów... Zwłaszcza Sforza... Co na to Santoni?

— Co na to Santoni? — powtórzył w zamyśleniu Ortese. — Najpierw nazwał publicznie w Neapolu Churchilla mężem stanu o mózgu wróbla i odciął sobie ostatnią ścieżkę do Anglików. Potem zapalił się do tworzenia ochotniczych legionów włoskich do walki z Niemcami, wie pan — nowych „garibaldczyków”, wygrzebał spod ziemi przeniesionego dawno w stan spoczynku generała antyfaszystowskiego Pavone, sprowadził z Capri swojego chłopca jako pierwszego ochotnika i zaczął kołatać do Amerykanów. Z Office of Strategic Services odesłano go do Office of Psychological Warfare i to wystarczyło za odpowiedź. Oddalił się od tych wielkich antyfaszystów, którzy jak Croce i De Nicola próbowali obejść aliancki opór przeciw abdykacji formułą „namiestnictwa” księcia Piemontu Umberta. Pojechał do Wiktora Emanuela do Ravello i powiedział mu że jedyną pożyteczną rzeczą, jaką monarchia może jeszcze zrobić schodząc do grobu, jest leżeć spokojnie i z dostojnym śmieciem na twarzy w trumnie. Mogę ich sobie wyobrazić w pustej sali rycerskiej normandzkiego Castello Ruffolo w Ravello: mały, połamany, pergaminowy król Włoch i cesarz Etiopii o twarzy wojowniczego chomika, trzymający się kurczowo tronu, z którego wylażą brudne pakiety, i wysoki, chudy, wyprostowany książę niezłomny, przegrywający swoją ostatnią wielką bitwę w wielkim stylu... W marcu przyjechał z Moskwy Togliatti i dekoracja do drugiego aktu zmieniła się w ciągu paru minut jak na scenie obrotowej. Wódz tych, którzy skandowali „Re-pub-bli-ca”, rozejrzał się w położeniu i najspokojniej w świecie zgłosił gotowość wejścia do królewskiego rządu Badoglio z pominięciem zagadnienia abdykacji. Powstała obawa, że komuniści zostaną sam na sam z monarchią. „Byłoby to najprostsze rozwiązanie — powiedział ironicznie Santoni — po duecie Mussolini-Wiktor Emanuel przyszedł na duet Togliatti-Wiktor Emanuel”.

Anglicy i Amerykanie zorientowali się za późno, że popełnili błąd, zmusili w pośpiechu króla do złożenia obietnicy abdykacji i mianowania następcy tronu „namiestnikiem”, otworzyli drogę do rządu koalicyjnego Badoglio Crocemu, De Nicolii i Sforzy. Santoni trzymał się z boku. Czytał pan pierwszy wywiad „Timesa” z księciem Piemontu w nowej roli „namiestnika”?

— Nie, nie przypominam sobie...

— Zadano mu pytanie jak to się stało, że Włochy wypowiadziały wojnę Francji i Wielkiej Brytanii. Odpowiedział, że taka była wola Mussoliniego, ale cały naród się z nim zgadzał, czego najlepszym dowodem jest że nie podniósł się ani jeden głos protestu i ani jedno żądanie zwołania parlamentu. Santoni szarpnął się po raz ostatni, śmiertelnie zraniony: głos protestu w atmosferze powszechnej niewoli prasy, zwołanie parlamentu, który nie nazywał się już nawet Camera dei Deputati lecz Camera dei Fasci e Corporazioni i składał się z samych nominatów Mussoliniego! Przeszło to bez większego wrażenia: rozgrywka była skończona i Santoniego nazywano z przekąsem bezużyteczną kolumną z marmuru... Postanowił wynieść się z powrotem na Capri. Tuż przed wyjazdem spędził u nas cały wieczór. Mówił, że stracił dwadzieścia lat czasu ale uważa je mimo to za najpiękniejsze lata swego życia, że marzył o podniesieniu się z chwilowego upadku „dawnego liberalnego świata trwałych i szlachetnych wartości” — *il vecchio mondo liberale dei valori nobili e solidi* — a obudził się w nowym świecie targanym wojnami, rewolucjami, wstrząsami i niepokojem, że nie pozostaje mu nic innego jak wycofać się do swojej pustelni i *accogliere più amica la morte* — „przyjąć bardziej przyjaźnie śmierć”. Wkrótce po jego zejściu ze sceny alianci zdobyli Rzym. Może przyniosła mu słabą pociechę wiadomość, że pierwszy rząd włoski powitany został w stolicy po niespełna rocznym przegrodzeniu frontem Południa od Rzymu zarzutem „oderwania od kraju”. Jeśli odgrywał rolę rok, to coś dopiero dwadzieścia lat...

— Widuje go pan tu na Capri?

— Tak, odpowiem go czasem. Jest rozgoryczony, ale zachował doskonale zdrowie, wrócił do historii sztuki i pisze książkę o Lorenzo Lotto. Jedyne zmartwienie to jego syn Sandro. Rozumie pan, chłopak spędził całe życie w tym klasztorze, czuje się podobno dość obco na uniwersytecie w Rzymie i chce wyjechać na studia zagranicę. Dla ojca byłby to straszny cios.

— Jeżeli to nie jest niedyskrecja: skąd to nagłe pogodzenie się z Battaglią?

— O — odpowiedział wymijająco Ortese — czas piłuje ostre kanty. Zresztą Battaglia ma też swoje kłopoty. I z własnym życiem i z córką.

— Słyszał pan dzisiejsze wersje Piazzetty?

— Obawiam się że tym razem mają rację czarne koszuły.

— Ortese uśmiechnął się zagadkowo, wytarł chustką ciurki potu z bladej twarzy i zmrużywszy jeszcze bardziej oczy, wziął się

do czyszczenia szkieł. — Ale dziś żar — dodał. — Usmażymy się tutaj.

8

W ciągu paru następnych dni Battaglia nie wychodził z pokoju. W pensjonacie szanowano jego potrzebę samotności i tylko gospodarz, za każdym razem gdy ledwie tknięte posiłki wracały z pięterka do jadalni, robił gest człowieka gotowego do pobiegnięcia na górę i po namyśle opadał bezradnie na krzesło za kontuarem recepcji.

Powoli przyzwyczailiśmy się do tego stanu rzeczy — na Capri ludzkie wybryki i dziwactwa zdobywają sobie w końcu prawo obywatelstwa. Ale któregoś ranka powitało mnie zza kontuaru recepcji zakłopotane spojrzenie.

— Co się stało? — zapytałem.

— Doktor Battaglia wyjechał dziś rano do Rzymu — odpowiedział. — Zostawił wszystkie rzeczy i wyjechał. Nie czekał nawet na statek do Neapolu, wynajął motorówkę. Wczoraj przed północą telefonowano do niego z Rzymu. Był bardzo zdenerwowany i nie powiedział kiedy wróci. Nie wiem co się stało. Może Piazzetta...

Nie, Piazzetta nic nie wiedziała. Dopiero gazety, przywiezione pierwszym statkiem z Neapolu, wyjaśniły zagadkę. Wyglądała ona w skrócie tak: wczoraj późnym wieczorem w parlamencie poseł Guerrini z partii „Uomo Qualunque” nazwał nieobecnego Battaglię zdrajcą. Czy nie był zdrajcą ten — zawołał nagle w swoim przemówieniu, polemizującym z socjalistami, ex-dowódca batalionu Guerrini — który cieszył się z naszych klęsk przed mikrofonem radia nieprzyjacielskiego, gdy nasi żołnierze, prości i patriotyczni Włosi, synowie chłopów i robotników, ginęli na froncie, zwęglali się w samolotach i szli na dno wraz z zatapiającymi przez Anglików okrętami?

Przewodniczący parlamentu przywołał go do porządku i zażądał odwołania pod groźbą czasowego unieważnienia mandatu poselskiego, ale sprawę komplikował fakt że Guerrini nie wymienił nazwiska choć aluzja była więcej niż przejrzysta.

Sledziliśmy przebieg wypadków z prasy. Wielki pisarz zjawił się w parlamencie i w kuluarach, w obecności przeszło stu postów i grupy dziennikarzy, spoliczkował bohatera ekspulskownika. Qualunquisci otoczyli swego kolegę kotem, krzycząc pod adresem napastnika „zdrajca” i wygrażając mu pięściami. Socjaliści i komuniści dali Battaglii brawo i obrzucili przeciwników obelgami, wśród których „faszystowskie psy” i grabarze Włoch” należały do najłagodniejszych. W pojedynku Battaglia postrzelił Guerriniego niegroźnie w lewą rękę. Przewodniczący parlamentu zawiesił ich obu na dwa tygodnie w prawach poselskich — Guerriniego za zniewagę kolegi, Battaglię za naruszenie godności Izby.

Battaglia wrócił na Capri tylko na sześć godzin. Podobno wprost z Marina Grande pojechał do Villi Scorpione, a w porze obiadowej zobaczyłem go przez półotwarte drzwi jego pokoju pakującego walizki. Był zmieniony, nieogolony, postarzały, szukał czegoś dokoła przekrwionymi z niewyspania oczami i trzęsły mu się ręce.

— Czy mogę panu pomóc? — zapukałem ostrożnie.

W pierwszej chwili nie dosłyszał, ale nagle odwrócił znad walizki głowę w kierunku drzwi i dostrzegł mnie w progu. — *Avanti, avanti* — powiedział z ożywieniem — właśnie chciałem się z panem pożegnać.

Starał się opanować podniecenie i nadrabiał miną, opowiadając chaotycznie jakieś świeże anegdoty rzymskie. Pakowałem w milczeniu jego książki i sięgnąłem po leżący na nocnym stoliku gruby oprawny zeszyt, gdy w pół ruchu zatrzymał moją rękę. — Nie, nie — mruknął — włożę to do teczki. — Otwierał i zamykał beładnie szuflady, wyciągał z nich jakieś drobiazgi, dał jednak w końcu za wygraną i osunął się z westchnieniem ulgi na fotel.

— Nie skończyliśmy naszej rozmowy — powiedział cicho. W ogrodzie za oknem jak na dany znak odezwało się ostre rzępolenie w krzakach. Słońce wsączało się do wewnątrz przez żaluzje drgającymi listewkami.

— O, mniejsza o to — odpowiedziałem — skończymy ją przy okazji w Rzymie.

— Nie, nie — zaprotestował. — Nie — dodał i zasapał się jakby chciał nabrać oddechu.

— Chwila nie jest na prawdę zbyt stosowna — spróbowałem jeszcze perswazji. — Siedzi pan na walizkach, nie jadł pan obiadu, za dwie godziny odchodzi ostatni statek do Neapolu.

Nie zwracał już na mnie uwagi. — Tę wizytę Malatesty przypomniałem sobie w parę miesięcy później. W Neapolu spotkałem znajomego dziennikarza angielskiego z „Timesa”, który mnie poprosił żebym mu towarzyszył w wycieczce na Wezuwiusz. Było to zdaje się w marcu albo w kwietniu, wulkan po kilkudziesięciu latach milczenia huknął grzmotami, zapłonął w nocy ognipiórem i lunął na całą zatokę deszczem popiołu. Strumień lawy doszedł tylko do połowy stożka, ale ewakuowano nawet Torre del Greco i Torre Annunziata nad samym morzem. Jakż to był wspaniały widok zwłaszcza nocą... — uśmiechnął się Battaglia. — Nad kraterem unosił się biały grzyb dymu z czerwienioną po brzegach i w środku... Parasol, olbrzymi parasol, wypychany coraz wyżej wytryskami lawy... Rozżarzone krople tej ulewy ognia gasły na tle aksamitu nieba jak gwiazdy poranne...

— Widziałem ten wybuch Wezuwiusza — wtrąciłem.

— Widział pan? — ocknął się. — Ale nie o tym chciałem

mówić. Pojechaliśmy ranem dość wysoko do jednej z ewakuowanych wiosek, nie pamiętam już jej nazwy. Stanęliśmy przed pustym domem, który pod naporem obsuwającego się zbocza pękał na naszych oczach. Tuż przed runięciem fasady najwyższe okno otworzyło się z trzaskiem pchnięte od wewnątrz i na podwórko wyskoczył zagłodzony pies — skóra i kości. Nad oknem wymalowane było smółką jedno z licznych przykazań Mussoliniego: *Vivere pericolosamente!* — Żyć niebezpiecznie! „Masz gotowy artykuł do „Timesa” — krzyknąłem ze śmiechem do mojego towarzysza. — Zatyłuj go „Ostatni faszysta”!

— Ten artykuł ukazał się w „Timesie” pod takim właśnie tytułem. Zdaje się że raz jeszcze w mojej karierze emigranta, który wrócił do kraju, dałem bezwiednie prasie angielskiej niezupełnie ścisłą informację. Nie był to ostatni faszysta. Co się w ciągu tych dwudziestu lat stało we Włoszech? Prawie wszyscy zmienili skórę na faszystowską. Dlaczego? Uwiódł ich Mussolini swoim imperialnym wrzaskiem? Nie, nie. Nie o to chodzi. Ludzie którzy oblewali nieczystościami trupa dyktatora na Piazza Loreto w Mediolanie, robili to szczerze, wylewali z nocników swoje stracone drobnomieszczańskie i proletariackie złudzenia, swoje zawiedzione nadzieje. Ale ledwie upadł faszyzm, ci sami ludzie zaczęli wysiadywać na nocnikach nowe złudzenia i nadzieje. W czterdziestym piątym roku mówiło się, że „wybiła godzina socjalizmu”. Istotnie, zgłoszenia do partii sypały się drzwiami i oknami. Zapewniam pana — nie były to zgłoszenia samych socjalistów. A jednocześnie? Jednocześnie partia komunistyczna pęczniała od czarnych koszul, przemalowanych w ciągu nocy na czerwono. Jednocześnie jakiś drugorzędny aktorzysta i kabotyn z monoklem w oku potrafił z niczego stworzyć milionową partię „Szarego Człowieka — *Uomo Qualunque*”. Jednocześnie kwiat inteligencji z „Giustizia e Libertà” wyszedł na ulice ze sztandarami „Partito d’Azione”. Jakiego czynu — nikt dokładnie nie wiedział. Ale czynu, czynu, czynu! Partia „Szarego Człowieka” rozsypie się jak drapacz chmur skłajstrowany z plakatów propagandowych i wiatr wymiecie jej wodza z powrotem do teatru — tak, to prawda. Zostanie jednak qualunquizm psychiczny w spadku po faszyźmie. Za dziesięć lat nikt nie będzie pamiętał że istniała Partia Czynu. Przetrwa jednak mania Czynu przez duże C, też w spadku po faszyźmie. Wie pan dlaczego? Wie pan dlaczego?

Powtarzał to pytanie z desperackim uporem człowieka, który za dużo wypił i chce gwałtownie zdradzić jakiś ważny i długo ukrywany sekret.

— Powiem panu dlaczego. Bo skończył się wiek polityki na serio, wiek ideologii na serio. Tę prawdę wyczuł intuicyjnie Mussolini. Po drugiej wojnie światowej wypisana ona już była na wszystkich murach wołowymi literami. Pękło bezpowrotnie coś drogocennego i istotnego. Na ulice wyszły nie masy, nie lud, ale głupi, fanatyczny, niecierpliwy i rozpaczony tłum. To on

zmienia w ciągu nocy kolor skóry nie zmieniając samej skóry, to on pada na klęczki przed każdym ołtarzem demagogii, to on marzy o maszerowaniu w szeregach i w niewidzialnych mundurach. Czym są dzisiaj partie „masowe”? Olbrzymimi machinami półpaństwowymi na usługach albo własnego albo obcego państwa z aparatem partyjnym, który zastąpił ideologię. Niech ktoś spróbuje założyć partię i zapowie z góry, że chce zachować niezależność i czyste ręce. W najlepszym razie pokiwać nad nim ze współzuciem głowami, w najgorszym — wyśmiewają i przygotowują nekrolog przed porodem. Partia, „prawdziwa partia masowa”, musi chronić demagogią i pustymi obietnicami przed straszliwą niepewnością gospodarczą, musi zagłuszać w swoich członkach argumenty sumienia, logiki i zdrowego rozsądku; jeżeli któregoś dnia jej uszkodzony „aparat” wypuszcza przez szczelinę za dużo śmierzącego gazu, tłum przechodzi do konkurencji z przeciwnika. Ludzie tacy jak ja, którzy w walce politycznej nauczyli się widzieć rywalizację ideologii, spóźnili się na jeden pociąg i zostali na peronie z biletem nieważnym na następny pociąg. Dyskusje ideologiczne są dziś konkursem siły dźwięku i donośności głośnień propagandowych. Togliatti nauczył się tego w szkole Kominternu w Moskwie. Nenni okazał się niegorszym wcale samoukiem w Paryżu. Wie pan, czasami wydaje mi się że tylko jeden włoski emigrant antyfaszystowski nie wypił do końca gorzkiego kielicha wygnania. Filippo Turati...

— Filippo Turati? — zawtórowałem mu ze zdumieniem jak echo.

— Tak, Turati — powiedział Battaglia i przymknął oczy. — Przyjechał do Paryża w dwudziestym szóstym roku. Widzę go na Boulevard d'Ornano 8. Jest już stary, złamany śmiercią Anny Kuliszow, ciężki, z brodą przyciętą w klin, z nieodłącznym łańcuszkiem, ba — łańcuchem od zegarka na brzuchu. Pewnie że źle znosi wygnanie, pewnie że dusi go jak astma oderwanie od kraju — on przywódca i ojciec socjalizmu włoskiego, wielki mistrz placowego oratorstwa, który przemawia do trzydziestu współtowarzyszy w małej salce klubu emigracyjnego w Paryżu... A mimo to? A mimo to wierzy, pamięta dawne czasy, wspomina pierwszomajowe morze głów na Piazza del Duomo w Mediolanie. Wstaje o szóstej rano, siada do biurka zawałonego książkami i gazetami w pokoiku tak ciasnym, że między stertami druków, odezw i ulotek trudno mu dobrze rozprostować kości. Pisz listy do przyjaciół na emigracji i we Włoszech, do przywódców socjalistycznych w wolnych krajach, którzy nie odmawiają mu nigdy słowa, ale tylko słowa solidarności i otuchy. Drobnym maczkiem zapelnia kartki artykułów do paryskiego „Avanti!” Angeliki Bałabanow, do własnej „Italii”, do „Populaire”. Wychodzi z domu o jedenastej żeby wrzucić pocztę do skrzynki — nie zawierza nikomu tej najważniejszej czynności dnia. W drodze powrotnej bawi się z dziećmi na skwerze, zawsze uśmiechnięty i z kieszeniami pełnymi łakoci. Je obiad z włoską rodziną robot-

niczą, u której mieszka, i znowu do biurka. Nie zważa na swoje siedemdziesiąt lat, młodość polityczna nie uznaje dat metryki...

— Zapewne, zapewne — przebudził się z tego wspomnienia Battaglia — wszyscy myśleliśmy i wierzyliśmy tak jak Turati. Ale były różnice. Pierwszą ujął najlepiej on sam, gdy powtarzał często ulubiony werset Milтона: *they also serve who only stand and wait*; nie chcieliśmy stać i czekać, chcieliśmy przygotowywać z zagranicy w kraju sytuację rewolucyjną, nie wiedząc, że we Włoszech istnieje ona już od marszu czarnych koszul na Rzym. Dzięki drugiej on jedyny z nas wszystkich nie zeszedł na samo dno doliny wygnania: umarł po prostu jako siedemdziesięcioletni starzec w trzydziestym drugim roku, w przededniu dojścia Hitlera do władzy, na pograniczu dwóch epok — tej która go wychowała i wykarmiła, i tej która ostrzyła sobie na niego zęby. Jego pogrzeb był pogrzebem starego socjalizmu i wielką manifestacją wszystkich emigrantów. Najbardziej wzruszający artykuł napisał w „La Libertà” Arturo Labriola: „Śmierć która rani cały naród... Jego idee kazały mu umrzeć na wygnaniu, ale jego duch żyje nadal w ojczyźnie... Faszyzm przemilczał tę śmierć: któż wątpi jeszcze, że faszyzm to nie są Włochy?” Labriola poczuł się później faszystą pod wpływem zwycięskiej kampanii abisyńskiej Mussoliniego i wrócił z okrzykami zachwyty do rodzinnego Neapolu. Dziś flirtuje z Togliattim...

Nie mogłem zostawić Battaglii samego w tym stanie rozdrażnienia i poszedłem z nim na Marina Grande. Piazzetta odprowadzała nas ciekawymi spojrzeciami aż do stacyjki „Funicolare”. Na pożegnanie powiedział mi jeszcze: — Czuję się tu obco. To nie do wiary, a jednak wspominam niekiedy z rozrzewnieniem dwadzieścia lat emigracji.

10

Nie wracałem do Neapolu sam: obok mnie siedział na ławeczce statku Renato Ortese. Po krótkim pobycie na Capri jego blada twarz zaróżowiła się nieco, ale były to rumieńce które przypominały raczej niezdrowe liszaje.

Tego dnia przeszła nad wyspą nieoczekiwanie letnia burza z piorunami i ulewny deszczem, i wypogodziło się dopiero tuż przed naszym odjazdem. Zatoka wyglądała jak jezioro o zmierzchu w moich stronach rodzinnych: była czysta, ciemna, splukana deszczem i oddychała głębią. W połowie drogi Capri zaczęło odpływać na granicę horyzontu, podobne do sterczącego z morza grzebienia dinozaura. Takie kontury wyspy zobaczycie tylko w przedwieczornych godzinach po burzy, gdy zachodzące słońce jest już za słabe by przyprószyć wymyty kryształ powietrza matowym pyłem.

Przyjechaliśmy do Neapolu wieczorem, promenada nadmorska i Posillipo migotały już światłkami latarni. Jeszcze godzi-

na, a z całego miasta pozostanie tylko ta połyskująca w ciemnościach kolia. Ortese mieszkał w starej części Neapolu, a ponieważ w tym labiryncie zaułków prawie nikt nie uznaje nazw i numerów, postanowiłem towarzyszyć mu do domu i „zobaczyć” jego adres. Szliśmy przez wąskie i brudne uliczki, zatarasowane straganami, dudniące dużymi kołami konnych wózków, strzelające fajewerkami i klaksonami, obgryzane do kości przez mrowie ludzkie, nabrzmiałe jak żyły gardłowym namiętym krzykiem, powiązane wpoprzek u góry sznurami z bielizną, zasypane odpadkami. Gdzieś tam gromadki dzieci rozpały w blaszanych puszках ogień z paru deszczulek i ich opalona skóra między strzępami łachmanów nabierała w blasku płomieni polerunku brązu. Tutaj życie czepia się przechodnia lepkimi palcami i — nie oprzecie się w końcu temu wrażeniu! — obdziera go z ubrania do naga.

— Zastanawiająca rzecz — powiedziałem, podając mu rękę przed bramą nieotynkowanego jeszcze po wojnie domu. — Także Battaglia twierdzi, że wszyscy Włosi stali się w ciągu tych dwudziestu lat faszystami.

— Przesada — odpowiedział. — Stali się po prostu inni.

11

W półtora roku po mojej pamiętnej wycieczce na Capri, przed Bożym Narodzeniem 1948, umarł książę Gaetano Santoni. Podobno zabił go wyjazd syna do Oxfordu. W istocie — trudno sobie inaczej wytłumaczyć jego śmierć: do końca na nic nie chorował i któregoś ranka służący znalazł go nierozzebranego na łóżku, martwego i straszliwie pożółkłego, jak gdyby w środku ognistej obręczy otruł się własnym jadem. Prasa doniosła w dziesięciowerszowej notatce, że nad jego grobem wygłosił piękne przemówienie znany pisarz Guido Battaglia.

Co do Battaglii, to widuję go często w Rzymie ale tylko z daleka. Ilekroć moje zajęcia na to pozwalają i pogoda dopisuje, wybieram się na dzień do stolicy i prosto z dworca Termini pędzę do ulubionego Pincio, z którym wiąże mnie tyle najpiękniejszych wspomnień mego życia. Na Vittorio Veneto miga mi prawie zawsze za szybą lub przy stoliku na trotuarze kawiarni Rosatiego — Guido Battaglia z książką w ręku. Raz nawet widziałem ich obu: Battaglia czytał jak zwykle książkę u Rosatiego, a naprzeciwko u Doneya królował w gronie gwiazd filmowych z Cinecittà Ezio Malatesta. Nie umiem sobie wyjaśnić tej gry podświadomych oporów, które powstrzymują mnie od odświeżenia przyjaźni zawartej na Capri. Dość, że omijam stolik u Rosatiego z daleka. Ale wiem o Battaglii dość dużo. Wiem, na przykład, że wkrótce po głośnym incydencie w Izbie Deputowanych złożył swój mandat poselski, wystąpił z partii i założył mały lewicowy klub dyskusyjny, uczęszczany przeważnie przez *fuorusciti* i pozbawiony wszelkiego znaczenia politycznego.

Wiem też, że pracuje nad nową powieścią. Jego „Dolina wygnania” cieszyła się sporym powodzeniem w Anglii — głównie dzięki licznym akcentom antyangielskim — przeszła natomiast bez echa we Włoszech. Literaci włoscy nie lubią w ogóle Battaglii i zapewniają z przekąsem wszystkich, którzy chcą i nie chcą tego słuchać, że nie rozumie on życia dzisiejszych Włoch i po dwudziestu latach emigracji pisze językiem dziwnie sztucznym i drewnianym.

Podobnie jak stolik u Rosatiego, odpychało mnie do niedawna Capri. Ale przed dwoma miesiącami przemogłem się wreszcie, prosto z Marina Grande poszedłem na cmentarz i tam właśnie powstał pomysł tego opowiadania. Stałem długo przed kolumną z marmuru i nie musiałem nawet odgarniać z niej liści dzikiego wina, by przeczytać pod nazwiskiem Santoniego napis:

*Tu lascerai ogni cosa diletta
Più caramente; e questo è quello strale,
Che l'arco dello esilio, pria, saetta.*

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Neapol, kwiecień-maj 1956.

PREUVES

revue mensuelle

publie sous la direction de F. BONDY
dans son numéro de

JUILLET

Milan CHARVAT : *Le visage d'une ville* : Calcutta; Herbert LUTHY : *L'Asie et l'Occident*, à propos du livre du Sardar Panikkar; André PHILIP : *L'enseignement de la Liberté*; Thierry MAULNIER : *Les intellectuels et l'Algérie*; Jean DANIEL : *Colonialisme et bonne conscience*.

L'U.R.S.S. DEMAÏN

textes de Dwight MACDONALD, Altiero SPINELLI,
Frank MORAES, Edward CRANKSHAW.

Max BERGER : *Le secret de Polichinelle du mystère Picasso*;
Armand GUIBERT : *Fernando Pessoa ou le poète multiplié*.

Le numéro de 104 pages, dessins et hors-texte : 180 fr.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8°)
C.C.P. 178-00 Paris

Wyprowa do miasteczka

— Larmenien wybiera się jutro do miasta. Jest to doskonała okazja — powiedział Gérard wracając na leśniczówkę. — Powinienes z niej skorzystać.

Ukrywaliśmy się już od kilku miesięcy unikając wywiezienia na pracę do Niemiec. Był to okres gdy ekspedycje karne były stosunkowo rzadkie i zaszycie się w lasach dawało pewne gwarancje bezpieczeństwa. Pracowaliśmy wtedy na tartaku. Żyliśmy w świecie trocin. Dzień schodził szybko wśród zgrzytu pił mechanicznych krających podsuwane pnie i deski. Tartak położony był na polanie, w miejscu gdzie las podchodził na szczyt długiego grzbietu górskiego. O kilkanaście metrów dalej znajdowała się leśniczówka i kilka domów.

W miasteczku i na okolicznych fermach życie toczyło się dawnym torem. *Nos chers prisonniers* byli jeszcze na ustach wszystkich Francuzów, ale normalne zajęcia nie pozwalały już poświęcać im zbyt wiele czasu. Bo potrzeba było rąk do pracy, a wszystko przychodziło dość opornie. Choć pieniędzy było w bród. Można nawet powiedzieć, że nigdy nie zaznano w okolicy takiej pomyślności i bogactwa. Mięso i masło sprzedawano na czarnym rynku, a istniejąca wśród mieszkańców miasteczka solidarność i samoobrona pozwalały na obchodzenie zarządzeń władz. Był to nawet obowiązek patriotyczny, z którego obficie korzystali czarnorynkarze. Na terenie miasteczka i okolicznych wsi kwitł głównie handel wymienny.

Były one zresztą prawie samowystarczalne. Malutki kilku-wagonowy pociąg przychodził raz dziennie, ale przywoził niewiele pasażerów. Wagon towarowy służył jedynie do zabierania paczek żywnościowych które wysyłano do znajomych rozrzuconych po całej Francji. Paweł dał mi właśnie kilkanaście flaszek wina, a wino było tutaj artykułem wyjątkowo rzadkim i można było zań wszystko dostać. Butelka wina ofiarowana staremu Larmenienowi stworzyła mi jego serce i tak przyszła propozycja zakomunikowana przez Gérarda.

A na udanie się do miasteczka trzeba było istotnie czekać okazji, bo 30 kilometrów w jedną stronę i 30 klm. z powrotem — nie da się zrobić piechotą! Zwłaszcza, że moje buty zaczynały odmawiać posłuszeństwa, a o otrzymaniu bonu na nabycie nowej pary — nie można było nawet marzyć. Moja fałszywa karta żywnościowa nie pozwalała na takie ryzyko. Na szczęście, jeśli chodzi o artykuły spożywcze, nie była nam ona potrzebna. Od czasu do czasu dawałem wprawdzie miejscowemu piekarzowi kilka ticketów, ale było to raczej dla przyzwoitości, aby nie można było powiedzieć, że daję chleb bez kartek... Bo nikt tu nie zaznał głodu w tych latach. Z pełną przyjemnością, tak jak przed wojną, marnowano nawet produkty żywnościowe. Podczas młócenia zboża, gdy na okoliczną fermę zajeżdżała ogromna maszyna, parobcy i dziewczęta rzucali na siebie ciastkami ze śmietaną, która rozpryskiwała się na ich czerwonych, opalonych od słońca twarzach, i trzy dania mięsne na obiad były obowiązuje. Po okresie przymierania głodem w Tuluzie ten zakątek Owernii — wydał mi się prawdziwym rajem. Mimo ciężkiej pracy szybko odbiłem utracone 10 kilo i z pewnym niepokojem zacząłem nawet stwierdzać tworzenie się małego brzuszka a zwłaszcza rozrost pośladków. Bo mięso jadane w nadmiarze umieszczało się głównie w tej części ciała. W miasteczku większość mężczyzn miała imponujące peryferie. Henri, Alzatzczyk, student przeniesionego do Clermont-Ferrand na czas wojny uniwersytetu strassburskiego, ukrywający się tutaj po wywiezieniu kilku kolegów do Niemiec — twierdził nawet, że napisze swą pracę doktorską na temat tych lokalizacji tłuszczu, ale nie bardzo w to wierzyłem. Nie w lokalizację tłuszczu, bo wyczuwałem ją sam na sobie namacalnie, ale — że można z tego zrobić temat pracy doktorskiej. I w ogóle, że Henri kiedykolwiek dojdzie do pisania pracy. Bo życie tutaj i zajęcia na tartaku wydawały mi się czymś tak stałym, że nie wyobrażałem sobie, by kiedykolwiek mogło się to skończyć.

O tym co się dzieje na świecie dowiadaliśmy się głównie z radia. Gazetom dawno przestaliśmy wierzyć, bo to było tylko Vichy. Kłamstwo i woda. Na wszystkich fermach słuchano radia z Londynu i o godzinie 21,15 nie było domu, gdzie nie rozlegałoby się: *Ici, Londres. Les Français parlent aux Français*. Nie ukrywano się z tym zresztą i mieszkańcy miasteczka słuchali zakazanych audycji przy szeroko otwartych oknach. Wszak byliśmy między swoimi. Nie tajono się z tym nawet na żandarmerii. Zresztą kolaborantów było niewielu, można było ich na palcach policzyć. Każdy znał ich i wiedział czego się trzymać. Przechodząc ulicą wieczorem można było usłyszeć całą audycję z Londynu. Strefa ciszy między głośnikiem jednego domu a następnym — była prawie nieistniejąca. Radia, nie wiadomo dla czego zwanego narodowym, słuchano jedynie dla wiadomości sportowych i dla idiotycznych wypocin różnych *chansonniers* mniej lub więcej *fantaisistes*. Zniawidziłem je z tego powodu

jeszcze bardziej, niż na skutek politycznego nastawienia komentarzy. Ale tych można było nie słuchać, bo ludzie zazwyczaj przekraczali wtedy guziczek aparatu.

Na tartaku powodziło nam się nieźle. Dostarczaliśmy teraz głównie progi kolejowe dla podgórskiej linii łączącej nasze miasteczko z resztą świata, to znaczy z Clermont-Ferrand. Zona Larmeniena karmiła nas doskonale, a w takich sytuacjach jedzenie — to grunt. Odbiłem już moje dziesięć kilo, a teraz znów byłem na dorobku i pracowałem na czysty zysk. Rozmaite plotki kursowały o niej na fermach. Ale bo też baby nie mają nic lepszego do roboty i muszą zawsze strzępić sobie język. Ze była kochanką starego Dagrota, ojca obecnego właściciela tartaku? I cóż z tego? Jeśli to się jej podobało i jeśli ona podobała się staremu Dagrotowi?! Nie ma powodu do robienia z tego historii. Tak jakby na fermach chociaż jedna baba w okresie młodości ograniczyła się do swego męża! Nie wiem, jak się odnosił do tego Larmenien, ale miał chyba także swoje korzyści z dawnego romansu żony. W każdym razie znacznie rozbudował fermę i był w dobrych stosunkach ze starym Dagrotem, a obecnie — z jego synem. Widocznie nie miał powodu do uskarżania się. A Thérèse była doskonałą gospodynią i robiła lepsze kielbasy niż masarz w miasteczku, chociaż jego wyroby cieszyły się zasłużoną renomą. Mówiono też, że stara Teresa ma konszachty z diabłem i dlatego jej się wszystko udaje. Philomène zapewniała nawet, że w piątek wieczorem, gdy księżyc jest na nowiu, można ją zobaczyć latającą na miotle, ale było to bzdury, wysane z brudnego palca. Bo na co się zda opowiadanie takich historii? I tak nikt w to nie uwierzy! Co prawda, zmarszczona jak jabłko twarz Teresy, brak przednich zębów, zakrzywiony nos i haczykowane palce nadawały jej wygląd czarownicy. Zwłaszcza gdy miała na głowie czerwoną chustę. Nie chodziła też do kościoła. Ksiądz jej nie lubił, bo wyrażała się o nim bez należącego mu respektu. Dlatego też nie prostował obiegających o niej pogłosek, choć Kościół nie powinien popierać takich zabobonów. Zresztą ludzie nie wierzyli w diabła. Wielu z nich nie wierzyło nawet w Boga. Ale chyba lepszy już ten kto wierzy w diabła, niż zwyczajny ateusz i niedowiarek. A ksiądz żywił prawdziwą antypatię do Teresy Larmenien, bo nie tylko do kościoła nie chodziła, ale i innych buntowała i trzymała z radykałami i masonami. Czyż więc należy się dziwić, że pokumała się z diabłem? Zakrystian twierdził nawet, że widziano u niej w piecu piekarskim małego diabła z rogami i w kusym kubraczku, przesuwającego widłami bochny chleba, ale o zakrystianie za to mówiono, że przed laty dostał w pysk od Teresy, gdy ją chciał oblać i że to tylko brudna zemsta! Było to jeszcze za czasów starego Dagrota i nic dziwnego, że Teresa wołała Dagrota, który był mężczyną na schwał, od chuderlawego zakrystiana. Dlatego zwano ją też zazwyczaj Teresa Diablichą lub Teresa Dajwysk, bo prawie wszyscy ludzie w okolicy mieli przezwiska lub

przydomki. Nazwisk rodowych używano tylko w wyjątkowych wypadkach, by oznajmić ślub lub zgon. Albo w rejestrach gminnych. Jakkolwiek by było, możliwe jest, że diabeł pomagał Teresie, bo jej gospodarstwo należało do najlepszych, robiła doskonale masło, kury i gęsi sprzedawała na wagę złota, a o jej talentach kielbasianych głośno było dokoła. Ja również miałem niejednokrotnie sposobność oceny jej kucharskich zdolności. Takiego pasztetu z mięsa, jak Teresa nikt nie robił, a na innych fermach najczęściej podawano prawdziwe *étouffe-chrétiens*, którymi można się było udławić! A *farinades* Teresy, naleśniki z jabłkami, były też wyjątkowo dobre. Młody Dagrot, który po ojcu odziedziczył tartak i Teresę, dał u niej po śmierci żony, ale była ona już zbyt stara, by ich można było o cokolwiek sądzić. Teresa zgodziła się także byśmy się u niej stołowali, bo nie chciała odmawiać Dagrotowi, który ją o to prosił. Na tartaku panowała bowiem prawdziwa równość i Dagrot nie uważał nas za zwyczajnych robotników. Tak więc mogliśmy korzystać z talentów gospodarskich Teresy i wielokrotnie miałem sposobność widzenia jej przy wypieku chleba, ale nigdy nie zauważyłem diabła w piecu ani na patelni. Chociaż postępowanie Teresy czasem wydawało się dziwne. Doskonale wyobrażałem ją sobie z krukiem na ramieniu lub prowadzącą czarnego kozła gdy księżyc był na nowiu. Lub nawet jadącą na miotle. Ale, zdaje się, że te pogłoski miały zupełnie inną, naturalną przyczynę. Teresa lubiła wróżyć z kart i nieraz jej przepowiednie się spełniały. Budziło to pewien lęk wśród ludzi i obawiano się jej narazić. Tak więc wytworzyła się wokół Teresy legenda. Nie starała się jej zwalczać, bo wołała, by ludzie się jej bali, niż by ją mieli za byle co.

Stary Larmenien choć przekroczył już siedemdziesiątkę, był jeszcze krzepki. Od kilku dni nie widzieliśmy go na fermie, bo dniem i nocą nie ruszał się z chlewu pilnując, by truja nie pożarła nowonarodzonych prosiąt. Teresa zastępowała go co dzień tylko przez krótką chwilę, aby mógł zjeść posiłek. Z dwójga złego woleł już pracę na tartaku, niż rolnictwo!... Przyniesiona przez Gerarda wiadomość świadczyła więc, że okres małoletności prosiąt już się skończył lub że kto inny pojedzie z nami. Ale to wydawało się mało prawdopodobne. W każdym razie pozwoli mi to na załatwienie kilku spraw w miasteczku. Wynotowałem więc skrzętnie na karteczce: 1. materiał na spodnie, który może uda mi się zdobyć bez karty przez kuzynkę Gerarda; 2. lampa do odbiornika radiowego — może będę mógł ją dostać dzięki kilku butelkom wina dodanym do normalnej ceny. 3. Wreszcie chciałem kupić jakiś prezent dla Marguerite, bo zauważyłem, że od czasu gdy Pierre przywiózł jej batikowy szalik moje akcje znacznie spadły. Zawsze byłem zdania, że *les petits cadeaux entretiennent l'amitié* i od kilku miesięcy na każdym kroku miałem sposobność przekonać się o słuszności tej maksymy. Tak, niewątpliwie przysłowia są mądrością narodów, ale nie-

stety narody wolą słuchać polityków i szefów sztabów... 4. Do tej listy należy jeszcze dodać ostrza do żyłek. Stanowczo należy zgolić brodę — trzeba się nieco odmłodzić aby pozostać w dobrej formie. W przeciwnym razie może to pociągnąć katastrofalne następstwa. Bez nożyc i brzytwy — nie utrzymam Małgorzaty. Zakupy pochłoną niewątpliwie kilka butelek, ale może Paul znowu sobie o mnie przypomni...

Pojechaliśmy starym półciężarowym Fordem przerobionym na gazożen. Przydział kilkunastu litrów benzyny wystarczał bowiem zaledwie na obsługę maszyn rolnych i Larmenien, idąc za wymaganiami czasu, zaopatrzył ciężarówkę w ogromny okrągły piec, który z węgla drzewnego wytwarzał niezbędny do napędu gaz. Ale samochód miał już przeszło 100.000 km. na liczniku, z tego prawie połowę na drogach leśnych. Każdy wyjazd obfitował więc w nieprzewidziane przygody. Auto zatrzymywało się nagle bez powodu i stary Larmenien nie zawsze potrafił dokonać naprawy. Czasem trzeba było telefonować do odległego o kilka kilometrów garażu i wzywać mechanika. Rzadko obyło się też bez zmieniania opon, które zużyte aż do płótna, stale nawalały: na dętkach było więcej łat niż pierwotnego materiału.

Larmenien usiadł przy kierownicy, a obok niego ulokowała się Alexandrine, która jechała na kilka dni do mieszkającej w miasteczku córki. Dla Teresy i dla mnie ustawiono ławkę na platformie samochodu, pod dachem z płótna nieprzemakalnego. Chroniło nas to od upału i zmniejszało ilość połykanego kurzu, ale za to czuć było zapach gazu. Ku memu zdumieniu stary Ford ruszył z miejsca bez żadnych ekstrawagancji i wtoczył się na leśną drogę podskakując na wybojach i rozpryskując wodę wypełniającą dolki.

Zawsze z żalem opuszczałem las. Nie dlatego, że byłem zwoleńnikiem piękna przyrody, ale człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego i po pewnym czasie nie chce mu się ruszać z miejsca. Po prostu zasiedziałem się nie wychylając nosa na świat i nie pragnąłem zmiany. Przyzwyczailem się więc do życia na tartaku. Do dobrej kuchni Teresy Larmenien i do nocy spędzanych z Marguerite. Lubiłem także świerki, bo przypominały mi kraj, mimo że nie były tak piękne jak w puszczy Niepołomickiej lub choćby w jakimś lesie koło Suchej lub Chabówki.

Po opuszczeniu leśnej drogi samochód potoczył się wartko i zaczęliśmy jechać do niżej położonych okolic. Było tu znacznie goręcej niż w lesie i upał zaczął nam nie na żarty dokuczać. A do tego ten kurz! I brak powietrza! I zapach gazożenu! Lepiej już pracować na tartaku, obsługiwać piłę mechaniczną i podstawić deski, niż pocić się w tym starym klekocie, jak mysz pod miotłą! — pomstowałem w duchu. Ale po pewnym czasie zacząłem odczuwać coraz to bardziej trudną do zwalczenia ochotę do snu. Głowa Teresy także kiwała się to w jedną to w drugą stronę i z jej ust wydobywało się dziwne bulkotanie przypomi-

nające kaczkę pijącą wodę z bajora albo perkotanie motoru Fiata na trzecim biegu. Wkrótce i ja się zdrzemnąłem.

Obudziła mnie dopiero cisza, w której rozróżniłem jednak głos Larmeniena tłumaczący coś Alexandrinie. Było w tym coś niepokojącego, tak jak przebudzenie w pociągu w nocy, gdy na przystanku nie słychać już monotonnego turkotu kół i szczerku żelastwa. Zrywamy się wtedy zdjęci strachem, ale panuje głucha cisza i w szyby wagonu uderzają tylko podmuchy wiatru dochodzące z równiny. Potrzeba mi było kilku minut, aby oprzytomnieć i zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje. Nie ma wątpliwości: znowu „panna”. Znow się coś zepsuło w motorze! Wyśiadłem z samochodu, by rozprostować nogi i zaczerpnąć świeżego powietrza. Dla przyzwoitości podszedłem do Larmeniena i zaoferowałem swoje usługi, ale nie wiele mogłem zrobić, bo nie znam się na mechanice i moje wiadomości nie wybiegają poza umiejętność oczyszczenia karburatora w motorze benzynowym. Milcząc przyglądałem się więc jak Larmenien majstrował coś koło samochodu rzucając od czasu do czasu głośne przekleństwa lub dość soczyste *gros mots*. Nie był on jednak, jak Gérard, specjalistą od tworzenia nowych, niespotykanych zazwyczaj kombinacji, łączących organy rozrodcze ze skatologią. Nie, Gérard był w tej dziedzinie prawdziwym artystą, przekształcając znane w życiu wojskowym wyrazy i nadając im nową formę, tak jak rzeźbiarz lepi z gliny głowę modelu tworząc coś zupełnie odmiennego od rzeczywistości. Larmenien najczęściej ograniczał się do skatologii. Ale dzisiaj widocznie brakowało mu inwencji. Zarówno w zakresie wyklinania jak i w naprawianiu motoru. Czuliśmy, że nie wierzy już by mógł to sam zrobić i rozważa ewentualność telefonowania do garażu.

W tym momencie ukazał się na drodze dziwny osobnik. Z daleka przypominał księdza, gdyż miał na sobie coś w rodzaju sutanny. Gdy podszedł bliżej okazało się jednak, że nie była to sutanna, lecz krótka pelerynka mająca rzadko spotykaną formę. Nowoprzybyły odrzucał ją stale charakterystycznym ruchem ręki noszącym cechy pewnej nonszalancji. Łopatkowata, czarna broda, i duże czoło z wysokimi, bardzo wyrazistymi kątami nadawały mu dziwny wygląd. Miał w sobie coś z Don Kiszota i z Don Juana, a także coś z Mefista przebranego w strój osoby duchownej.

— Czy mogę być w czym pomocny? — zapytał grzecznie. — Znam się trochę na motorach. Larmenien opisał mu swe nieudane próby i nieznajomy zabrał się do pracy. Po kilku minutach rozległo się perkotanie motoru, najpierw idącego nierównie, a potem — znowu po krótkim majstrowaniu — zdołał osiągnąć normalne obroty silnika. Larmenien był trochę zawstydzony, ale nieznajomy szybko to także naprawił chwalać go, że zrobił wszystko, co należało i twierdząc, że na pewno i bez jego pomocy sam byłby znalazł przyczynę zepsucia się motoru.

— Czy pan z tej wioski? — zapytał Larmenien.

— Nie, idę do miasteczka. Czy nie moglibyście mnie zabrać?

Nieznajomy wskoczył na platformę ciężarówki i usadowił się na ławce obok Teresy grzecznie poprosiwszy o zezwolenie, którego mu skwapliwie udzieliła. Samochód ruszył i znów ogarnęło nas gorąco, kurz i wyziewy tlenku węgla. — Co za diabelskie gorąco! — wyrwało mi się mimo woli. Nieznajomy zadrżał jakby z zimna i nasunął na siebie pelerynkę. Gdy wykonywał ten ruch zwróciłem uwagę na jego palce. Były zakrzywione jak haczyki i przypominały raczej szpony drapieżnego ptaka. Tak jak palce Teresy. — Co za dziwna postać! — pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno. Bez niego nie dojechalibyśmy na obiad do miasteczka. Miałem ochotę zadać mu kilka pytań, dowiedzieć się o nim czegoś bliższego, ale bałem się go urazić. W zwyczajnych warunkach byłaby mię wyręczyła Teresa, ale teraz nie wiadomo dlaczego milczała jak zaklęta. Nie wykazywała żadnej ciekawości. Spokojnie, jak gdyby nigdy nic, spała lub tylko udawała, że śpi.

Po upływie godziny, gdy dojeżdżaliśmy już do miasta, samochód nagle zatrzymał się. Chciałem się wychylić z Forda, ale zmartwiałem z przerażenia. Usłyszałem męskie głosy zapytujące czy nie wiemy nieodzwolonych artykułów. Wpadliśmy na całego! Sam widziałem, jak Teresa pakowała do znajdujących się obok nas koszyków większość produktów niedawnego świnio-bójstwa: szynkę i boczek, kielbasy, słoninę, kiszkę oraz kilka oselek masła. Jeden z agentów *Contrôle Economique* podniósł płótno i zwrócił się, tym razem już bezpośrednio do nas, z tym samym zapytaniem. Thérèse odpowiedziała przecząco. Byłem zupełnie rozbity. Wpaść tak głupio! Z powodu historii czarnorynkowych! Oczywiście nastąpi teraz sprawdzanie papierów. O ile żandarm spotkany na drodze chętnie przymykał oczy i udawał, że nie zdaje sobie sprawy, iż przedstawiona mu karta identyczności jest podrobiona, o tyle w razie doprowadzenia na komisariat nie można już było na to liczyć i prawie zawsze następował wpadunek. Z prawdziwym przerażeniem patrzyłem więc gdy policjant zaczął wyciągać spod ławki koszyki, w których Teresa rano umieściła masło i wędliny. Wolałem już tego nie widzieć! Przymknąłem powieki i zastanawiałem się, czy lepiej będzie teraz wyskoczyć, czy też należy poczekać na pomyślniejszą okazję. Ale otworzyłem oczy, bo nagle rozległo się głośne ganiebienie kury i bicie skrzydeł. W koszyku była tylko kura, oraz dwa kurczęta, to jest produkty nie podlegające reglamentacji! Podobnie, sąsiedni koszyk, w którym rano widziałem kilka oselek masła i kielbasę — zawierał tylko miód i orzechy, a więc artykuły dozwolone. Policja ekonomiczna po stwierdzeniu, że nie wiemy niczego zakazanego wycofała się nie kontrolując kart identyczności i ruszyliśmy w dalszą drogę. Chciałem zapytać Teresy jak się to stało i miałem ochotę sam otworzyć koszyki, aby przekonać się co się w nich istotnie znajduje, ale krępowała

mnie obecność nieznajomego. Może to także jaka podejrzana osoba, przebrany policjant lub agent kontroli gospodarczej. W tych czasach należy być bardzo ostrożnym z osobami, których się nie zna. W każdym razie dziwny facet! A ten nowy cud w Kanie, to doprawdy... Nagle przyszło mi na myśl to co mówiono o Teresie i poczułem zimny pot na czole. Ale już wjeżdżaliśmy w ulicę miasteczka. Było prawie południe.

Nieznajomy pożegnał się szybko z nami. Chciałem postawić Teresie pytanie co do wiktuałów w koszyku, ale ciągle ktoś nam towarzyszył, i nie miałem sposobności zostać z nią sam na sam. Zabrałem się więc do załatwiania sprawunków. Kuzynka Gerarda okazała się nieoceniona. Nie tylko sprawa kupna bez kartek materiału na spodnie została pomyślnie załatwiona, ale dzięki niej nabyłem też elegancką torebkę damską dla Marguerite, która śmiało mogła zrównoważyć szalik ofiarowany przez Pierre. Zrobiono mi nawet nadzieję na parę butów bez bonu, oczywiście będzie to możliwe dopiero po otrzymaniu nowej przesyłki od Paula. Dzięki nieocenionej kuzynce zdołałem także uzyskać ostrza do żyłетки i lampę do radia. Wszystkie sprawunki zostały w ten sposób szczęśliwie załatwione. Pozostało mi trochę czasu. Zaprosiłem więc ją do kawiarni. Jakieś ohydne, słodkie wino dzięki wygórowanej cenie z powodzeniem zastępowało aperitif i czas nam zszedł szybko. Bycza dziewczyna i jak mówią Francuzi *elle n'a pas froid aux yeux!* Gdyby nie krótkość czasu i to, że jednak nie można robić świątwa koledze — przypuszczam, że można by z nią nawet spędzić kilka dobrych momentów. Ale trzeba mieć pewne zasady moralne. Bądź co bądź nie jest to zwyczajna kura i do osaczenia fortecy potrzeba co najmniej kilku dni.

Teresa była oczywiście spóźniona i czekaliśmy na nią dobre pół godziny. Tym razem byłem już sam na platformie i nie musiałem dzielić ławki z Teresą, która usadowiła się obok męża. Ujechaliśmy już kilka kilometrów, gdy nagle samochód się zatrzymał. Czyżby znowu motor nawalił? Nie, silnik pracował w porządku. Zdziwiło mnie to, gdyż Larmenien nie lubił autostopu i rzadko zabierał nieznane mu osoby mimo rozpaczliwych znaków, jakie często czyniono na drodze. Myślałem, że od Larmeniena i Teresy dowiem się o co chodzi, ale w momencie gdy chciałem poinformować się o przyczynie nieprzewidzianego przystanku — uchyliło się płótno, prawie bezszelestnie, i czarny nieznajomy lekko wskoczył do wnętrza.

— Co za szczęście, że znowu was spotkałem. Byłbym musiał pieszko dymać do Moulin-Noir!

— Pan z Moulin-Noir? — zapytał skwapliwie chcąc wykorzystać okazję do nawiązania rozmowy. Ale nieznajomy udał że nie dosłyszał pytania i umieścił się na ławce.

Stary Ford jechał dość szybko, wydawało mi się nawet, że szybciej niż przed południem. Ale zapewne było to tylko złudzenie. Albo może Larmenien, po kilku aperitifach, czuł się w lep-

szej formie, niż rano, na czczo. Ale to chyba tylko tak mi się wydawało.

Zatrzymaliśmy się w Maureilles bo Larmenien chciał zobaczyć czy kował ukończył reperację pługu i skorzystaliśmy z tego, by wstąpić na aperitif „Pod złotego lwa”. Wypiliśmy po dwa kieliszki i wyszliśmy na świeże powietrze nieco pokrzepieni. Tylko Larmenien uskarżał się, że jest zmęczony.

Nie jestem świetnym kierowcą i ciężarówek gazożenowych dotychczas nie prowadziłem, ale już chciałem zaproponować swe usługi, gdy usłyszałem głos Teresy:

— Jeśli jesteś zmęczony — to ten pan, który tak szybko i dobrze naprawił naszego Forda, nie odmówi nam dalszej pomocy...

— Ależ jak najchętniej — odpowiedział nieznajomy i ulokował się przy kierownicy, obok Teresy.

Kował, a zwłaszcza aperitify „Pod złotym lwem”, znacznie opóźniły nasz powrót. Zmierzch zaczął się stawać coraz bardziej gęsty. Na ciemnym niebie ukazał się mały rożek księżyca. Było nieco mniej gorąco, ale kurz i zapach gazu podchodziły do samego gardła. Zdawało mi się, że Teresa rozmawia z nieznajomym, ale nie mogłem uchwycić ani jednego słowa. Za wzgórzem kryły się czerwone blaski zachodzącego słońca i samochód coraz szybciej biegł w gorejący pożar. Jak wóz Eliasza — pomyślałem, zdaje się, że to Eliaz został zabrany do nieba na wozie ognistym? Nie byłem pewny mej wiedzy w zakresie katechizmu i biblij — sporo lat upłynęło już od tego czasu — i dlatego zacząłem starać się o przypomnienie sobie jak to było z tym prorokiem, gdy nagle przyszło mi na myśl to co mówią o Teresie. I to dziwne zachowanie się nieznajomego! Ale chyba nasz Ford nie jest podobny do wozu Eliasza. Przypomina raczej jakiś rydwan piekielny! Diabelski! Diabeł i jego żona. Ale stwierdziłem to spokojnie, bez cienia trwogi. Zresztą ten diabeł jest wcale sympatyczny. Naprawił nam samochód, dzięki niemu uniknęliśmy kontroli ekonomicznej i żandarmerii Vichy...

Samochód pędził coraz szybciej. Przed nami biegł biały snop światła. Przez kilka kilometrów droga prowadziła przez pagórki, które dawały wrażenie *les montagnes russes*. W górę i na dół, w górę i na dół... miałem wrażenie, że jestem na koniku karuzeli i żołądek podchodził mi do gardła. Ale pagórki szybko się skończyły i jechaliśmy potem długo w dół. Teraz samochód biegł drogą wysadzoną topolami, wzdłuż której ciągnęły się pastwiska otoczone płotem z wikliny. Mimo późnionej pory widać było na nich jeszcze czarne bydło. Ludzie usuwali się przed nami, w pośpiechu ustępując z drogi. Często spotykaliśmy uciekające zające, które wpadały pod koła i natychmiast podrywały się, żywe, chroniąc się w ciemność. W mroku poruszały się skrzydła wiatraków, które czasem wychodziły do nas z nocy, jak groźne ramiona. Chwilami nie wiedziałem, czy to są istotnie

wiatraki — wydawało mi się, że to raczej szubienice na których kołyszą się zawieszane trupy.

A potem wjechaliśmy w głęboki bór. Nie był to nasz las i nie wiedziałem czy byliśmy na drodze do tartaku. Ale nie niepokoiło mnie to nadmiernie. Nagle ogarnęło mnie ogromne zaufanie do nieznajomego. Nawet jeśli to jest diabeł — to lojalnie przestrzega zasad gry. Daje dawno niezaznane uczucie pewności. Dlatego nie żywiłem żadnej obawy. Czulem się pod osłoną jakiejś nieznanej, potężnej osoby, która za nas pobiera decyzje i zwalnia od myślenia. Rosnące wzdłuż drogi krzaki jeżyn trącały karoserię samochodu i czepiały się płótna platformy. Następowało to tak szybko, że ich drobne uderzenia w płótno nieprzemakalne dzwoniły jak ulewny deszcz o szyby. Bór stawał się coraz bardziej ciemny i ciągle jeszcze jechaliśmy w głąb. Latarnie naszego samochodu płoszyły zwierzyńnię, zające i króliki przebiegały w pośpiechu drogę, kuropatwy zrywały się uderzone światłem i zawisały w powietrzu. Wiewiórki chroniły się na wierzchołki drzew i zrzuciły na nas szyszki i orzechy. Na szczycie wzgórza, na skrzyżowaniu drogi, na tle ciemnego jak aksamit nieba stał jeleń a rogi jego znaczyły na horyzoncie tajemnicze cienie. Samochód pędził ciągle w głąb tego zaczarowanego lasu, który nie miał końca. Od czasu do czasu widać było polany, na których jakieś tajemnicze postacie tworzyły taneczne koła. Nie były to wieśniaczki, ich stroje przypominały raczej wiek XVII-ty.

Nagle jednak samochód wyjechał z lasu coraz to szybciej odbijając się na nierównej drodze jak piłka gumowa. Każdy odskok trwał dłużej niż poprzedni, aż wreszcie zacząłem odczuwać wrażenie, że koła nie dotykały już drogi krając tylko powietrze. Zdawałem sobie sprawę z tego, że działo się we mnie coś niezwykłego, że jest to jakby latający dywan kalifa i wciąż nie miałem żadnej obawy. Równocześnie wiedziałem, że nie jest to bajka z 1001 nocy, ale że samochód prowadzony jest przez diabła we własnej osobie i to właśnie dawało mi poczucie ogromnej pewności. Nie był to płonący wóz Eliasza, bo zachowaliśmy kontakt z ziemią. Nie mogliśmy się jednak od niej oderwać. Może działo się tak dlatego, że diabeł jako upadły anioł nie może się zanadto zbliżyć do nieba, a może dla innych powodów, zależnych od praw fizyki. Granice nieba i ziemi dawno się zresztą zatarały. Zdawało mi się, że pędziliśmy nie przez las, ale przez jego odbicie na ziemi, że przesuwamy się koło drzew ustawionych do góry nogami, jak odzwierciedlenie sznura topoli w stawie. A potem drzewa przemieniły się w zwyczajny las i zobaczyłem staw podobny do tego, który znajduje się koło tartaku. Kołysała się na nim łódka, a w niej znajdowało się moje odbicie. I takich łódek było dziesiątki i setki, ustawiały się rzędem towarzysząc samochodowi, a w każdej łodzi znajdowało się moje odbicie. Aż wreszcie skończył się las, łódki zatrzymały się na

jego skraju mimo rozpaczliwych wysiłków *odbić*, by dalej nam towarzyszyć. Znaleźliśmy się na nieznanym polanie.

Nagle samochód stanął przed zagrodą Larmeniena, który podniósł się i powoli zaczął schodzić z samochodu. Teresa podeszła do platformy i zaczęła wyjmować koszyki. Chciałem jej pomóc, ale odmówiła gestem pełnym niespotykanego dotychczas u niej autorytetu. Chciałem koniecznie zajrzeć do wnętrza, by stwierdzić, co się rzeczywiście w nich znajduje, ale nie miałem na to odwagi. Titi, pies Larmenienów, wybiegł z zagrody z wesołym szczekaniem, ale nagle zatrzymał się w miejscu i zawrócił ze spuszczonego ogonem.

— Gdzie jest nieznajomy? — zapytałem Larmeniena po odejściu Teresy.

— Jaki nieznajomy? — odpowiedział i wszedł do wnętrza, gdzie czekała już na nas dymiąca wieczerza.

Jan BRZEKOWSKI

Z POLSKIEJ INICJATYWY — ZA POLSKIE PIENIĄDZE — DLA POLSKICH CELÓW — JUŻ UKAZAŁA SIĘ PIERWSZA CZĘŚĆ ZIEMIA I CZŁOWIEK W Y D A W N I C T W A :

POLSKA I JEJ DOROBK DZIEJOWY

W CIĄGU 1000 LAT DZIEJÓW.

ZARYS I ENCYKLOPEDIA SPRAW POLSKICH.

Opracowanie zbiorowe 56 najwybitniejszych polskich uczonych i specjalistów przebywających w wolnym świecie — pod redakcją prof. dr H. PASZKIEWICZA. 12 zeszytów, 1.200 stron dużego formatu, liczne ilustracje, tablice, mapy. Dodatki na osobnych tablicach na papierze kredowym. Raclawice (J. Chelmoński) 10×15 cali, Poczta Królów Polskich wg rys. J. Matejki, Stroje ludowe, Piękno krajobrazu polskiego, A. Mickiewicz w/g fotografii M. Szwaycera z r. 1855.

Cena zeszytu w ulgowej sprzedaży subskrypcyjnej:
sh. 12/6, dol. 1,85, fr. 650.

Nazwiska Subskrybentów (o ile sobie tego życzą) wydrukowane zostaną w książce.

KSIEGARNIA POLSKA ORBIS POLONIA

38, Knightsbridge, London, S.W.1.

ŻĄDAJCIE PROSPEKTÓW

Archiwum polityczne

Materiały do refleksji (4)

Douglas Hyde, były wieloletni redaktor „Daily Worker” opisuje w swej książce pt. „I believed” w jaki sposób w czasie wojny politycy partyjni przekonywali młodych brytyjskich komunistów o konieczności pracy szpiegowskiej na rzecz Sowietów. Gdy młodzieniec wykazywał skrupuły i wątpliwości, doświadczeni marksiści stawiali sprawę jasno: „Zdrada Anglii burżuazyjnej nie jest zdradą, bo to nie jest nasza Anglia. Celem do którego dążymy jest komunistyczna Anglia w komunistycznym świecie. Realizatorem tego dziejowego programu jest Związek Sowiecki i czerwona armia. Dlatego obowiązkiem każdego komunisty, bez względu na narodowość, jest nie tylko obrona Związku Sowieckiego lecz w miarę możliwości wzmacnianie jego potęgi. Albowiem im Związek Sowiecki będzie potężniejszy tym dzień naszego triumfu będzie bliższy”.

Trzeba stwierdzić, że w epoce przed-atomowej rozumowanie powyższe było całkowicie logiczne (z punktu widzenia komunistycznego). W owym czasie, stosunek komunisty zagranicznego do Związku Sowieckiego opierał się na prostych przesłankach. Marksista angielski czy francuski wierzył w dziejową nieuchronność konfliktu pomiędzy Związkiem Sowieckim a światem kapitalistycznym i w konsekwencji w światowy triumf rewolucji komunistycznej. Jeżeli przekazywał cenne informacje ambasadzie sowieckiej mógł sobie powiedzieć, że bezpośrednio wspomaga tych, którzy zobowiązyali się wobec Historii do podboju świata i ufundowania na tym globie ustroju komunistycznego.

Ale co dziś, w roku 1956, dygnitarz partyjny w Anglii czy we Włoszech ma odpowiedzieć młodemu adeptowi komunistycznej wiary, który odmawia pracy szpiegowskiej na rzecz Związku Sowieckiego? Nasz młodzieniec może bowiem oświadczyć, że nie widzi podstaw do pracy szpiegowskiej dla Sowietów, ponieważ Rosja jednostronnie zwolniła się z zobowiązania walki (rzekomo nieuchronnej) z kapitalistycznym otoczeniem a zagranicznym partiom komunistycznym doradza szukać zwycięstwa poprzez większość parlamentarną.

Cóż o milenium komunistycznym ma myśleć młody marksista brytyjski? W Westminsterze nie zasiada ani jeden poseł komu-

nistyczny — więc cóż mówić o większości parlamentarnej. Ale nawet we Francji, gdzie partia komunistyczna dysponuje potężną reprezentacją w parlamencie nic nie wskazuje na to by na drodze demokratycznej komunisci mogli kiedyś dojść do absolutnej większości.

Sprawa jest jasna. Bez interwencji z zewnątrz w Europie zachodniej i w Stanach Zjednoczonych komunizm nie zatriumfuje. Droga „większości parlamentarnej” nie jest nawet samookłamywaniem się, ponieważ należy uznać za wyłączone by jakkolwiek marksista tę złotą myśl p. Chruszczowa traktował poważnie.

Jeden z wybitnych polskich publicystów w tym samym artykule na wstępie oświadczył, że Sowiety tak dziś jak i dawniej dążą do podboju świata — a w zakończeniu obwieścił, że wojna w naszej epoce przestała być instrumentem polityki.

Nie wiem czy jest rzeczą możliwą podbić świat bez wojny. Osobiście skłonny jestem przypuszczać, że nie.

Marksista jest o tyle w lepszej sytuacji niż zwyczajny śmiertelnik, że wierzy w istnienie „praw dziejowych” i w konsekwencji w pewną logikę procesu dziejowego. Dla komunisty Historia — choćbyśmy w danym momencie przeżywali ponury odcinek — jest przedstawieniem z gwarantowanym „happy end'em”. Wiadomo, że kapitalizm uwikłany w własne sprzeczności kiedyś upadnie, jak również wiadomo, że blok państw komunistycznych staje się z każdym tygodniem coraz potężniejszy. W rezultacie wynik jest przesądzony.

Jak długo wojna zajmowała czołowe miejsce w spisie instrumentów polityki — optymizm marksistowski posiadał pewne podstawy. Ale ostatnio sytuacja uległa poważnej zmianie. W mojej opinii bomba wodorowa wstrząsnęła niepomrotnie silniej marksistowskim „porządkiem rzeczy” niż kapitalistycznym — choćby z tej przyczyny, że świat kapitalistyczny ustalonego „porządku rzeczy” nie posiada.

Okazuje się, że ustrój kapitalistyczny dokonał przewrotu technologicznego w skali światowej i co ważniejsze — konsekwencje tego przewrotu narzucił komunizmowi. Za nim w ogóle doszło do owej „nieuchronnej” wojny z kapitalistycznym otoczeniem — wojna została uniemożliwiona i skreślona z rejestru narzędzi politycznych.

Jeżeli powyższe rozumowanie jest słuszne to trzeba powiedzieć, że tzw. „prawa dziejowe” zachowują się dziwnie. Kapitalizm zamiast pograć się w chaosie — przemianami jakich dokonał — zmusił komunizm do rewizji jego podstawowych założeń.

„Nowy styl” jaki przyjęliśmy kojarzyć z 20-tym Kongresem, potępienie Stalina, „odwilże” itd. — to są wszystko znamiona procesu szukania nowej drogi w zmienionych warunkach. Odejście od stalinizmu było przesądzone od dawna. W epoce wodorowej stalinizm prowadziłby Rosję do samobójstwa. Fakt, że

stalinizm stał się anachronizmem spowodował potępienie Stalina a nie odwrotnie.

Komunizm stalinowski był koncepcją centralistyczną a Stalin wymagał ideologicznego konformizmu od wszystkich komunistów w świecie. Linia generalna była ustalana w Moskwie i tylko w Moskwie. Jak długo komunizm opierał się na założeniu nieuchronności konfliktu z światem kapitalistycznym — polityka podporządkowania wszystkich i wszystkiego głównej kwaterze rewolucji światowej na Kremlu — była logiczna i celowa. Tylko główna kwatera, gdzie zbiegały się wszystkie nici międzynarodowej sieci szpiegowskiej — mogła ocenić co leży a co nie leży w interesie ruchu komunistycznego. Dogmat nieuchronności konfliktu — choćby ów konflikt nastąpić miał w dalekiej, niewymiernej przyszłości — dawał Moskwie tytuł do traktowania wszystkich komunistów w świecie za żołnierzy z kartą mobilizacyjną w kieszeni. Komunista w państwie odległym o tysiące mil od Związku Sowieckiego podlegał Kremlowi i uważał to za zrozumiałe, ponieważ Rosja i armia czerwona miały zapewnić zwycięstwo rewolucji w jego kraju. W sumie dogmat o nieuchronności konfliktu sprowadzał się do gwarancji jakiej udzielał Związek Sowiecki zagranicznym partiom komunistycznym żądając w zamian całkowitego podporządkowania i posłuszeństwa.

Obecnie gwarancja została cofnięta. Z tego faktu zainteresowani powinni wyciągnąć logiczne wnioski. Jeżeli Związek Sowiecki nie gwarantuje dziś pomocy zbrojnej i porzuca tezę o nieuchronności konfliktu — musi przyznać zagranicznym partiom komunistycznym autonomię i prawo własnej drogi do socjalizmu.

Bolesław Bierut do śmierci reprezentował linię stalinowską. Był przekonany, że typ „demokracji ludowej” z doradcami sowieckimi na każdym szczeblu — wcześniej czy później z małymi zmianami obowiązywać będzie na całym świecie. Gomułkowszczyzna w jego oczach była próbą wyłamania się z przyszłego międzynarodowego socjalistycznego porządku.

Dziś Ochab nie może posłużyć się argumentami, które w zadanu miał Bierut. Polska demokracja „ludowa” z sowieckimi oficerami w polskich mundurach, z sowieckimi „doradcami” itp. nie stanowi już klasycznego modelu przyszłego, „po-zwycięskiego” porządku międzynarodowego. Partie komunistyczne w innych krajach europejskich mają według wskazań Chruszczowa szukać własnej drogi do socjalizmu i dążyć pokojowo do zwycięstwa poprzez zdobywanie większości parlamentarnej.

„Nieuchronny” konflikt odwołano, gwarancję cofnięto, pokojową koegzystencję proklamowano ale ...doradcy sowieccy zostali.

Anty-stalinowcy na emigracji i stalinowcy w Kraju zapewniają, że „nic się nie zmieniło”. Związek Sowiecki gotów jest rewolucję podwieźć na swoich czołgach a totalną katastrofę wodorową uważa za wymysł burżuazyjnej propagandy. Przecież

jeszcze dwa lata temu prawowierny uczeń Stalina tow. Mołotow oświadczył miarodajnie i autorytatywnie, że katastrofa atomowa może zniszczyć tylko państwa kapitalistyczne. Prześiąknięty duchem „Wielkiego Brata” tow. Mołotow wyczuł proroczo, że radioaktywność nie ima się ludzi radzieckich ani nawet mieszkańców „demokracji ludowych”.

Tow. Bułganin i Chruszczow okazali się ludźmi mniejszej wiary i stalinowska teza o konflikcie została pogrzebana.

Dla jasności obrazu ujmijmy nasze rozumowanie w następujące punkty:

1. — Opieramy się na przeświadczeniu, że przywódcy Związku Sowieckiego uznali, iż w epoce wodorowej wojna przestała być praktycznym i celowym narzędziem polityki.

2. — Przywódcy Związku Sowieckiego nie zrezygnowali z planu skomunizowania świata. Gdyby komunizm kiedykolwiek z tego postulatu zrezygnował przestałby być ruchem rewolucyjnym.

3. — Państwa „demokracji ludowej” w Europie wschodniej są tworem epoki stalinowskiej a więc są historyczną formacją z epoki przed-wodorowej.

4. — Tak zwana „odwilż” w sensie politycznym stanowi fragment procesu zapoczątkowanego w Moskwie a który — mówiąc najogólniej — zmierza do przystosowania światowego komunizmu do warunków epoki po-stalinowskiej. W założeniu jest to zmiana taktyki. Ale zmiana taktyki na tak olbrzymią skalę w praktyce pociąga za sobą nieuchronnie *zmianę w treści*. I to jest punkt zasadniczy niniejszych rozważań.

Przy zmianie taktyki w takim wymiarze przychodzi zawsze moment kiedy trzeba się zdecydować albo na koncesje albo na zrezygnowanie z założeń taktycznych. Innego wyjścia nie ma.

Jeżeli polityka koegzystencji nie jest równoznaczna z rezygnacją z światowej rewolucji komunistycznej w takim razie skołgi, którymi podwożono się rewolucję trzeba zastąpić inną aparaturą.

Na Zachodzie politycy przewidują ożywienie koncepcji tak zwanych „frontów ludowych”. Jeżeli istotnie po tej linii miałyby pójść ofensywa — co osobiście uważam za wysoce prawdopodobne — to należy przewidywać „renesans” partii „opozycyjnych” w demokracjach ludowych.

Komuniści nawet wysokiego stopnia nie nadają się do propagowania tej koncepcji. To jest rola dla wybitniejszych polityków „opozycyjnych”, dla intelektualistów o zachodnich powiązaniach, dla działaczy „ludowych” itp. Dla brytyjskiego czy francuskiego socjalisty Ochab, choć zdolny i bez ideologicznej skazy, jest tylko małym Chruszczowem i niczym więcej. Z zachodnimi socjalistami łatwiej znajdzie wspólny język działacz partii „demokratycznej”, „socjalista” czy pisarz, który wyróżnił się krytycznym stanowiskiem w czasie „odwilży”.

Lecz by podjąć tego rodzaju pokojową ofensywę na terenie

międzynarodowym konieczna jest pewna reorganizacja demokracji ludowych.

W Polsce „ludowej” frontu ludowego nie będzie bo to jest formacja przejściowa od demokracji „burżuazyjnej” ku demokracji „ludowej”. Wydaje się natomiast wysoce prawdopodobne, że „frontowi narodowemu” (formacja znacznie wyższego szczebla) — który w okresie stalinizmu był organem szczytowym — przywróci się blask i znaczenie.

Jest rzeczą zasadniczej wagi by ów nieszczęsny polski maksymalizm („wszystko lub nic” — hasło emigracyjnych białogwardystów) — nie przysłonił Polakom w Kraju tych możliwości, które — być może — przed nimi się otworzą. Trzeba z góry sobie powiedzieć, że *ograniczone* warunki narzucają *ograniczony* program. Jednak niebezpieczeństwo w tej chwili polega nie na przecenianiu zmian, lecz przeciwnie na ich niedocenianiu. Jeżeli poważny odłam społeczeństwa w Kraju stanie na tym stanowisku, które zajmują „białogwardyjskie” koła emigracji, że nic się nie zmieniło i nic się nie zmieni dopóki bomby wodorowe nie zmiotą Kremla — to z całą pewnością nic się nie zmieni a tow. Ochab i jego zwolennicy będą z tego niezmiernie zadowoleni.

Nie ulega wątpliwości, że nowa taktyka wyznacza partiom „opozycyjnym” ważne zadania. Kto jest potrzebny może wysuwać pewne warunki i domagać się pewnych koncesji. Jest oczywiste, że nawet ci, którzy są potrzebni nie będą mogli domagać się wolnych wyborów, pełnej demokratyzacji sejmu czy całkowitego uniezależnienia od Rosji. Ale partie „opozycyjne” będą mogły domagać się zwiększenia praworządności, dalszej likwidacji wszechwładzy Bezpieki, poszerzenia wolności słowa i krytyki a przede wszystkim prawa własnej drogi do socjalizmu.

Niech nikt nie mówi: „wyzwolenie albo nic!” Jeżeli Polakom w Kraju na przestrzeni najbliższych dwóch lat powiodłoby się — powiedzmy dla przykładu — obecną politykę rolną zbliżyć do wzorca jugosłowiańskiego byłaby to zmiana w treści choć w ramach „budowy socjalizmu”. (Zasadniczy błąd Gomułki polegał na tym, że pojawił się za wcześniej.)

Zmiany będą postępowały bardzo powoli. Hamować je będą nie tylko stalinowcy typu Ochaba lecz i neofici. A tych ostatnich jest sporo.

Jeżeli — powiedzmy dla przykładu — ukazuje się dziś w Polsce marksistowskie studium o Mickiewiczu byłoby błędem wnioskować, że autor chcąc wydać swoją pracę musiał tak napisać. W rzeczywistości mógł napisać inaczej, a jeżeli oparł się o metodologię marksistowską uczynił to z własnego wyboru. I tak w obecnym okresie Wyka mógł napisać inne studium o Mickiewiczu niż to które ogłosił. Ale za jaką cenę? Za cenę przyznania, że jego „nawrócenie” na marksizm było fałszem zrodzonym z oportunistycznym.

Podobnych przykładów można by przytoczyć wiele i z innych

dziedzin. Nie można oczekiwać od ludzi którzy publicznie wielokrotnie formułowali swe poglądy marksistowskie w ramach ówczesnie obowiązującej stalinowskiej linii, że na skutek „odwilży” zaczęłyby przeczyc sobie samym. To nie jest w polskim stylu. Niestety znacznie bardziej w polskim stylu jest uporczywie podtrzymywać — choćby wbrew sercu — dawną tezę byle nie przyznać się do niesławnego błędu.

Toteż dziś przyszła kolej na „niezaangażowanych” względnie mało zaangażowanych. Ci, którzy milczeli w okresie stalinizmu mogą dziś powiedzieć znacznie więcej niż „stara gwardia” i pospieszni neofici. Bardzo wiele zależy będzie od tego ilu wśród nich znajdzie się ludzi wybitnych.



W obecnym okresie historycznym polityka polska musi mieć dwa programy: krajowy i emigracyjny.

Polak z Kraju z którym niedawno rozmawiałem w Londynie wyraziście i plastycznie określił naszą rolę: „Emigranci trzymają ‘ciepło’ nasze miejsce przy zachodnim stole gry”.

To jest bardzo istotna rola ale nie należy jej zgrywać. Na emigracji winniśmy nieustępliwie domagać się realizacji polityki wyzwolenia to jest wyłączenia Polski spod bezpośredniego wpływu Rosji. Równocześnie jednak musimy zdawać sobie sprawę, że Polacy w Kraju winni wykorzystywać każdy nowy układ w celu polepszenia tak sytuacji wewnętrznej jak i zewnętrznej w ramach bloku wschodniego.

Nie ma żadnego „państwa na emigracji”. Istnieje natomiast państwo polskie wtłoczone w blok sowiecki. Mimo okupacji to jest jedyne państwo polskie na świecie. Polityka emigracyjna winna być zawsze polityką państwową a nie echem takiej czy innej propagandy. Żadne z mocarstw zachodnich nie uprawia polityki ideologicznej lecz wyłącznie politykę państwowego interesu. Amerykanie walczą z międzynarodowym komunizmem by osłabić Rosję a nie walczą z Rosją by zniszczyć komunizm. Do krucjaty ideologicznej zachęca się tylko wschodnio-europejczyków.

Naszym celem jest uwolnienie Polski spod władania Sowietów ale absolutnie *nie* poza tym. Z chwilą, gdy Rosja wycofa się całkowicie z Polski nie będzie żadnych przeszkód w nawiązaniu normalnych i poprawnych stosunków pomiędzy nami a Związkiem Sowieckim. Powinniśmy zawsze podkreślać, że celem naszej polityki jest wyłącznie odzyskanie niepodległości a nie... zagłada Związku Sowieckiego i wyniszczenie komunizmu na wszystkich lądach ziemi. Przeciwnie, pragniemy z Związkiem Sowieckim normalnych stosunków jakie winny panować pomiędzy państwami, które z sobą sąsiadują.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

NA EMIGRACYJNEJ SCENIE

Więcej niż z melancholijnych rozważań emigracyjnych publicystów (nie wyłączając nawet Londyńczyka) — można się było dowiedzieć o polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii obserwując, choćby przez pół godziny, zjazd gości na bal „Miss Polonii”. Około 600 prywatnych samochodów ze znakami rejestracyjnymi z całej Anglii. Stroje, toalety, kapelusze, biżuteria. Bardzo daleko odeszliśmy od PKPR'owskich baraków, od garniturów przerabianych z mundurowych „frenczy”, od wojskowych płaszczów farbowanych na granatowo.

W czyich rękach spoczywa „rząd dusz” tego zamożnego, zmotoryzowanego tłumu? Wydaje się pewne, że ci ludzie nie są zainteresowani ani w siedemnaście lat trwającej żałoby narodowej, ani w Radach Trzech. Egzekutywach i innych żałobnych nieporozumieniach.

W Kraju ukuto swego czasu pomysłowy termin: „emigracja wewnętrzna”. Nazwą tą obejmowano ludzi, którzy odmawiali udziału w oficjalnie wytyczonym życiu Polski „ludowej”. My na obczyźnie mamy również problem emigracji „wewnętrznej”. Na dobitkę możemy ze spokojem stwierdzić, że emigracja „wewnętrzna” obejmuje 80% społeczeństwa emigracyjnego. Ci ludzie nie wyjechali wprawdzie z Wielkiej Brytanii ale niemniej wyemigrowali z Emigracji.

Jeden z tych, którzy mogą pochwalić się pełnym sukcesem i zamożnością w rozmowie ze mną ujął sprawę następująco: „Tu w Anglii zastosowano w stosunku do nas ideał równego startu życiowego. Ci którzy mieli mózg i charakter dorobili się stanowisk, domów i samochodów. W ten sposób dokonała się zdrowa i naturalna selekcja”.

Mimo pozorów obiektywizmu jest to całkowicie fałszywy pogląd. Bo na linii emigracyjnego startu stanęli 25 letni obok 50 i 60 latków. Warunki biegu były wyrównane ale wiek „zawodników” obejmował trzy pokolenia. Na emigracji nie ma klas społecznych — są tylko klasy „pokoleniowe” i ten podział decyduje o wszystkim.

Lecz proponuję by z wyżyn teoretycznych rozważań zejść na ziemię. Gen. Anders i p. A. Giełkosz są w Ameryce. Tu w rodzimym Londynie — NiD, który jak wiadomo wchodzi w skład TRJN przystąpił do akcji politycznej na własną rękę. W szeroko kolportowanej ulotce zaadresowanej „Do wszystkich Polaków w Wielkiej Brytanii” dokonał oryginalnego odkrycia, że „grono przedwojennych polityków usiłuje monopolizować prawo do kierowania polską działalnością niepodległościową”. Rada Trzech w dalszym ciągu składa się z dwóch. Konwencja Kongresu Polonii Amerykańskiej wybrała na swego prezesa po raz czwarty na cztery lata p. Karola Rozmarka.

Życząc nowemu prezesowi wszelkiej pomyślności warto może zauważyć, że instytucja „żelaznych prezesów” nie jest wyłącznie londyńską specjalnością. Tymczasowa Rada Jedności Narodowej, której kadencja dobiega kresu — winna w najbliższym czasie uchwalić „ordynację wyborczą” według której powołana zostanie następna Rada.

Przyjrzyjmy się tej serii wydarzeń nieco bliżej.

Lat temu wiele w zamierzchłej epoce kampanii koreańskiej kiedy gen. Anders, podobnie jak obecnie, przebywał w Stanach Zjednoczonych — „Kultura” wysunęła śmiały i niewątpliwie sporny pomysł utworzenia polskiej jednostki wojskowej, która wraz z wojskami amerykańskimi dzieliłaby trud i sławę walki przeciwko komunistom. Trzeba pamiętać jakie wówczas panowały nastroje w Ameryce. Wysuwając taki projekt czy tylko sugestię — gen. Anders skupiłby na sobie i na sprawie polskiej uwagę społeczeństwa amerykańskiego i wzbudziłby powszechny entuzjazm.

Dziś, w perspektywie lat, ówczesny projekt „Kultury” oceniam obojętnie krytycznie. Ale niewątpliwie miał zasadniczą zaletę: był na czasie. Amerykanie ponosili niemal cały ciężar wojny na Korei. Wojna była walką przeciwko komunizmowi i wówczas nikt nie mógł przewidzieć czy kampania koreańska nie stanie się wstępem do trzeciej wojny światowej.

Ale dziś w roku 1956 u progu wiosny nie tyle ludów co koegzystencji wysuwać projekt „Legionu Wolności” jest kompromitującym nieporozumieniem. Co ten Legion miałby robić? Nie trudno przewidzieć, że byłoby to drugie Oddziały Wartownicze. Mamy już jedno Oddziały Wartownicze, których zasługi jako mecenasa polskiej kultury zagranicą nie są w pełni doceniane. Obawiam się natomiast, że „Legion Wartowniczy” gen. Andersa choć dysponowałby — być może — poważniejszymi funduszami przede wszystkim wspomagałby pusty skarbczyk Egzekutywy a w rozległej dziedzinie kultury i sztuki ograniczyłby się do subwencjonowania „Orla Białego”.

Sprawa Bergu stała się przyczyną nowego emigracyjnego kompleksu. Wystarczy by jakiś polityk czy generał wylądował w Nowym Jorku a nad Tamizą już biją na alarm, że szykuje się nowy Berg.

W potępieniu afery Bergu trudno jest przesadzać. Kompleks jest więc zrozumiały, ale obawy wydają mi się nieuzasadnione. Osobiście nie przewiduję w najbliższej przyszłości nowej afery à la Berg. Obawiam się natomiast wręcz czegoś innego.

Jeżeli klimat koegzystencji zacznie wykazywać znamiona pewnej stabilizacji — co jest prawdopodobne — będziemy musieli spojrzeć prawdzie w oczy (czego do tej pory z powodzeniem unikamy) i powiedzieć sobie, że „Free Europe” nie jest wieczna. Zdaje sobie doskonale sprawę, że w wymiarze emigracyjnym to byłby drugi Wrzesień i drugie Zaleszczyki ale niemniej jak „Free Europe” zechcą zamknąć — my jej nie obronimy.

Możemy uznać za pewnik, że w roku wyborczym nie będzie żadnych zmian. Ale za rok, czy za dwa czy trzy lata jeżeli nastąpi dalsze odprężenie — należy liczyć się z powolnym wysychaniem źródła. Nie będzie żadnych dramatycznych gestów tylko budżety roczne F. E. będą coraz bardziej anemiczne. Powyższa operacja nie musiałaby oznaczać zasadniczej zmiany linii ani w stosunku do nas ani w stosunku do głównych wytycznych polityki amerykańskiej. Byłby to tylko fragment rozbrojenia na pewnym odcinku — być może czasowy. Takie rzeczy niewątpliwie się zdarzają.

Być może, że się mylę i obym się mylił. Ale tak czy inaczej Free Europe jest formacją przejściową i z tego choćby względu nie może być uważana za niewzruszoną opokę. Polacy wierzą niezachwianie, że instytucja ta działać będzie aż po V-Day trzeciej wojny światowej. Nie podzielałam tej metafizyki i sądzę, że organizacje emigracyjne powinny z długiej ręki przygotowywać plany na okres przetrwania i suszy. Ten okres może być długi. Gdy ów okres nadejdzie, niezależność polityki emigracyjnej przestanie być postulatem a stanie się ...smutną koniecznością. Nie można wykluczyć, że przez wiele lat emigracja będzie zdana tylko na własne siły i na własne środki. Między innymi i z tych względów wyjście z „kryzysu” emigracyjnego, zakończenie stanu permanentnej tymczasowości, ustalenie ram organizacyjnych Emigracji politycznej — w obecnym okresie odprężenia jest bardziej naglące niż kiedykolwiek. Ponieważ my nie możemy sobie pozwolić na „rozbrojenie” — nawet częściowe.

Na tym polu zasługuje na uwagę inicjatywa NiD-u. Stronnictwo to podjęło bowiem na własną rękę kampanię propagandową domagając się by co najmniej połowa miejsc w przyszłej Radzie Jedności Narodowej przypadła reprezentantom wyłonionym z wyborów. Jak powszechnie wiadomo w obecnej TRJN większość delegatów i nominatów jest przeciwna idei wyborów. Toteż mało jest prawdopodobne by ci panowie zdecydowali się na wybory dotyczące połowy składu Rady. W chwili obecnej wymienia się cyfrę 15 miejsc „wyborczych” na ogólną liczbę 113 członków Rady.

Zespół „Kultury” od początku domagał się demokracji tak Skarbu Narodowego jak i reprezentacji politycznej. Z tych przyczyn sympatyzujemy z akcją NiD'u, która zmierza do uświadomienia masom emigracyjnym w Wielkiej Brytanii konieczności oparcia RJN o zasadę wyborów. Mamy jednak wiele poważnych zastrzeżeń.

Nie wydaje mi się rzeczą możliwą i realną podejmować akcję zmierzającą do przerobienia TRJN, która jest konwentylem przedwojennych prezesów przedwojennych stronnictw — na demokratyczną instytucję.

W polityce nie można powiedzieć tylko „A”. Jak się mówi „A” to trzeba powiedzieć „B” i „C”. NiD odważył się powiedzieć tylko „A” i dlatego obawiam się, że z jego akcji nic nie wyjdzie.

Wybory dotyczyć mają tylko Wielkiej Brytanii. Jeżeli przyszła Rada Jedności Narodowej składać się będzie w połowie z radnych wybranych w Wielkiej Brytanii — straci tytuł do reprezentowania ogółu emigracji politycznej w świecie. Jest oczywiste, że radny wybrany przez emigrantów w Birmingham nie może reprezentować Polaków w Kanadzie czy Wenezueli. Innymi słowy Rada wybrana przez Polaków zamieszkałych na wyspach brytyjskich byłaby demokratyczną reprezentacją Polonii brytyjskiej i niczym więcej.

Praktycznie, istnieje tylko jedno rozwiązanie, które „Kultura” wysunęła przed dwoma laty. Wszystkie kraje polskiego osiedlenia posiadałyby terytorialne Rady Jedności Narodowej. Owe Rady wybierałyby — proporcjonalnie do liczebności — delegatów do Głównej Rady Jedności Narodowej, która byłaby naczelną polityczną reprezentacją Polaków w świecie. W warunkach emigracyjnych tylko na drodze systemu dwu-stopniowego można zachować wspólną więź organizacyjną i jednolite kierownictwo przy-

najmniej w sprawach natury zasadniczej. I to jest owo „B” i „C” które należy dodać do „A” NiD'u.

Oczywiście wybory nawet gdyby dotyczyły tylko Wielkiej Brytanii byłyby zyskiem. Byłoby zyskiem ponieważ obecna TRJN nie reprezentuje ani Polonii brytyjskiej ani ogółu emigracji. Po przeprowadzeniu wyborów reprezentowałaby przynajmniej Polonię brytyjską a więc wielkie skupisko Polaków na obczyźnie.

I ostatnie zastrzeżenie. Osobiście nie wierzę by reprezentacja złożona w połowie z radnych wybieralnych a w połowie z nominatów mogła harmonijnie pracować. Radni nominacji partyjni zgodnie z teorią „prezesowską” uważaliby, że reprezentują zarówno Kraj jak i Polaków w wolnym świecie — radni z wyborów sądziliby natomiast, że reprezentują jedynie swoich wyborców w danych okręgach Wielkiej Brytanii. Innymi słowy, nie jest rzeczą możliwą skojarzyć w jednej instytucji dwie całkowicie różne zasady reprezentacji. Trzeba się zdecydować albo na jeden system albo na drugi. Zespół „Kultury” już dawno powziął decyzję w tej materii.

LECHOŃ - MACKIEWICZ

Rady, Komitety, Kongresy akademickie podniosły a emigracyjni generalowie przemawiali powtarzając po raz stu-tysięczny te same frazesy.

Takiego zwyczajnego dnia nadeszły dwie wiadomości. Pierwsza o tragicznym samobójstwie Lechonia — druga o powrocie do Kraju Stanisława Mackiewicza. Choć różne w skali i w treści oba te gesty wywodzą się z wspólnego podłoża.

Ktoś powinien usłyszeć ten protest.

Odeszło od nas dwóch wybitnych pisarzy. Nie załatamy wyrwy czcząc jednego „minutą milczenia”, a przemianowując drugiego na „komunistyczną wtyczkę”.

Cat-Mackiewicz podał do wiadomości publicznej powody, które skłaniają go do powrotu do Kraju. Nie zamierzam bronić tej decyzji, niemniej, załamanie się pisarza emigracyjnego obciąża nas wszystkich. Jeżeli sprawa Mackiewicza nie ma być początkiem serii — na emigracji musi się coś stać...

Zbliżamy się do nowego okresu. Będziemy musieli przetrwać się z „emigracji przymusowej” na „emigrację dobrowolną”.

W czasie wieczoru zorganizowanego przez Związek Pisarzy pod hasłem „Dlaczego pisarze nie wracają do Kraju?” — Janusz Jasiński ujął sprawę szczerze i prosto. „Na kiedyś podjętą decyzję pozostania zagranicą wpłynął strach” — oświadczył spokojnie. „Bałem się ponieważ, prześladowań, śmierci w poniżeniu”.

I tak jest. To nie nasza propaganda walczyła skutecznie z repatriacją tylko Bezpieka.

Mackiewicz w swoim oświadczeniu mówi między innymi o liberalizacji stosunków w Polsce. Jeżeli owa liberalizacja będzie dalej postępować — przyjdzie chwila, kiedy strach jako czynnik cementujący emigrację — odpadnie.

Mackiewicz wraca. Wańkowicz i Kossak-Szczucka drukują swe utwory w prasie krajowej.

Białogwardziści zacierają ręce a na dzień duszy kolebią nadzieję, iż przyjdzie może taki dzień, kiedy na emigracji zostaną wreszcie sami. Będą mogli wykląć jako zdrajców, sprzedawczyków i „wtyczki” wszystkich liberałów, pięknoduchów, pisarzy, literatów, buntowników z pretensjami do niezależnej myśli. Emigracja składać się będzie z tych „dzielnych” co się urządzili i z niezłomnej reakcyjnej „elity”.

Jeżeli sytuacja w Kraju będzie się liberalizować a sytuacja na emigracji ureakcyjniać — wynik tego procesu łatwy jest zaiste do odcyfrowania.

W moim przekonaniu zbliżamy się do krytycznego momentu. Emigracja musi odnaleźć swój cel i sens. W nadchodzącym niezmierzonym okresie nie sprostą temu zadaniu konserwatorzy i generalowie. Ci panowie nie mają nic więcej do powiedzenia niż to co powtarzają (coraz nudniej) od 17-tu lat. Trzeba nam nowej demokratycznej reprezentacji i nowego podejścia do zagadnień politycznych. Byłoby szaleństwem oczekiwać od „ministrów” Egzekutywy nowych koncepcji. To są wszystko panowie dnia wczorajszego, którzy przez politykę niepodległościową rozumieją powrót do historycznej utopii. Realna polityka niepodległościowa musi objąć swą koncepcją Polskę współczesną, przemienioną, zsocjalizowaną, która z Polską „pierwszej kadrowej” ma niewiele wspólnego. Ale to jest jedyna Polska jaka istnieje i tylko dla tej, dzisiejszej Polski możemy domagać się niepodległości.

Cat-Mackiewicz w swej deklaracji wyraził brak wiary w politykę amerykańską. Zarzucamy Amerykanom, że nie mają koncepcji polityki „wyzwolenia”. Istotnie nie mają — ale czy my ją mamy? Czy którykolwiek z naszych „mężów stanu” wypowiedział dziesięć zdań na temat jak sobie praktycznie wyobraża wyzwolenie Polski. „Ministrowie” Egzekutywy ograniczają się do wyliczanki czego się „domagamy”. Jak wiemy wyliczanki te obejmują zarówno ziemię odzyskaną jak i ziemię utraconą na rzecz Rosji — między innymi Wilno i Lwów. Jak to się ma stać — kiedy ma się stać — kto ma to zrobić — to są pytania, które nie interesują naszych „ministrów”. W sumie nasza polityka zagraniczna jest rejestrem fantastycznych pretensji i absolutnie niczym więcej.

Niemcy są w lepszej niż my, ale również w trudnej sytuacji. Niemniej tak kanclerz Adenauer jak i opozycja wysuwają koncepcje, nieraz sprzeczne — lecz zawsze zmierzające do zjednoczenia Niemiec.

Bezplodność naszej polityki wywodzi się z fałszywego, zakłamanego stosunku do Kraju. My nie chcemy każdego wyzwolenia. My chcemy tylko takiego wyzwolenia, które gwarantowałoby powrót emigracyjnej „elity” do steru. My chcemy tylko takiej niepodległości, która byłaby bezpośrednim nawiązaniem do epoki przed-wrzesniowej.

Nie można mieć utopijnych celów i realistycznej polityki. By mieć realistyczną politykę trzeba mieć wprawdzie realne cele.

Liberalizacja — czy jak ktoś woli „odwilż” — jest wielkim wyzwaniem pod naszym adresem. Przewiduję, że w najbliższym czasie pisarze i intelektualści emigracyjni będą zapraszani do Kraju — będą zapraszani do brania udziału w dyskusjach na łamach prasy — do wydawania swych książek w Polsce.

Utopijny reakcjonizm nie stanowi odpowiedzi na „odwilż”. Jeżeli obecny „system” utrzyma się na emigracji tak Lechoń jak i Mackiewicz znajdą naśladowców.

O PUBLICYSTYCE

„Orzeł Biały” w artykule pod tytułem „Pomyślmy o naszej publicystyce” pisze nie bez uzasadnionej goryczy:

„A jeśli go (czytelnika) polityczne zagadnienia w ogóle nie interesują, niech ma odwagę otwarcie to przyznać, zamiast narzekać na dobrą publicystykę, że jest ciężka i nużąca...”

Owszem, ciężka i nużąca to ona jest, ale nie dobra.

LONDYŃCZYK

Sprawa Pampuch-Brońskiej

Kim jest Pampuch-Brońska? — Obecnie antykomunistyczną dziennikarką. Jest stałą współpracowniczką szeregu pism zachodnio-niemieckich, a polskim czytelnikom znane jest jej nazwisko z artykułów w „Kulturze”.

Brońska jest była komunistką i byłym łagiemnikiem na Kołymie. Jej sprawa zasługuje na uwagę, gdyż zarówno jej droga ku komunizmowi jak i zerwanie z partią odbiegają daleko od zbanalizowanego dziś wzorca „wybierania wolności”.

Bez literackiej przenośni można powiedzieć, że Brońska jest rewolucjonistką z urodzenia. Jej ojciec Mieczysław Broński członek SDKP i L. brał udział w rewolucji 1905 roku i wiele lat spędził w carskich więzieniach. Wraz z Leninem wyjechał do Moskwy i w Związku Sowieckim zajmował różne wybitne stanowiska. W chwili gdy został objęty stalinowską czystką był profesorem ekonomii na uniwersytecie moskiewskim.

Matka Pampuch-Brońskiej — Helena z Brodowskich brała udział w strajku szkolnym w roku 1905. Na skutek prześladowań wyemigrowała do Szwajcarii skąd w roku 1919 wróciła do Polski i wstąpiła KPP. W roku 1920 została aresztowana i groziła jej śmierć. Udało się jej jednak zbiec i przedostać do Niemiec gdzie pracowała w sowieckim przedstawicielstwie w Berlinie. W roku 1926 Brodowska jako „Janina Werner” wróciła do Polski i była aktywistką nielegalnej KPP. W roku 1931 wyjechała do Moskwy. Jako inżynier chemik zajmowała szereg stanowisk między innymi była dyrektorem chemicznej fabryki wojennej w okolicach Swierdłowska. Tam została aresztowana w maju 1937 roku i po straszliwych torturach — rozstrzelana.

Tak wygląda rodzinne tło Brońskiej. Urodziła się w komunistycznej wierze i była drugim pokoleniem komunistycznych działaczy w swej rodzinie.

Pampuch-Brońska od dziecka należała do niemieckiego Komsomolu. Gdy dorosła została członkiem komunistycznej partii Niemiec. W roku 1931 wyjechała do Moskwy. W kwietniu 1938 roku aresztowano ją i osadzono w więzieniu. Po czterech tygodniach wywołano z celi i oświadczone jej, że wyrokiem specjalnej komisji została skazana na osiem lat łagru za działalność kontrrewolucyjną i szpiegostwo na „rzecz Piłsudskiego”. Fakt, że Brońska chcąc szpiegować dla Piłsudskiego musiałaby swą „szpiegowską misję” wykonywać w 7-mym roku życia — uszedł uwagi czujnych oskarżycieli. Przez Władystok powędrowała na Kołymę. Jej mąż był wówczas więźniem hit-

lerowskiego obozu koncentracyjnego — jej trzyletnia córeczka pensjonariuszką „diety” w Kazachstanie.

W roku 1947 władze Polski „ludowej” wyciągnęły Brońską z Kołymy. Do roku 1949 przebywała w Warszawie.

Tak oto „ojczyzna robotników” spłaciła długi wdzięczności trzem rewolucyjnym pokoleniom Brońskich. Rodzice Wandy — rozstrzelani — ona osiem lat na Kołymie — dziecko oderwane od matki w kazachstańskim przytułku.

Gdy pierwszy sekretarz KPZR — N. Chruszczow w czasie 20-go Kongresu Partii określił masowe aresztowania i wyroki w latach 1937-1938 jako „samowolne akty terroru Stalina” Pampuch-Brońska postanowiła zwrócić się do władz sowieckich z żądaniem rewizji procesów, rehabilitacji i odszkodowania. Jej rodzicom nikt życia nie przywróci i rehabilitacja Mieczysława i Heleny Brońskich ze strony władz sowieckich byłaby niekosztownym gestem.

Odnosne pismo Pampuch-Brońska wniosła w dniu 21 marca na ręce posła sowieckiego w Bonn — Zorina.

Władze sowieckie nie uznały za potrzebne odpowiedzieć na to pismo. Widocznie p. Zorin i jego przełożeni stoją na stanowisku, że skoro Pampuch-Brońska po rozstrzelaniu jej rodziców i po ośmiu latach Kołymy zdecydowała się — niewdzięczna! — odejść od komunizmu nie ma potrzeby rehabilitować niewinnie zlikwidowanej jej matki i ojca ani jej samej wypłacać odszkodowania za niezawiniony pobyt w łagrze.

Zbrodnie Stalina p. Chruszczew odkrył dopiero w lutym br. Ale na Zachodzie były one znane od dawna. P. Chruszczew w swej słynnej mowie potwierdził tylko to, co mówili przed nim Weissberg-Cybulski, Pampuch-Brońska i setki innych. To nie Brońskiej czy Cybulskiemu winno zależeć na rewizji ich procesów i rehabilitacji. To „kolektywnemu kierownictwu” partii winno na tym zależeć. Bo skoro sam p. Chruszczew jest dziś koronnym świadkiem Cybulskiego i Pampuch-Brońskiej — nadszedł chyba czas na rewizję wyroku.

Potępienie mumii Stalina z trybuny kongresowej — to mało. Wynagrodzenie krzywd — tam gdzie to jest jeszcze możliwe — byłoby dopiero dowodem rzetelnej przemiany.

Jul. MIER.

Kronika ukraińska

Nowy Perejasław (2)

EWOLUCJA SOWIECKIEJ UKRAINY

Poznanie funkcji, odegranej przez legendę perejasławską w polityce carskiej Rosji, pomoże nam określić sens obecnej reaktywizacji Perejasławia przez bolszewików. Przedtem jednak musimy omówić ideową ewolucję sowieckiego reżymu, zawsze w perspektywie stosunków ukraińsko-rosyjskich.

Ustanowienie sowieckiej władzy w Ukrainie odbyło się siłą, ale pod hasłem proletariackiego internacjonalizmu, nie rosyjskiego nacjonalizmu. Ponadnarodowa idea światowej rewolucji stała się przykrywką dla rosyjskiej interwencji. Sowiecki system nosił wszelkie cechy obcej okupacji, połączonej z rekwizycjami, pogromem ukraińskiej kultury i obsadzaniem stanowisk państwowych przez element napływowy lub mniejszościowy (Rosjanie i zrusyfikowani Żydzi).

Jednak Lenin z rzadką intuicją prawdziwego polityka wyczuł, że przejawy mocarstwowego szowinizmu rosyjskiego są dla systemu niebezpieczne, gdyż wzmacniają tendencje odśrodkowe narodów, wyzwolonych w 1917 roku. Lenin od początku bronił tezy, że uratowanie jedności sowieckiego imperium będzie możliwe wyłącznie w płaszczyźnie ponadnarodowej, uniwersalistycznej. Trudności i niepowodzenia, a zwłaszcza zawalenie się sowieckiej władzy podczas drugiej okupacji (1919), na skutek masowych chłopskich powstań i bojkotu ukraińskiej inteligencji, jeszcze bardziej umacniały Lenina w jego postawie i wskazywały na konieczność koncesyj, stępujących narodowe ostrze konfliktu. Lenin poszedł konsekwentnie po tej linii, nawet wbrew odwrotnym tendencjom we własnej partii. Dopomogła mu okoliczność, że aczkolwiek rewolucja bolszewicka wyrosła ze swoistych rosyjskich tradycji i szybko zrosła się z przefarbowanym na czerwono starym rosyjskim mesjanizmem, jednakże jej hasła i cele były uniwersalne, na podobieństwo — jak to celnie określa Jules Monnerot — jakiejś wojującej religii, współczesnego „materialistycznego Islamu”.

Lenin dążył do izolacji antybolszewickiego potencjału ukraińskiego narodu. Na szczęście dla Moskwy, zadanie to ułatwiła mu postawa Zachodu. Państwa Ententy nie liczyły się z Ukrainą, natomiast zbrojny białogwardystów Denikina. Taka postawa Zachodu, wśród części społeczeństwa ukraińskiego, sprzyjała wzrostowi tendencji do traktowania Sowieckiej Rosji jako „mniejszego zła”. Nie należy też zapominać, że Ukraina przeżywała ówczesnie nie tylko wielki narodowy zryw, ale również (z wyjątkiem Ziemi Halickiej) ostry społeczny kryzys, który, nie przyjmując form prawowierne bolszewickich, zostawiał wdzięczne pole dla rozkładowej propagandy i utrudniał konsolidację niezależnego demokratycznego państwa.

Przejdźmy do wyników rewolucji. To, co dla Moskwy najważniejsze: jedność politycznego kierownictwa na ziemiach dawnej carskiej Rosji, z wyjątkiem Finlandii, prowincji bałtyckich i Polski — zostało uratowane. Zachowanie kontroli nad Ukrainą pozwoliło utrzymać pozycję wielkiego mocarstwa i wypadową bazę dla późniejszych agresji przeciw zachodnim sąsiadom. Z drugiej strony, mylna jest opinia jakoby dla Ukrainy rewolucja skończyła się całkowitą klęską. Rewolucja odrodziła naród ukraiński i właśnie dlatego, że bolszewicy liczyli się w przeciwieństwie do państw zachodnich z tym faktem, osiągnęli zwycięstwo za cenę pewnego kompromisu. Ze zdobyczy rewolucyjnych Ukraina utrzymała istnienie nominalnie suwerennego państwa pod firmą USSR; prawo, początkowo bardzo szerokie, do rozwoju narodowej kultury; uznanie przez czerwoną Moskwę zasady równorzędności narodów dawnego cesarstwa, co znalazło formalny wyraz w przyjęciu nowej, ponadnarodowej nazwy „ZSSR”. Na takiej politycznej płaszczyźnie i korzystając z ogólnego uspokojenia i dobrobytu, wywołanego przez NEP, Ukraina w latach dwudziestych przeżyła krótki, ale nadzwyczajnie płodny i intensywny okres kulturalnego odrodzenia i rozbudowy w niemal wszystkich dziedzinach narodowego życia.

Polityczno-ideologiczną koordynację między USSR i RSFSR zapewniała w tym okresie międzynarodowa zasada proletariacko-rewolucyjna. Moskwa głośno wyrzekała się spadku „mocarstwowego szowinizmu” carskich czasów, manifestując wierność idei równości wszystkich narodów i międzynarodowej solidarności proletariatu. Zaś komuniści ukraińscy starali się udowodnić, że będąc dobrymi Ukraińcami, jednocześnie są nie gorszymi marksistami i rewolucjonistami. Są podstawy do twierdzenia, że charkowskie koła rządzące gotowe były podtrzymywać międzynarodowo-rewolucyjne tendencje reżymu, najwidoczniej w cichej nadziei, że przeniesienie rewolucji do Europy Środkowej wzmocni Sowiecką Ukrainę poprzez przyłączenie ziem zachodnich, a ponadto że spodziewane zwycięstwo komunizmu w Niemczech skończy z dotychczasową przewagą Rosji w bloku sowieckich republik.

Jednym z najbardziej charakterystycznych społeczno-psycho-

logicznych procesów w ZSSR, widocznym już w okresie NEP-u, a w pełni rozwiniętym za Stalina, stało się stopniowe i wciąż postępujące „wyparowywanie” patosu wiary rewolucyjnej, tej początkowo żywiołowej siły bolszewizmu. Ideał światowej rewolucji proletariackiej, za który w latach wojny domowej tysiące fanatyków gotowe były iść w wodę i ogień, tracił swoją hipnotyczną siłę, stawał się zużyтым liczmanem. Co do Ukrainy, tu „sowietyzm” lat 20-tych stanowił cieniutką warstwę na wzburzonej powierzchni narodowego żywiołu, świadomą mimikrę u jednych, nieświadomą autosugestię u drugich. Natomiast w Rosji bolszewizm całkowicie organicznie i konsekwentnie ewoluował w kierunku swoistego „czerwonego faszyzmu”.

Na Zachodzie nie brakowało obserwatorów, którzy, biorąc swoje życzenia za rzeczywistość, wyglądali stopniowej demokratyzacji sowieckiego reżymu. Prawdziwa ewolucja szła w odwrotnym kierunku, mianowicie ku wszechstronnemu sowieckiemu totalizmowi i jego krystalizacji w zamknięty system hierarchicznej biurokracji, całkiem zgodnej z tradycjami rosyjskiej państwowości w staromoskiewskim i piotrowym okresie. Nie było przy tym mowy o formalnym odejściu od Koranu Marksa-Lenina, a Stalin nawet specjalnie lubował się w występowaniu w roli obrońcy prawowierności. Rosyjsko-sowieckie imperium znalazło w rewolucyjnej ideologii niezrównany instrument polityki zewnętrznej i uniwersalnej ekspansji. Marksistowski internacjonalizm przeradzał się w ideę światowego panowania Moskwy. Ale nie tylko. Każda władza szuka racji bytu w jakiejś nadrzędnej zasadzie. Interesy rosyjskiej biurokracji, skupionej przy reżymie, zapewniają trwałość ideologii, która uświęca istniejący stan rzeczy i usprawiedliwia wszystkie okropności jako konieczną ofiarę dla urzeczywistnienia wielkiej idei.

Pod przyschniętą maską międzynarodowo-proletariackiej, rewolucyjnej ideologii z każdym rokiem coraz wyraźniej występowały prawdziwe rysy rosyjskiego wielkomocarstwowego szowinizmu i imperialistycznego mesjanizmu. Ostatnia wojna z całą wyrazistością ukazała bezsilność starej rewolucyjnej ideologii, a zarazem potęgę rosyjskiego nacjonalizmu. Bo gdy doszło do prawdziwej próby na śmierć i życie, sowieccy wodzowie dobrze wiedzieli, do jakich hańs i idej należy się odwołać. Wojna, a jeszcze bardziej jej zwycięskie zakończenie doprowadziło do prawdziwej bachanalii rosyjsko-nacjonalistycznej. Dawniej, przede wszystkim w okresie lenińskim, komunistyczny reżym, choć w rzeczywistości zawsze opierał się na starych państwowych tradycjach i mesjanistycznych pragnieniach, starał się trzymać w karchach i maskować zewnętrzne manifestacje rosyjskiego szowinizmu. W związku z wojną objawy najsłabszej moskiewskiej megalomanii otrzymały oficjalną zachętę i błogosławieństwo.

Jednak ten zwrot niósł pewne niepożądane konsekwencje: odstręcanie narodów nierosyjskich. To co według koncepcji Le-

nina miało łączyć wszystkie ludy ZSSR, a więc międzynarodowa, rewolucyjna zasada, zostało wyrzucone za burtę. Nowy dogmat o przewodnictwie „wielkiego narodu rosyjskiego” uderzał bumerangiem w starą ideę równouprawnienia narodowego, rozbijając resztki iluzji.

Lenin na pewno miał rację pod jednym względem: nacjonalizm prowokuje inne nacjonalizmy. Jawny zwrot ku rosyjskiemu nacjonalizmowi stymuluje odśrodkowe nacjonalizmy wśród ludności nierosyjskiej. Reżym stanął przed poważnym a nawet groźnym zagadnieniem. Jeśli chodzi o słabsze narody Związku Sowieckiego, można było liczyć, że uda się je utrzymać przy pomocy siły. Ale co zrobić z Ukrainą, z narodem stanowiącym drugą po Rosjanach siłę w ZSSR? Utrzymywanie w permanencji ostrego niezadowolenia Ukraińców byłoby na dalszą metę wielce niebezpieczne.

NIEPOWODZENIE POLITYKI STALINA

Polityka Stalina wobec Ukrainy sprowadzała się do potężnej próby złamania sprzeciwu ukraińskiego narodu na drodze przemocy fizycznej. Nie chodziło o eksterminację Ukraińców, jak to się stało z krymskimi Tatarami, Niemcami nadwołżańskimi i Kałmukami; na to naród ukraiński jest zbyt wielki liczebnie. Stalin zaś starał się zniszczyć wszystkie aktywne grupy społeczne, aby zmusić naród do kapitulacji i uczynić go posłusznym narzędziem w rękach moskiewskich władców. Jednak byłoby błędem widzieć w Ukrainie jedynie pasywną ofiarę stalinowskiego sadyzmu. Wielka antyukraińska kampania, zainicjowana przez Stalina, miała swój polityczny sens. Rzecz w tym, że szybki wzrost Ukrainy w latach 20-tych stawał pod znakiem zapytania dalsze istnienie moskiewskiej kontroli. Baza lenińskiej polityki narodowościowej już nie wystarczała; potrzebne były nowe, ostrzejsze sposoby. Sprzeciw ukraińskiego włościanstwa przeciw kolektywizacji groził obaleniem potężnych gospodarczych planów Stalina. Stąd jego osobisty gniew i mściwa zaciekałość, które zbiegły się z rozjątrzeniem rosyjskiej administracji, wzburzonej ukraińskim „zuchwalstwem”. Stalin i moskiewscy biurokraci postanowili „nauczyć chochlów rozumu”. Straty, jakie Ukraina poniosła na skutek stalinowskiej polityki, były straszliwe. Zniszczono miliony ludzkich istot, a przede wszystkim narodową elitę dwóch formacji: starszej, narodowo-demokratycznej, która wzięła kierowniczy udział w ukraińskiej rewolucji 1917-1920, i młodszej, wyrosłej już w warunkach sowieckich. Czwierćwiecze stalinowskich rządów pozostanie jako jedna z najbardziej czarnych stron w ukraińskiej historii, na równi z mongolskim najazdem w XIII stuleciu.

Ale w walce z Ukrainą Stalin zwycięstwa nie odniósł. „Parowy walec” jego terroru politycznie Ukrainy nie zniwelował

i z zagadnieniem ukraińskim, źródłem największych kłopotów dla sowieckiej władzy, nie skończył. Dowodem tego są czynione obecnie ustępstwa. Gdyby Ukraina była złamana, bolszewicy nie mieliby powodu do jakichkolwiek koncesyj. Obecny odwrót na pozycje bardziej „liberalne” należy uznać za milczące przyznanie, iż polityka Stalina skończyła się niepowodzeniem.

Ukraiński potencjał przejawiał się z niespodziewaną siłą już podczas ostatniej wojny. W wielce nieprzychylniej koniunkturze międzynarodowej, bez żadnej zewnętrznej pomocy, ukraiński sprzeciw dał się we znaki dwom największym potęgom militarnym ówczesnej Europy. Postawa ukraińskiego narodu przyczyniła się decydująco najpierw do świetnych przewag niemieckiego oręcza nad Sowietami, a następnie do zawalenia się niemieckiego wschodniego frontu w latach 1943-1945. To, że przez szereg lat po zakończeniu wojny w Ukrainie trwał zorganizowany ruch partyzancki, z którym nie mogła dać sobie rady pozornie wszechpotężna władza, stało się zupełnie nowym, przedtem nieistniejącym zjawiskiem w historii sowieckiego systemu.

Chociaż ziemie ukraińskie bardzo ucierpiały od wojny oraz hitlerowskiego i komunistycznego terroru, nie ulega wątpliwości, że relatywna siła Ukrainy w stosunku do Rosji poważnie wzrosła w zestawieniu ze stanem sprzed 1939 roku. Ta część ukraińskich sił, które przed wojną i na skutek podziału ukraińskiego terytorium między cztery państwa zaangażowane były głównie w lokalne sprawy pod reżymem polskim, rumuńskim czy czeskim, obecnie znalazła się wraz ze wschodnią Ukrainą na tej samej szali ukraińsko-rosyjskich stosunków. Terytorialna konsolidacja przyspieszyła formowanie zjednoczonego, nowoczesnego narodu ukraińskiego.

Jeśli z jednej strony nastąpiła niwelacja różnic między obywatelami zachodnio-ukraińskimi (przede wszystkim chodzi o Ziemię Halicką, ale również o Wołyń, Zakarpacie, Bukowinę i ukraińską część Besarabii), to z drugiej strony dawna sowiecka Ukraina wygląda również inaczej niż przed rokiem 1939. Potężny, wychowany w środkowo-europejskich tradycjach (wpływ Kościoła Katolickiego i austriackiego konstytualizmu) dynamizm polityczny Ukraińców zachodnich znalazł równie silny odgłos w masach wschodnio-ukraińskich. Ich świadomość narodowa uległa radykalizacji, zaś psychologiczne różnice w stosunku do Rosjan pogłębiły się. Dziś bardziej niż kiedykolwiek Ukraina i Rosja stoją obok siebie nie tylko jako dwa etniczne odgałęzienia wschodniej słowiańszczyzny, ale również jako dwie politycznie zróżniczkowane siły.

Do względnej poprawy przyczyniło się również rozszerzenie rosyjskiej hegemonii na kraje Europy środkowo-wschodniej. Gdy zwiększa się ilość towarzyszy niedoli, a więc potencjalnych sojuszników, Ukraina raczej zyskuje, niż traci. Moskwa musi pilnować świeżo podbitych narodów i ma mniejsze możliwości gnębienia Ukrainy. Szerokie społeczne koła w krajach „ludo-

wej demokracji” żywo interesują się sytuacją ukraińską, która stanowi dla nich coś w rodzaju „pokazowej witryny” sowieckiej polityki narodowościowej. Terror i rusyfikacja w Ukrainie mogłyby wzbudzić popłoch wśród nowych wasali, czego Moskwa pragnie uniknąć. W zestawieniu z przedwojenną sytuacją Ukrainy nieco poprawiła się, natomiast sytuacja Europy Środkowej znacznie pogorszyła się, co spowodowało pewne wyrównanie różnic. Tym samym w stosunkach ukraińsko-rosyjskich nastąpiło przesunięcie na korzyść Ukrainy.

Kiedy po śmierci Stalina przyszedł czas na ogólną rewizję (metod, nie celów!) sowieckiej polityki, władcy kremłowski pośleli na przystosowanie nowej strategii do obecnego układu rzeczywistych faktorów. Ukraińcy mają prawo uważać, że wszystkie ustępstwa to nie żadna łaska, lecz zdobycze narodu, osiągnięte przez niego „z pozycji siły”.

ISTOTA „NOWEGO PEREJASŁAWIA”

Na podstawie tego cośmy powiedzieli dotychczas, można określić istotę obecnej polityki sowieckiej wobec Ukrainy, która to polityka uznawała Perejasław za swój symbol.

Chodzi o zakrojoną na wielką skalę próbę pogodzenia Ukraińców z imperialnym systemem rosyjsko-sowieckim. Perejasławska propaganda zwraca się do całej ludności, głównie jednak do ukraińskiej inteligencji i biurokracji, bez pomocy których trudno rządzić już nie tylko Republiką ukraińską, ale całym imperium.

Na pierwszy rzut oka byłby to nawrót do koncepcji Lenina, która żądała pewnego kompromisu między centrum i kresami. Nie próżno sowiecka publicystyka ostatniego okresu znowu zaczęła mówić o „nieśmiertelnych leninowskich zasadach” w dziedzinie polityki narodowościowej. Jest to jednak pusta frazeologia. Podobieństwo jest powierzchowne. Klasowo-proletariacki, międzynarodowo-rewolucyjny fundament, na którym budował Lenin, znikł bez śladu. Obecnie Moskwa próbuje odwoływać się nie do społecznych interesów ukraińskiego proletariatu, ale do ukraińskiego patriotyzmu i narodowych tradycji. Perejasławska ideologia ma, na swój sposób, charakter nacjonalistyczny. Tyle że jest to nacjonalizm spreparowany w specjalny sposób, zwrócony swoim ostrzem przeciw Zachodowi, podczas gdy ostrze antymoskiewskie uległo całkowitemu stopnieniu. Symbolem tak pojętego ukraińskiego patriotyzmu mogłaby stać się hoholowski Taras Bulba; kozacki ataman walczy bohatercko przeciw Turkom i Polakom i ginie ze słowami o „białym carze” na ustach. Już samo powstanie tej postaci literackiej świadczy, że taka wersja ukraińskiego patriotyzmu ma pod sobą pewien grunt w ukraińskiej historii. Oczywiście, nie w wieku XVII, który stanowi tło powieści Hohola, lecz w wieku XIX, kiedy żył ów

przedstawiciel ukraińskiej szlachty, co zachowując miłość rodzinnej ziemi, lokalny patriotyzm i związek z tradycjami Hetmańszczyzny, przyjęła przecież polityczną ideologię imperium i stanęła na służbę carom rosyjskim.

Nowa polityka sowiecka na pewno bliższa jest carskim niż leninowskim tradycjom. Komunistyczni wodzowie najwidoczniej rozumują w następujący sposób: — Skoro carom udało się przyciągnąć do współpracy szlachtę ukraińską, dlaczegoż nie ma się udać przyciągnięcie na tej samej perejaśławskiej ideologicznej platformie inteligencji ukraińskiej? Oto charakterystyczne zjawisko: gdy bolszewicy pragną zwrócić się do ukraińskiego społeczeństwa, dzisiaj używają haseł narodowych a nie społeczno-rewolucyjnych.

Miedzy wersją carską a sowiecką tej samej perejaśławskiej koncepcji zachodzi ważna różnica. Carski rząd upierał się przy „jedności rosyjskiego narodu”, a w Wielkorusach i Małorosach widział jedynie szczepowe zróżniczkowanie tego samego narodu. Dziś takie stawianie sprawy jest już niemożliwe. Ukraińcy stali się narodem i odwrócić tego nie można. Zamiast o „jedności rosyjskiego narodu” Moskwa mówi teraz o „przyjaźni dwóch bratnich narodów”, podkreślając w ukraińskiej historii wszystko, co ją zbliża do Moskwy-Rosji, a przemilczając i zacierając to wszystko, co ją od niej oddala. Ukrainę uznano za naród, ba, w teorii nawet za państwo, zawsze przecież pod warunkiem, że pozostanie w nierozdzielalnym związku z Rosją. W świetle historycznych analogii obecny stan ukraińsko-rosyjskich stosunków przypomina bardziej XVIII niż XIX stulecie. W wieku XVIII istniało autonomiczne państwo kozackie, hetmańska Małorosja, stanowiąca osobną jednostkę administracyjną i zachowująca swoją prawną osobowość; ale Hetmańszczyzna nie prowadziła po nieudanej próbie Mazepy własnej polityki zagranicznej, a nawet w sprawach wewnętrznych ostatnie słowo mieli carscy rezydenci. Jednocześnie Ukraińcy coraz liczniej wędrowali na służbę do Petersburga.

Dziś Moskwa znowu chce przeskolić Ukrainę na młodszego spółnika w ramach imperialnej organizacji. Poczynione koncesje mają w pewnej mierze zaspokoić ukraińskie dążenia i ambicje. Przed ukraińskimi komunistami roztacza się ponętne perspektywy wspólnego z Rosjanami wykorzystania możliwości „olbrzymich przestrzeni” dla służbowej kariery i gospodarczej eksploatacji. Ale warunkiem tego wszystkiego — absolutna jedność politycznego kierownictwa pod komendą Moskwy.

REAKCJE UKRAIŃSKIE

Jak naród ukraiński zareagował na nowy kurs sowieckiej polityki? Być może, właśnie odpowiedź na to pytanie jest najtrudniejsza. Na podstawie wydarzeń oceniamy intencje twórców

sowieckiej polityki, nieraz niezależnie od oficjalnych komentarzy, które często mają znaczenie czysto propagandowe. Natomiast opinia publiczna w Sowietach nie jest w stanie ujawnić się, jak to się dzieje w wolnych krajach, poprzez prasę, organizacje społeczne, czy wolne wybory. Ludność sowiecka ma usta zatkane, z czego obcy obserwatorzy często wyciągają całkowicie fałszywe wnioski. W Ameryce np. wyszły pewne publikacje poświęcone badaniu publicznej opinii w Sowietach. Już same ich tytuły stanowią nieporozumienie, boć ich tematem jest organizacja i metody sowieckiej propagandy. Sprawa tego, z jaką reakcją oficjalna propaganda spotyka się u ludności — a to właśnie byłoby tematem, dotyczącym „publicznej opinii” — pozostaje w ogóle nieporuszona.

Nie łatwo określić, jakie są dążenia ludności pod reżymem komunistycznym. Na podstawie znajomości historii, mentalności ukraińskiej i obecnej rzeczywistości w USSR, zaryskujemy nasze hipotezy, dotyczące reakcji na nowy Perejaśław.

Życie pod władzą sowiecką jest tak ciężkie, że ludzie cieszą się z każdej ulgi. Nowy kurs oznaczał osłabienie terroru i przyniósł pewne polepszenie warunków, więc Ukraińcy na pewno przyjęli go z zadowoleniem.

A jak wyglądają aspekty polityczne? Czy „perejaśławska koncepcja” przemówiła Ukraińcom do przekonania? Wychowana na bolesnych doświadczeniach ostatnich 35-ciu lat, ludność Ukrainy nie dowierza żadnej propagandzie. W roku 1917 Ukraina była niezmiernie podatna na wszelką propagandę, można ją było rozhuśtywać i stawiać na nogi każdym sugestywnym hasłem. Jednak wystawiony przez lata całe na zaporowy ogień sowieckiej propagandy, naród całkowicie uodpornił się na nią, jak i na wszelką propagandę werbalną w ogóle. Ludzie mniej zwracają uwagi na obietnice i słowa, a bardziej na fakty. Zimny, zamknięty w sobie realizm zastąpił dawny romantyzm: septyczna ludność ukraińska interpretuje urzędowe hasła w odwrotnym sensie.

Zestawiając dzwieczne zdania o „ukraińskim niezależnym państwie socjalistycznym” z rzeczywistością, Ukraińcy widzą całkowitą rozbieżność słów i faktów. Wszystkie koncesje poczynione Ukrainie w ostatnich czasach, sprawdzają się jednak do utrzymania moskiewskiego monopolu. Koncesje są głównie typu prestiżowego i mający gorzkie doświadczenie Ukraińcy już się na nie nie złapią.

Zaprzysiężnione, równe sobie narody, nie boją się reminiscencji minionych konfliktów. Pamięć o Joannie d'Arc nie psuje stosunków francusko-angielskich, jak nie nadwyręża przyjaźni angielsko-amerykańskiej pamięć Wojny Wyzwoleńczej. Na przestrzeni dziejowych stosunków ukraińsko-rosyjskich nie brakowało kulturalnej i politycznej współpracy. Ale niemniej, więcej bodaj było starć i konfliktów. Wysiłki Moskwy, by wykreślić z historii, lub splugawić wszystko, co tych konfliktów

dotyczy, wynikają ze strachu i nieczystego sumienia. Efekty w stosunku do Ukraińców są wręcz odwrotne od zamierzonych. W pałacu „rosyjsko-ukraińskiej przyjaźni” po wszystkich kątach straszą widma Doroszenki, Mazepy, Petlury, Hruszewskiego, Chwyłowego i tylu innych. Milczy się o nich, albo wspomina przy akompaniamencie odpowiednich rytualnych zaklęć. I właśnie dlatego widma te stoją każdemu przed oczami.

Sprawa obraca się nie tylko w sferze idei. Mało jest dziś na Ukrainie rodzin, które nie straciły w swoim czasie kogoś i nie ucierpiały w tej czy innej formie za „burżuazyjny nacjonalizm” czy „nacionalistyczne odchylenie”. Świadomość narodu — o antyrosyjskim i antyrosyjskim ostrzu — milionów ludzi w Ukrainie związana jest z wspomnieniami z własnego życia. Takie rzeczy można ukryć głęboko w sercu, ale nie można ich zapomnieć. W zbiorowej świadomości tworzą one silny nurt, który, choćby wpędzony w głąb, przy każdej okazji będzie dawać znak życia. Ukraiński naród nigdy nie zapomni Moskwie sztucznego głodu w 1933 roku. Wydarzenia tych lat wywołały w narodzie ukraińskim w stosunku do sowieckiego systemu, a także państwa i w ogóle narodu rosyjskiego taką wrogość, jakiej nie było w roku 1917. Ukraińsko-rosyjskie stosunki w połowie XX wieku psychologicznie bardzo są zbliżone do stosunków ukraińsko-polskich w przededniu Chmielnickizny.

Samo słowo „Perejaśław” posiada dla Ukraińców asocjacje bardzo mało pozytywne. Jak na złość, największy ukraiński poeta, Szewczenko, którego cała Ukraina szanuje jako proroka i którego „Kobzarza” znajdziemy dosłownie w każdej chałupie, często wspomina Perejaśław i ostro go osądza, jako źródło niewoli i wszystkich nieszczęść ukraińskiego narodu. Na pewno niejedyn Ukraińiec po powrocie z obchodu „trzystolecia” otwierał „Kobzarza” i, milcząc, pokazywał swemu synowi odpowiednie strony. Nie trzeba być wróżbitą, aby odgadnąć, kto po zostanie władcą ukraińskiej myśli: Chruszczow czy Szewczenko...

Pozytywna strona „perejaśławskiego kursu” polega na tym, że daje on ukraińskim patriotom nieco większe możliwości w ich pracy. Należy założyć, że starają się oni maksymalnie wykorzystywać te możliwości, by goić rany ostatnich dwudziestu lat i wzmacniać ukraińskie pozycje wobec Moskwy. Nasuwa się ciekawa analogia z XVIII wiekiem, kiedy kozacy politycy pomazepińskiej doby interpretowali Ugodę Perejaśławską jako swoisty akt konstytucyjny, normujący stosunek Hetmańszczyzny do rosyjskiego caratu, i na tej płaszczyźnie bronili ojczystych „praw i wolności”. Podobnie głucha i zacięta walka toczy się dzisiaj. Jak się ona skończy, trudno przewidzieć.

W XVIII wieku przemożły centralistyczne tendencje i autonomia kozackich ziem uległa likwidacji. Środki duchowego i fizycznego nacisku i terroru, którymi rozporządza totalitarna dyktatura bolszewicka, są większe od środków,

którymi dysponował carski absolutyzm. Z drugiej strony jednak możliwości ukraińskie są obecnie pod niejednym względem większe niż w wieku XVIII. Ukraina jest zjednoczona na całej etnograficznej przestrzeni, podczas gdy Hetmańszczyzna ograniczała się do dwóch późniejszych gubernii: połtawskiej i czernihowskiej. W dobie dzisiejszej charakteryzującej się silnym poczuciem narodowym, wątpliwa wydaje się możliwość ponownej izolacji społecznej i moralnej kierowniczej warstwy ukraińskiej, jak to stało się z kozacką arystokracją w XVIII wieku. Wreszcie trudna międzynarodowa sytuacja i kłopoty gospodarcze nie pozwalają Moskwie zanadto zaostrzać stosunków w Ukrainie. Prawdopodobnie Moskwa nie będzie już mogła sobie pozwolić na powtórzenie stalinowskiego terroru.

Równocześnie jednak mamy podstawy do sądzenia, że po nieszczęśliwych doświadczeniach z Hitlerem, ukraiński naród nastawiony jest niedowierzająco w stosunku do Zachodu. To jest jedyne i bardzo poważne niebezpieczeństwo „perejaśławskiego kursu”. Przy wszystkich swoich niekonsekwencjach i sprzecznościach, „Perejaśław” świadczy ponad wszelką wątpliwość, że czerwona Moskwa, podobnie jak za Lenina, usiłuje rozwiązać kwestię ukraińską nie tylko przy pomocy terroru ale i poprzez polityczne kryteria. To nie byłoby groźne, gdyby strona przeciwna — demokratyczne mocarstwa zachodnie — posiadała swój konstruktywny plan. Tam jednak gdzie koncepcja, zamiast zderzyć się z inną koncepcją, trafia w próżnię, przewagę musi zachować strona, która posiada myśl i plan... Bolszewicka propaganda już dziś zbija kapitał z zaniedbań zachodniego świata, sugerując Ukraińcom, że Zachód podobnie jak Ententa w roku 1919 i jak Hitler w 1941 ustosunkowuje się obojętnie a nawet wrogo wobec żywotnych interesów narodu ukraińskiego. Ukraińscy patrioci zachwaliby się zatem nonsensownie, gdyby zechcieli wyciągać kasztany z ognia dla samolubnych imperialistów zachodnich, którzy patrzą na Ukrainę jedynie jako na obiekt przyszłej kolonialnej eksploatacji i gotowi są decydować o losach ukraińskich ziem, nie licząc się z wolą ludności. Toteż jedyne wyjście — trzymać się rosyjskiego „starszego brata”, w spółce z którym Ukraina będzie mogła jeszcze najwięcej uzyskać.

Czy argumenty te przemawiają sowieckim Ukraińcom do przekonania? Może i nie, ale co najmniej skłaniają do refleksji. Ukraińcy na pewno są zaniepokojeni faktem, że podczas gdy bolszewicy stale i z widocznym powodzeniem wygrywają anty-kolonialistyczną kartę, Zachód nie wiadomo z jakich względów nie odważa się odpowiedzieć analogicznym atakiem przeciw sowiecko-rosyjskiemu kolonializmowi. Politycznie myślące elementy w USSR nie czynią sobie żadnych iluzji, że ktoś zechce ich „wyzwalać”, jeśli wstępnych do tego warunków nie stworzy ogólna ewolucja międzynarodowej i wewnętrzno-sowieckiej sytuacji, ale oczekują, aby zachodnie mocarstwa oświadczyły —

co już dziś na pewno mogą uczynić — że zasadniczo są nastawione pozytywnie do ukraińskiej sprawy i zamierzają liczyć się przy planowaniu wschodnio-europejskiej polityki również z interesami Ukrainy. Dopóki Zachód będzie traktować Ukrainę nie jak „narod podbity”, którego sytuacja jest w zasadzie analogiczna do sytuacji środkowo-europejskich „satelitów”, lecz jako „mniejszość” narodową w Rosji”, podczas gdy sama czerwona Moskwa przyznaje mu statut nominalnie równouprawnny z Rosjanami, tak długo istnieć będzie obiektywny grunt pod rozwijanie „perejasławskiej ideologii”.

Iwan ŁYSIAK-RUDNYCKI

(Z ukraińskiego przełożył Józef ŁOBODOWSKI)

KSIAŻKA dla WSZYSTKICH

WYDAWNICTWO GRYF PUBLICATIONS W LONDYNIE

169 Battersea Church Rd. London SW.11.



Przedstawicielstwa: W W. Brytanii: B. Świderski, Księgarnia Kombatancka (18 Queens Gate Terrace, London SW 7); we Francji: „Libella” (12, Rue St. Louis en l'Île, Paris 4); w Stanach Zjednoczonych: Polish American Book Co (1136 Milwaukee Avenue, Chicago 22); w Australii i N. Zelandii: Vistula (Pty) Ltd., (Daking House, Rawson Place, Sydney.

W dniu 15 sierpnia ukąą się w sprzedaży dwie następne książki SERII PIERWSZEJ KSIAŻKI DLA WSZYSTKICH

TOM 3, J. URSYN, *Torricola*, powieść sensacyjna (wydana poprzednio po francusku).

TOM 4, C.D. DEWHURST, *Kontakt bezpośredni*, w przekładzie J.P. Herwartha, z przedmową gen. W. Andersa.

Każda z książek liczy 200-250 stron druku i posiada mocną i ładną oprawę płócienną w artystycznej obwolutie wg. projektu znanego grafika Władysława Szomańskiego. Cena w okresie pierwszych trzech miesięcy od chwili wyjścia z druku każdej książki: w Wielkiej Brytanii: 8 sh. 6 d.; we Francji: fr. fr. 450; w Stanach Zjednoczonych: dol. 1.50, względnie równowartość w innych walutach.

Po trzech miesiącach cena książki zostaje podwyższona i wynosić będzie: 12 sh., fr. fr. 600, dol. 2.00, wzgl. równowartość w inn. wal.

Następne dwa tomy ukąą się w dniu 15 listopada. — Będą to: H. Naglerowej, *ZAWALIDROGA* (powieść obyczajowa) i Sergiusza Piaseckiego *ZAPISKI OFICERA ARMII CZERWONEJ* (szkice satyryczne ozdobione karykaturami). — *Seria* rozpoczęła się w dniu 15 maja 1956. Jej dwa pierwsze tomy są do nabycia po pełnej cenie, to jest sh. 12, fr. fr. 600, dol. 2.00.

Najnowsza historia Polski

Armia Rokossowskiego

Byłoby rzeczą wysoce interesującą przeprowadzenie pewnej analogii pomiędzy warunkami, w jakich powstawało, prawie z niczego, wojsko polskie w roku 1918 oraz w jakich reorganizowała się, w cieniu bagnetów sowieckich prawie pół-milionowa armia polska, stworzona w Rosji w czasie wojny.

Te analogie i kontrasty, to jakby blaski i cienie obrazu, który oglądać możemy, niestety, jedynie z oddala, a który zamglony jest częściowo przez emocje a częściowo przez zasłonę dymną fałszów i kłamstw propagandy.

Kontrastem jest przede wszystkim różnica atmosfery w jakiej tworzyły się siły zbrojne w roku 1918 i 1945: niebywałego entuzjazmu, uniesienia i wiary w przyszłość w roku 1918; niebywałego zmęczenia i wyczerpania okrutnym terrorem niemieckim, zawodu w stosunku do Zachodu i wzrastających obaw w stosunku do Rosji — w roku 1945.

W roku 1918 — tworzące się spontanicznie wojsko jest amalgamatem rozwiązanych formacji I Korpusu Dowbora, Legionów, Wehrmachtu, P.O.W., do którego wlewają się oddziały Hallera i dywizja Żeligowskiego i włączają się indywidualnie oficerowie byłej armii austriackiej, niemieckiej i rosyjskiej. W ogniu walk na froncie wschodnim, zacierają się z wolna różnice, kształtują tradycje bojowe i tworzy się jednolite wojsko. W roku 1945, w chwili zakończenia drugiej wojny, istnieje prawie półmilionowa armia polska, rozwinięta z Dywizji Kościuszkowskiej sformowanej w Sowietach w roku 1943, a której wielkie jednostki krwawiły się przy zdobywaniu Berlina lub zajmowaniu Śląska; kośćcem tej armii jest około 12.000 oficerów sowieckich na różnych szczeblach, nie licząc olbrzymiego aparatu politycznego i kontrwywiadu. Jako tragiczna analogia z rokiem 1918, istnieje również front, lecz jest to tym razem front wewnętrzny, a mianowicie czynny opór resztek luźnych oddziałów

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Armii Krajowej, skazanej na wyłączenie. Jednym z bohaterów smutnej pamięci tego frontu w latach 1945-1946 staje się gen. G. Paszkiewicz, po swoim powrocie z Wielkiej Brytanii.

Do tej armii wlewa się poważny odsetek z około 65.000 repatriowanych oficerów i szeregowych, powracających z Wielkiej Brytanii i niewoli.

Wszyscy pamiętamy boje o etaty i przydziały oraz różne etapy rywalizacji jaka zaistniała po roku 1918 w korpusie oficerskim pomiędzy legionistami i oficerami byłych armii zaborczych, która, po wypadkach majowych, zakończyła się bezapelacyjnym zwycięstwem legionistów; nie znamy zbyt dobrze nastroszeń i obecnych stosunków w wojsku polskim po 1945, jest natomiast rzeczą pewną, że od samego początku, zwłaszcza jeżeli idzie o stanowiska kluczowe i wyższe stopnie, pozycję dominującą zajęli oficerowie sowieccy. Repatrianci — zarówno z Zachodu jak i z niewoli niemieckiej — po swoim przyjeździe do kraju, odgrywali w wojsku rolę jedynie przejściową i przeważnie drugorzędną; zilustrujemy ten obraz paroma migawkami personalnymi:

Gen. dyw. Rummel, najstarszy stopniem, który zakończył swoją karierę w 1939 jako dowódca obrony Warszawy, po powrocie do kraju nie otrzymał żadnego przydziału i został postawiony do osobistej dyspozycji Wodza Naczelnego, którym był gen. M. Rola-Zymierski, mianowany przez Bieruta marszałkiem Polski. Rummel zakończył wkrótce życie w warunkach dość tajemniczych. Należy dodać, że gen. Rummel po swoim zwolnieniu z niewoli niemieckiej był przewieziony wraz z 15-ma innymi generałami polskimi do Paryża, gdzie miał rozmowę z ówczesnym Wodzem Naczelnym polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, gen. W. Andersem; gen. Rummel, jak opowiadają wtajemniczeni, miał liczyć się z tym, że gen. Anders — który pomimo tego samego stopnia, miał jednak o wiele niższe starszeństwo, przekaze mu swoje stanowisko — ponieważ jednak tego rodzaju propozycja przez Andersa nie została wysunięta, Rummel, który nie chciał zgodzić się na nic innego, zdecydował się na powrót do kraju.

Gen. Paszkiewicz, był jednym z pierwszych, który powrócił, usiłując bez powodzenia pociągnąć za sobą innych. Pomimo wiernej służby reżymowi, łącznie z akcją pacyfikacyjną, prowadzoną przez dowodzoną przez niego 18-tą dywizję piechoty w okręgu Białostockim, za co został publicznie spoliczkowany przez studentów w Warszawie, nie osiągnął zbyt wielu zaszczytów, kończąc karierę wojskową na stanowisku dowódcy O.K. Warszawa, skąd został wybrany do Sejmu, a karierę życiową — na stanowisku dyrektora Wyścigów Konnych w Służewcu; śmierć w roku 1954 przerwała zygzyki dalszych jego losów.

Gen. Boruta-Spiechowicz, po powrocie, zostaje mianowany zastępcą szefa Departamentu Piechoty, z tym, że szefem jego był pułkownik sowiecki. W Spiechowiczu zbudziła się jednak jego

harda natura, i w r. 1948 sprzeciwił się stanowczo udziałowi wojska w wyborach do Sejmu, w związku z czym został zwolniony ze swego stanowiska; od lat żyje w trudnych warunkach na małej działce na Śląsku, wspierany paczkami przez rodzinę żony, Angielki.

Gen. Prugar-Ketling, były dowódca 2 dywizji, internowanej podczas wojny w Szwajcarii, po powrocie był przez jakiś czas szefem gabinetu Zymierskiego, dawnego kolegi z II Brygady Legionów; wkrótce po przyjeździe Rokossowskiego został zdymisjonowany i zmarł śmiercią naturalną.

Gen. bryg. I. Modelski, były wiceminister Obrony w rządzie gen. Sikorskiego, powrócił jeden z pierwszych do kraju, gdzie zaawansował na gen. dywizji i został wysłany do Wielkiej Brytanii jako szef Misji Repatriacyjnej, która zakończyła swoją działalność całkowitym niepowodzeniem. Dzięki poparciu Zymierskiego, dawnego kolegi z II Brygady, został mianowany attaché wojskowym w Waszyngtonie, gdzie, na szczęście dla siebie, zdecydował się „wybrać wolność”.

Płk. Cepa, były Szef Łączności w słynnym londyńskim Rubensie, który nie mógł doczekać się awansu na generała w W. Brytanii, pojechał po ten awans do kraju. Dzięki poparciu Mikołajczyka, awans ten uzyskał i był nawet przez jakiś czas Szefem Łączności, następnie zaś wykładowcą w Akademii Sztabu Generalnego, ale nie uniknął losu wszystkich repatriantów: obecnie żyje w niedostatku na małej działce.

Płk. F. Skibiński, były zastępca gen. Maczka, uchodzący za jednego ze zdolniejszych oficerów, został skuszony do powrotu obietnicą węzyków generalskich i dowodzenia dywizją pancerną; wszystko skończyło się jednak na stanowisku wykładowcy w Szkole Broni Pancernych. Aresztowany przy próbie przejścia granicy i osadzony w więzieniu. Nazwisko jego nie figuruje na liście wielu niedawno zwolnionych.

Nie można pominąć milczeniem gen. Mossora, który wkrótce po powrocie z niewoli został mianowany zastępcą szefa Sztabu Generalnego a następnie dowódcą Okręgu Wojskowego Kra-ków: w roku 1951 został aresztowany i osadzony w więzieniu.

Wreszcie, aby zakończyć, należy przypomnieć znane nazwiska gen. Tatara, płk-ów Nowickiego i Utnika.

Tych kilka migawek personalnych z niezbyt wesołym „happy-endem”, ilustruje typowy krótszy lub dłuższy przebieg służby byłych oficerów zawodowych, którzy powrócili bądź z Zachodu lub z niewoli.

OKRES WZGLĘDNEGO LIBERALIZMU

Okres ten, trwający przez mniej więcej trzy lata, trudny zawsze nawet w warunkach normalnych, a coś dopiero w warunkach absolutnego chaosu, rozpoczął się demobilizacją półmilio-

nowej armii i przechodzeniem jej na stan pokojowy; rozpoczął się w atmosferze opozycji całego narodu do narzuconego przez Sowietów reżymu, jak również w atmosferze podejrzliwości ze strony Sowietów, nie mających zbyt wiele zaufania do Polaków. Doszły do tego jeszcze tarcia wewnątrz PPR, a mianowicie pomiędzy nieliczną zresztą grupą Gomułki, dążącą do pewnego rodzaju „titoizmu” w kraju i tym samym i w wojsku, a gros członków partii, będących ślepyim narzędziem Moskwy.

W tych warunkach po zdemobilizowaniu 1-ej i 2-ej armii, sformowanych w Sowietach, przyjęta została decyzja utrzymania sił zbrojnych na stopie prawie skadrowanej, bez ciężkiego sprzętu i z ograniczoną ilością amunicji ostrej. Należy dodać, że prawie cały ciężki sprzęt, a przede wszystkim czołgi i artyleria ciężka zostały wycofane i przesłane do Jugosławii — w tym okresie Tito był jeszcze pupilkiem Stalina.

W tym samym czasie gen. M. Spychalski, piastujący w wojsku stanowisko wiceministra Obrony Narodowej do spraw politycznych i personalnych, miał możność wysuwania i forsowania awansów byłych oficerów zawodowych, przyspieszając zarazem odływ oficerów sowieckich: za jego właśnie czasów zabłysła gwiazda Mossora, Hermána, Kuropieski i innych.

OKRES II — „ŻELAZNEJ RĘKI”

Okres powyższy skończył się de facto w grudniu 1948, w wyniku upadku Gomułki i Spychalskiego, kiedy władzę w wojsku objął Edward Ochab, przejmując od Spychalskiego stanowisko wiceministra; Żymierski, jedynie dla zachowania pozorów, został utrzymany na swoim stanowisku, odgrywając coraz mniejszą rolę.

Ochab z żelazną energią rozpoczął systematyczną sowietyzację wojska, wstrzymując odpływ oficerów sowieckich i zarządzając bezlitosną „czystkę” korpusu oficerskiego: wyrazem tej bezwzględnej akcji było masowe zwalnianie oficerów Polaków; czystka ta rozpoczęła się od góry, uderzając przede wszystkim w ludzi wysuniętych przez Spychalskiego.

Szereg oficerów postawiono przez sąd i skazano na wiele lat więzienia. Równocześnie z czystką kadry oficerskiej rozpoczyna się reorganizacja i modernizacja sił zbrojnych, ściśle na wzór sowiecki. Akcję tę prowadzi przede wszystkim szef Sztabu, gen. sowiecki, Korcyc oraz generałowie Walter-Swierczewski (do czasu jego zamordowania) i Popławski — obaj Rosjanie, niewątpliwie kiedyś polskiego pochodzenia — i plejada oficerów sowieckich o nazwiskach przeważnie polskich, którym przyklejono w kraju pogardliwą nazwę „popów”.

Jak głęboko może sięgać zruszczenie Polaków w dalszych generacjach świadczyć może następujący przykład z moich lat dzieciennych: przed wojną rosyjsko-japońską, mieszkając w Por-

cie Artura, byłem jako mały chłopiec w szkole kadeckiej. Byłem się tam po raz pierwszy w moim życiu z rówieśnikiem, „noszącym” nazwisko Sowiński i będącym wnukiem Generała, a który rzucił mi w twarz słowa: *ty swołocz-poljacziszka*.

Ciekawe jest, że Sowiety mimo wszystko nie dowierzają zaledwie „popom”, gdyż przed paru laty większość ich była odwołana do Rosji, zapewne aby „odczyścić” ich ze zgubnych wpływów otoczenia polskiego. Trzeba dodać, że zaledwie jedną trzecią część uznano za dostatecznie odporną, by mogła powrócić do Polski.

W okresie tym sytuacja międzynarodowa ulega stopniowo znacznemu pogorszeniu, i nie tylko „zimna wojna” przybiera na nasileniu lecz — zwłaszcza w okresie blokady Berlina — zarysowuje się możliwość konfliktu zbrojnego z Zachodem. W związku z tym została powzięta decyzja wykorzystania — w razie dojścia do wojny — sił zbrojnych państw satelickich. Marszałek Bułganin, czynny jeszcze podczas wojny w Moskwie na odcinku stosunków z przyszłymi satelitami, otrzymuje zadanie stworzenia specjalnego Biura dla Armii Sprzymierzonych. Powyższa decyzja położyła podwaliny pod Pakt Warszawski z maja 1955, będący odpowiednikiem NATO.

NOMINACJA ROKOSSOWSKIEGO

W wyniku wspomnianej decyzji i wizytacji stolic Europy Wschodniej przez Bułganina, Stalin mianował marszałka sowieckiego, Konstantego Rokossowskiego, naczelnym wodzem i ministrem obrony narodowej w Polsce dla przyspieszenia zarówno czystki jak i reorganizacji wojska.

Rokossowski, mianowany od razu marszałkiem Polski, z miejsca zaakcentował swoje polskie pochodzenie oświadczając w swoim pierwszym rozkazie dziennym z 7 listopada 1949: „w poczuciu odpowiedzialności wobec narodu polskiego i polskiego ludu pracującego, z którego wyrosłem...”

Wkrótce po swojej nominacji dokonał on zmiany na stanowisku szefa Sztabu, zastępując gen. Korczyca generałem broni Bordziłowskim — również Rosjaninem. Prawdopodobnie wielu starych warszawiaków pamięta jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej sklepik ze śledziami w halach targowych na Placu Św. Aleksandra z szyldem, na którym figurowało nazwisko „Bordziłowski”. Synowie papy Bordziłowskiego chodzili do gimnazjum rosyjskiego w Warszawie.

Rokossowski przyspieszył proces „oczyszczania” kadry oficerskiej tak, że pod koniec 1950 byli oficerowie zawodowi stanowili najwyżej 4-5% kadry i to na stanowiskach podrzędnych. Równocześnie spowodował on ponowny napływ oficerów sowieckich, zwłaszcza wyższych stopni i specjalistów, którzy obsadzili wszystkie kluczowe stanowiska we wszystkich rodzajach broni.

Reszta to już nowi wychowankowie. Jednocześnie bardzo intensywnie zmodernizował armię, przede wszystkim siły lądowe, które w ciągu paru lat osiągnęły niezmiernie wysoki poziom pod każdym względem. Należy dodać, że dane cyfrowe, wyceniane niezmiernie ostrożnie przez wojskowych ekspertów polskich w Londynie odbiegają dość znacznie od danych wojskowej prasy zachodnio-niemieckiej, która śledzi proces rozbudowy sił zbrojnych satelitów bardzo uważnie. Otóż według ekspertów polskich, Polska posiada obecnie: 16 dywizji piechoty, z czego 4 są zmotoryzowane, 5-6 dywizji zmechanizowanych, będących odpowiednikiem lekkich dywizji pancernych, i 2-3 dywizje pancerne; według pisma niemieckiego „Wehrkunde” Polska posiada 22 dywizje piechoty, 7 dywizji pancernych, 2 brygady pancerne i 4 dywizje zmotoryzowane. Zarówno źródła polskie jak i niemieckie zgodne są co do tego, że siły lądowe polskie przebrojone zostały całkowicie w nowoczesną broń sowiecką, nie wyłączając ciężkich typów czołgów. Jeżeli idzie o uzbrojenie piechoty, to jest ono w dużym stopniu pochodzenia polskiego, wyrobione w fabrykach polskich, produkujących sprzęt wojskowy typu sowieckiego, a częściowo z fabryk czeskich, obsługujących cały szereg armii satelickich, wchodzących obecnie w skład wschodniego NATO.

Następnie Rokossowski przystąpił z taką samą energią do rozbudowy lotnictwa, rozpoczynając od nominacji sowieckiego generała broni Iwana Turkiela na jego dowódcę. Należy stwierdzić że i w tej dziedzinie zostały osiągnięte duże wyniki. Według ekspertów polskich, lotnictwo polskie liczy obecnie 8 dywizji myśliwskich po 100 samolotów każda, wyposażonych w samoloty typu YAK ale przezbrajanych intensywnie w nowoczesne MIGI, 2-3 dywizje lekkich bombowców, wyposażonych w samoloty typu „Iljuszyn”, 3-4 dywizje bezpośredniego wsparcia, wyposażone w samoloty typu „Stormownik”. Według źródeł niemieckich, lotnictwo polskie posiadać ma około 30 skrzydeł myśliwskich, 15 skrzydeł bombowców myśliwskich (Jagdbomber) i 10 skrzydeł lekkich bombowców.

Rokossowski przystąpił też do rozbudowy, na wzór sowiecki, wojsk obrony przeciwlotniczej, składających się z samodzielnych jednostek artylerii, lotnictwa myśliwskiego, sieci radaru itd. Nie zapomniał także o marynarce wojennej, która poza „Burzą” i „Błyskawicą”, po ich powrocie z Wielkiej Brytanii, została poważnie wzmocniona dość dużą ilością okrętów bojowych sowieckich, a mianowicie flotyllą łodzi podwodnych, ścigaczy, trawlerów itd. Marynarka jest jedyną bronią na czele której stoi Polak, mianowicie kontradmirał Z. Studziński, dawny oficer z dywizji Berlinga, który ukończył już w Polsce szkołę oficerów marynarki.

Ze względu na specyficzne warunki, a mianowicie bierną opozycję całego narodu, z którego rekrutuje się wojsko, Rokossowski nie mógł zaniedbać rozbudowy wojskowego aparatu po-

litycznego. Kierownictwo tego działu zostało powierzone gen. M. Naszkowskiemu, staremu komuniście, który za czasów swego „ambasadorowania” w Moskwie, miał sposobność przejścia odpowiedniego stażu w Głównym Zarządzie Politycznym armii czerwonej. Zadanie jego przejął niedawno gen. Witaszewski, również stary komunista. O rozbudowie aparatu politycznego świadczyć może najlepiej to, że podczas gdy w roku 1949, istniały jeszcze jednostki, w których ilość członków partii była znikoma, dziś istnieją już one na wszystkich szczeblach od kompanii począwszy; ilość ich wzrosła od 1949 o 500 procent.

Niezależnie od istnienia aparatu politycznego, stworzony został specjalny organ nadzoru — Informacja Wojskowa — mająca charakter kontr-wywiadu, a która rozporządza gęstą siecią informatorów wszelkiego autoramentu. Trzonem tej organizacji jest personel sowiecki, specjalnie przydzielony z MWD. Mimo tego sam aparat Informacji Wojskowej nadzorowany jest w sposób zakonspirowany przez odpowiednie organa MWD.

Wreszcie, niezależnie od intensywnej rozbudowy sił zbrojnych, pod auspicjami Rokossowskiego przystąpiono do reorganizacji rezerw. Wszystkie dotychczasowe organizacje młodzieżowe, sportowe itp. zostały skupione w „Lidze Przyjaciół Zolnierza”, obejmującej swoim zasięgiem grubo ponad milion ludzi. Istnienie tych, stale szkolonych rezerw, może zapewnić w razie mobilizacji wystawienie co najmniej podwójnej ilości wielkich jednostek, w porównaniu ze stanem pokojowym.

OKRES III.

Po śmierci Stalina nastąpiło pewne zelżenie terroru politycznego zarówno w kraju jak i w wojsku. Przed paru miesiącami, w wyniku akcji „odbrązowienia” Stalina, szereg byłych oficerów zawodowych zwolniono z więzienia, łącznie z gen. Taretem i płk. Rzepeckim, byłym komendantem AK, który był aresztowany w 1947 i skazany na 12 lat. Rzecz jasna, że nikt z nich nie powróci już do szeregów i nie będzie miał żadnego kontaktu z wojskiem. Natomiast ta pewnego rodzaju „odwilż” znalazła wyraz w awansach wielu oficerów Polaków na stanowiska, np. dowódców pułków lub szefów sztabów dywizji czy nawet korpusu; wszystkie stanowiska wyższe są — przynajmniej dotychczas — zastrzeżone dla Rosjan lub „popów”. Wzmaga się współpraca w ramach Paktu Warszawskiego z siłami zbrojnymi satelitów, i jest rzeczą prawdopodobną, że jeszcze w tym roku odbędą się połączone manewry.

WNIOSKI

Oceniając działalność Rokossowskiego należy stwierdzić, że osiągnął on wyniki ogromne, zwłaszcza, jeżeli porówna się stan obecny ze stanem rzeczy jaki zastał po swoim przybyciu.

Rokossowski zdołał stworzyć, mówiąc zupełnie obiektywnie, nowoczesnie wyszkolone i uzbrojone wojsko, rozporządzające rezerwuarem wyszkolonych rezerw i zapleczem przemysłowym. Wojsko to, stanowiące ponad 30 procent sił zbrojnych satelitów i stacjonowane na najważniejszym z punktu widzenia sowieckiego kierunku operacyjnym i strategicznym, stanowi obecnie wkład wielkiej wagi do sowieckiego potencjału wojennego.

Tak jak przed rokiem 1830 Wielki Książę Konstanty, który doprowadził żelaznym drylem wojsko polskie do stanu perfekcji, z którego był niezmiernie dumny, tak i marszałek Rokossowski już teraz może być dumny z wyników swojej pracy na tak trudnym i niewdzięcznym terenie. Dlatego też nie byłoby frazesem retorycznym nazwanie obecnych sił zbrojnych w Polsce armią Rokossowskiego.

Na pytanie, które pasjonuje nas wszystkich na Zachodzie, jakie będzie morale tego wojska w razie wojny, odpowiedź dać jest coraz trudniej. Jakkolwiek z punktu widzenia sowieckiego, morale wojska polskiego nie jest tak stuprocentowo pewne, jak np. armii bułgarskiej, tym niemniej wojsko to już nie jest tym, czym było w ciągu pierwszych lat po wojnie, i poglądy w tej sprawie wypowiedziane zbyt pochopnie na Zachodzie, graniczą z „wishful thinking”, gdyż nie biorą pod uwagę olbrzymich zmian, jakie dokonały się w Polsce, a które przeorały nie tylko jej ustrój gospodarczy, ale także i jej mentalność i oblicze. Być może pewnego rodzaju odpowiedzią w tej sprawie może być fakt, że wojsko to posiada najnowszą broń sowiecką i pełne wyposażenie amunicji.

Eugeniusz HINTERHOFF

Studia akademickie w Oflagu

Szanowny Panie Redaktorze,

W lutym 1950 roku zwróciłem się do Pana z zapytaniem: czy umieściłby Pan w „Kulturze” artykuł na temat Studiów Akademickich w Oflagu Ilc. ? Pan mi odpowiedział, że czeka na rękopis.

Od tego czasu upłynęło sześć lat. Pan czekał i ja czekałem. Czekałem na echa z kraju.

Dzisiaj kiedy mam przed sobą książkę o Oflagu Ilc p. Mariana Brandysa czuję się w obowiązku do zabrania głosu. Upoważnia mnie to, że byłem jednym z inicjatorów i organizatorów Studiów Akademickich w Obozie. Poza tym jako pierwszy i ostatni prezes „Bratniej Pomocy” Zrzeszenia Studiujących na Wyższych Uczelniach w Polsce, to jest organizacji w obozie na barkach której spoczywała cała praca organizacyjna studiów — jestem w posiadaniu odpowiednich danych (*).

Nie mam zamiaru prowadzić polemiki z p. Brandysem. Pragnę tylko sprostować jego punkt widzenia co do Studiów Akademickich w obozie.

Autor „Wyprawy do Oflagu” (**) na stronie 97 pisze:

„Dopiero dzisiaj — patrząc na przeszłość obozową z odległego dystansu kilkunastu lat — mogę w pełni docenić rolę, jaką nauczycielstwo odegrało w życiu Oflagu Ilc. Jeszcze teraz trudno mi właściwie pojąć, w jaki sposób nauczyciele woldenberscy potrafili wtedy w zdiwaczałym, nieskoordynowanym świecie jenieckim dokonać dzieła, które dziś Związek Nauczycielstwa Polskiego śmiało może wpisać w najpiękniejsze karty swojej działalności okupacyjnej. Nie wiem, jakimi środkami udało im się skłonić rozbałaganionego, nerwowego tłum filozofów, poetów, lingwistów, strategów, ogrodników i wynalazców obozowych do włączenia się w regularną sieć instytucji, kursów i kół naukowych. I jak później zdołali tę zorganizowaną przez siebie bazę naukową przeprowadzić w nieuszczerplonym stanie przez wszystkie burze i mielizny obozowego głodu i obozowej depresji — i utrzymać ją aż do ostatniego dnia niewoli”.

Nie chcę umniejszać roli nauczycieli, którzy pracowali w Kole Nauczycielskim w obozie. Odwrotnie pragnę z wielkim naciskiem podkreślić nadzwyczajne wyniki pracy i doskonałą organizację Kursów Nauczycielskich. Doksztalcali swoich członków nauczycieli, prowadzili kursy dla szeregowych (szkoła powszechna i gimnazjum). Ukoronowaniem Kursów Nauczycielskich był Instytut Pedagogiczny, który ukończyło kilku nauczycieli.

Natomiast Studia Akademickie, a w tym i pedagogiczne według programu Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie — nie były w ramach organizacyjnych Koła Nauczycielskiego lecz miały zupełnie inny charakter.

O specyficznym charakterze organizacji Studiów Akademickich w Of-

(*) 1) Sprawozdanie Naukowego Koła Orientalistycznego Oflag Ilc — 28.VII.42 do I.I.1945 r.

2) Protokół Zebrania Organizacyjnego Delegatów Sekcji Studentów Kół Naukowych i Studentów Niestowarzyszonych oraz Absolwentów Szkół Średnich — 20.VI.1943.

3) Protokół z I-go Walnego Zebrania Zrzeszenia — 10.IX.1943.

4) Protokół Komisji Skrutacyjnej Walnego Zebrania Zrzeszenia.

5) Statut „Bratniej Pomocy” Zrzeszenia Studiujących na Wyższych Uczelniach w Polsce — uchwalony dnia 10.IX.1943.

6) Sprawozdanie z Działalności Zrzeszenia — 20.VII-31.XII.1943.

7) Pismo Komisji Kulturalno-Oświatowej Obozu z dn. 12.X.1943.

8) „Biuletyn” Zrzeszenia od Nr. 1 do 13 z dn. 1.XII.1944.

9) Legitymacja-indeks członka „Bratniej Pomocy” Nr. 1, 1.XII.43.

10) Notatki kronikarskie „Bratniej Pomocy”.

(**) Marian Brandys, *Wyprawa do Oflagu*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1955. Str. 152.

lagu Ilc pragnę przy okazji — w ujęciu kronikarskim podać do wiadomości. Dane opieram na dokumentach i zapiskach, które są częściowo w moim posiadaniu, inne przekazane do Fryburga w Szwajcarii (Polska Samopomoc Naukowa) i do Londynu (Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego).

Kilka słów o pracach studentów w obozie.

Pierwszy rok niewoli nie „nadawał się” do jakiegś poważnej pracy. Szukania winnych, rozprawiania o tym co było dobre a co złe, a przede wszystkim „spychania w dół” wszystkich i wszystko. I kursy językowe i „Choroba” jeniecka od czasu jak obozy jeńców istnieją. Trochę później — kursy samochodowe (bo mechanizacja), kursy budowlane (kraj zrujnowany!).

Studenti w takich warunkach nie pracowali nad swoimi studiami. Ganiłi ze stolkami pod pachą z „języka” na „język” i nasycali się wiadomościami technicznymi jakie im okazja nadawała.

Lecz po pierwszym roku nastąpił drugi. Niewola trwa. Powstają Koła Zawodowe, jak: Prawników, Architektów, Techników, Leśników, Rolników, Nauczycielskie itp.

Studenti wyszukują profesorów, docentów czy starszych kolegów w swojej specjalności.

Przy Kole Prawników powstaje sekcja studentów. Kierownikiem jest Kazimierz Lewiński (W-wa). Praca nad studentami zaawansowanymi i kurs aplikancki.

Orientaliści grupują się koło prof. Kazimierza Michałowskiego (W-wa). Architekci mają — Ptaszyckiego, Hryniewieckiego, Brukskiego. I inni znajdują swój punkt oparcia.

To niezorganizowane „civis academicus” dokształca się gdzie się da. Pod barakami, pod „arkadami” i zawsze czujni na szperaczy niemieckich. Nauka bowiem dla studentów była zakazana. Powoli z biegiem czasu Niemcy przyzwyczajają się i stosunki stają się liberalniejsze.

Stan taki trwał do 1942 roku. Pracują profesorowie i studenci. Natomiast nie ma młodych kadr ani w grupie wykładowców ani studentów.

Oflag Ilc w tym czasie liczył 7.000 mieszkańców. W tym 500 szeregowych. Około 800 nauczycieli zorganizowanych w Kole Nauczycielskim. Poza tym około 2.000 młodzieży; oficerów rezerwy po maturze i oficerów zawodowych podchorążówkach.

W obozie panuje ciężka atmosfera. Samobójstwa, ucieczki udane i nieudane — robią swoje.

Teatr (K. Rudzki, Michałowski, Mańkowski), kawiarnia (Czetwertyński), koncerty (Bursa (*)), Młodziejowski, Gajdeczka, chóry Młodziejowski, Bursa, Sauter), a później cyrk (Neuman) — był to wielki wysiłek, a jednak nie wystarczający aby utrzymać się nerwowo. Rozrywki trwały krótko, a dnie się wlokły beznadziejnie.

Pomimo, że nie było objawów szybkiego zakończenia niewoli, wierzone jednak, że z niej wyjdziemy. Może ta wiara dała bodźca do uporządkowania i postawienia konkretnego celu — ujęcia w ramy organizacyjne dotychczasowego wysiłku w studiach. Ten trud nie może być zmarnowany. Należy zdecydować się na pracę celową i długodystansową.

(*) Wspaniała „Ballada o chłopie” pióra Tadeusza Sosnowskiego (z baraku XXIIb, obecnie w Kanadzie), muzyka i wykonanie na orkiestrę i chór Bursy była wystawiana w obozie przez dłuższy czas.

Podzieliłem się myślami z Aleksandrem Borowskim (sinolog z Warszawy), a później wspólnie rozważaliśmy z prof. Michałowskim. W rezultacie zdecydowaliśmy założyć Koło Orientalistyczne i zgłosiliśmy do Komisji Kulturalno-Oświatowej obozu (ppułk. Ciałowicz) w dniu 28 lipca 1942 roku. A Borowski objął sekretariat, a mnie przypadła prezesura. Członkami byli między innymi Dyjeczński, Skuratowicz.

Na razie nie mogliśmy koła nazwać Akademickie, a to ze względów cenzuralnych. Lecz już 28 września 1942 oficjalnie wystąpiliśmy jako akademickie, a jeszcze później — Naukowe. Cenzura niemiecka po dłuższych „rozważaniach” ten tytuł przepuściła.

Powstało więc Naukowe Koło Orientalistyczne. Na kuratora zaprosiliśmy prof. Michałowskiego (egiptolog i archeolog z U.J.P. W-wa).

Jakie były wyniki pracy Koła — przedstawia sprawozdanie sporządzone na dzień 1 stycznia 1945 roku.

Sekcje	data wykł. - wykładowców w godz. słuch.				
1. Egipтологии, prof. Michałowski	11.41	3	1	389	43
2. Historii Kultury- "	21. 8.42	16	16	160	53
3. Arabistyki- "	21. 8.42	3	3	122	59
4. Turkologii- St. Merło	10.10.42	1	1	84	18
5. Indianistyki- A. Borowski	10.10.42	4	1	222	41
6. Japanistyki- "	28. 8.44	3	1	57	30
7. Prehistorii- Dr T. Reyman	7.42	4	1	229	35
8. Język. porówn.- St. Gniadek, A. Kopeczek, F. Witczuk	5.10.42	3	3	167	40
9. Filologii klas.- doc.dr W. Steffen	3.11.42	3	1	341	27
10. Polonistyki- A. Kopeczek	8.42	2	2	307	61
11. Lektoratów :					
— łaciński- dyr. Szperka	3.2.43	6	4	551	140
— grecki- S. Dziasek					
— rumuński- Mafteniuk					
— holenderski- F. Witczuk					
12. Teologii- prof. K. Górski	1.9.43	2	2	44	46
13. Historii- "	6.11.42	7	3	313	75
14. Pedagogiki- "	12.2.40	19	6	697	493
RAZEM :		76	45	3.683	1.161

Przy założeniu Koła liczyło 47 członków, na 1.1.45 — 212.

Oprócz prac naukowych ambicją Koła było wznowienie i przechowanie tradycji akademickich w obozie. Zdawaliśmy sobie sprawę z sytuacji w jakiej znalazła się nauka polska w kraju. Pragnęliśmy choć w bardzo skromnych warunkach porwać się na romantyzm i realizować go w czynach.

Dnia 3 października 1942 roku odbyła się pierwsza w obozie inauguracja roku akademickiego 1942-1943. Zorganizował ją Zarząd Naukowego Koła Orientalistycznego Oflagu Ilc.

Atmosfera była podniecona. Padają głosy: „Wariaci !” Ze szczyt choroby drutowej. W obozie szumiało jak w ulu.

Uroczystości inauguracyjne rozpoczęły się nabożeństwem żałobnym za profesorów, docentów i studentów polskich poległych i zmarłych w czasie wojny. Dwie klepsydry przymocowane na murze, po obu stronach wejścia do baraku-kaplicy obozowej głosiły że są i ci, którzy umierają. I że my jesteśmy ich częścią.

Klepsydry były wykonane przez Bronisława Nowickiego, znanego w obozie liternika. Nie były one zgłoszone do cenzury. Z wielkim zainteresowaniem oczekiwaliśmy momentu zerwania ich przez niemieckich cenzorów. Przetwały jednak przez cały dzień na swoim miejscu. Spoczęły w archiwum Koła.

Tematem wykładu inauguracyjnego była turkologia polska.

W uroczystości wzięli udział: pułk. Szalewicz (Starszy obozu), ppłk. Ciałowicz (przewodniczący Komisji Kulturalno-Oświatowej), płk. Iwanowski, prof. dr Kazimierz Michałowski, prof. dr Karol Górski, prof. dr Leon Kamiński i wszyscy orientaliści.

O ile się nie mylę była to jedyna inauguracja Roku Akademickiego studentów polskich w tym czasie od 1939 roku.

Technika organizacyjna studiów polegała na wyszukiwaniu wykładów, specjalistów z humanistycznych dyscyplin naukowych — kontaktowanie z prof. Michałowskim, a następnie ze słuchaczami którzy byli „werbowani” za pośrednictwem tak zwanych delegatów barakowych i prasy obozowej.

Słowa uznania należą się prof. K. Michałowskiemu za organizację programu naukowego studiów. Pomimo takich samych warunków bytowania jak i wszyscy mieszkańcy obozu znajdował czas i energię na prowadzenie wykładów, egzaminy studentów, udział w Komisji Egzaminacyjnej Kursów Nauczycielskich, jako jej przewodniczący — oraz masę czasu poświęcał na dyskusje z Zarządem Naukowego Koła Orientalistycznego na tematy organizacyjne.

Praca w Naukowym Kole Orientalistycznym wykazała, że istnieją możliwości poważnej pracy pomimo skromnych warunków. Najlepszym zaś dowodem był odzew kandydatów zgłaszających się na wszelkiego rodzaju studia humanistyczne.

W tym czasie zrodziła się myśl zgrupowania wszystkich studentów zaawansowanych i rozpoczynających studia w organizację, która by reprezentowała ich interesy i umożliwiła technicznie prowadzenie pracy. Była to myśl o „Bratniej Pomocy”.

Inicjatywa została przez Zarząd Koła jak i przez prof. Michałowskiego bardzo realistycznie i przychylnie oceniona.

W dniu 20 lipca 1943 roku w świetlicy III odbyło się Zebranie Organizacyjne Delegatów Kół Naukowych, Sekcyj Studentów przy Kółach Zawodowych, studentów niestowarzyszonych i absolwentów szkół średnich. Uchwalono powołać do życia „Bratnią Pomoc” Zrzeszenia Studiujących na Wyższych Uczelniach w Polsce. Wybrany Zarząd Tymczasowy (prezes — Merło, wiceprezes — Kopeczek, sekretarz — Otawski, gospodarz — Dyjeckiński, bibliotekarz — Kowalski) miał za zadanie prowadzenie prac organizacyjnych, przygotowanie Walnego Zebrania, opracowanie projektu statutu i ubieganie się o przydział sal na wykłady w Komisji Kulturalno-Oświatowej obozu.

Wkrótce bo 27 i 30 sierpnia 1943 odbyły się zebrania organizacyjne z udziałem kierownika sekcji studentów przy Kole Prawników i przedsta-

wiciela Zarządu w sprawie zorganizowania kursu I-go Roku Prawa. Po długich dyskusjach i pertraktacjach punkt widzenia studentów, a raczej kandydatów na studentów — przeważał i w dniu 1 października 1943 roku Kurs ruszył z pracą. Opiekunem został Kazimierz Lewiński, zaś delegatem do „Bratniej Pomocy” — Marski. Do chwili opuszczenia obozu w 1945 roku zrobiono normalnie dwa lata studiów prawniczych (I i II rok). Egzaminy były składane przez studentów przed specjalnie do tego powołaną Komisją Egzaminacyjną Koła Prawników.

Dzięki staraniom prof. Michałowskiego „Bratnia Pomoc” otrzymała do swojej dyspozycji świetlicę III, nazwaną później „uniwersytetem”. Z dwóch sal zrobiono Pracownię Profesorską i studentów wraz z Lectorium. Do umeblovania Pracowni przeważnie przyczynił się major Błażejewski. Stoly, ławy, stolki z jego pochodziły kuchni. Dzięki Jerzemu Dyjeckińskiemu, gospodarzowi Zarządu, Pracownia przybrała wygląd taki na jaki zasługiwała.

W początkach września Koło Ekonomistów wydelegowało Gomółkę do prowadzenia wykładów z Ekonomii Politycznej i Doktryn Ekonomicznych w ramach sekcji ekonomii „Bratniej Pomocy”.

Od dnia 15 marca 1944 r. wykłady z ekonomiki prowadził Leon Epstein i zakończył je 1 grudnia 1944 roku.

Nadszedł dzień 10 września 1943 roku. W sali-kawiarni prowadzonej przez Czetwertyńskiego, odbyło się Walne Zebranie „Bratniej Pomocy”. Zebranie zagailem jako ustępujący prezes tymczasowego Zarządu Zrzeszenia. Na przewodniczącego wybrano Stefana Kisielewskiego.

Po sprawozdaniu z działalności Tymczasowego Zarządu i dyskusji — uchwalono przez aklamację absolutorium.

Powołano nowy Zarząd Zrzeszenia w składzie następującym: prezes — Stanisław Merło (USB i SNP Wilno); I wiceprezes — Stefan Kisielewski (UJ Kraków); II wiceprezes — Alfred Kopeczek (UJK Lwów); sekretarz — Artur Otawski (WSH Warszawa); skarbnik — Zbigniew Egierski (Politechnika Warszawska); członkowie — Wacław Kopczyński (UJP Warszawa), Marian Dolacki (Uniw. Poznań), Eustachy Gałąj (Politechnika Warszawa).

Na kuratora „Bratniej Pomocy” zaproszono prof. Kazimierza Michałowskiego.

Przedyskutowano projekt statutu. Statut uchwalono.

Podstawowy punkt Statutu (par. 2) brzmiał:

„Zrzeszenie ma na celu:

1. Skupienie organizacyjne wszystkich studiujących przebywających w obozie.

2. Reprezentowanie studiujących i ich interesów wobec polskich władz obozowych i zagranicznych organizacji akademickich.

3. Realizowanie zadań samopomocowych „Bratnich Pomocy” i kontynuowanie polskich tradycji akademickich.

4. Po powrocie do kraju przekazanie władzom akademickim materiałów ze studiów i prac naukowych studentów wykonanych podczas pobytu w niewoli oraz natychmiastowe podjęcie starań w kierunku uznania tych prac i studiów przez odnośne uczelnie”.

Zadaniem Zrzeszenia było uzgodnienie rozkładu godzin zajęć poszczególnych sekcji, przydział sal wykładowych, dostarczanie pomocy nauko-

wych, materiałów pisemnych, książek, skryptów itp. Nawiązałem osobisty kontakt ze Stanisławem Lewickim, sekretarzem Posługi polskiej „Fonds Européen de Secours aux Etudiants” we Fryburgu w Szwajcarii. „Bratnia Pomoc” jako organizacja nie mogła wchodzić w kontakty z organizacjami na zewnątrz obozu. Ten sam zakaz dotyczył każdego z nas. Można było korespondować wyłącznie z osobami.

Zaczęły nadchodzić do obozu na moje nazwisko skrzynie z książkami, skryptami i materiałami pisemnymi z Fryburgu. Poza tym YMCA również przydzielała Bratniakowi sporo papieru.

Biblioteka w Lectorium Pracowni Profesorów i Studentów zapelniała się cennymi książkami i skryptami. Bibliotekarzem lectorium zostaje Jonszta. Biblioteka obozowa liczy 15.000 tomów i zawiera sporo wartościowych dzieł.

Wytworzyła się atmosfera sprzyjająca pracy umysłowej pomimo skromnych warunków materialnych.

W tym czasie zgłosiło się do Bratniaka kilku nauczycieli z prośbą o zezwolenie na korzystanie z Pracowni i Lectorium Studentów. Nie było mowy aby im wstępu do pracowni odmówić. Odwrotnie aby ułatwić i innym chętnym do pracy w możliwych warunkach niż barakowych — razem z Alfredem Kopeczkim, wiceprezesem Bratniaka, udałem się do Stanisława Kwiatkowskiego, ówczesnego prezesa Koła Nauczycielskiego (po Władysławie Sikorze). Zaproponowaliśmy Koło Nauczycielskiemu pomoc w ewentualnych brakach materiałów pisemnych oraz dajemy do dyspozycji nauczycieli Pracownię wraz z Lectorium i biblioteką.

Poza tym spora grupa nauczycieli rozpoczęła studia akademickie w wielu sekcjach humanistycznych. Warunkiem do przystąpienia do egzaminów było uzupełnienie łaciny. W tym celu Naukowe Koło Orientalistyczne organizowało lektoryaty łaciny. Wychodziliśmy z założenia, że należy dać jak najszersze możliwości studiowania dla nauczycieli, a jednocześnie stawiać wymagania w dziedzinie programu i poziomu.

Na skutek takiego nastawienia Sekcja Pedagogiczna w dniu 17 września 1943 roku przekształca się jakby w „Wydział Pedagogiczny” według programu Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Delegatem sekcji zostaje Wacław Kopczyński, opiekunem i kierownikiem programowym prof. Karol Górski. W połowie października przy sekcji powstaje Studium Społeczno-Oświatowe.

Druga uroczysta inauguracja roku akademickiego w obozie ma miejsce w dniu 5 października 1943 roku. Była ona połączona z oficjalnym otwarciem Pracowni dla Profesorów i Studentów oraz sal wykładowych świetlicy III.

W dniu 6 października 1943 roku rusza z pracami sekcja Wolnej Wszechnicy w Warszawie. Delegatem był Tarczyński, opiekunem inż. Kobyliński.

Do obozu docierały wiadomości o śmierci wielu profesorów i sił naukowych w kraju lub zagranicą. Dla zorientowania się w tych nieodżałowanych stratach kultury polskiej, Zarząd Bratniaka w dniu 15 października 1943 roku powołuje specjalny Referat Strat Profesorów i Docentów w ostatniej wojnie. Prowadzenie referatu podjął się Przybylski. Poza nazwiskami zebranymi przez profesorów i studentów przebywających w obozie była również wywieszona lista strat na baraku „kantynie”. Na tej liście dopisy-

wano nazwiska tych, którzy ginęli w kraju lub na obczyźnie, a wiadomość docierała do Oflagu. W chwili opuszczania obozu lista zawierała 157 nazwisk.

Powstają sekcje po sekcjach.

Nadmienić specjalnie należy o zorganizowaniu Studium Nauk Społecznych według programu Akademii Nauk Politycznych w Warszawie. Delegatem i organizatorem Studium był Bojarski, pozostający w kontakcie z profesorami Akademii w kraju i od nich otrzymał zlecenie na prowadzenie prac. Wykłady rozpoczęły się w dniu 1 lutego 1944 roku. Powodzenie Studium było nadzwyczajne. Problemy społeczne i polityczne wykładane tam ściągały olbrzymią ilość słuchaczy wolnych. W związku z tym u polskich władz obozowych powstała obawa tak zwanego odciągania młodszych oficerów od zagadnień i studiów wojskowych. Po dłuższych pertraktacjach udało się Studium Nauk Społecznych włączyć do programu wiedzy ogólnej Wyższej Szkoły Wojennej dla ewentualnych przyszłych kandydatów do tej uczelni.

O pracach w innych sekcjach jak architektury, politechniki, chemii itp. nie mogę tutaj wspominać, ze względu na bardzo liczny materiał, który w tym i tak przedługim liście zająłby sporo miejsca.

Wspomnieć należy o kontaktach „Bratniej Pomocy” z grupami tajnego nauczania akademickiego w kraju. Przekazywaliśmy ich życzenia do Szwajcarii i odwrotnie.

Według sprawozdania Zrzeszenia na dzień 5 lutego 1944 roku liczba członków-studentów sięgała 1.500 osób; wykładowców — 80. Prace były prowadzone w 27 następujących sekcjach: 1) orientalistyki, 2) historii kultury, 3) historii, 4) prehistorii, 5) polonistyki, 6) filologii klasycznej, 7) językoznawstwa porówn., 8) prawnicza, 9) Studium Nauk Społ., 10) Wolnej Wszecz., 11) pedagogiki, 12) teologii, 13) architektury, 14) inż.-mech., 15) inż.-elektr., 16) inż.-drog. wodn., 17) ekonomii, 18) WSH, 19) medycyny, 20) dentystryki, 21) chemii, 22) wych. fizycznego 23) rolnicza, 24) leśnicza, 25) matematyki, 26) fizyki i 27) geografii.

Dla informowania członków „Bratniej Pomocy” był wydawany „Biuletyn” każdorazowo wywieszany na tablicy informacyjnej w korytarzu świetlicy III „uniwersytetu”. Poza tym wprowadzono „Indeksy wykładów, ćwiczeń, kollokwiów i egzaminów” (wydrukowane przez B. Nowickiego). Przeprowadzano rejestrację indeksów i dokonanych w nich wpisów.

Wyczuwaliśmy jednak, że koniec niewoli zbliża się. W „Biuletynie” Nr 9 z dnia 11 czerwca 1944 roku pisałem między innymi:

„Godziny przesłuchanych wykładów i przepracowane na seminariach musimy utrwalić w protokółach egzaminacyjnych, zgłaszając się do egzaminów i kollokwiów i wpisując je do indeksów. Im szybciej zapadnie decyzja tym mniej zmarujemy ostatnio włożonego wysiłku. Godziwą zaś pamiątkę niezmarnowanego choć w części czasu będzie nasza legitymacja-indeks. Czas nagli!”

W lipcu 1944 odbyło się zebranie profesorów i docentów, przebywających w obozie: prof. dr Kazimierz Michałowski (Uniw. JP W-wa, egipt., arch.), prof. dr Leon Kamiński (USB Wilno, chemia), prof. dr inż. Józef Roliński (Polit. Warszawa), doc. dr Wiktor Steffen (Uniw. Poznań, filol. klas.), doc. inż. Jan Goliński (Archit., Warszawa), doc.

dr Karol Górski (Uniw. Poznań, historia) oraz zaproszeni dr Jankowski (matem.) i inż. Kobyliński (roln.).

Na wspomnianym zebraniu postanowiono z dniem 1-go sierpnia 1944 roku: 1) ukonstytuować ciało profesorskie pod nazwą „Grono Profesorów”, 2) przejąć całkowitą opiekę i kierownictwo programu studiów w sekcjach przy „Bratniej Pomocy”, 3) przejąć ewidencję zaświadczeń egzaminacyjnych, 4) zaprowadzić księgę rejestracyjną egzaminów. Dyrektorem Studiów Akademickich w Oflagu IIc został prof. K. Michałowski.

Od tej chwili nikt nie miał złudzeń o powadze prowadzonych studiów. Dla organizatorów był to najjaśniejszy moment w niewoli.

W dniu 5 października 1944 roku odbyła się III-cia inauguracja roku akademickiego w obozie. Oficjalną część uroczystości poprzedziło nabożeństwo żałobne za profesorów i akademików poległych w Powstaniu Warszawskim. Po raz drugi dwie klepsydry (wyk. B. Nowicki) zawisły przy wejściu do kaplicy obozowej.

W uroczystościach wzięli udział: przedstawiciele polskich władz obozowych, grono profesorów, zarząd „Bratniej Pomocy” i studenci obozowych studiów akademickich.

Była to ostatnia uroczystość i ostatnia inauguracja roku akademickiego w Oflagu IIc. Od 1947 roku w Londynie Społeczność Akademicka USB potrzynuje tę tradycję.

W nocy z 24 na 25 stycznia 1945 roku w baraku XXIIb rejestrowałem ostatnie egzaminy studentów obozu.

Padły słowa: „Szkoda! Brakuje mi dwu egzaminów do zaliczenia roku!”

Odparłem: „Zrobi je kolega w kraju”.

Wyprowadzono mnie z obozu w drugiej grupie, dokładnie o godzinie 11-ej w dniu 25 stycznia 1945 roku. Rozpoczął się „marsz śmierci”. Ale to już inna historia.

W roku 1948 w Belgii otrzymałem od prof. K. Michałowskiego list z Warszawy. Pisał on, że wszystkie nasze studia zostały uznane.

Łączę wyrazy szacunku

Stanisław MERŁO,

b. prezes „Bratniej Pomocy” z St. W.U.P. Oflag IIc.

Kronika kulturalna

Od Stanisława Grabowskiego

W majowym numerze „Kultury” pisałem o Stanisławie Grabowskim, o jego pracy i o jego nagłej chorobie. Reakcje na ten artykuł ze strony naszych czytelników były natychmiastowe, liczne i konkretne. Pierwszy odezwał się Marian Pankowski z Belgii, potem Teresa Skórzewska z Anglii, T. Szpilczyński z Holandii, prof. Weintraub z żoną, przejazdem będący w Europie. Potem przyszły listy z Ameryki: Pani B. Brodacka z La Porte w Indiana, Jerzy Szeptycki z Los Angeles, ks. Jacek Dąbrowski z South Amboy w New Jersey, Franciszek Ziółkowski z Ottawy, Sylwester Krause z Chicago i z Kanady: Andrzej Dromlewicz z Perth i Janina Wiszniewska z Montrealu.

Chciałbym w największym skrócie poinformować naszych przyjaciół co można z dzieł Grabowskiego nabyć. Płócien olejnych jest względnie mało, największe z nich ma około 70x90 cm., najmniejsze 20x30 cm. Ceny ich wahają się od 70.000 do 20.000 franków (to jest od 200 do 60 dolarów). Wielkie martwe w tonach białych, srebrnych, szarych, turkusowo-niebieskich, gdzie przedmioty najprostsze: lampa, piec, framuga drzwi, kubek czy para owoców — w ciężkiej, gęstej fakturze stwarzają płaszczyznę o geometrycznej, zadziwiająco prostej i czytelnej kompozycji, zachwycającej jednocześnie swą to bardzo delikatną, to bardzo mocną grą barw. Kompozycje mniejsze to przeważnie drobne postacie, ustawione przy wieczerzy, znów kompozycja jak najdalej uproszczona i dźwięczna. Poza tym zdołałem przejrzeć około 100 rysunków, pejzaży, głów przeważnie kobiecych czy dziecięcych, węglem, kredką, piórkiem (cena ich waha się od 5.000 do 15.000 fr.). Obok tamtych, bardzo syntetycznych obrazów — są one studiami w czystej tradycji Pissarra czy Corota. Subtelne operowanie czernią, wrodzony zmysł kompozycji i w każdym rysunku świadectwo, że artysta, który w swych płótnach bywa na granicy abstrakcji, nieustannie obcuje z przedmiotami, z twa-

rzami, z pejzażem. Dziś panuje aksjomat „artysta jest i musi być samotny, ludzie są źli i na sztukę obojętni”. Ten aksjomat jest jak najdalej uproszczony i może wcale nie prawdziwy. Gdybyśmy umieli stworzyć mosty między artystą a tym, który chciałby być odbiorcą, który sztuki potrzebuje? Może wtedy nawet polski artysta na emigracji mógłby mieć zaplecze.

Widziałem dziś Stanisława Grabowskiego. Prosił mnie, głęboko wzruszony, bym wyraził w „Kulturze” w jego imieniu wdzięczność tym wszystkim, którzy się sztuką jego, pracą jego zechcieli zainteresować. Powtarzał kilkakrotnie: „To jest dla mnie zachęta”. Grabowski wrócił znowu do malarstwa i znowu zaczął malować.

Ten jeden przykład przeczy teorii beznadziejnej i patetycznej. Zawsze byli ludzie i zawsze będą ludzie dla których sztuka jest potrzebna jak chleb powszedni. Potrzebny jest im artysta nie mniej niż oni artyście.

J. CZ.

Wśród wyznaczników epoki

W maju roku bieżącego minęła setna rocznica urodzin człowieka, który zaważył w sposób decydujący na wielu wyznacznikach naszej epoki, mimo że wpływy jego koncepcji budziły stałą i ostrą opozycję, a dziś, w niewiele lat po zgonie ich twórcy, zaczynają już przechodzić do historii. Niemniej, idee Zygmunta Freuda (*) dokonały ważnych i trwałych przemian w rozwoju nie tylko psychiatrii i psychologii, ale może przede wszystkim takich dziedzin jak antropologia, etnografia, mitologia, pedagogika, a nawet krytyka artystyczna, historia i socjologia. Można by wyliczyć jeszcze z tuzin specjalności z tej, czy tamtej strony szerokiego pogranicza naukowo-humanistycznego, ale zdaje się

(*) Zigmunt Freud urodził się 6 maja 1856 roku we Fryburgu na Morawach, wówczas prowincji imperium Habsburgów. Rodzice jego przenieśli się do Wiednia, gdy miał on cztery lata i w mieście tym Freud spędził, poza wycieczkami naukowymi, całe swe życie, aż do chwili kiedy wypędziły go zeń wypadki polityczne. Doktorat medycyny otrzymał w roku 1881, pod wpływem prof. E. Brücke poświęcając się psychiatrii i pracy naukowej. W cztery lata później ma już powierzzone sobie wykłady zleczone, ale dopiero w roku 1902 otrzymuje katedrę jako profesor nadzwyczajny i aż 17 lat czasu — i sławy światowej — trzeba było aby został profesorem zwyczajnym. Po „Anschlussie” emigruje z Wiednia i mieszka początkowo w Anglii, potem w Stanach Zjednoczonych, gdzie umiera w roku 1939.

nie ulegać wątpliwości że zakres wpływów i znaczenia freudyzmu jest zagadnieniem dla którego pełnej oceny jest nieco za wcześnie. Trzeba tu znaczniejszej perspektywy dziejowej, zdolnej ostudzić wciąż jeszcze gorące popioły namiętych kontrowersji.

Dlatego też może stulecie urodzin twórcy pojęcia i techniki psychoanalizy, oraz całej subtelnej konstrukcji teoretycznej związanej z tą techniką, mija w świecie zarówno naukowym, jak literackim niemal bez echa. Zapewne, nie jest zadaniem ponętnym dla publicysty czy pisarza o ustalonej reputacji i wpływach (nie tylko w znaczeniu dochodów), dotykać zagadnień wciąż jeszcze naładowanych potencjałem zadrażnień, trudnych do wykorzystania praktycznego, bo nazbyt „abstrakcyjnych”. Co więcej, zagadnień zdecydowanie potępionych (i tępiących) w zasięgu wpływów tak wielkich i ważnych organizacji jak katolicyzm i marksizm.

Trudno nie stwierdzić, że nawet ci, którzy do koncepcji Freuda ustosunkowują się negatywnie, odnieśli z freudyzmu korzyści ogromne. Choćby tylko w zakresie dostrzeżenia i zrozumienia zjawisk, które można było koncepcjom Freuda przeciwstawić, nie mówiąc już o pożytku konieczności teoretycznego formułowania alternatywnych poglądów.

Dla scharakteryzowania istoty freudyzmu — czy też używając terminologii jej twórcy — istoty ruchu psychoanalitycznego, najważniejszym punktem jest, według opinii Freuda, wyrażonej w jego szkicu „Historia ruchu psychoanalitycznego”, teoria stłumienia (repression) łącznie z teorią transferencji. Są to koncepcje tak zasadnicze, że — jak Freud stwierdza — wszelkie badanie które uznaje te dwie koncepcje i czyni je punktem wyjścia, może być uważane za psychoanalizę (termin, do którego Freud rościł sobie, dość zresztą uzasadnione prawo autorskie), nawet gdyby miało ono prowadzić do wyników i wniosków wręcz odmiennych niż freudyzm.

Będzie może rzeczą pożyteczną przypomnieć pokrótce, co te dwie podstawowe teorie głoszą, po prostu aby przedstawić zagadnienie psychoanalizy w jej pierwotnym, zasadniczym wymiarze.

Teoria stłumienia stwierdza, że rozwijający się aparat psychiczny młodego organizmu zawiera w sobie grupy potrzeb, dążeń i chęci, których zaspokojenie prowadziłoby do konfliktów z potrzebami i dążeniami innych indywidualności, a przeto narażało organizm na niebezpieczeństwo zagłady. Dlatego też w procesie dorastania indywidualności ludzkiej do życia w gromadzie, a więc przystosowywania do kultury i cywilizacji środowiska, pewne grupy potrzeb i dążeń muszą ulec i ulegają stłumieniu to jest represji. Energia psychiczna tych, zablokowanych dążeń zostaje wtedy przetransponowana na inne, społecznie i kulturalnie pożyteczne czy pożądane dążenia, stając się w ten sposób jedną ze sprężyn rozwoju czynników kultury. Jednakże z tych

czy innych przyczyn (wielu i różnorodnych, których omawiać tu nie ma potrzeby) stłumienie dążeń i potrzeb może być niekompletne lub wadliwe. Może nie dokonać się w sposób dostateczny. Wtedy, takie niesprawnie stłumione dążenia, mimo że zostaną one wypchnięte ze świadomości, a incydenty z nimi związane są zapomniane, wywołują mniej lub więcej ostre wpływy na zachowanie się człowieka, ujawniając się jako symptomy neurozy.

Charakterystyczną cechą poglądów freudyizmu jest, że zawsze, takie nieudolne represje, a więc i objawy neuroz, związane są z elementami (to znaczy potrzebami i dążeniami) instynktu seksualnego, który pojmowany jest dość szeroko, jako obejmujący grupę instynktów erotycznych oraz instynkt niszczenia.

Teoria transferencji, poza zjawiskiem przekształcania się pewnych potrzeb, społecznie i kulturalnie niepożądanych w potrzeby kulturalnie użyteczne, ma również aspekt cenny w praktyce psychoanalitycznej. Mianowicie emocje i uczucia pacjenta neurotycznego związane z sytuacjami przeżyтыми w obrębie wadliwie stłumionych dążeń są transponowane na osobę psychoanalityka, który w ten sposób, stając się jak gdyby „zastępcą” ojca (czy matki) uzyskuje możliwość skorygowania błędów oryginalnej sytuacji genetycznej neurozy i pomożenia pacjentowi aby wadliwa represja została poprawiona a jej energia rozładowana, prowadząc do uwolnienia z objawów neurotycznych.

Teorię stłumienia Freud uważa za swą podstawową i oryginalną koncepcję, stworzoną całkowicie samodzielnie, choć stwierdza iż w wiele lat po sformułowaniu tej teorii odkrył że ogólne zarysy podobnej idei rozwijał Schopenhauer, niezauważone zresztą i niepodjęte przez psychologów.

Te dwie podstawowe teorie psychoanalizy nie są — jak Freud z naciskiem zaznacza — założeniami czy postulatami teoretycznymi. Nie stanowią więc one przesłanek, z których drogą dedukcji wyprowadzone byłyby wnioski wiodące do metod psychoanalizy. Przeciwnie, są to indukcyjne hipotezy, wywiezione z obserwacji klinicznych, a zatem ich twórca traktuje je jako uogólnienia empiryczne. W zasadzie zatem powinny być one zdolne do procesu zmian, nawet bardzo radykalnych, dyktowanych praktyką doświadczeń.

Nie znaczy to bynajmniej, aby freudyzm nie posiadał głębszych, bardziej podstawowych fundamentów w założeniach filozoficznych. Podejście do freudyizmu od tej strony ujawnia jego powiązania i zależności kulturalne rzadko omawiane. Freudyści niejednokrotnie i nawet z naciskiem przedstawiali psychoanalizę jako dyscyplinę czysto empiryczną. Dopiero sam Freud postawił takiej zaprzeczyl, formułując podstawowe filozoficzne założenia freudyizmu w ostatniej swej większej pracy — „Zarys psychoanalizy” pisanej w połowie 1938 roku, a więc na rok przed śmiercią i, właściwie, nieukończoną (**).

(**) Praca ta ukazała się drukiem w roku 1940, prawie równocześnie w oryginale niemieckim i tłumaczeniu angielskim.

Pierwszym z tych założeń jest postulat, że zjawisko życia psychicznego jest *funkcją* aparatu czy organu, któremu przypisać należy lokalizację w przestrzeni i budowę złożoną. Inaczej mówiąc, umysł czy dusza, traktowana przez Freuda jako dwie nazwy tego samego zjawiska są *funkcją organu materialnego*. Freudyzm jest, w swym aspekcie teoretycznym, usiłowaniem skonceptualizowania poszczególnych faz funkcjonowania tego organu, oraz wyznaczenia stosunków zachodzących pomiędzy tymi fazami.

Drugim z założeń filozoficznych freudyizmu jest postulat, że zjawisko życia psychicznego jest niezależne od zjawiska świadomości. Świadomość wchodzi we wzajemne stosunki z procesami psychicznymi, a więc zarówno może w pewnym sensie wpływać na ich przebieg, jak być przez nie modyfikowana — ale jest zjawiskiem zupełnie niezależnym, stanowiącym jakby dodatkową, czy nadrzędną funkcję tylko pewnych części aparatu psychicznego.

Zestawienie takich dwóch postulatów filozoficznych razem mogłoby się nam dziś, w okresie pedantycznie rygorystycznej analizy filozoficznej wydać dość lekkomyślne. Pierwszy z tych postulatów należy bowiem jawnie do rodzaju monizmu materialistycznego, podczas gdy drugi postulat nosi charakter niezdeterminowany. W każdym razie może on być — a przez Freuda był niewątpliwie — pojmowany jako nie całkowicie zgodny z metafizyką monizmu. Albo raczej jako postulat który może być interpretowany swobodnie. Postulat a-monistyczny (a więc nie koniecznie anty-monistyczny). Jest to postawa intelektualna bardzo charakterystyczna dla przełomu XIX i XX stulecia i rozumiana wówczas nie jako sceptycyzm w stosunku do logiki, lecz jako pewne zdewaluowanie logiki dwuwartościowej, na rzecz logiki trój- czy nawet multi-wartościowej. W tym nastawieniu intelektualnym powstawały usiłowania znalezienia jakiegoś podejścia do zagadnienia (zakładanej) syntezy w zakresie monizmów filozoficznych, usiłowania krystalizujące się — na jednym biegunie w postaci koncepcji fenomenologicznych (w sensie Macha raczej niż Husserla) na drugim zaś — w formie bergsonizmu. Jeden z tych prądów usiłował paradoksy metafizyki monistycznej obezwładniać przy pomocy zręcznej metody formułowania obserwacji i ich empirycznych uogólnień — drugi, przy pomocy metafory poetyckiej.

Zależność zasadniczych koncepcji freudyizmu od *obu* tych postaw filozoficznych wydaje się oczywista, choć można by sądzić, że w istocie jest on wynikiem czegoś bardziej ogólnego, co w uproszczeniu (a bez upierania się przy tym przypadkowym określeniu) dałoby się nazwać „duchem epoki”.

Tym samym zresztą trzeba tłumaczyć zarówno wpływ i popularność połączone z atmosferą skandalu, jakie towarzyszyły zawsze freudyzmowi w świecie, w którym politycy i publicyści o formacie mężów stanu z pasją dyskutowali nad poglądami Macha i gdzie filozoficzne prace Bergsona ukazywały się nie

w akademickich wydawnictwach specjalnych lecz jako książki dla szerokiej publiczności i cieszyły się rzeczywiście ogromną popularnością.

Do takiego kompleksu procesów intelektualnych, których zasadniczym może ośrodkiem były reakcje i przewyższanie wpływów filozoficznego monizmu — oczywiście idealistycznego, heglowskiego — przy pomocy bądź skrajnego materializmu marksistowskiego, bądź „umiarkowanego” fenomenalizmu, a którego zewnętrznym szerokim „frontem popularnym” było zwalczanie ociążałości procesów kulturalnych i społecznych przy pomocy „epatowania” sfilistrzałych eks-farysów i epigonów epoki romantycznej — w takim kompleksie, empiryczny, półnaukowy i półskandaliczny freudyzm pasował doskonale. Ba, był czynnikiem niezbędnym. Ktoś musiał go stworzyć, ale ten ktoś musiał być genialny. Groddeck, Ferenczi, Fluegel, czy Ochorowicz — nie mogli by wystarczyć.

To prawda, że koncepcje freudyizmu opierały się na klinicznych badaniach przypadków neurozy, głównie hysterii. Freud udawał jednak że różnice pomiędzy tak zwanym „normalnym” człowiekiem a neurotykiem są wyłącznie kwantytatywne. Że granicy żadnej wyznaczyć, ani nawet umownie przyjąć nie można. Że każdy, najbardziej normalny człowiek ujawnia liczne objawy neurotyczne: potknięcia mowy, lapsusy pamięci itd. które tylko dopóty nie uchodzą za neurozę, dopóki nie nazbyt jaskrawo utrudniają człowiekowi wykonywanie funkcji zawodowych i społecznych. Ba, w zjawisku snu i marzeń sennych każdy przeżywa regularnie okres działalności psychicznej, która właściwie niczym nie różni się od psychozy. Która jest psychozą utrzymaną poza granicami decydującego wpływu na zachowanie się.

Stwierdzał on również, że neuroza jest nieodłącznym zjawiskiem postępu cywilizacji i kultury, gdyż postęp ten przynosi coraz wydłużający się okres wychowania, adopcji jednostki do życia społecznego; coraz dłuższej zależności od opiekunów i pedagogów, a to znacznie zwiększać musi szanse niedoskonałych represji, niepełnych transferencji. Co więcej, nawet w jednostce względnie zrównoważonej i opanowanej, neurotyczne objawy występują łatwo w wypadkach intensywnego zaabsorbowania jakimś zadaniem intelektualnym, czy emocjonalnym — a więc neuroza artystów, uczonych, działaczy najróżniejszego autoramentu stanowią niemal oznakę rozpoznawczą zdolności twórczych, talentów lub genialności. Obnażając wewnętrzne sprężyny człowieka i przedstawiając jego postępowanie bardziej niż krępująco uzależnione od „bestialstwa” popędów seksualnych, freudyzm równocześnie poclebiał temuż człowiekowi, nadając jego wyskokom „neurotycznym” (tak, często właśnie neurotycznym w cudzysłowie) cechę piętna wyższości intelektualnej czy kulturalnej.

Dziś, gdy sytuacja kulturalno-intelektualna Europy uległa radykalnej zmianie, wywołanej ciężką infekcją despotyzmów oraz

katastrofą totalnej wojny — pozycja i znaczenie freudyizmu musiały zmienić się zasadniczo. Freudyzm przestał bowiem grać rolę ruchu, którego aspekty filozoficzne i społeczne stanowiły o jego potrzebie, roli i użyteczności intelektualnej. Dziś pozostały tylko jego aspekty naukowe i praktyczne, a nasz do nich stosunek traci szybko ładunek emocjonalny. Jako empiryczna, kliniczna dyscyplina, freudyzm, oczywista, zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy sztuką medyczną (leczenia) i sztuką pedagogiczną (wychowania). Może tylko z pewnym odchyleniem w stronę trzecią, sztuki dyplomatycznej (zarządzania i organizowania). W tym zakresie freudyzm na pewno ma pozycję stosunkowo ustaloną i zdolną do dalszego rozwoju — choć daleki on jest od spełnienia tych nadziei, jakie z ruchem tym były niegdyś łączone. Istnieje bowiem szereg kategorii zjawisk neurotycznych wobec których technika psychoanalityczna jest bezsilna. Co więcej, w zakresie, w którym skuteczność psychoanalizy jest na ogół uznawana — stopień tej skuteczności jest w istocie nieznany. W Stanach Zjednoczonych, gdzie praktyka psychoanalityczna rozwinęła się bardzo szeroko, a gdzie również inne kliniczne metody są stosowane, zaostrza się coraz bardziej zagadnienie stwierdzenia rzeczywistej skuteczności tych wszystkich metod klinicznych z freudyzmem na czele. Jaki procent przypadków neurozy, poddanych psychoanalizie ulega poprawie stałej a jaki przejściowej? Jaki procent nie ulega żadnym zmianom? Z przypadków „wyleczonych”, w jakim procencie jest to skutek psychoanalizy, a w jakim innych równoległych zmian w okolicznościach życiowych pacjenta, czy nawet „samowyleczenia”, niewątpliwie występującego i w przypadkach neuroz tak samo jak chorób organicznych? Na wszystkie te pytania usiłuje się dziś znaleźć odpowiedzi na drodze skomplikowanych analiz statystycznych, ale kompletnych i pewnych danych wciąż jeszcze brak; zaś tymczasowe oceny wahają się, zależnie od postawy badacza, od bardzo pozytywnych, przyznających psychoanalizie skuteczność niemal tak wysoką jak chirurgii, do zupełnie negatywnych, zaprzeczających prawie zupełnie istnienia jakichkolwiek istotnych skutków kuracji psychoanalitycznej.

Jako dyscyplina badawcza i teoretyczna freudyzm, naturalnie znalazł się dziś w pozycji trudnej. Dziś, kiedy wymagania pod tym względem podciągnięte są tak wysoko, że na przykład status naukowy kosmologii (jako działu teoretycznej astronomii) jest kwestionowany, a przynajmniej podawany w wątpliwość — teoria psychoanalityczna nie może w istocie pretendować do pozycji nauki ścisłej. Koncepcje teoretyczne freudyizmu, wprowadzone dla skonstruowania modeli zdolnych tłumaczyć funkcjonowanie (hipoteczne) organizmu psychicznego, a więc koncepcje takie jak id, ego, superego, libido, etc. mają charakter zasadniczo różny od teoretycznych koncepcji naukowych (jak np. atom, elektron, praca, pole itp.). Koncepcje teoretyczne naukowe są bowiem zasadniczo proste i wyznaczalne jako bezpośrednia

konsekwencja danych obserwacyjnych. Dlatego też modele procesów naturalnych, skonstruowane przy pomocy tych koncepcji mogą być poddawane krytycznym badaniom doświadczalnym, dającym mniej lub więcej zdecydowaną, ale dwuwartościową odpowiedź: tak-nie.

Koncepcje teoretyczne freudyizmu są złożone i dają się określać tylko jako konstrukcje, złożone ze skomplikowanych inferencji i uogólnień obserwacji procesów naturalnych. Dlatego też modele, budowane przy pomocy tych koncepcji, nie poddają się żadnym krytycznym sytuacjom doświadczalnym. Po prostu nie ma takich danych doświadczalnych które mogłyby w istocie uzasadnić lub obalić jakiś model. Każde bowiem dane doświadczalne muszą być najpierw zinterpretowane, a więc dostosowane do przyjętego modelu. Taka sytuacja modeli teoretycznych jest w naukach ścisłych całkowicie niedopuszczalna. Takie teorie nie są dziś uznawane za naukowe teorie czy hipotezy. Mogłyby one być uznawane za postulaty, ale, oczywiście, każdy system postulatów jest całkowicie arbitralny i może być zaakceptowany nie jako obraz rzeczywistości ale tylko jako formalny zabieg techniczny i to jedynie wtedy, gdy zabieg ten prowadzi do skutków praktycznych o niezaprzeczalnej, nie podlegającej interpretacjom wartości. Stąd też, wspomniane już pytania o praktycznej wartości psychoanalizy mają także znaczenie dla określenia teoretycznych cech freudyizmu.

Jeszcze bardziej niezadowolająco przedstawiają się dziś koncepcje elementarne, niezbędne do konstruowania podstawowych pojęć freudyizmu. Zasadniczy fundament zjawisk psychicznych — id — stanowi system instynktów. Główny kompleks instynktów, stanowiący kierownicze jądro id, które freudyzm nazywa libido, ma być zespołem instynktów seksualnych. Koncepcja instynktu w ogóle, mimo zadawnionego „prawa obywatelstwa” w psychologii i mimo iż jedna z ważniejszych „szkół” psychologicznych (hormizm) jest na nim oparta — nastroczała dotychczas więcej trudności niż przynosiła pożytku. Mimo kilkakrotnych zjazdów międzynarodowych, psychologowie nie byli zdolni ustalić czy uzgodnić nawet zakresu znaczenia terminu instynkt, nie mówiąc już o wyznaczeniu listy poszczególnych instynktów człowieka. Kiedy jedni z badaczy zadowalali się kilkoma „zasadniczymi” instynktami, z których kombinacji mogły powstawać wszystkie potrzeby i dążenia kierujące postępowaniem ludzkim — inni widzieli się zmuszeni powiększać liczbę rozpoznawanych instynktów do kilkudziesięciu.

W ostatnich jednak dziesięcioleciach impas w stosunku do instynktu został zdaje się przełamany. Etologia (czyli psychologia zwierząt) wskazała możliwą drogę do badania naukowego i wyznaczenia koncepcji instynktu. Prace z tego zakresu zastosowane do psychologii człowieka rzucają bardzo istotne światło na zagadnienie postępowania ludzkiego, wskazują jednak że taki zespół czy kombinacja, którą freudyści opisują jako libido, lub

instynkt seksualny, po prostu nie istnieje. Jest to twór sztuczny, który by odpowiadał w przybliżeniu jakiejś grupie izolowanych fragmentów różnych i różnorodnych instynktów, ale fragmenty takie nie mogą występować w oderwaniu od reszty mechanizmu instynktu do którego należą. W świetle nowoczesnej, naukowej koncepcji instynktu, teoretyczne koncepcje freudyizmu musiałyby być poddane gruntownej rewizji i przeróbce, gdyby miały być one istotnie traktowane jako uogólnienia empiryczne. Zresztą, w zasadzie, poza bezwładnością środowiska zawodowego, nie ma żadnych przyczyn dla czego by taka przebudowa freudyizmu nie miała być dokonana. Niezawodnie, prędzej czy później będziemy jej świadkami.

Wreszcie, na zakończenie należy wymienić koncept energii. W dziewiętnastym stuleciu teoretyczna koncepcja energii zrobiła wspaniałą karierę w naukach fizycznych, doprowadzając do powiązania i zunifikowania szeregu dyscyplin, takich jak optyka, akustyka, termodynamika, chemia. Stąd też w wielu innych zakresach wiedzy próbowano posługiwać się podobnymi koncepcjami i w ten sposób do psychologii dostały się terminy „energia psychiczna” i „energia nerwowa”. Wielu badaczy poświęcało sporo wysiłków aby pojęcie to wyznaczyć empirycznie. Na przykład prof. Spearman, wykryty przez siebie, empirycznie wyznaczalny czynnik „g” (ogólnej inteligencji) uważał za jedną z zasadniczych postaci energii psychicznej.

We freudyzmie jednak energia psychiczna jest koncepcją całkowicie pustą — nie mającą ani wymiarów, ani entropii, ani nie wyznaczalną doświadczalnie. Takie więc zdania jak stwierdzające, że przy transferencji energia psychiczna zablokowanego instynktu przechodzi do innego instynktu — są najzwyczajniej metaforami poetyckimi nie mającymi żadnej treści naukowej.

Czyż więc z tego wszystkiego ma wynikać że freudyzm jest pseudo-naukową teorią, zbudowaną dla uzasadnienia techniki klinicznej (psychoanalizy) o wątpliwej wartości terapeutycznej? Że zatem olśniewające zdobycze geniuszu Freuda stanowią skarb rzekomy i zbyteczny? Taki wniosek byłby całkowicie błędny. Kultura nasza potrzebowała freudyizmu koniecznie dla rozwinięcia samoświadomości i zdolności analitycznych człowieka. Bez tego etapu intelektualizm naszej epoki nie mógłby dojrzeć — i we freudowskim znaczeniu dorastania — i w bardziej dosłownym — spostrzegania nowych perspektyw i zadań.

W twórczych zaś wysiłkach ruchu psychoanalitycznego odkryte zostały liczne metody działania, które pozostaną cenną i trwałą zdobyczą psychotechniki, niezależnie od tego, że wyobrażenia i koncepcje teoretyczne uzasadniające te metody mogą ulec gruntownym przeróbkom i zmianom.

J. HORZELSKI

O tabu językowym

Tabu jest słowem polinezyjskim i jak wszyscy wiedzą oznacza pewną formę „przesądu” religijnego. Polega to na tym, że dane plemię nie ma prawa dotykać obiektu, który jest tabu. Dla niektórych dzikich plemion tabu jest na przykład krokodyl i nie wolno na niego polować, ani go zabijać czy w ogóle dotknąć. Dlaczego dane zwierzę czy obiekt jest tabu? Przeważnie ponieważ uważany jest za świętość, a — jak w wypadku krokodyla — za przodka szczepu. Obiekt święty dla ludów pierwotnych jest nie tylko święty „biernie”, ale i czynnie, dotknięcie go może być w skutkach piorunujące (1). Dla murzynów Nigerii osoba ich kacyka jest tak pełna jakiejś magicznej świętej siły, że nikt obcy nie śmie na niego patrzeć, rzeczy nawet których kacyk dotyka stają się dzięki temu tabu, tak dalece, że nie ma on prawa sam jeść, tylko muszą go karmić, bo pożywienie, którego dotyka, też staje się tabu (2). W innym plemieniu zachodnio-afrykańskim (Ashanti) ziemia jest tabu dla obcych, bo uważana jest za matkę przez murzynów. Kacyk tego plemienia pochodzący z obcego szczepu nie jest najwidoczniej „synem” dla ziemi, toteż jest ona dla niego tabu, co powoduje różne komplikacje, tak na przykład muszą go zawsze nosić w koszyku, niby w lektyce. W najlepszym wypadku nosi on sandały.

Tabu może obejmować nie cały szczep, a jedynie jego część. Tak na przykład kobiety wogulskie na Uralu z początkiem tego stulecia za nic w świecie nie chciały upiec mięsa z niedźwiedzia ani nawet go dotknąć. Niedźwiedź uchodził wśród Wogulów za zwierzę święte (3). W stanie szczątkowym podobne tabu zachowało się wśród rybaków węgierskich nad dolną Cisą, wed-

(1) Samo dotknięcie Arki Przymierza zabijało: „I wieźli Arkę Bożą na wozie nowym z domu Abinadabowego, a Oza i Achyjo prowadzili wóz. A gdy przyszli na klepisko Chydon, wyciągnął Oza rękę swą, aby zadzierzał skrzynię, bowiem woły były potknęły się. I rozgniewał się bardzo Pan na Oze, i zabił go, przeto iż wyciągnął rękę swą ku Arce, i umarł tamże przed Bogiem.” (I Kroniki 13.7.10). A przecież Oza chciał tylko ratować Arkę od wywrócenia się.

(2) Westermann, *Afrikanische Tabusitten, Abhandlungen der preussischen Akademie der Wissenschaften, Philosophisch-historische Klasse*. 1939. Nr. 12.

(3) P.S. Infantjew, *Puteszestwije w stranu Wogulow*. Petersburg 1910. (apud Ciszewski, *Żeńska twarz*).

ług których ryba jest niedobra, gdy gotuje ją kobieta. Wreszcie tabu może odnosić się tylko do jednostki. Wiadome jest, że kapłan rzymski, flamen dialis, nie miał prawa dotykać surowego mięsa, kóz, bluszczu, bobu ani trupa, ani też *wymawiać ich nazw*. A wśród Murzynów w dawnym królestwie Kitwara w dzisiejszej Ugandzie (2) osoba króla była taką świętością, że nie śmiano nazywać części jego ciała właściwymi nazwami takimi jak dla wszystkich ludzi, ale posługiwano się specjalnymi omówieniami, których można było używać tylko w stosunku do króla. Dwa ostatnie przykłady prowadzą nas do tabu językowego. Pewne słowa dla pewnych jednostek, grup lub całego szczepu są tabu. Takie tabu może być stałe albo tylko okresowe. Podobno podróżnicy, którzy poznali dokładnie język niektórych plemion na Oceanie Spokojnym, wracając po paru latach nie mogli się rozmówić, bo tyle słów stało się w międzyczasie tabu. Z drugiej strony na przykład wiadomo, że wśród szczepów prymitywnych nie wolno wymawiać nazwy zwierzęcia, na które się właśnie poluje. Wiadomo też, że dawni Finowie, których język jest zresztą pokrewny językowi Wogulów, nie wymawiali słowa „wilk” przez cały okres, gdy bydło było na pastwiskach i nie wymawiali słowa „niedźwiedź” podczas polowania na niego (4). W Afryce murzyni ze szczepu Ila unikają słów, które mogą „zaszkodzić” wykonywanej w danej chwili czynności. A więc przy kuciu żelaza trzeba unikać słowa „ogień”, bo mogłoby to ogień rozgniewać lub mu zaszkodzić (mówią o „gorącym”). Gdy się młóci, to nie należy wymawiać słowa „woda” (bo młócka odbywa się pod gołym niebem i mogłoby spaść deszcz). Mówi się „spadająca z nieba”. Nie wolno też nawet brać wody do ust ani pić (2).

Skąd się bierze to tabu? Zdaje się, że chodzi początkowo o uniknięcie tego czy innego niebezpieczeństwa, niebezpieczeństwa o charakterze magicznym. Dla ludów prymitywnych rzecz i nazwa to to samo. Wszystko jedno czy się bierze do ust wodę czy nazwę wody. Przez samo wymówienie nazwy wywołuje się rzecz. Nie darmo mówimy: nie wywołuj wilka z lasu, no bo go jeszcze wywołasz, a wtedy: o wilku mowa, a wilk tuż. Przysłowia są mądrością nie tyle narodów, co ich przodków.

Ale nawet jeśli się unika właściwego słowa, to trzeba przecież jakoś tego wilka nazwać. Tubylcy ołoniecko-karelscy (plemię ugro-fińskie w Rosji) mówiąc z dziećmi używają słowa *moerkoe* na oznaczenie niedźwiedzia i wilka, ale także i wszy. Ich sąsiedzi używają słowa *poepoe* w rozmowie z dziećmi dla niedźwiedzia, wszy, węża, diabła i narządów płciowych. Także dla straszenia dzieci używa wiele z tych plemion słowa *moerkoe*: nie chodź w ciemności, stamtąd przyjdzie *moerkoe* (po polsku powiedzilibyśmy: be). A więc to „be” używane jest jako sło-

(4) R.E. Nirvi, *Einige Erscheinungen von Wortvermeidung in der Sprache der Frauen*. Orbis, Louvain 1952. Str. 367-369.

wo zastępcze dla wszystkiego co straszne i co dla dzieci jest tabu. W jednym z dialektów ołonieckich słowa *poeppe* używają też dorośli, ale tylko latem. W zimie nazywają go jego właściwą nazwą. Wierzą tam, że gdyby go nazwać właściwą nazwą w lecie, to niedźwiedź przyszedłby i porwał bydło. Że w zimie się nie bano, to jasne. W zimie niedźwiedź śpi. W Laponii mężczyźni nazywają niedźwiedzia jego właściwą nazwą: *kuobdza*, ale kobiety używają „eufemizmu”, nazwy zastępczej, lekko zmienionej: *nobdza* (5). Być może podobny charakter miała istniejąca wśród Huculów ceremonia zapraszania na wigilię Bożego Narodzenia zarówno niedźwiedzia jak i cesarza gromowego rządzącego piorunami. W zimie gromy nie biją, a skoro nie przyszedł w zimie, to tak samo niech nie przychodzi i w lecie.

Wydaje się jasne, że tabu związane jest z istotami czy rzeczami, których należy się bać. Ludy prymitywne nie odróżniają magii od nie-magii. Strach przed niedźwiedziem jest realny, ale jednocześnie i magiczny. Siłę realną niedźwiedzia przypisuje się jego sile magicznej, utożsamia się te dwie siły. Pamiętam, że gdy jako dziecku opowiadała mi huculska niańka o diable (którego widziała kilkakrotnie na własne oczy) i o wilkach, to miałem przed wilkami strach równie irracjonalny, „magiczny”. I nic dziwnego, w chacie górskiej, otoczonej bezkresnymi lasami. W podobnych warunkach żyły też a często jeszcze żyją te prymitywne plemiona, o których mowa. Niedźwiedź był dla nich nie tylko przedmiotem polowania, był przede wszystkim groźnym, najgroźniejszym wrogiem, który napadał na bydło i wyjadał miód z barci (6). Nam, którzy spotykamy niedźwiedzia jedynie w menażerii, nie wydają się one straszne, powyżej dzieci mogą się bać ich ryku. Ale wyobraźmy sobie spotkanie sam na sam z niedźwiedziem w głuchej puszczy! A jego siłę: wystarczy aby pacnął łapą i już po człowieku.

Francuski uczony Meillet zauważył, że języki indoeuropejskie nie posiadają wspólnego wyrazu na niedźwiedzia (7). Posiadają wspólny wyraz na wilka (polskie wilk, greckie *lykos*), ale nie na niedźwiedzia. Wspólny wyraz istnieje w łacinie, sanskrycie i grece (*ursus* itd.), ale nie istnieje w językach bałtyckich, germańskich i słowiańskich. Wydaje się, że wyraz zanikł nie dlatego, że przodkowie tych ludów nie znali niedźwiedzia, tylko dlatego, że znali go zbyt dobrze, ale woleli o nim nie mówić

(5) (ib. 7) *Linguistique historique et linguistique générale*, str. 281-291 (Quelques hypothèses sur des interdictions de vocabulaire dans les langues indo-européennes).

(6) Na Białorusi jeszcze przed samą wojną światową niedźwiedzie dobierały się w najlepsze do barci na drzewach i nie bardzo umiano sobie z nimi dać radę. Por. Florian Czarnyszewicz, *Nadberezyńcy*, str. 15 oraz Czesław Pietkiewicz, *Polesie rzeczyskie*, I., Kraków 1928, str. 36-37.

wprost i zastępowali to słowo omówieniem: miedźwiedź, zachowanym zresztą w niektórych językach słowiańskich. Miedźwiedź znaczyło początkowo: ten co *wiedział o miodzie*. Ale słowa nasiąkają treścią, to jest tym co oznaczają. A słowa tabu, których się nie używa, wychodzą z z użycia. Po pewnym czasie więc słowo zastępcze staje się samo z kolei tabu. Tak było i ze słowem *miedźwiedź*. Wkrótce i to słowo stało się tabu, używanie go mogło wywołać niedźwiedzia z lasu. Tym razem przerobiono je podobnie jak kobiety lapońskie słowo *kuobdza*, bo słowo przerobione już nie jest groźne (8). Ukraińcy zrobili z tego *vedmid'*, Słowianie południowi zachowali tylko początkową sylabę słowa, i dali mu końcówkę zdrobniałą, bo zdrobnienie jest sposobem przeblagania: *meczka*. Ciekawe, że po polsku i czesku z *mie-* zrobiono *nie-*, a „nie”, znak przeczenia, już przez to samo odpędza nieczystą siłę.

Germanie ze swej strony przezwali niedźwiedzia brunatnym. Stąd angielski *bear* czy skandynawskie *bjorn*. Tak samo nazywa się on też w średniowiecznym francuskim Roman de Renart, ale widocznie niedźwiedzi we Francji było już wtedy niewiele i większość Francuzów już się ich nie bała, toteż słowo się nie przyjęło. Został *ours*.

Mówiliśmy przedtem o plemionach ugro-fińskich. Nawet te z nich, które zachowały własną nazwę na niedźwiedzia wolą nazywać go np. chwała lasu, staruszek, dziadzio, wspaniała miodna łapa (a więc trochę jak miedźwiedź) albo kudłacz. Węgrzy, którzy też mówią językiem grupy ugro-fińskiej, zapożyczyli po prostu nazwę od Słowian: *medve*.

Wszystko to wydaje się bardzo odległe od nas, w czasie i w przestrzeni, ale kto czytał chociażby przedwojenne powieści o Góralach, przypomina sobie, że mówili o niedźwiedziu, zwłaszcza szczególnie drapieżnym: „On”. Tak na wszelki wypadek. A Huculi nigdy niemal nie nazywają niedźwiedzia inaczej jak „Wujko”, czasem też „ten wielki” (bo wilk nazywa się „ten mały”).

Kobiety z jednego ze szczepów berberskich w Centralnym Maroku (9), które są w ogóle bardzo przesądne i wierzą w najrozmaitsze tabu, gdy proszą o ogień, nie używają słowa „ogień”, zwłaszcza przed południem i zastępują je słowem „światło”. Ranek widocznie sprzyja szczególnie złym duchom, bo tak samo rankiem nie wolno wymawiać nazwy lisa, a trzeba nazwać go gazelą (!) albo zwierzęciem z mieczem (co jest aluzją do bajki, w której gra on główną rolę).

Również we Francji lis jest zwierzęciem magicznym, diabelskim. Tej zimy opowiedziano mi w Alpach, że pewien czarownik przed 50 laty wysyłał za ludźmi, których nie lubił, diabła

(8) Podobnie jak niewinne jest słowo pupa, albo też ...pa. Ale o tym dalej.

(9) Arsène Roux, *Le langage des musulmans marocains*, in *Orbis*, Louvain, 1952, str. 379.

w postaci lisa. Muszę przyznać, że zdziwiło mnie to nieco, bo przecież u nas lis jest nieszkodliwy. Podobnie opowiadają tamże, że lis przewraca ule i dobiera się do miodu. Kto wie, czy nie przypisano tu magicznemu lisowi czynności innego wygasłego już dziś zwierzęcia, ale które w Alpach istniało nie tak znów dawno — niedźwiedzia. W każdym razie lisa boją się we Francji nie od dziś i to do tego stopnia, że jego łacińska nazwa *vulpes* ustąpiła we wczesnym średniowieczu miejsca nazwie *goupil*, pochodzenia częściowo germańskiego. Ale i słowo *goupil* z kolei stało się tabu i wtedy sięgnięto właśnie do popularnej wówczas bajki Roman de Renart, w której niedźwiedź nosił germańskie imię Brun, a lis germańskie także imię Renart czyli Reinhard. Lis był zresztą głównym bohaterem tej bajki. I stąd Francuzi nazywają dziś lisa *renard*. Ale i u nas nazwa *misio* miała na celu podobno, pieszczotliwe zastąpienie nazwy, której lepiej nie wymawiać. (Misio od Michał, porównaj Stasio i Stach). Uczeń wywodzi słowo *goupil* od późno-łacińskiego *vulpiculus* — lisek, a więc tak jak *misio* forma pieszczotliwa, która ma przeblagać złe siły. I dopiero później prawdopodobnie przerobiono początek słowa formalnie pod wpływem germańskim, ale w rzeczywistości pod względem magicznym (gdyby nie było przerobione, powinno by brzmieć *voupil*).

Tak samo pieszczotliwie przezwano w różnych językach łasiczkę, której powszechnie na wsi się boją i słusznie bo czyni wielkie szkody w kurnikach. Zabicie łasiczki uchodzi wśród Hucułów za grzech i to przynoszący natychmiastowe nieszczęście. Jest więc ona sama zwierzęciem tabu. Wystarczy ją zobaczyć, a wróży to nieszczęście. Na północnej Ukrainie, gdzie ludzie są bardziej „racjonalni”, nie wolno zabijać łasiczki, gdyż — jak mi opowiadano — przynosi wielkie korzyści, poluje na myszy itd. W każdym razie w wielu językach wolano nie używać jej właściwej nazwy i dlatego łacińskie słowo *mustella* zastąpiono zostało we włoskim przez *donnola* — panienka, we francuskim przez *belette* (od *belle* — piękna), a w Bawarii przez analogiczne słowo *Schöntierlein* — piękne zwierzątko. Kto widział łasiczkę, przynajmniej jest ona bardzo elegancka. Nazw takich można by przytoczyć o wiele więcej, a zresztą i nasza łasiczka (a uważny czytelnik spostrzeże zapewne, że wolałem powiedzieć łasiczka) jest takim słowem mającym na celu „przeblaganie” czy też „przyłaskawienie”. Nazywają ją zresztą także *łaska* (po rosyjsku tylko tak), a i słowo *łasić* się z tym jest związane. Słowem *belette* nazywają w górach na wschód od Lyonu mrówkę. Widocznie tutaj bano się mrówki (10).

Innym zwierzęciem budzącym obawę jest wąż. Znowu nie ma tu wspólnej nazwy indo-europejskiej: sanskryt i greka mają swoją, języki słowiańskie i łacina swoją (*unguis*, wąż). Ale

większość istniejących nazw na węża, to znowu omówienia: pełzający (*serpens*, porównaj polskie: *plasz*), albo też: stworzenie ziemne (*žmija*, rosyjskie *zmieja*, związane ze słowem *ziemia*). W sanskrycie wąż nazywa się *nagah*, co Meillet porównuje do słowa *nagi*, a także *urugah* — pełzający na brzuchu. A pamiętamy co mówi Pan Bóg do węża w Biblii: na piersiach twoich czołgać się będziesz, a ziemię jeść będziesz.

W niektórych językach niesamowita jest mysz, a w litewskim i celtyckich językach nazwę jej zastąpiono słowami oznaczającymi czarny lub szary. W Szwecji, gdzie do dzisiaj unika się powszechnie myszy, wolą też nie używać jej nazwy i mówią chętniej: „mała szara”. A pomyślmy, że słowo szczur i praszczur są tego samego pochodzenia (a po słoweńsku na przykład *szczur* oznacza karalucha).

Wszyscy wiedzą wreszcie, jak ludzie przesądni unikają nietoperzy. Toteż oczywiście i nietoperz ma najrozmaitsze nazwy w różnych językach, związane zresztą przeważnie z myszą (łyśa mysz po francusku, czy latająca mysz po rosyjsku). I znowu w językach słowiańskich to odpędzające czary „nie” w nietoperz. W zachodnio-ukraińskich gwarach słowo z kolei zarzucone i zapożyczony z rumuńskiego *lelyk* (związany z pojęciem ciemności).

To „nie” mamy też w dziedzinie roślinnej. Pewne zioło używane jest dla celów leczniczo-magicznych, a jak wiadomo leczenie pierwotne ściśle związane jest z magią, więc roślina ta nazywa się po polsku *nietola*, niewątpliwie po to, aby nie tylko nie wymawiać jej nazwy, ale nawet udawać, że się jej nie zna i że chodzi o całkiem inną: nie to ta (tylko inna). Co prawda inne zioło nazywa się także kryptonimicznie *tojeść* czyli to jest.

Inny przykład ogólnie znany to nazwy prawej i lewej ręki. O ile nazwa prawej ręki ogólnie biorąc utrzymuje się przez wieki, o tyle lewa ręka nie ma szczęścia, bo też lewa strona uważana jest za stronę nieszczęśliwą. Dlatego potępieni będą po lewicy na Sądzie Ostatecznym i dlatego prawnicowa większość posadziła po lewicy opozycję w pierwszym parlamencie francuskim, od którego ta nazwa się przyjęła w polityce. A wreszcie każdy wie, że niedobrze jest wstać z łóżka lewą nogą. I tutaj inne słowo na lewy mają np. sanskryt, inne greka, a inne łacina i języki słowiańskie (*laevus*, lewy). Te ostatnie utrzymały swoje słowo, ale języki pochodzące z łaciny o ile utrzymały *directus* (*droit* itp.) w sensie prawy, o tyle wołały nie używać przynoszącego nieszczęście słowa *laevus*. Już w łacinie zastąpiono je przez *sinister*, który widocznie brzmiał mniej złowrogo. Ale i to słowo nabrało dosłownie tego odcienia i dziś po francusku nikt już nie mówi jak w XII wieku: *main sinistre*, lewa ręka, czy też *à senestre* — po lewej. *Sinistre* oznacza dziś po francusku tylko złowrogi, a na „lewy” używa się słowa pochodzenia germańskiego, *gauche*, które ma jednak też odcień nie przychylny i znaczy np. niezdarly. Warto dodać, że angielskie *left* nie ma

(10) W. von Wartburg, *Problèmes et méthodes de la linguistique*, Paryż, 1946, str. 158.

mimo pozorów nie wspólnego z polskim „lewy”, a oznaczało początkowo — słaby, bezwartościowy.

Grecy, którzy byli specjalistami w nadawaniu dobrych nazw złym rzeczom (mieli nawet na to specjalne słowo: *eufemizm*, dobre mówienie) jako że to dopiero pozwala odpędzić urok czy przebłagać, nazwali lewą rękę *euonymos* — dobrze nazwana, o dobrym imieniu, albo też *aristeros* — bardziej niż najlepsza) (porównaj arystokracja — rządy najlepszych). Ci sami Grecy przezwali notorycznie niegościnnie dla żeglarzy Morze Czarne — *Eukseinos*, gościnnym. A nuż się da przebłagać! Byli oni zresztą wielkimi specjalistami w oswajaniu tego co straszne i niesamowite. Istnieje pasjonujące studium Miss Harrison (11), ukazujące w jaki sposób z różnych potwornych bóstw-fetyszów, jak sowy czy demony podziemia, Grecy stworzyli jasną religię olimpijską z Zeusem i Pallas-Atene (jej symbol — sowa). Najlepiej może ten „proces” widać na Eryniach, furiach, bóstwach ziemnych mszczących się krwi, a zwanych też *Semnai* (wzbudzające lęk) albo *eorofites* (stapające w mroku). Wiemy z literatury greckiej jak wielki lęk żywili przed nimi Grecy, i wiemy też, że najchętniej nazywali je *Eumenidami* to jest „życzliwymi”. Wracając do Morza Czarnego warto wspomnieć, że w analogiczny sposób żeglarze XV-XVI wieku nazwali znany ze złowrogich wichrów przylądek *Dobrej Nadziei*. Choć tu może inny jeszcze cel mieli na oku. Skoro się go tak nazwie, to tak jakby już się go minęło, jakby już zła nadzieja była za nami. Z podobnych względów, choć w całkiem innej dziedzinie żydowskie matki nadają dzieciom imię *Alter-stary* (12). Może choroba, której tyle dzieci pada ofiarą, nie zauważy tego, którego imię jest „stary”, bo imię i rzecz to jedno. Toteż Huculi, jeżeli widzą że chory w żaden sposób nie może wyjść z choroby, zmieniają mu imię — śmierć powinna go ominąć, bo ona Wasyłowi pisała, a on już Iwan.

TABU RELIGIJNE

To tabu „magiczne” stanowi część tabu religijnego, które występuje w wielu religiach. Nie należy więc wyzywać złego ducha (znowu słowo zastępujące wyraz tabu) i dlatego lepiej nie wymawiać jego imienia, aby „złego” nie kusić. Stąd mówimy *sły* czy *kusy*, bo „my wiemy o kim mowa, a jego się zmyli” (13), podobnie jak to było z nietotą. Dlatego Huculi mówią „ten, szczeźliby” albo po prostu *szczeźnyk*. Może i zachodnio-ukraińskie *didko* (diabeł) jest wynikiem podobnego tabu, choć nie jest wykluczone że — ponieważ oznacza po prostu dziadka — był

(11) Jane Harrison, *Prolegomena to Greek Religion*.

(12) Regina Lilienthalowa, *Dziecko żydowskie*, Kraków, P.A.U. 1927, str. 45.

(13) Jan Rozwadowski, *O zjawiskach i rozwoju języka*. Kraków 1950, str. 102.

to kiedyś pogański duch opiekuńczy, z którego chrześcijaństwo dopiero zrobiło diabła. A i samo słowo diabeł pochodzi z greckiego *diabolos* — oszczerca, zwodzieciel.

Imię Boże jest także tabu, choć może nie tylko dlatego, że Boga ludzie się boją. Żydom na przykład zabronione było wymawiać imię Jehowy, toteż do dziś nie wiemy dokładnie jak to imię brzmiało. Tutaj chodziło o to, że kto by wymówił Imię Boże, mógłby posiąść władzę nad Bogiem. Nie darmo żydowska legenda opowiada, że Jezus dlatego tylko czynił cuda, że udało Mu się wynieść ze świątyni ukradkiem Imię Boże. Dlatego też nie wolno „używać Imienia Bożego nadaremno” i dlatego tak zwane w Warszawie „przysięganie się” jest uważane za grzech. Toteż ludzie mający ochotę przeklinać zastępowali w obawie przed bluźnierstwem imię Boże innym, niewinnym słowem. Stąd francuskie *parbleu* zamiast *par Dieu*, angielskie *Gosh* zamiast *God*, a nasze psiakrew (bo na psa przysięgać nie jest bluźnierstwem), czy też: na rany koguta. Albo też słowo Bóg się opuszcza: o rany! Albo i z tego zatrzymuje się tylko pierwszą sylabę: o raju! amerykańskie *gee!* (z Jezus).

Z drugiej strony używa się też jakby „rozszerzenia” słowa, które jest tabu. Ten pozorny paradoks dowodzi, że chodzi tu o nie użycie *samego* słowa. Skoro się coś doń doda, staje się ono niewinne. Być może tak należy tłumaczyć takie zwroty jak *Chryście Panie*, a także *Pan Jezus*, *Pan Bóg*, lub *Najświętsza Maria Panna*, zamiast *samego* *Maria*. A może nawet i skrót *N.M.P.* nie jest tylko wyrazem lenistwa. Warto zaznaczyć, że u Flamanów używa się analogicznego skrótu *O.L.V.* (*Onze Lieve Vrouw*). Z punktu widzenia formalnego podobny charakter mają zdrobnienia, o których będzie mowa za chwilę.

TABU SEKSUALNE

To że do sił magicznych imponujących człowiekowi pierwotnemu zaliczały się i siły rozrodcze czy to ziemi czy żywych istot, jest jasne. Widzieliśmy to na początku, gdy była mowa o dzieciach karelskich. Co ciekawsze, w zmienionych warunkach siły te pozostały tabu.

Właściwie biorąc, tabu seksualne obejmują tylko trzy słowa, a raczej trzy pojęcia, których ze zrozumiałych przyczyn nie zdradzę czytelnikom „Kultury” (czytelnicy znają je doskonale). Jest to interesujący przykład tabu ograniczonego do kobiet, mężczyźni w męskim towarzystwie używają tych słów dość swobodnie i ewentualne nieużywanie ich jest spowodowane innym rodzajem tabu, socjalnym, tabu dobrego wychowania. Warto podkreślić, że te trzy słowa nieprzyzwoite, nieznane panom z dobrego towarzystwa, są praslówiańskiego pochodzenia. Byłby to dodatkowy dowód, że słowa te nie były nigdy tabu dla mężczyzn i dzięki temu przetrwały i to przetrwały w tradycji ustnej, a nie piśmiennej, jak łatwo się domyślić.

Druga kategoria, której jednak granica z poprzednią jest płynna, to słowa nieprzyzwoite, skatologiczne, i te słowa ulegają najprzeróżniejszym zmianom, kto wie czy nie dlatego, że tu już kobiety odważają się czynić aluzje, ale tylko aluzje. Do dzisiaj zresztą słowa te są mniej lub więcej tabu, ale wystarczy zmienić jedną literę i słowo staje się przyzwoite, a nawet zabawne (np. pupa), a zwłaszcza jeżeli je użyjemy w postaci zdrobniałej, jak to nieraz robią matki mówiąc do dzieci (np. pupcia). Może stąd bierze się wyrażenie „guzik” w sensie „nic” (np. guzik masz). Tutaj zachowano tylko początek słowa. Spotkałem się też z innym wyrażeniem, gdzie zachowano tylko końcową sylabę słowa nieprzyzwoitego, a pierwszą zmieniono (drewno). Ale to są już zastępstwa tabu ograniczone do jednej rodziny. Zresztą wśród matek zdarzają się takie indywidualne wynalazki często: zacytuję „kapustkę” jako dziecienny wyraz na siedzenie, a także „kielbaszkę”, bardziej może znaną.

Inny sposób odnieprzyzwoicenia to zachowanie tylko pierwszej sylaby lub pierwszej litery (w myśl dowcipu: co zaczyna się na d i duży duży papier? — drukarnia). A więc k... lub ka, a także takie niewinne zastępstwa przekleństw jak kurczę pieczone czy nasypali piasku. W staropolszczyźnie pisano czasem *murwa*, a może i mówiono. To słowo także jest prastowiańskie, a zresztą — co chlubnie świadczy o wpływie kultury słowiańskiej na sąsiadów — zaczerpnęli je również Węgrzy i Rumuni. Ciszewski (14) cytuje z księgi klasztoru henrykowskiego na Śląsku wiadomość pod rokiem 1221 o jakimś „Peter de Petrowiz et suus frater qui dicebant cognime (nazywali się przezwiskiem) scriwa zona” i łączy je może nie bez racji z powyższym słowem, a raczej ze słowem, którego zastępstwem znowu jest sukinsyn. A oto kilka innych staropolskich nazw zastępczych na będącą tabu nazwę prostytutki: gamratka, małpa, przespałka, kawalerka. Wśród rzemieślników warszawskich używano podobno jeszcze w końcu XIX wieku czasownika „małpieć się” z tymże odzieniem a wydaje mi się, że i słowo *małpa* ten odcień zachowało. Inne słowo staropolskie z tej dziedziny to *pani duszka* i *duszycza*, w których widziałbym zresztą raczej słowo typu kurczę pieczone, czyli że zmieniono koniec słowa. Wiadomo że istnieje cały szereg pogardliwych nazw kobiety pochodzącej od części ciała, zwłaszcza w języku dziś wojskowym, dawniej sowizdrzańskim. Kto wie też czy znowu nie zastosowano tego odwrotnie i czy nie dlatego jedną z dobrodusznych nazw na siedzenie jest „stara pani”?

Można wreszcie zauważyć, że inny jeszcze sposób wykroczenia się ze słowa nieprzyzwoitego, to nazwanie rzeczy w innym języku. Stąd moda francuszczyzny dla takich nawet słów jak trykoty czy combinaisons zamiast majtek. Nie zawsze musi to być język obcy, wystarczy nieraz gwara. Pewien mój znajomy,

(14) Por. St. Ciszewski, Żeńska twarz, Kraków 1927, str. 32.

któremu jako malarzowi nie wypada widać unikać słów nieprzyzwoitych, daje sobie radę w ten sposób, że w obecności pań używa wymowy podkrakowskiej, np. *sroc*. Stąd już tylko jeden krok do dowolnej deformacji jak w fińskim *nobdza czy drewno*.

Jak szybko „wycierają się” słowa zastępcze, o ile używane są często, świadczy historia polskich nazw na klozet (eleganciej: ustęp). Na przykład w słowniku angielsko-polskim Chodźki sprzed 100 lat nie znalazłem ani jednego ze słów używanych dzisiaj. Jest tam natomiast *transet* i *prewet*. Pierwszy używany jeszcze przed 50 laty w Galicji, drugi nie wiem jak szeroko znany. Za czasów dzieciństwa mego ojca, a więc przed 1900, było to słowo w Galicji okropnie nieprzyzwoite, niewymawialne, a przecież pochodzi pewno w jakiś sposób z włoskiego czy francuskiego *privé*. Stąd też angielskie *privy*. Co do mnie, to przypominam sobie to słowo z wojska (Wielkiej Brytanii). Miał tam odcień humorystyczno-staroświecki, ale bynajmniej nie nieprzyzwoity. A ze słowem „wygódka”, dla nas dziś bynajmniej nie pachnącym, ojciec mój zapoznał się po raz pierwszy dopiero w roku 1919 w Modlinie pod Warszawą. Było ono wówczas żartobliwe ale nie wstydlive.

Jak więc widzimy obok skamieniał z dawnych epok tabu żyje w języku do dziś, choć ograniczone zdawałoby się do słów nieprzyzwoitych (w szerokim tego słowa znaczeniu). Ale czy tylko. Oczywiście, prymitywny myśliwy bał się magicznej siły niedźwiedzia, bo odczuwał jego rzeczywistą siłę na własnej skórze, a my nie mamy do czynienia z niedźwiedziami i widzimy je chyba tylko na filmie lub bezpiecznie w ogrodzie zoologicznym. Podobnie cały szereg zjawisk przestał dla nas być niebezpieczny. Pioruna mogą się bać ludzie na wsi, toteż nie będą wymawiać słowa piorun podczas burzy. W mieście mamy piorunochrony i piorun nawet jak bije, to gdzieś daleko, w wysokie wieże, rzadko go słysząc. A zresztą wytłumaczono nam racjonalnie już w szkole pochodzenie piorunów. Nie wierzymy, żeby gałka od pioruna (która znajduje się w spalonych drzewach na przykład) miała jakieś znaczenie lecznicze i magiczne. Zresztą nikt z nas jej nie widział.

Ale jeżeli mamy do czynienia ze zjawiskami, których opowiadać nie potrafimy? Takimi jak choroba czy śmierć? Wiadomo, że w domu powieszzonego nie mówi się o stryczku (znowu rodzaj tabu). W domu chorego nie mówi się o śmierci, nasi znajomi „gasną”, „zasypiają w Panu”, marszałek Piłsudski (o ile sobie przypominam komunikat radiowy) „życie zakończył”, wreszcie lekarze stwierdzają „zgon”, a nie śmierć. Zna na jest też anegdota: „Gdy jednego z nas zabraknie, to pojedę na Capri”. Wszystko to znowu to samo pierwotne tabu. Agenci towarzystw ubezpieczeniowych wiedzą doskonale o tym, bo mają surowo przykazane, by nie mówić nigdy: „w wypadku śmierci męża otrzyma pani itd.”, tylko „w wypadku zgonu małżonka”. Tu mamy już do czynienia z tabu, które ma na celu

odpędzenie nieprzyjemnej możliwości, dlatego używa się wyrazów neutralnych, słów będących niejako „obok”, podobnie jak czynią laponicy czy inni myśliwi mówiąc o niedźwiedziu: bury, kudłacz, czy Górale: on.

Wszędzie tam, gdzie nasza racjonalna postawa zawodzi, a raczej gdzie spostrzegamy, że nie jesteśmy w stanie panować nad siłami, które nieraz nie mają w sobie nic magicznego, wraca z całą siłą prymitywne tabu. Gdy w roku 1914 Rosjanie posuwali się naprzód w Galicji, a mieli sławę „pogromczyków”, to Żydzi galicyjscy bali się ich panicznie. Toteż gdy moja babka powiedziała w sklepiku w Słobodzie pod Kołomyją: „Gdyby Moskale przyszli...” wywołało to ogólne zabobonne poruszenie: „Co pani wygaduje takie paskudne słowo?!” Sami Żydzi mówili o Rosjanach „Dijenigen” (tamci), tak jak o diable. Tak samo obywatele sowieccy woleli nie mówić o Stalinie, a gdy już musieli to przez „On”. Było w tym chyba coś innego niż szacunek, bo irracjonalny strach. Opowiadano mi też, że gdy przed dwoma bodaj laty prof. Joliot-Curie miał przyjechać na „kongres pokoju” do Warszawy i gdy z tej okazji zdejmowano portrety Stalina, a wieszano Joliot, to kumoszki warszawskie mówiły: „Co to będzie, moja pani, że „jego” zdjęli, a Jolio powiesili”. A więc to samo co widzieliśmy w innych groźnych wrogach — niedźwiedziu czy diable.

Tego rodzaju stosunek nie ogranicza się bynajmniej do „ciemnych” przekupek (zresztą wykształceni Rosjanie też tak mówią). Bo kto czytał Koestlera *Ciemność w południe* (*Le Zéro et l'Infini*) przypomni sobie, że nigdy nie mówi w tej książce o Stalinie, tylko o Number One, nigdy też zresztą o Rosji choć książka — w przeciwieństwie do *Arrival and Departure* — nie jest stylizowana na jakąś Rurytanię i dzieje się w Rosji, a inne postaci mają wyraźne rosyjskie nazwiska, jak Rubaszow czy Orłowa. Podobno zresztą to tabu stosuje Koestler w codziennym życiu. A przecież Koestler to „człowiek dwudziestego wieku”, a nie polinezyjski czy rosyjski prymityw. Przykładów znalazłoby się więcej.

Widzimy więc — i tu pozwolę sobie wspomnieć błyskotliwy artykuł Czesława Miłosza w jednym z numerów „Kultury” — że pewne zjawiska duchowe mogą łączyć z pierwotnymi myślowymi z epoki kamiennej czy równie pierwotnymi Polinezyjczykami nie tylko „dzikiego” Hucula czy Górala (zresztą bardziej może cywilizowanego to jest zespolonego ze swoją grupą społeczną niż większość mieszkańców miast), ale też człowieka pod innymi względami najzupełniej dwudziestowiecznego. Bo też jest zabawnym przesądem ostatniej doby sądzić, że psychika człowieka zmienia się w 100% i że nic w niej nie zostaje z tysiąc-wiekowej przeszłości rodu ludzkiego.

Kto wie zresztą czy i ten współczesny przesąd nie ma głębszego uzasadnienia. Może spowodowany jest obawą, aby — jeśli nie odetniemy się całkowicie od przeszłości — nie wylazły

z człowieka te ponure siły, które przejawiają się w organizowaniu terroru, tortur i niewolnictwa, aby nie powrócił irracjonalny strach. Wiemy od psychoanalityków, jak spychane w podświadomość demony znajdują sobie inne ujście. I może lepiej było właśnie pamiętać o starej przeszłości, uznać ją i czuć, aby spod niby to wyzwolonej nowoczesności nie wylazły inną drogą te same ciemne, najciemniejsze siły, przed którymi bronili „zabobon”, mythos, magiczne słowo.

Andrzej VINCENZ

Polemiki

Niedawno w warszawskim „Świecie” ukazał się artykuł Edmunda Osmańczyka na temat pojęcia postępowości. Autor dochodził w nim do wniosku, że kryteria postępowości są trzy. Postępowym jest człowiek który 1) lubi Partię Komunistyczną, 2) lubi Soviet Union, 3) jest przeciwny rasizmowi. Napisał i odłożył pióro z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Opinia taka jest dziennikarską bajką i pozostanie nią również jeżeli podstawimy na miejsce Partii Komunistycznej jakąkolwiek inną partię a na miejsce Soviet Union jakiekolwiek inne państwo istniejące raz kiedyś od początku świata. Miłość do władz (partyjnych czy państwowych) należy wyłącznie do sfery oratorskich popisów, chyba że władze uchodzą za wcielenie mistycznej idei. Ta mistyczna idea wcielała się w różnych wąsatych osobników z wynikiem nie najlepszym. Za dziesięć lat może wcielić się w przykład w Chiny i wtedy dzisiejsi postępowcy zostaną napiętnowani jako reakcjoniści. Miałem zawsze dużo sympatii do Osmańczyka i nie rozumiem dlaczego w obecnej zmianie warty bierze na siebie funkcje od których inni wolą się uchylać.

Czyżby pojęcia postępowości i reakcyjności nie znaczyły dziś nic, z braku kryteriów? Podział ten jest bardzo stary. Symbolizuje go spotkanie rzymskiego żołnierza z Archimedesem w zdobytym Syrakuzach. Archimedes rysował wzór matematyczny na piasku, miecz rzymski przerwał mu to zajęcie — ale nie do żołnierza należeć miało zwycięstwo. Ludzkość dzieli się ostatecznie na tych, którzy wierzą, że z pracy umysłu zawsze coś wynika i tych, którzy uważają, że nie wynika nic, że o wszystkim decyduje siła (miecz albo pieniądz). Do tej prostej formuły da się też sprowadzić w bliższych nam czasach — w XIX-tym i XX-tym wieku — upartą walkę ludzi myśli z wrogiem noszącym nazwę filistra, burżuazji czy soldateski.

Pogarda dla frajerów, traktujących poważnie filozofie i doktryny, jest

szczególnie mocno zakorzeniona w Polsce, ku czemu istnieją w przeszłości liczne powody — przede wszystkim brak „stanu trzeciego” który w zachodniej Europie uprawiał naukę i sztuki. Obyczajowość szlachecka znakomicie podbudowywała maksymę „beatus qui tenet” naśmiewaniem się z mądrali, z przyglupków w cudzoziemskich strojach i w Kancie widziała kanciarza. Zbawienna impregnacja na błędne poglądy — coś kiedy odrzucane nie dlatego, że błędne, ale dlatego, że poglądy. Prawdopodobnie ta obyczajowość tkwi głębiej w tak zwanych masach ludowych niż się przypuszcza. Dzieiectwo.

Nie o takim podziale trzeba mówić na jaki sili się Osmańczyk. Ten inny, głębszy i prawdziwszy, jest w pełni aktualny i tam, w Polsce i tutaj, w diaspory. Osobiście wolę zaliczać się do frajerów. Rola ta naraża, i tu i tam, na, wysławiając się oględnie, przykrości, ale straszliwych klęsk ściąganych na zbiorowość przez ludzi „życiowych” widziałem dosyć. Przegrzają w końcu zawsze.

W „Kulturze” natrafiam od czasu do czasu na artykuły Bobkowskiego. Czyta się je z zainteresowaniem. Umie pisać. Od pewnego czasu męczy mnie jednak pewne pytanie. Czy *naturalną* równią pochyłą dla Polaka, z chwilą kiedy wyzwoli się z powściągliwów konwenansu, jest uznać wszelką wielowarstwowość świata za lipę, puc i nawalankę? Bobkowski ma pasję i trzeba to ocenić. Tej pasji używa, żeby wyrażać swój wstręt do Europy i swoją nienawiść do europejskich wymoczków rozdzielających włos na czworo. Faktem jest jednak, że sam do nich należy i że nie wiele go łączy z rzymskim żołnierzem w polskim czy w jakimś innym przebraniu. Inaczej mówiąc, mocą jakich kompleksów odszczepieństwa czerni sobie podniebienie?

W 1945 roku w Krakowie czytaliśmy z przejęciem fragmenty jego pamiętnika z okupowanej Francji, ogłoszone w „Twórczości”. Cieszyliśmy się: no, będzie prozaik całą gębą. Od tamtych prac, do korespondencji o wypadkach w Guatemali, jakaż niespodziewana droga. Bo tak: Guatemala była aferą raczej smutną. Najbardziej trafia mi tutaj do przekonania ocena mieszkającego w Meksyku Victora Alby: mała grupka komunistów, zdobywszy władzę, działała świadomie jako prowokatorzy — na szkodę kraju. Guatemali potrzebna była mądra reforma rolna i rządy — jednak słowo to nie straciło zastosowania — postępowe. Ustalając, w wariacki sposób, pod drzwiami Stanów Zjednoczonych, „demokrację ludową”, komuniści — zapewne tylko mały sztab świadomy celu, otoczony naiwnymi — dążyli do ściągnięcia interwencji która by podniosła nacjonalistyczną temperaturę w Ameryce Łacińskiej i wzmogła nienawiść do „gringos”. Za tę wielkoświatową strategię płacił chłop-Indianin. Ale Bobkowski tylko zacierał ręce i wykrzykiwał: „Wall! Kol! Siecz! Z! Siecz! Z! Siecz! Z! Siecz! Z!” Czasem się stwierdza, że węży gorydzkie są nie do rozplątania. Jednak *ton* świadczy o tym, czy się je dostrzega, czy też sprowadza się historię do zabawy w policjantów i do gonitwy *good guys* za *bad guys*.

Teraz Bobkowski ogłosił artykuł „Po trzęsieniu spodniami” — o literatach w Polsce. Jako pamflet — tradycje Nowaczyńskiego są godne utrzymania — taki artykuł jest na miejscu a gniew Bobkowskiego jest słuszny. Literaci w Polsce wmanewrowali się w głupią sytuację i gdyby „lud wyszedł na ulicę”, na nich, jako na beniaminkach i łgarzach, wszystko by się

prawdopodobnie skrupiło. A jednak coś tu jest nie w porządku. Teza Bobkowskiego, przełożona na mniej ozdobne narzeczce, brzmi: „Proszę pana, jakaż tam ichnia filozofia. Ot, przyszli, za morda, z przeproszeniem wzięli, wiadomo, żyć trzeba, oni ludzie bojące, tak i pismo jak jeim każo. A swoboda, odliga, at, prosto żeby ludzi manić. Pokrzycho, pokrzycho i uspokoj się”. Teza taka ma wielu zwolenników, między innymi wśród szczytów Partii hołdujących zasadzie „beatus qui tenet”. Na dłuższą metę dzieli ona jednak słabość wszystkich rozumowań opartych na przekonaniu, że prawdziwym motorem historii jest tylko bomba, pepesza i nagan. Nie jest to prawda. Zmiany w Polsce są znaczne i choć nie skłaniają na razie do wielkiego optymizmu, ani nie budzą żadnych tęsknot do tamtej ciasnej przestrzeni otoczonej drutami, należy ocenić ich potencjalną dynamikę, polegającą na ujawnieniu sprzeczności.

Zwolennik żołnierza rzymskiego chce zawsze rozwiązań całkowitych. Nie wierzy, że myśl bywa kroplą drążącą skały. Wychodząc z założeń Bobkowskiego, nie warto tym wszystkim się zajmować. Było g i jest g. Możliwe, ale wtedy nie warto czytać, pisać, tłumaczyć z jednego języka na inny, zabiegać nad wydawaniem periodyków i książek — ani w Polsce, ani we Francji ani w Guatemali. Niewątpliwie, żadne dyskusje o nauce, literaturze i sztuce nie ocalą człowieka który cierpi. Od nich zależy jednak wiele — a na pewno los tych co są dzisiaj dziećmi.

Rozmawiałem z ludźmi którzy kilka miesięcy temu wrócili do swoich zachodnich krajów z Workuty. Nikt nie będzie uważał tamtych polarnych okolic za wylęgarnię subtelnych intelektualnych igraszek. A jednak i tam sprawdza się wyższość umysłu nad bezwładem siły. Proces psychiczny, dokonujący się w grupach narodowościowych, skłóconych i nienawidzących się wzajemnie, doprowadził do zbliżenia ich komitetów i do współpracy. Tylko dzięki temu możliwa była organizacja pamiętnego strajku, po którym warunki życia więźniów poprawiły się o 200 procent. Dyskusje toczące się w Workucie — i na obszarze całej Rosji — pod hasłem: władza — związkom zawodowym, ziemia — chłopu, nie zasługują na lekkie traktowanie. Zdziwi się może Bobkowski, ale z ust eks-więźnia Workuty usłyszałem ocenę mego „Ketmanu” jako analizy trafnej.

Czyż mamy prawie sobie nawzajem dusery? Artykuły Bobkowskiego — o Guatemali, o Stanach Zjednoczonych, o trzęsieniu spodniami — były reakcyjne to znaczy nonszalanckie bez precyzji. Być może autorowi dziennika z okupowanej Francji świat z biegiem lat znacznie się uprościł. Fenomen zbyt wyrafinowanych osobników, których drażni zegarkowy mechanizm ukryty w rzeczach i którzy wolą uciec się do siekiery, nie jest nowy. Najczęściej nieświadomi są, że i ich programowy anty-intelektualizm powoduje następstwa. Nie chodzi tutaj bynajmniej o jeden artykuł ale o całą postawę pokazywania języka. Komu? W narodzie w którym „bić frajerów!” stoi na sztandarze? Ktoś musi powiedzieć Bobkowskiemu, że powierzanie się „naturalnym skłonnościom duszy polskiej” wyjałowi go i zniszczy. Autorów umiających pisać jest mało. Czy nie przyszło mu do głowy, że kto pisze po polsku, wywiera, chce czy nie chce, jakiś wpływ tam, nad Wisłą? Jego zdaniem i zdaniem większości dzielnych Sarmatów, nie. No, bo tam Iwan.

Przypisek.

Niech to nie będzie zrozumiane, jako namawianie kogokolwiek do dy-

daktyzmu, służby, misji, odpowiedzialności społecznej i tak dalej. Co jest najbardziej chyba potrzebne, to zupełna wolność i spontaniczność. Jednak może to nie to samo co odruchy?

Czesław MIŁOSZ

Dom wydawniczy im. Czechowa

W pojęciu europejskim każda instytucja emigracyjna winna się gnieździć w norze, w najbiedniejszej dzielnicy miasta. Nie zawsze to wprawdzie połączone jest z należytą polityką oszczędnościową, a korzyści płynące z takiego położenia są więcej aniżeli wątpliwe, tego jednakże wymaga *savoir vivre* emigracyjny. W Stanach Zjednoczonych jest inaczej. Człowiek pragnący szacunku, dobijający się o niego musi mieć „odpowiedni” adres, inaczej po prostu nie budzi zaufania. W jeszcze większym stopniu odnosi się do wszelkich instytucji, organizacji handlowych, ba związków zawodowych i stowarzyszeń filantropijnych. Pewne ramy i formy zewnętrzne, zgodne z przyjętymi normami są niezbędne dla uzyskania niezbędnego w pracy „rynkowego szacunku”. Zgodnie z tymi zasadami Wydawnictwo im. Czechowa — a jak brzmi nazwa angielska Chekhov Publishing House of the East European Fund, Inc. — mieści się we wspaniałym, nowoczesnym gmachu w samym sercu New Yorku, przy Fourth Avenue, Marmury hallu i klatki schodowej, gustowne wnętrza są jakby zaprzeczeniem aż nazbyt smutnej rzeczywistości emigracyjnej, a przede wszystkim doli pisarzy i intelektualistów uchodźczych. Jest to również kontrast wobec położenia Wydawnictwa im. Czechowa i nie jedyny zresztą paradoksalny kontrast życia amerykańskiego.

Dom wydawniczy im. Czechowa powstał z dotacji Fundacji Forda we wrześniu 1951 roku. Na czele jego stanął, zmarły w międzyczasie, Nicholas Wreden, wiceprezes E.P. Dutton and Co., następnie redaktor naczelny i wiceprezes firmy Little, Brown et Co. w Bostonie. Fundacja Forda, powołując do życia dom wydawniczy, głosiła, iż „celem jego jest zaopatrzenie czytających w języku rosyjskim, na wolnym świecie, w książki niedostępne poprzez normalną sieć handlową. Dalej, celem wydawnictwa jest stworzenie ram dla intelektualnego życia rosyjskich uchodźców”.

Po rewolucji rosyjskiej emigranci stworzyli własnym wysiłkiem szereg domów wydawniczych. Istniały one w Warszawie, Rydze, Berlinie i Paryżu. Mniejsze firmy działały w Sofii i Belgradzie. W pewnych okresach wydawcy emigracyjni nie ustępowali oficjalnym, państwowym wydawnictwom sowieckim a nawet przewyższali je jakością publikacji. Te czasy na-

leżały do zamierzczej przeszłości. Po drugiej wojnie światowej rosyjski rynek wydawniczy na wolnym świecie skurczył się katastroficznie, mimo iż zapotrzebowanie na książki rosyjskie raczej wzrosło. Stało się to przede wszystkim na skutek położenia materialnego emigrantów.

Zdołano jeszcze utrzymać kilka czasopism, od czasu do czasu ukazywała się jakaś niepolityczna książka, żywe świadectwo istnienia literatury na przekór rozpaczliwej rzeczywistości. Prawdziwi i domniemani „opiekunowie” emigracji rosyjskiej — innych też — byli co najwyżej zainteresowani w materiale propagandowym. Mężowie stanu nie uważali kultury za opłacalną lokatę kapitału, nie widzieli w niej bezpośrednich politycznych korzyści. Zdaje się, że ten stosunek nie uległ zmianie a dotacja w wysokości miliona dolarów na Wydawnictwo im. Czechowa jest tylko jednym z nielicznych wyjątków, potwierdzając regułę neglizowania obiektywnych wartości kultury. Jeśli bowiem porówna się sumy wydane dotychczas na propagandę polityczną, na produkcję broszur, opracowywanie memoriałów z sumami przeznaczonymi na stypendia uniwersyteckie, pomoc dla uczonych, artystów i literatów i zbadamy efektywną wartość prac pierwszej i drugiej kategorii, nie trudno będzie stwierdzić, która lokata kapitału była opłacalna, mimo szalonej dysproporcji wkładu.

Dlaczego emigracja rosyjska została wyróżniona przyznaniem środków na założenie domu wydawniczego nie trudno się domyśleć. Liczebnie nie jest ona największa, natomiast niewątpliwie zasięg języka rosyjskiego usprawiedliwia decyzję. Zaważyły też niewątpliwie względy polityczne, które — na szczęście — nie odbiły się na działalności wydawnictwa. Jest wręcz zdumiewające jak znikoma jest ilość pozycji o charakterze propagandowym.

W ciągu pięciu lat wydano 162 pozycji (172 tomy) ponad 130 autorów, kilka antologii co jest najlepszą ilustracją działalności. Ogólny nakład publikacji wynosi 500.000 egzemplarzy, z tego ponad 170.000 rozsprzedano. Obok autorów rosyjskich ukazały się przekłady dzieł autorów amerykańskich i angielskich, jak James Truslow Adams, Herbert Agar, Frederick Lewis Allen, Willa Cather, Winston Churchill, Franklin Frazier, John Gunther, George Kennan, Michael Pupin, William Saroyan, Theodore White itp. Kierownictwo wydawnictwa im. Czechowa podkreśla, że książki te nigdy nie ukazałyby się w języku rosyjskim, gdyby nie Fundacja Forda. A są one dla czytelnika rosyjskiego niezmiennie przydatne: dają mu, nie zakłamaną propagandą, obraz świata anglosaskiego, przede wszystkim amerykańskiego.

Wydano doskonałą antologię poezji rosyjskiej od Żukowskiego do Bunina, antologię prozy autorów emigracyjnych, obejmującą szereg opowiadań autorów drugiej emigracji, dwie antologie poetów emigracyjnych, poezje Achmatowej, Iwana Jelagina, Fiodora Tiutczewa, wydanie zbiorowe utworów Mikołaja Klujewa. Proza reprezentowana jest między innymi przez Gogola, Czechowa, Bunina, Mereżkowskiego, Aldanowa, Jertela, Gumilowa, Gula, Leskowa, Ilfa i Pietrowa, Panteleimonowa, Romanowa, Zamiatina, Zoszczenkę, Odojewskiego, Leontiewa itp. Tutaj ukazały się wspomnienia i pamiętniki Wiktora Czernowa, Iwanow-Razumnika, Juri Jelagina, Bazylego Maklakowa, Michała Sołowiewa, Mikołaja Walentynowa (wspomnienia o spotkaniach z Leninem), Pawła Boryszkina, Marka Wiszniaka, Pawła Miliukowa. Nakładem wydawnictwa im. Czechowa ukazała się monografia Czechowa Borysa Zajcewa, studium literackie o tymże pisarzu Iwana Bu-

nina, Szymona Franka monografia o Piotrze Struwe, Aleksandry Tolstoj dwutomowa monografia o ojcu, monografia Stołypina pióra córki M. Bok, dalej studia i essay Włodzimierza Weidle, studium Slonima o Dostojewskim, Jelagina o Meyerholdzie, dwutomowa historia literatury rosyjskiej pióra Julii Sazanowej, Gleba Struwego historia literatury emigracyjnej, Mikołaja Gorczakowa historia teatru sowieckiego, Sergiusza Puszkarewa historia Rosji w XIX wieku (nieco przedłużona bo do wybuchu pierwszej wojny światowej), studia filozoficzne, literackie, religijne, dwutomowe dzieło prof. Sergiusza Prokopowicza „Gospodarka ZSRR” itp. Wachlarz publikacji jest olbrzymi. Zdumiewający dorobek w tak krótkim okresie czasu.

Niestety ta sama Fundacja Forda, która powołała wydawnictwo do życia cofa z dniem 1-go października br. roczne dotacje w wysokości 200 tysięcy dolarów. Czy jest to posunięcie polityczne, brak zaufania do gospodarki wydawnictwa? Nie! Nikt nie wysuwa żadnych w tej mierze zastrzeżeń. To wyrok mechaniczny, automatyczny. Fundacja przewiduje bowiem w zasadzie dotacje jedynie na okres trzech lat a dla wydawnictwa im. Czechowa i tak uczyniono wyjątek, finansując je przez pięć lat. Ani kierownictwo domu wydawniczego im. Czechowa ani też jego liczni przyjaciele amerykańscy nie mogą się pogodzić z tym postanowieniem.

Amerykanie zastrzegają się co prawda w sposób najbardziej stanowczy, że cofnięcie dotacji dla wydawnictwa nie stoi w żadnym związku z „odwilżą” w stosunkach z ZSSR, że nie jest to koncesja wobec Moskwy, ani też zmiana nastawienia w stosunku do uchodźców. Może i tak jest, ale człowiek nie wtajemniczony w arkana Fundacji Forda, odnosi inne wrażenie, zarówno Rosjanie jak uchodźcy z innych krajów bloku sowieckiego. Naturalnie likwidacja wydawnictwa im. Czechowa będzie błędem który się zemści. Mnóstwo ludzi to rozumie, przede wszystkim prof. Philip Mosley, który nie ustaje w wysiłkach uratowania bytu wydawnictwa. Co jednak z tego wynikać trudno obecnie przewidzieć. Optymiści wierzą, że w ostateczności znajdzie się inna fundacja, względnie zawiąże się jakiś komitet, który dostarczy funduszy, być może nieco skromniejszych, na utrzymanie wydawnictwa. Miejmy nadzieję, że dom wydawniczy im. Czechowa będzie utrzymany.

(B. H.)

Kronika żydowska

Ostatnia nagroda Goncourtów, powieść *Les Eaux Mêlées* (*), poświęcona asymilacji Żydów wschodnio-europejskich we Francji, której autorem jest Roger Ikor, wywołała burzę protestów w prasie żydowskiej. Do tego stopnia, że zaczęto mówić nawet o „aferze Ikor”. Autorowi zarzucono nieznajomość życia żydowskiego, mijanie się z prawdą, niepochlebne portrety postaci żydowskich (*portrets disgracieux*) a nawet wręcz antysemitizm.

Sekcja francuska Światowego Kongresu Żydowskiego zorganizowała

(*) Albin Michel, Paris 1955.

w Paryżu dyskusję, w której wziął również udział autor, broniąc swego dzieła. Wśród krytyków byli wybitni pisarze żydowscy piszący po francusku: Edmond Fleg i Manès Sperber. Nazywając książkę Ikorą powieścią naturalistyczną, Fleg zarzucił autorowi brak znajomości i niedostateczne poinformowanie w sprawach żydowskich. „Aby móc uczyć innych, trzeba przede wszystkim umieć się uczyć samemu”.

Manès Sperber podkreślił trudności przedstawienia bohaterów żydowskich w środowisku nieżydowskim, stwierdził jednak, że bohaterom książki „Eaux Mêlées” brak autentyczności i głębszego tła.

Nastrój publiczności, jak tego dowiodła jej reakcja na wystąpienie jednego z obrońców książki, był zdecydowanie nieprzychylny dla tej bądź co bądź śmiałej próby wprowadzenia Żydów wschodnio-europejskich w literaturę francuską.

Komunikat administracji bibliotek przy Ministerstwie Kultury w Warszawie oznajmia, że w Polsce znajdują się obecnie następujące biblioteki żydowskie:

1. Najważniejsza z nich, licząca 80.000 tomów, to biblioteka Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

2. Biblioteki Stowarzyszenia Żydów Polskich istnieją w 27 ośrodkach, w tym w Łodzi (17.000 tomów), we Wrocławiu (7.400 tomów) i w Szczecinie (6.000 tomów).

3. Istnieją też biblioteki książek w języku żydowskim (jidysz) im. poety Izaaka Pereca, z których największa, we Wrocławiu, liczy 3.000 tomów.

4. Niektóre biblioteki miejskie mają oddział książek żydowskich, jak na przykład biblioteka w Wałbrzychu, która posiada 3.500 tomów.

W muzeum sztuki żydowskiej w Paryżu miały miejsce dwie wystawy żydowskiej sztuki religijnej. Jedną z nich grupowała obiekty kultu poczynając od XIII wieku aż do końca ubiegłego stulecia, pozwalając w ten sposób śledzić ewolucję tej sztuki na przestrzeni ponad pół tysiąclecia. Wystawie poświęcono bogato ilustrowany katalog. Druga wystawa zawierała skarby folkloru żydowskiego z Afryki Północnej, który — pod naciskiem cywilizacji współczesnej — jest w trakcie zanikania.

Akademia książki w języku żydowskim (jidysz) udzieliła corocznych nagród dwóm pisarzom piszącym po żydowsku: Mosze Jungman za książkę „W cieniu nowego księżycy” (Wydawnictwo *Di goldene pawe*, Paryż) i Mendel Man za „Opuszczona wioska” (wydawnictwo *Kjum*, Buenos Aires). Wręczenie nagród odbyło się pod przewodnictwem Manësa Sperbera, który przedstawił obecną sytuację literatury w języku żydowskim oraz wyjaśnił przyczyny które spowodowały stworzenie Akademii. Pisarz i tłumacz J. Bernfeld omówił następnie obie książki nagrodzone w perspektywie całokształtu twórczości autorów. Wspominał on również kilka wartościowych książek, które nie otrzymały nagrody.

W ostatnim numerze pisma *La Vie Juive* R. Grinberg omawia w artykule wstępnym stosunek Żydów do Sowietów po ostatnich rewelacjach do-

tyczących wymordowania całej elity żydowskiej w Sowietach. Autor sądzi, iż — „nie wpadając w przesadny optymizm” — można mieć nadzieję, że „przyznanie się do zamordowania 26 pisarzy żydowskich, mimo że skierowane przede wszystkim w dyktatora (Stalina) jest jednak związaniem się na przyszłość”.

Nawet jeśli się udzieli kredytu ostatnim deklaracjom sowieckim, to nie należy zapomnieć że Żydzi w Sowietach byli ofiarami wielu innych zbrodni, których celem było, podkreśla autor, całkowite zniszczenie indywidualności Żydów, zarówno w dziedzinie literackiej i kulturalnej jak i socjalnej. Autor zapytuje dlaczego władze sowieckie czekają z „rehabilitacją” rozstrzelanych pisarzy, aż ich rodziny zwrócą się o nią z oficjalną prośbą.

Na zebraniu zorganizowanym w Paryżu przez federację towarzysów żydowskich we Francji większość pisarzy i dziennikarzy wyraziła nieufność co do szczerości ostatniego posunięcia sowieckiego i żądała kontynuacji walki ideologicznej przeciw Sowietom.

Abraham ANDES



LEKARSTWA

DO POLSKI

WYSYŁAMY NATYCHMIAST PO OTRZYMANIU ZAMÓWIENIA

TAZAB

Streptomycyna 10 gr.	\$ 2,45
Streptomycyna 20 gr.	\$ 4,70
Streptomycyna 30 gr.	\$ 6,85
Penicylina Proc. 01.50 cc. 15 mil. j.	\$ 4,00
Penicylina Proc. 01.100 cc. 30 mil. j.	\$ 6,60
Serpasil Ciba 100 tabl. a 0,1	\$ 1,00
Serpasil Ciba 100 tabl. a 0,25	\$ 2,40

I WSZELKIE INNE LEKI

Najnowsze lekarstwo na gruźlicę

SEROMYCIN - CYCLOSERIN.

(oryg. opak. 40 kaps. à 250mg) LOTNICZO \$28.00

10 EAST 39 STREET • NEW YORK 16, N.Y.

Sprawy i troski

Most

Most imienia Waszyngtona łączy brzegi dwóch stanów — Nowego Jorku i New Jersey. Jest szeroki, majestatyczny i bardzo piękny. W cieniu mostu, w dole zbliżonym do Hudsonu, po drogach i szosach biegnie nieprzerwany wąż samochodów. Spieszy się w nieznane strony, przebiega przez most, zaczepia go na kilka minut i — znika. Czasami w monotonny szum cichych motorów wbija się przeciągły głos syreny policyjnej. Czasami zdumiony most usiłuje ramionami swoich przesł przygarnąć do siebie spadające ciało jakiegoś nieszczęsnego samobójcy.

Niedaleko mostu, w uliczce w której zamierał ruch w ciągu dnia, kiedy zjawiała się na niej banda chłopców grających w piłkę i kiedy jakiś starszy i poważny pan wysuwał skrzętnie schowaną tablicę z napisem „Teren zabaw — wjazd wzbroniony”, mieszkał Andrzej Dąbrowa. Miał pokój duży, kuchenkę wmontowaną w ścianę, dostęp do łazienki łatwy bo tylko trzeba było przebiec szybko schody jednego piętra i drzwi były tuż obok. W pokoju stało trochę książek, budzik, małe radio i kilka sztuk mebli. Na ścianach przyklepione tanim klejem wisiały wycinki z gazet. Andrzej zbierał te wycinki od lat i miały one kiedyś stanowić lekturę dla jego syna. Zapadał się Dąbrowa w luksus rozmyślenia i wtedy widział najpierw małego chłopca, któremu on, jako ojciec, wszystko przystępnie tłumaczył, potem już dorastającego młodzieńca, a wreszcie dorosłego człowieka, który pisze. Bo syn Andrzeja miał zostać pisarzem. Oczywiście, że nim będzie. Andrzej nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Będzie pisał — wówczas te wycinki z życia ojca służyć mu będą jako materiał. Bo przecież on na pewno będzie chciał pisać artykuły i książki polityczne. A życie było wypadkową polityki. Tylko że w tym życiu jeszcze nie było syna. Nie było także żony. Andrzej jak dotychczas był sam.

Wycinki zaczynały się zaraz przy drzwiach wejściowych i ułożone były w chronologicznym porządku. Pierwszy — z „Kuriera Porannego” wydawanego w czasie ataku Niemiec na Polskę w roku 1939. Donosił o zwycięstwach na zachodzie, o blis-

kim wejściu Ameryki od wojny i o masowym bombardowaniu Berlina przez samoloty sojuszników. Drugi był skrawkiem dekretu niemieckiego, ogłoszonego w Warszawie po zakończeniu działań wojennych i wzywającego wszystkich byłych żołnierzy polskich do rejestracji pod groźbą śmierci. Zaraz za nim czerniała się wielkimi literami druk strona „Paris-Soir” donosząca, w roku 1940, o formowaniu się armii polskiej na ziemi francuskiej. Potem na ścianie zamiast wycinka była fotografia. Przedstawiała statek przepełniony wojskiem dobijający do jakiegoś portu. Od fotografii strzałka wiodła do wycinka ze „Scotsmana”, wydawanego w Edynburgu. Spora wzmianka donosiła o przybiciu do brzegów szkockich polskich rozbitków z Francji. Statek który ich dowiózł do Liverpoolu szedł pod polską banderą. Potem pociągami przejechali na północ i oto w tej chwili okopują namioty na polach hrabstwa Lancashire.

Od tego momentu format nalepionych wycinków zmieniał się. Z początku szły one pasem podłużnym. Teraz rozsiadły się pionowo sięgając niemal do sufitu i do podłogi. Były tam opisy manewrów, parad, defilad i uroczystości pułkowych. Były lokalne wzmianki o Polakach, którzy już umieją mówić po angielsku; o sklepikach i świetlicach w których Szkoci mogą nabywać ludowe polskie wyroby; o tańcówkach i kłótniach; o powodzeniu żołnierzy polskich wśród Szkotek; o bezrobociu w kopalniach i protestach przeciwko zatrudnianiu cudzoziemców; o tym że przecież kraj tych egzotycznych gości, którzy zapełnili wioski i miasteczka szkockie, na pewno będzie wolny skoro ma takiego sprzymierzeńca jak Wielka Brytania; i o tym, że raczej żywnościowie zaledwie starczą na wyżywienie samych Szkotów.

Obok tej masy drobiazgów jest pusta przestrzeń i potem jeden tylko wycinek z londyńskiego „Times’a”. Data — 12 luty 1945 roku. Temat — decyzje powzięte w Jałcie. Wycinek ten Andrzej przykleił na kawałku czarnego kartonu i przybił gwoździem do ściany. Z daleka robi wrażenie sporego nekrologu.

Ale najwidoczniej to nie był nekrolog bo zaraz za jego honorowym miejscem tłoczyły się inne wycinki z gazet dowodzące o pełnym życiu. Były tam angielskie, francuskie i polskie zadrukowane strony. Opisywały inwazję Normandii, rolę Polaków, listy rannych i zabitych. Na jakiejś wiadomości z „Polski Walczącej”, wydawanej w Londynie uwagę zwracało podkreślone czerwonym ołówkiem nazwisko na liście rannych: Plutonowy Andrzej Dąbrowa, Brygada Spadochronowa, pod Arnhem.

Zawieźli go do szpitala w południowej Anglii, gdzie musiał leżeć bez ruchu przez długie tygodnie. Dostał postrzał w krzyż. Na sali kręciło się mnóstwo sióstr miłosierdzia. Była też taka jedna, jasna blondynka, której mgliste zarysy twarzy i oczu Andrzej widywał na jawie, gdy odzyskiwał przytomność i we śnie, kiedy majaczył. Zanim jeszcze zdołał zamienić z nią pierwsze dwa słowa, już wiedział że weszła w jego życie jakoś strasznie mocno, że stała się przedmiotem myśli. Umysł zniewolony niemocą fizyczną, puścił wodze wyobraźni, dał ostrogę fantazji

i przed oczami rannego chłopca wymalował fata morgane kwitnącej oazy na pustkowiu ludzkiego losu. Kiedy wreszcie dowiedział się jej imienia, kiedy zdołał po raz pierwszy wydobyć ze siebie głos w jej obecności, wydawało mu się, że zdobył już to, co stało się chlebem powszednim wewnętrznego istnienia.

Wycinki z gazet na ścianie ustępują miejsca ładnie wydrukowanemu zawiadomieniu o ślubie. Po jednej stronie figurowali rodzice Betty, zamożni właściciele sklepu spożywczego w Manchesterze, po drugiej rodzice Andrzeja o których nawet nie bardzo wiedział czy jeszcze żyją. Podał ich adres przedwojenny i napawał się rozkoszą na widok rzędu drukowanych liter, posłusznie układających się w znajome słowa: Kielce, Aleja Piłsudskiego 33.

Praca w sklepie spożywczym nie była pozbawiona uroku. Trzeba się było zorientować w morzu puszek stojących na półkach. Nauczyć się ile kuponów za jaki produkt. Przestać się spieszyć, bo inni sprzedawcy patrzyli krzywym okiem. Skakać po drabinkach przesuwalnych z jednego miejsca na drugie. Ważyć i krajać sery i szynkę. Orientować się w gatunkach margaryny. Pilnować, aby w porządku przyjmować klientów i nie obsługiwać nikogo poza kolejką. Co za wspaniały kontrast po wojsku. Co za szczęście, że Andrzej, rozbitek życiowy, wyrzucony poza margines własnego kraju, mógł zacząć żyć normalnie życiem zwyczajnych ludzi. Wrośnie teraz w to środowisko, stanie się dobrym obywatelem Manchesteru, zapomni o wszystkich sprawach politycznych, wojskowych, społecznych. Po co mu? Ma swoją Betty, ma swój dom, ma pracę uczciwą. Sklep przecież mógłby być tak samo w Kielcach.

„Manchester Guardian” jest doskonałym pismem i Andrzej gościom przychodzącym do jego pokoju chętnie pokazywał dwa wycinki zajmujące miejsce zaraz niedaleko za ślubnym drukiem. Jeden to był list miejscowego polityka opisujący Polskę po powrocie z wizyty w Warszawie. A drugi to była odpowiedź Andrzeja. Że to nieprawda że przed wrześniem 1939 tego roku, jego kraj był krajem panów i niewolników. Że to nieprawda, że człowiek pracy nie miał żadnych praw. Że to nieprawda, że teraz to wszystko będzie wyrównane pod rządem demokracji ludowej.

Teść Andrzeja był kupcem szanowanym w mieście i w okolicy. Nigdy polityką się nie zajmował. Dbał o swój interes, pilnował by towar był dobry i aby klient był zadowolony. Toteż mocno z fajki pykał i do domu wcześniej poszedł tego dnia, kiedy wieloletni klient o poważnych wpływach, niby żartem powiedział, że była dla niego niespodzianką wiadomość, iż Andrzej jest faszystą. Starszy pan zamknął się tego wieczoru na długą rozmowę ze swoją córką i zaraz następnego ranka Betty poprosiła Andrzeja, żeby więcej nigdy listów do prasy nie pisał.

Zagotowała się pasja słowiańska w sercu chłopca i za ostatnie grosze zarobione poprzedniego tygodnia Andrzej zaprenumerował wycinki z gazet całej Anglii, dotyczące wzmianek i artykułów o Polsce. I jak tylko gdzieś było jakieś fałszerstwo,

jakaś propaganda, jakieś faktyczne nieścisłości, Andrzej pisał. Drukowali mu rzadko, ale zebrali się pewno z piętnaście listów z pism i pisemek. Najpierw mu teść wymówił posadę, a potem Betty małżeństwo. Pojechał do Londynu i tam rzucił się w wir roboty politycznej.

Stowarzyszenie Kombatantów miało swój własny biuletyn. Dwa wycinki z tego biuletynu, mówiące o świetnej robocie Andrzeja Dąbrawy, schowane były w ciemny kąt amerykańskiego pokoju. W roku 1950-ym w czasie jakichś wyborów przeciwnicy zarzucili Andrzejowi — defraudację. Stał zdumiony na środku sali i poczuł w krzyżu, w miejscu zadawnionej i zasklepionej rany, ostry ból. Taki sam jaki czuł wtedy, kiedy Betty stała nad jego łóżkiem w szpitalu i wtedy kiedy mu kazała przestać pisać. Oskarżenie, wymyślone w ostatniej chwili przez kandydatów na jego funkcję, przylgnęło. Tylko ci najbliżsi wiedzieli że było fałszem. Inni mówili już o nim ze znaczącym mrugnięciem oka. Andrzej poszedł do fabryki mydła. Już teraz wiedział na pewno, że musi za wszelką cenę być z powrotem normalnym człowiekiem. Pocóż mu emigracyjne swary? Po cóż mu niesnaski? Po cóż mu brudy?

Fabryka zatrudniała siedmiuset robotników i miała gazetkę ścienną. Andrzej, już stary dziennikarz, zaczął pisywać. Ściana znajdująca się vis-à-vis drzwi poświęcona została całkowicie na wycinki tego okresu. Gwiazdka fabryczna dla samotnych robotników urozmaicona była koleśkami polskimi. Śpiewał je Andrzej przy akompaniamencie innego polskiego żołnierza. Święty Mikołaj roznosił dzieciom prezenty. W gazetce, na pierwszej stronie, figurowała fotografia Andrzeja z długą białą brodą, w czerwonym płaszczu i z małym chłopakiem na kolanach. Naokoło gromada dzieci wpatrzonych w Świętego dodawała scenie posmaku autentyczności.

Właśnie od tego Bożego Narodzenia nie opuszczała Andrzeja myśl o synie.

W fabryce był związek zawodowy i Andrzej zaraz się zapisał. Skoro miał tutaj zapuszczać korzenie powinien swoją energię i swoje zainteresowanie skoncentrować na sprawach lokalnych. W gazetce nawet raz napisał, że imponuje mu opieka, jaką robotnikowi zapewnia związek. Poklepal go za to po ramieniu, a raz nawet dostał funkcję reprezentowania związku podczas negocjacji z zarządem fabryki. Podwyżkę wygrali, ale już Andrzej więcej na rozmowy nie chodził. Najpierw, że nie miał starszeństwa, a potem że inni krzywym okiem patrzyli. Zawsze to on nie był przecież swój. Polak i do tego — emigrant polityczny.

Na końcu tej ściany z wycinkami z gazetki znajdował się taki, w którym był przedruk telegramu poślanego przez Związek do bratnich związków sowieckich.

Pobiegł Andrzej do prezesa unii i gadał z nim pewno z godzinę. Mówił o tym co wiedział od tamtych, co to wrócili. O tych

co byli w obozach. O tych co znali związki zawodowe sowieckie. To nie to co u nas, gorąco zapewniał zapominając, że mimo woli używa formy „u nas” opisując Anglię. Tam to inaczej. Tam człowiek pracy nie ma praw. Tam robotnik wobec państwa stoi bezsilny i sam.

Prezes słuchał, głową kiwał i Andrzejowi przyznawał rację. On wie, że tak jest ale inni nie wiedzą. A poza tym przecież na świecie trzeba w jakiś sposób żyć, trzeba dogadać się nawet z przeciwnikami. Przecież chyba Andrzej także nie dąży do wojny? Przecież chyba nie jest jednym z tych Polaków co to tak długo nie zaznają szczęścia aż dopóki nie dostaną szabli i białego konika?

Znowu był ostry ból w krzyżu. Ach, myślał sobie często Andrzej, jakby ta rana przestała się odzywać to już bym pewno mógł naprawdę być normalnym człowiekiem. Bo cóż mnie tak na dobrą sprawę obchodzi, że ten związek wysyła depesze? Niech wysyła. Od tego nie zmieni się angielska polityka. Czegóż ma zaraz boleć krzyż? Wracaj do warsztatu, zamknij się przy nim. Cóż ci z darcia gardła? Cóż ci z wojowania ze światem?

Już potem nie było wycinków z gazetki ściennej, bo Andrzej przestał pisywać. Jakoś mu się nie chciało. Chodził do fabryki, pracował swoje osiem godzin, nauczył się operować maszynowymi nożami co to mydło kraja na kawałki, wiedział jak maszynowo pakować. Stawał się powoli wykwalifikowanym robotnikiem. Związek też o nim nieco zapomniał. Już nigdy więcej do niego się nikt nie zwracał, by pełnił funkcję. Nawet nie myślał dłaczego. Po co miał myśleć? Może znowu rana by mu się zaczęła przypominać?

Potem znowu strona tytułowa gazetki ściennej w fabryce. Pod fotografią grupy robotników napis. Udało się zażegnać kryzys powstały wskutek braku materiałów i fabryka zamiast zwolnić połowę personelu, zwolniła tylko siedemdziesiąt pięć osób. Dla bardziej znanych z pracy społecznej, związek urządził pożegnania. Nie udało się, niestety, żadnego z tych działaczy wybronić przed dymisją. Tyle napisano. W pierwszym rzędzie grupy siedział, z podkurczonymi po turecku nogami, Andrzej. On jeden jedyny miał pogodny wyraz twarzy. Inni przecież byli żonaci, mieli rodziny. Nic jak być samotnym, pogwizdywał sobie Dąbrowa wracając po raz ostatni z fabryki do domu.

To był koniec jego sławy w Wielkiej Brytanii. Potem już ani on nie pisał, ani nie pisano o nim. Ale drukowano wiadomości o zdarzeniach, których był współuczestnikiem. Ogromne śniegi jakie nawiedziły Anglię dostarczały wiele materiału pismom, a Andrzejowi zarobku. Bo rekrutowano pospiesznie ludzi do sprzątania śniegu i nieźle nawet płacono. Stara świątynia rzymska odkryta w City londyńskim stała się tematem opisywanym niemal codziennie. A Andrzej właśnie z kilofem w rękę był tym, który burzył stare mury na pół zrujnowanych domów, które stały nad świątynią.

To były ostatnie dwa wycinki, jakie wisiały na początku ściany przyszości.

Zawiadomienie z konsulatu amerykańskiego o wizie miało honorowe miejsce. Obok był list od kolegi z Ameryki, że jest tam i praca dla Andrzeja i zajęcia społeczne. „Jak przyjedziesz, pisał kolega, to obejmiesz odpowiedzialną funkcję sekretarza naszej organizacji. Mamy tu mało ludzi z takim doświadczeniem roboty politycznej, jak ty”. Andrzej śmiał się szczerze, głośno i serdecznie gdy czytał ten list; schował go skrzętnie do swoich szpargałów. To nic, że właśnie w tym okresie jego polityczne zainteresowania były w sferze cesarstwa rzymskiego, że pasjonował się odkryciami w City, że czytał zawzięcie historię sztuki. Ameryka jest krajem młodym i żyjącym dniem dzisiejszym, powtarzał sobie wesoło. Dlaczegoż mam nie być sekretarzem?

Bilet linii okrętowej opiewał na klasę trzecią. Oprócz Andrzeja w kabinie było trzech innych emigrantów. Ukraińiec i Grek z synem czternastoletnim. Grali w kręgle na pokładzie, pili piwo, gadali łamaną polszczyzną z Ukraińcem. Grecy jechali aż do stanu Nebraska, mieli tam dostać pracę na kurzej farmie. Stary Grek był z zawodu stolarzem, chłopak miał smykałkę do motorów. Już z mapą w ręku planowali jak wyskoczą do najbliższego miasta, jak tylko się osiedlą. Bez tych kur, stwierdzał filozoficznie stary Grek, nie byłoby wizy. Raz z jakichś dalekich korytarzy przybiła do brzegu emigranckiego gromadka wesółych, podpiętych i żywo gestykujących młodzieńców i młodych panów w smokingach. Jechali pierwszą klasą i zwiedzali statek. Jakaś piękna blondyna upodobała sobie Andrzeja, a jej towarzysz zapisał mu adres na kartce papieru, żeby się do niego w Nowym Jorku zgłosił. Z trudem Dąbrowa odcyfrował nazwę firmy kanalizacyjnej i tytuł dyrektora. Adres był na Park Avenue. Wisiała ta kartka w ostatnim rzędzie pisanej historii Andrzeja. Ważne to było, bo dyrektor po jego telefonie kazał mu iść gdzieś na Brooklyn i tam z miejsca dostać pracę. Zadanie było proste. Jeździł razem z majstrem, którego wzywali w nagłych wypadkach i uczył się jak instalować rury, reperować łazienki i wstawiać nowe części. Zarabiał dosyć. Kolega, który pisał do niego list, nie mógł wyjść z podziwu, że Andrzej tak świetnie sobie radzi. On był w Ameryce już trzy lata i mniej zarabiał. Ale Dąbrowa rozumiejąc, że ma wobec tamtego dług wdzięczności został sekretarzem organizacji weteranów. W dzień jeździł po domach biednych i bogatych, przyglądał się ludziom, zachwycał stopą życiową, załamywał ręce nad prymitywizmem wewnątrz mieszkalnych, a wieczorami siedział w zadymionym barze Domu Narodowego i słuchał wywodów zgorzkniałych ludzi.

Most stał niewzruszony. Kontemplacja jego życia dawała Andrzejowi ucieczkę od szarości własnego. Bo przecież ten most żył i miał bijące serce. Tylko jeszcze Andrzej nie wiedział jakie jest to życie i jak mocno bije to serce. Już powoli zaczynał różnicować samochody sprzedawców naładowane próbkami. Ta-

kie samochody jechały szybko, szybciej od innych, bo czas był drogi dla kierowcy. Musiał odwiedzić tyle a tyle sklepów, zadzwonić do tylu a tylu drzwi, żeby prawo przeciętności, prawo regulujące przybliżoną liczbę udanych transakcji zagrało na jego korzyść. Już zaczynał trochę rozumieć myśli tych ludzi i ich problemy, ich radości i ich smutki. Już wiedział, że taki sprzedawca przelatując szybko przez gładką powierzchnię mostu imienia Waszyngtona, oblicza sobie zarobek opierając się na przypuszczeniach, że sprzeda. A potem myśli ile musi wydać, ile rachunków niezapłaconych czeka w domu. I jak dochodzi do ostatecznych cyfr to jeszcze bardziej dodaje gazu, bo musi się spieszyć, musi się tak bardzo spieszyć.

Instruktor Andrzeja i kierowca ciężarówki, którą cały dzień jeździł po mieście, miał zięcia sprzedawcę. Od niego Andrzej dowiadywał się wszystkiego. Przez długie godziny jazdy, czekania i znowu jazdy, stary Jim opowiadał.

A więc potem siedząc przy oknie swego pokoju Andrzej już miał jeden klucz do odcyfrowania życia mostu.

Ale wiedział, że tych kluczy jest tysiące i że nie ma nadziei na to, żeby prędko w pełni wiedział jak bije serce tego kolosa.

Co na przykład myśli ów elegancki pasażer, który codziennie rano przejeżdża przez most samochodem, prowadzonym przez szofera w mundurze? A czym zajmuje się jego żona, która w kilka godzin potem, drugim wozem, zostawionym do jej wyłącznego użytku, pośpiesza na zakupy do Nowego Jorku? A znowu jak reaguje na drogę policjant pilnujący wiecznie spieszących się sprzedawców, żeby nie jechali za prędko? Czy jest ludzki gdy ich zatrzyma? Czy sam wie co to znaczy — zarobek?

Ale Andrzej przecież przez starego Jima poznał serce bijące w piersiach kierowców ciężarówek. Jim stawał gdy ktoś prosił o podwiezienie, zrędził na czerwone światło, opowiadał o programach telewizyjnych i planował, że pojedzie w tym roku na Florydę, tak samo jak w zeszłym. Jim także czytał gazety i pytał się Andrzeja o Rosję. Tylko, że nie czekając odpowiedzi sam wszystko wykladał. Rosja musi się skończyć, bo jest bez Boga i bez wiary. Jest to tylko kwestia czasu i byłoby niemądre rozpoczynanie wojny. Po co? Wiadomo przecież, że natura zabija zwyródniałe twory. Zabije i Sowiety i komunizm. Gdy Stalin umarł, Jim triumfował. „Poczekaj jeszcze trochę”, pokrzykiwał do Dąbrowy, „a wszyscy oni tak skończą”. Jim jednak najlepiej się czuł w „dinerach”. Kiedy pierwszy raz zatrzymali się w jakimś długim budynku, wyglądającym na stary wagon kolejowy Andrzej nie bardzo wiedział co to jest. Dopiero wszedłszy do środka zrozumiał. Przy stolikach i za kontuarem siedzieli szoferzy. Byli przeważnie ciężcy, ubrani w porządne kombinizony, na głowach zsunięte z czół czapki. Jim, wąty i drobny, wyglądał przy nich jak dziecko. Ale Andrzej od razu zorientował się, że starego otaczał powszechny szacunek i że wśród kierowców panuje wyraźna hierarchia zawodowa. Jim, zahukany w do-

mu, był tutaj pierwszą osobą. A jak się któremuś z szoferów zdarzył wypadek, kiedy trzeba było załatwić z policją, załatwić spór z pracodawcą, szybko nareperować wóz, żeby nie zostało śladu, to porada i wskazówka Jima szły na wagę złota.

Andrzej miał już dwa elementy: sprzedawców i kierowców ciężarówek. Ale jeszcze prócz tego byli pasażerowie autobusów, którzy codziennie rano jechali przez most do pracy i wracali wieczorem tą samą drogą. Co oni za jedni? Jak ich serca biją?

Pewno niektórzy z nich byli tacy sami, jak kolega ze stowarzyszenia. Emigranci i ludzie bez miejsca. Rzucani do pracy koniecznością zarobku i niczym więcej. Andrzej przynajmniej, gdy jeździł z Jimem, miał szeroko otwarte oczy i bystro nastawione uszy. Oglądał nowy świat w który postanowił sobie wejść, zapuścić w nim korzenie, stać się jego częścią. A tamci nie chcieli. Żyli tylko tym co było dawniej. Wszelkie objawy życia jakie ich otaczało zbywali pogardliwym wzruszeniem ramion, bo u nich było inaczej. Jechali do pracy przeklinając swój los i swoich pracodawców. Wracali do pustych ścian pokoju zwanego domem i uciekali szybko do owej pracy społecznej. Andrzej wiedział, że kiedyś zrezygnuje ze swojej funkcji. Po dniu pełnym normalnego życia, wpadał wieczorami w otchłań ludzkiej beznadziejności. Po co mi to powtarzał, po co? A zaraz potem przychodziła refleksja, jakaś mieszanina smutku z litością, jakieś uczucie, którego nie rozumiał, nie był w stanie pojąć, ale które dawało satysfakcję.

W takich momentach dochodził do wniosków, przed którymi bronił się i do których nie chciał się nawet sam wobec siebie przyznać. Właśnie to, że tragiczny był los tamtych innych, dawało mu ostrogę do jego poczyną. A także widział w tej swojej sekretarskiej roli misjonarską funkcję wyciągnięcia tamtych z bajory przeszłości, w którym się topili wcale o tym nie wiedząc.

Raz nawet spróbował Jimowi coś opowiedzieć. Stary słuchał, ale nie rozumiał. Kiedy Andrzej skończył Jim splunął przez otwarte okno samochodu i jako receptę dał — sport. Niech się nauczą baseballu i zapomną o zbawieniu świata.

Czyli znaczy się, że przez most jadą i tacy co się wzajemnie nie rozumieją i tacy co są sobie obcy i zawsze obcy zostaną. Czyli serce mostu ma różne tętno. Szybkie i normalne, szybkie i przerywane, wolne i stateczne, wolne i zamierające. Andrzej był ciekaw czy także ma kiedykolwiek tętno zupełnie normalne? Takie jakie on sam kiedyś mieć będzie, bo do tego dąży, i tego chce, i o tym myśli. Oczywiście wyobraźni widział resztę swojej ściany przyszłości zalepionej wycinkami: Najpierw Andrzej opisywany jako następcą Jima w ciężarówce. Potem wzmianka o jego ślubie z dziewczyną, której życie nigdy nie było inne jak tylko normalne. Nie miała ani wzlotów, ani upadków i była zupełnie zwyczajna. Potem rodzi się ich syn. Chodzi do szkoły. A wtedy, kiedy prezydent firmy dekoruje Andrzeja w uznaniu za długoletnią służbę jego syn jest reporterem dużego dziennika.

W tym obrazie wyobraźni brak było zawsze jednego elemen-

tu z prawdziwego życia Andrzeja: stowarzyszenia, któremu sekretarował. Znikało gdzieś po drodze, która wiodła do normalnej i zwykłej starości. Przystawało istnieć jako problem. Stawało się tylko przeszłością.

Rozmyślenia przerywał głośny krzyk klaksonu i oczy Andrzeja wracały z powrotem do teraźniejszości. Pierwszym przedmiotem ich odzyskanej wizji był znowu most. Na moście, wśród tłoku pojazdów, jechał autobus. W tłoku pasażerów, przyklejona do okna blada twarz kolegi ze stowarzyszenia, jadącego do pracy. I wtedy fala litości, poczucie wspólnoty, poczucie jakiegoś niewypienionego obowiązku oblewały świadomość Andrzeja Dąbrawy. Prostował się, wstawał ze swego ulubionego miejsca i sztywnym, równym krokiem szedł do Domu Narodowego z nagłym, jasnym olśnieniem. Już teraz wiedział dlaczego most imienia Waszyngtona łączący dwa stany i dwa brzegi królewskiej rzeki, tak bardzo fascynuje go swoim widokiem. On sam przecież, mimo woli, stał się mostem pomiędzy wczoraj a jutrem, pomiędzy starym a nowym światem, pomiędzy pogodą Jima a gorącą kolegi, pomiędzy satysfakcją dobrze przeżytego dnia, a zawiedzioną ambicją ludzi żyjących w pustce.

Andrzej idąc przed siebie miał na twarzy uśmiech człowieka który odnalazł swą drogę.

Zygmunt NAGÓRSKI, jr.

Książki

Pluszowy album

„Zachowałem do ostatniej wojny”, „posiadałem do ostatniej wojny”... ile takich zdań w książce Pii Górskiej „Paleta i pióro”. O jakie to stracone skarby chodzi autorce: zawsze o pamiątki, o fotografię „nierozzerwalnych przyjaciół”, młodego J. Malczewskiego i jej brata, poety i krytyka Młodej Polski, Konstantego Górskiego, to o rysunek Chełmońskiego — postać Kurzawy „w półcieniu w olbrzymich słomianych kapcach”, Kurzawy, rzeźbiarza, alkoholika i nędzarza, który sam zdrugotał swój projekt pomnika Mickiewicza. St. Witkiewicz pisał o nim z podziwem, Chełmoński go kochał.

Ta książka to album fotografii (niektóre trochę zblakłe, inne właśnie najdawniejsze — jak z wczoraj) ludzi, którzy wszyscy odegrali taką czy inną rolę w życiu kulturalnym Polski. Autorka z pogodnym pietyzmem zebrała wspomnienia o Chełmońskim, Sienkiewicz, Bracie Albercie, St. Witkiewicz (epoka „Sztuki i Krytyki” i „Wędrowca”, lata dziewięćdziesiąte) o Wyczółkowskim, Mehofferze, Stanisławskim, Malczewskim (epoka „Sztuki” Przybyszewskiego, „Chimery”, Miriama, lata dziewięćsetne i dziewięćsetne) a potem jeszcze z lat dwudziestych i trzydziestych profesor Krzyżanowski, twórcze Akademii Warszawskiej, Skoczylas i Pruszkowski, Bractwo Świętego Łukasza, nawet jeszcze Waliszewski.

Dom rodzinny Pii Górskiej namiętnie patriotyczny, gościnny i chłonny, któremu piętno nadawała wiecznie haftująca ornaty, zadziwiająca swą bystrą inteligencją i młodością serca matka autorki, praca malarska i pedagogiczna Pii Górskiej — na tej kanwie snuje opowiadanie spotkań, dyskusji, które zaważyły o zagadnienia istotne, a wówczas w Polsce odkrywcze. Jest to przeważnie „mała historia”, anegdoty, powiedzonka, tło walk jest obrysowane dość ogólnikowo i na tyle dobitnie, że dzisiejszy czytelnik może nawet nie wyczuć jak sprawy te były palące, a nierzadko tragiczne. Gdzie jest żądło? Może go wcale nie było? Mgielka różowa godzi w tej książce wszystkich. Nie żar-

liwa miłość Brata Alberta, nie pasja Witkiewicza, ale złote serce Pii Górskiej, no, i polskie „kochajmy się” oparte na niechęci czy niezdolności domyślenia pewnych spraw do końca. Ta książka jednak, dzięki „fotograficznej” prawdomówności, wydaje mi się stokrotnie dla każdego, kto się historią kultury polskiej interesuje — cenniejsza, niż te wszystkie życiorysy „romancés” gdzie nie wiadomo, co jest prawdą faktów, a gdzie wymysł autora. (Przeważnie wiadomo, bo wymysł jest tak naiwny). Na przykład Skierski w swojej książce „Barwa świata” cytuję rozmowę Chełmońskiego z Degasem! O Degasie, jednym z najświetniejszych umysłów wśród artystów dziewiętnastego wieku jest biblioteka wspomnień. Ileż słów jego było notowanych przez Halévy’ego, Valéry’ego, Rouart’a i tylu innych. Mamy jego listy — arcydzieła skrótów, arcydzieła prozy francuskiej. Skierski przedstawia Degasa tak „jak sobie go mały Kazio z jakiegoś Mielca wyobraża”. Wina tu głównie nie Skierskiego, a konsekwentnego odcinania Polski od źródeł kultury na Zachodzie. Albo rozmowy i kontakty osobiste Chełmońskiego z Degasem istniały, wtedy każde przekazane słowo autentyczne jest ciekawe, albo tego rodzaju wymysły fałszują perspektywy, styl ludzi opisywanych i stają się nieznosne. W galerii typów książki Pii Górskiej ani śladu tej dowolności.

Wybija się na plan pierwszy szlachetna i niezwykła postać Chełmońskiego. Autorka знаła go najlepiej (Chełmoński spędzał miesiące w jej domu rodzinnym, była jego uczennicą). Chełmońskiemu też została wierna jakby do dziś, uczuciowo i artystycznie.

Jak trudno przyjąć, że epoka, że styl, które się zwalczało jako wsteczne — miały swoją młodość, swój sens, w pewnej chwili rewolucyjny, aż je pożarła maniera, powtórka, skleroza. Może, aby to przyjąć, trzeba już samemu znać granice czy nawet degradację tego, co w młodości się odczuwało jako ostatni krzyk nowoczesności, więc prawdy ostatecznej?

W pierwszych rozdziałach słuchamy rozmów z Sienkiewiczem — który Dumasa brał do poduszki — z Weyssenhoffem powracającym z Grecji. Od młodości byłem z St. Brzozowskim przeciw Sienkiewiczowi, a już właśnie dzięki Brzozowskiemu Weyssenhoffa nawet nie brałem do ręki choć był przyjacielem mojego ojca i bywał w naszym domu. Dla mnie z tamtych czasów zachowałem wspomnienie dobrze starszego pana który z okiem błyszczącym i trochę wiszącą i wilgotną wargą gastroнома przysiadł się na kanapie, bliźniutko, do pań w kwiecie wieku (dla mnie niedorostka — starych bab). Tłumaczył nam potem (straszenie nam imponował jako pisarz) że ... „studuje typy”.

Sienkiewicz, Weyssenhoff, polaniecczyzna i Podfilipski, a Górka opisuje nam pierwszego w aureoli już nie chwały, ale kultu, a drugiego jako tłumacza Heinego, redaktora „Biblioteki Warszawskiej”, broniącego wartości dzieł sztuki niezależnie od te-

matu, a więc Weyssenhoffa śmiałego, sympatycznego, na owe czasy prawie rewolucyjnego. Choć Chełmoński już wtedy uragał na to, że u Weyssenhoffa „Akropolis i kolacja z kawiozem wszystko w jednym garnku”.

Śledzimy w tych pierwszych rozdziałach odkrycie realizmu we „wsi zacisznej, wsi spokojnej”. Chełmoński jest wyrazicielem tej prawdy w Polsce jeszcze nowej.

Cały akcent naszych już o wiele późniejszych walk o ustalenie nowej, bardziej malarskiej, hierarchii wartości w ocenie naszego dziewiętnastego wieku szedł *ku* Michałowskiemu, *przeciw* historyzmowi nieprzetransponowanemu, na język malarski Matejki, *ku* Aleksandrowi Gierymskiemu, *przeciw* Chełmońskiemu — przecie było w oczy, że realizm „Czwórki” był o sto mil *od* malarstwa „Solca”, „Chłopca ze snopem”, czy „Piaskarzy”. Ale znów Pia Górską pokazuje nam jaką rewolucją był w ich wiejskim salonie jeszcze w dziewięćdziesiątych latach właśnie obraz Chełmońskiego, gdzie nie było „idealnego piękna” a była ostra realistyczna akwarela obdartego działa z biczyskiem w ręku. „Prawda życia oddana bez idealizacji, połączona z głębokim wyczuciem i namiętą miłością natury, czucie poezji tej natury nieupiększonej według jakiegoś szablonu — to wszystko wnosił Chełmoński do sztuki polskiej. Drobne anegdoty, jak to kopnięcie obrazu Pii Górskiej („tak nie można, panno Pio!”), upiększonego portretu malowanego, byleby zarobić kilkadziesiąt rubli na przedszkole, ilustruje powagę i bezkompromisowość stosunku Chełmońskiego do sztuki.

Jeżeli to nie było wielkim malarstwem, jeżeli nie da się porównać Chełmońskiego nie tylko z tradycją Ingresów, Degasów, Monetów ale również z A. Gierymskim, czy nawet z Podkowińskim z dobrej epoki, był to przecie krok naprzód od landar historycznych Gersona i zatęchłych już wpływów Overbecków i Delaroche'ów, rzetelnością zaś swoją było nieskończenie wyższe niż Żmurko, Styka czy Siemiradzki. Popularność tych ostatnich, tandetnych „mistrzów” była wówczas nieskończenie wyższa niż się dziś zdawać mogło.

Pisząc o Chełmońskim daje Pia Górską opisy jego stosunku do natury, do zwierząt, moc szczegółów ogólnie nieznanymi, powiązań (jak wpływy towianizmu, które były nieobce żarliwej pobożności Chełmońskiego), pisze o jego pasji narodowej samowystarczalności artystycznej, tak typowej u człowieka który właściwie prawie nic nie wykorzystał Paryża, żyjąc tam lat 12. O ileż bliższy jest Chełmoński Riepina niż kręgu Degasa czy wpływów Ingres (*). Jest on odpowiednikiem najtypowszym rosyjskich pieredwizników, po których w Rosji nastał krąg „Mira Iskustwa” w okresie kiedy „Życie” i „Chimera” Miriama

(*) Autorka myli się pisząc, że Chełmoński miał z tym ostatnim bliskie osobiste stosunki — 87-letni Ingres zmarł w 1867 roku, kiedy Chełmoński do Paryża przyjechał w 1875.

wprowadzały do Polski te same „zdrożne” teorie „sztuki dla sztuki”. Jest też nie dziwne, że kochał obok Riepina niemieckiego malarza Uhde (sceny ewangeliczne na ludowo), a w Paryżu tak sławnego wówczas Meissoniera czy jeszcze Bretona, wszystko malarzy bez znaczenia.

Dalszy etap walki o sztukę w Polsce: przybyśwyszczynna, „Chimera” Miriama, widzi już autorka jakby z daleka, cytując zarty Chełmońskiego nad kultem nastroju i patetycznością tych ruchów, ale jakby nie uwzględnia, że poza grymasami secesyjnymi to było odkrycie nie tylko Wyspiańskiego, ale i Ibsena, że poza kultem mizernych prerafaelitów w „Chimerze” to było objawienie Norwida, świetne tłumaczenia wielkich pisarzy i poetów francuskich od Baudelaire, Villier de l'Isle Adam po Mallarmé, odkrycie całych światów sztuki, w których szlachetni wyznawcy Asnyka, Konopnickiej i tegoż Chełmońskiego gubić się musieli całkowicie. To były nareszcie okna otwarte na świat nie Dumasów i Meissonierów, ale *twórców*.

Nie jest wypadkiem, że autorka po okresie wojennym, po długoletniej pracy społecznej, wróciwszy do malarstwa, trafiła do prof. Krzyżanowskiego, a potem przez Pruszkowskiego do Bractwa św. Łukasza. Byli oni o wiele bliżsi Chełmońskiemu (kult samowystarczalności!) i choć intencje ich były najlepsze, i choć dużo mówili o nawrocie do mistrzów ich czucie autentycznej tradycji malarskiej haniebnie szwankowało. Serdeczny, wierny, opis dwóch profesorów, Krzyżanowskiego i Pruszkowskiego, którzy w okresie niepodległości w Polsce mieli najwięcej entuzjastycznych uczniów (oddani byli i pomocni swym uczniom jak rzadko), mimowoli nasuwa mi porównanie trzeciego profesora, Pankiewicza. W porównaniu z tamtymi był oschły, nie wiele go obchodziło z czego żyją i z czego będą żyli jego uczniowie, jego krytyka była surowa, niezawsze sprawiedliwa; ale rzetelność, ciężar gatunkowy tej krytyki, rozległa, ścisła i wzbogacana do śmierci wiedza i kultura malarska tego artysty stworzyły, że on jeden chyba po Stanisławie Witkiewiczu, rozwinął w Polsce konsekwentną myśl malarską w reakcji przeciw deformacji sądów, wywołanej złe zrozumianym patriotyzmem i tą nieszczęsną wolą narodowej samowystarczalności w sztuce.

Żal, że w książce Pii Górskiej jest tak mało o tle tych wspomnień, bo tam gdzie autorka pozwala sobie je opisywać, książka jest najlepsza, ewokacja najżywsza. No ale to był dwór *szlachecki*, dostatni, w którym mieszkali ludzie *szlachetni* — gdzie nawet samotnik Chełmoński mieszkał miesiącami i czuł się szczęśliwy. Pewno nie wypadło dzisiaj o tym się rozwozić; młody czytelnik w kraju mógłby się jeszcze zacząć zastanawiać że może nie wszystkie dwory w Polsce były podobne do dworów z opisu Łysakowskiego, gdzie okrutne dziedziczki gryzły uszy swoim służebnym.

W rodzinnym domu autorki Asnyk i Konopnicka panować musieli wówczas na spółkę z „Ogniem i Mieczem” i „Wieczo-

rami Rodzinnymi", a pod bibułkowym abazurem pani Krupińskiej, przy fortepianie przykrytym szalem tureckim, zastąpienie „Świętego Wojciecha jadącego do pogan” — „Chłopem” Chęćmońskiego było rewolucją; Konstanty Górski czytał swe wiersze na przeniesienie zwłok Mickiewicza, czy ku czci Modrzejewskiej; Jasieński sławił Hokusaię, a p. Łagowski, idealista i oryginał, który się bronił przed atakującymi go krowami tomikiem Słowackiego — już wówczas przepowiadał wielką przyszłość młodziutkiemu Żeromskiemu.

Lampa z abazurem „koloru malinowych łódów” nie oświeciła gorzkiej samotności Gierzyńskiego, Podkowiński może by się nie uduślił psychicznie i artystycznie, gdyby i on do tamtego saloniku dotarł. Żeromskiego Pia Górską wspomina, ale to był już świat jakby innego wymiaru („... ścisła aż do uduszenia żelaznymi szponami nieszczęsne serce moje, by zeń kroplę świętości wycisnąć”). 33-letni Brzozowski, umierający w nędzy we Florencji („... dlaczego nie mogę pracować jakbym mógł, bo mógłbym. Zmieniłbym charakter polskiej literatury na całe pokolenie i byłbym szczęśliwy”) nie był pewno za życia znany autorom, a nawet z nazwiska, Waliszewski, Czyżewski zostali wspomniani, ale i oni poróżnili, potracili żądła.

Czy możemy mieć żal do autorki o te pominięcia? Bynajmniej. Wdzięczni jej jesteśmy, że opowiedziała o tych których znała i kochała, bo ten świat właśnie był także jednym z ogniw kultury polskiej.

Józef CZAPSKI

Między Wschodem a Zachodem

Pisanie studiów historycznych zawsze przypomina nieco pracę detektywa: na podstawie poszlak znalezionych w źródłach dziejowych historyk-detektyw rekonstruuje zdarzenia, tło i motywy bohaterów. Jest to szczególnie prawdziwe w odniesieniu do prac poświęconych początkom państw słowiańskich i początkom chrześcijaństwa u Słowian. Jedną z najbłyszczących i najsmielszych rekonstrukcji ostatniej doby w tej dziedzinie jest niewątpliwie praca prof. Paszkiewicza o początkach Rusi. Ukraiński historyk przebywający w Rzymie ks. Ireneusz Nazarko nie ma rozmachu ani ambicji prof.

Paszkiewicza, jego monografia poświęcona św. Włodzimierzowi (I), który zaprowadził chrześcijaństwo na Rusi, jest skromna i rzeczowa, autor nieomal nie pozwala sobie na własne hipotezy, jego metodą jest natomiast kolejny przegląd hipotez wszystkich dotychczasowych historyków i wybieranie opinii jego zdaniem najtrafniejszych. W tym wyborze wykazuje wiele trzeźwości odrzucając wszystko co jest zbyt fantastyczne lub zbyt śmiałe.

Przedstawienie zaprowadzenia chrześcijaństwa na Rusi, wobec zagadkowego milczenia źródeł, nie jest jednak łatwe. Tak więc źródła bizantyńskie w ogóle o chrzcie Rusi nie wspominają, mimo że jak wiemy dzisiejsza Ruś jest obrządku bizantyńskiego. Nie znaczy to, jak można by pomyśleć, by w Bizancjum nie interesowano się północnymi barbarzyńcami. W roku 957 bawiła w Konstantynopolu księżna kijowska Olga, z rodziny skandynawskich władców Rusi. Jej pobyt opisał dokładnie cesarz Konstanty Porfirogeneta, nie pisząc jednak nic o jej chrzcie. Ale że władczyni miała ze sobą kapelana, należy sądzić, że była już chrześcijanką.

Jeszcze gorzej jest jednak z chrztem Włodzimierza, od którego kronikarze, a za nimi historycy, datują nawrócenie Rusi. I tutaj źródła bizantyńskie wspominają upakarzające dla imperium małżeństwo z siostrą cesarza Anną, w roku 989, ale nie podają kiedy ochrzcił się książę małżonek. Kronika ruska podaje o chrzcie Włodzimierza niewiarygodną opowieść twierdząc, że ochrzczony został w Korsuniu na Krymie po zwycięskim zajęciu miasta. Jednakże już ten kronikarz, żyjący najwyżej sto lat po opisanych wypadkach podkreśla, że niektórzy ludzie twierdzą niesłusznie, że Włodzimierz ochrzcił się w Kijowie, inni znów, że jeszcze gdzie indziej. Zapewne więc rację historyk ukraiński Ohijenko przypuszczając, że Włodzimierz ochrzcił się potajemnie, skoro już w sto lat po jego śmierci nie wiadomo gdzie miało miejsce wydarzenie tej wagi. Również co do daty chrztu istnieją wątpliwości i to poczynawszy od tejże kroniki, która opisuje chrzest pod dwiema różnymi datami i w dwu różnych wersjach.

Nie wiadomo również, o ile odrzuca się relację o Korsuniu, kto ochrzcił Włodzimierza i Ruś. W świetle późniejszej historii wydawało się najlogiczniej przyjąć, jak to czyniono do niedawna, że Ruś ochrzcił księża greccy. Ale źródła greckie zachowują na ten temat milczenie. Mogłoby pomóc w rozwiązaniu zagadki, gdybyśmy wiedzieli kto mianował pierwszego biskupa kijowskiego. Ale o pierwszych biskupach nic nie wiadomo, choć kronika wspomina ich ogólnikowo w roku 996 (a więc istnieli). Pierwszy arcybiskup kijowski wspomniany jest z imienia dopiero w roku 1008.

Jaki wniosek wyciągnąć należy z tajemniczego milczenia kronik ruskich, których tekst doszedł do nas oczywiście poprzez późniejszych skrybów. Komu zależało na usunięciu jakichś faktów i jakie to były wiadomości, które oceniano? Wobec notorycznej zależności Kościoła ruskiego od Konstantynopola można tylko przypuszczać, że były to wiadomości w ten czy inny sposób dla Greków niepożądane. Milczenie może też być wymowne; opierając się na nim katolicki historyk rosyjski Baumgarten wysunął tezę, że Włodzimierz a z nim Ruś ochrzczona została przez misjonarzy rzymskich.

(1) *Sojatyj Wołodymyr Velykuj, Wołodar i Chrystytel Rusy-Ukrajiny* (960-1015), Rym 1954, *Analecta OSBM Series II, Sectio I, t. IV*, 227 stron.

Jeżeli tak było, to rozumiałe, że po ugruntowaniu się schizmy w XII-XIII wieku przepisywacze kronik opuszczali wzmianki o początkowej zależności od Rzymu. Może nawet istnieniem tych wzmianek należy tłumaczyć pewne późniejsze wstawki polemiczne skierowane przeciw Papieżowi i Latynom, a które nie mogą pochodzić z XI wieku, jak na przykład wiadomość o odprawieniu posłów papieskich przez Włodzimierza lub też apokryficzne kazanie zwrócone przeciw błędom Latynów, a wygłoszone rzekomo przed chrztem Włodzimierza w Korsuniu.

Ale jest jeszcze trzecia teoria, wysunięta przez rosyjskiego uczonego Pri-sielkowa, teoria bułgarskiego pochodzenia chrześcijaństwa na Rusi. Hipoteza ta opiera się między innymi na pewnych nieprawdopodobieństwach poprzedniej: gdyby rzeczywiście hierarchia i obrządek za Włodzimierza były łacińskie, to skąd wziąłby się późniejszy obrządek słowiańsko-bizantyński? Otóż w tym samym okresie istniał niezależny słowiański patriarchat w Ochrydzie, w zachodniej Macedonii. Patriarchat był niezależny od Bizancjum, ale utrzymywał kontakty z Rzymem, co sprawia, że hipoteza ta jest miła księdzu Nazarce. Za tą hipotezą przemawia sytuacja ówczesna polityczna: Włodzimierz wolał być niezależny od Bizancjum i od Rzymu. Można by się jednak zapytać czy rzeczywiście te teorie przeczą sobie wzajemnie? Autor twierdzi, że Olga nie mogła przyjąć chrześcijaństwa z Bułgarii, bo wtedy samodzielny patriarchat ochrydzki jeszcze nie istniał. Chrześcijaństwo istniało w Kijowie już za Olgi, to jest około 950, były nawet kościoły, miała nawet kapelana. A więc w jakim języku odprawiano mszę w Kijowie w latach 950-990? Jeżeli w greckim lub łacińskim, to dlaczego i jak zmieniono go później na słowiański? A jeżeli w słowiańskim, to upada jeden z argumentów dla hipotezy ochrydzkiej. Ostatecznie obrządek słowiański istniał w Bułgarii od czasów uczniów Cyryla i Metodego to jest od końca IX wieku, miał też wówczas, choć niechętnie widziany przez niemieckich misjonarzy, swoje centra w Czechach i na Węgrzech (tak zwane chrześcijaństwo pannońskie). A więc Olę mogli nawrócić misjonarze słowiańscy, obojętne czy z Czech — a więc podlegli papieżowi — czy z Bułgarii. W każdym razie schizma jeszcze wówczas nie istniała. Jeśli chodzi o kontakt z Rzymem, to w 961 przyjechał nawet do Kijowa od cesarza Ottona biskup Adalbert wyświęcony umyślnie na biskupa kijowskiego.

Kontynuując to rozumowanie można by przypuścić, że Włodzimierz mógł równie dobrze być ochrzczony przez misjonarzy czeskich, którzy dostosowali się do istniejącego w kraju obrządku słowiańskiego, jak przez misjonarzy bułgarskich. Jeżeli za hipotezą bułgarską przemawia to, że Włodzimierz miał żonę Bułgarkę, której synom nadano imiona cesarzy bułgarskich, to miał on też żonę Greczynkę (a imiona chrześcijańskie wszystkich jego synów są greckie), a miał i dwie żony Czeszki. Tak więc problem jest skomplikowany. Za hipotezą bułgarską przemawiają, jak słusznie twierdzi ks. Nazarko, następujące argumenty:

1. Brak w źródłach bizantyńskich imienia patriarchy, za którego Ruś przyjęła chrzest. (Może to być jednak również argument na korzyść tezy rzymskiej).

2. Tytuł arcybiskupa, a nie metropolity, nadawany pierwszym przewodcom Kościoła w Kijowie aż po rok 1037. Według tradycji Kościoła Wschodniego arcybiskup był niezależny od patriarchy konstantynopolańskiego, a me-

ropolita był zależny. Gdy w roku 1037 mianowany został głową Kościoła ruskiego Grek Teopempt, to wspominany jest już jako metropolita. Łączy się to być może z upadkiem patriarchatu w Ochrydzie.

3. Używanie języka staro-bułgarskiego (staro-słowiańskiego). Jednakże, jak wspomnieliśmy powyżej, nie jest to argument decydujący.

4. Bezsprzeczne wpływy bułgarskie na wszystkie zabytki literackie okresu kijowskiego.

5. Fakt, że pierwszy grecki metropolita zjawił się w Kijowie najwcześniej w 1037 czy też 1039.

6. Obecność metropolity bułgarskiego w Kijowie w 1020.

7. Imiona Roman i Dawid nadane synom Włodzimierza na cześć członków dynastii bułgarskiej.

Wprawdzie żaden z tych argumentów nie jest wystarczający samodzielnie: język starobułgarski mógł się dostać do Kijowa pod protekcją Bizancjum, podobnie jak zabytki literackie, a także jak bułgarski metropolita. Imiona Roman i Dawid nosili cesarze bizantyńscy i to od nich wzięli je cesarze bułgarscy. Ale jeden argument jest decydujący: milczenie źródeł. W każdym razie powyższe argumenty zdają się zaprzeczać tezie rzymskiej. Ale z drugiej strony w niektórych rękopisach kronik ruskich zachowały się niezmiennie lakoniczne wieści o poselstwach Papieża do Włodzimierza i tego ostatniego do Rzymu. Wiemy w każdym razie, że z Rzymu przybyli posłowie papiescy byli u Włodzimierza w 988, w 991, i wreszcie w 1000. A Włodzimierz wysłał jedno poselstwo w 994, a drugie w 1001. Zauważono słusznie, że te informacje kronik ruskich muszą być prawdziwe, bo w późniejszym prawosławnym okresie nikt nie miał interesu, by je podrabiać w tym sensie. Jeszcze jedno świadectwo życzliwości Włodzimierza wobec Rzymu: misja św. Brunona z Querfurtu (przyjaciela Bolesława Chrobrego), który nawet wyświęcił w Kijowie biskupa misjonarza dla pogańskich Pieczyngów.

W każdym razie koronacja Włodzimierza przez legatów papieskich wydaje się hipotetyczna, choć nie brak pewnych pośrednich wskazówek ku temu, jak na przykład tytuł rex w liście papieża Grzegorza VII do wielkiego księcia kijowskiego Ijasława (1075).

Ciekawą stroną monografii stanowi również część poświęcona Rusi przedchrześcijańskiej. Autor słusznie podkreśla, że przedchrześcijański światopogląd miał też wartości etyczne (ale czyżby rzeczywiście większość badaczy zaprzeczała istnieniu takich wartości?).

Sporną natomiast wydaje się data kanonizacji Włodzimierza. Ks. Nazarko umieszcza ją w latach 1250-1263, ale sam pisze, że w kronice wzmiankowany jest on jako święty po raz pierwszy w 1254, a już w 1240 ułożono specjalną mszę na jego cześć. Chyba nie układa się mszy na cześć osób, które dopiero mają być kanonizowane?

Tak samo skąd autor wie, iż Włodzimierz uważał, że jest sam jeden źródłem władzy i prawa państwowego? I że chciał, by jego następcą był jego syn Borys i w tym celu zamierzał zmienić niepisane prawo dziedzictwa? Co znaczy stwierdzenie na str. 36, że Olga była katoliczką? Zanim nastąpiła schizma, katolikami byli również patriarchowie Konstantynopola, wśród nich i patriarcha Focjusz.

Wreszcie to, że na mogile Askolda zbudowano w XI wieku kościół nie dowodzi, że był chrześcijaninem, a tylko, że uważano go za chrześcijanina w 200 lat po jego śmierci. Podobnie obecność chrześcijan wśród członków poselstwa do Konstantynopola w 944 nie dowodzi, że większość mieszkańców Kijowa była chrześcijańska. Może do poselstwa wybrano celowo nielicznych chrześcijan, którym łatwiej było znaleźć wspólny język ze współwyznawcami.

Do zbędnych szczegółów w monografii należą zaczerpnięte z drugiej ręki rozważania o pochodzeniu imienia Włodzimierz oraz dyskusja o herbie rodowym czy państwowym, trójzębie. W każdym razie obecność tego znaku na pieczętkach celnych itd. nie przeszkadza uważaniu go za herb władcy, podobnie jak to było np. z liliami francuskimi. A wystarczy przyjrzeć się reprodukcjom podanym na końcu książki, by się przekonać, że trójzab z krzyżem nigdy nie istniał. Krzyż na monetach należy nie do trójzęba ale do okalającego napisu.

Jeszcze jeden drobny ale nieco denerwujący szczegół to niedbała francuzczyzna i angielszczyzna w streszczeniach na końcu książki. Skoro już się robi takie streszczenia, to należy dbać i o ich stronę językową. Warto natomiast podkreślić staranną szatę graficzną książki, wydanej przez OO. Bazylianów w Rzymie w formacie wielkiej ósemki i zaopatrzonej w liczne reprodukcje miniatur i rękopisów staroruskich, zaczerpnięte z biblioteki watykańskiej.

Andrzej VINCENZ

Mróz siarczysty

Jeśli cierpliwość jest cnotą krytyka, to należy polecić książkę Jana Ziółkowskiego wszystkim recenzentom: lektura to zaiste umoralniająca. Powieść *Homines novi* składa się z trzech tomów, każdy ponad 500 stron, razem bez mała 1.800. Pracowity autor czeka na cierpliwego recenzenta. Z czytelnikami bywa różnie; niektórym brak cierpliwości, innym — czasu. Należałoby na wszelki wypadek streścić trylogię Ziółkowskiego, ale taki skrót zająłby chyba pół numeru „Kultury”; lepiej tedy cytować, żeby czytelnik miał jakie takie pojęcie o *Homines novi*. Zaczyna się to wszystko bardzo po polsku, od pejzażowych poetyczności:

„Mróz był siarczysty. Śnieg zakrzepły w skorupę lśnił tumanem migotliwych skier, rozsianych po jego białźnie przeciętej w połowie grudziastą

(*) Jan Ziółkowski, *Homines novi*, III tomy, str. 579 + 532 + 647. „Czytelnik”, 1955.

drogą. Białizna owa, w dalekościach objęta siną otoką starych borów ...” etc.

Aha! jest tuman, jest otoka, są stare bory — w porządku, znów stoimy na znajomej, grudziastej drodze prozy ojczystej. Zaraz ukaże się niepozorny człowiek na tle krajobrazu, babuleńka lub chłopowina — i autor opisze tę nagłą zjawę dokumentnie. Po ptakach i drzewach, którym „było źle a straszno w srogi czas zimy onej zajadłej”, Jan Ziółkowski wypuszcza swą pierwszą kukielkę na mróz siarczysty, w sam środek siedemnastego wieku:

„Kiedy stary Wojciech Horodek szedł drogą pośród białych pól, to jego pochylona nieco na piersi głowa myślała o tym z ciężkim frasunkiem. Słaby starowina był...” etc.

Myśli sobie słaby starowina o Polsce „okrutnie smaganej nieszczęściami, ale to jest Polska pańska, przeto autor, historyczną wizję olśniony, poucza tępego czytelnika już na stronie 9:

„Największe zuchy uchodziły na Ukrainę ‘bić panów’, jak powiadały pomagać chłopstwu ruskiemu, które podniosło się przeciw pańskiemu uciskowi. Ba! — i w Koronie pono tu i ówdzie przeszły niszczącą stopą chłopskie buty”.

Ba! — pono tu i ówdzie w powieści Ziółkowskiego przechodzi niszczącą stopą literatura, taka staromodna literatura, której buty bardzo wydeptane. Bo kto w tych butach już nie chodził? I Czajkowski, i Kraszewski, i Orzeszkowa, i Żeromski także. Ale Jan Ziółkowski w epigońskiej dufności depcze Sienkiewiczowi po piętach, przykładając swoje „niszczące stopy” do śladów wciąż jeszcze świeżych, które w literaturze zostawiła *Trylogia*. Jak je zamazać, jak zatrzeć pamięć tamtej wizji siedemnastego wieku?

Niemal 1.800 stron potrzebował historiozof Ziółkowski, żeby rozprawić się z *Potopem*, gdyż raczej tej części *Trylogii* odpowiada akcja *Homines novi*. Pod koniec rozdziału 11 (tom I) ukazuje się Radziejowski („Była w tym człowieku i jego stroju mieszczanina polskiego wyglądu, francuszczyzny i szwedzkich składników”, taka o nim składanka wyszła spod pióra autora); potem dużo przygód, scen rodzajowych, z dodatkiem orientalnej fantasmagorii na Krymie, aż wreszcie, wybrnąwszy z gęstwy 1.000 stron, słyszymy na skraju tomu drugiego, że Szwedzi tuż — i że będzie „patriotyczna” wojna, partyzancka saga, nie tylko chłopcy i proletariatus miejski, jedno wielkie krzepienie sere po plebejsku. Kukielki powieściowe tak to sobie pokrzykują:

„Nie całkiem to pańska wojna, nie!” ... „Z Kozakami żołnierz plebejski bić się nie chce, bo czuje w nich braci, ale ze Szwedem — to co innego” (43). „Widzicie, to będzie inna wojna niżeli z ruskimi chłopami” ... „Nie czas płakać! Stare umiera, ależ za to nowe się rodzi” (44).

Niestety, ani stare nie umarło, ani nowe nie urodziło się w przestronnej powieści Jana Ziolkowskiego. Jeśli jest w niej jakiś urok, to chyba rozbrajający urok naiwności, która na swój sposób łączy nieskoordynowane fakty i komentarze, postaci historyczne i stwory ubogiej wyobraźni, podrygi fabuły i wstawki informacyjne, wycinanki pseudo-ludowe, zmory szlacheckie, strachy na Lachy i różne dziwactwa epickiego majaczenia, ale ta wszechobecna naiwność nie była zapewne celem artystycznym autora.

Nie należy przy tym winić tradycji literackiej, którą autor tak mozolnie podrabia. Jeśli nawet myślał o pojedynku z Sienkiewiczem, to sama naiwność pomysłu rozgrzesza go na każdej stronie „*Homines novi*” bo gdziekolwiek otworzymy książkę, wpadają w oczy zdania nieudolne, najeżone pocieszenie, jakby udawały, że atakują czyjś styl (czyj? — Sienkiewicza, Reymonta, Zeromskiego?).

„Coraz poglądał na gibkę z przyrodzenia, nynie ocieężała od trudu postać Magdy — a tak lubieżnie, jakby ją w myślach obnażał. Z połyskujących w grudce błota źrenic wyjrzało jawnie doświadczone rajfurstwo” (I, 34).

„Już dawno nie był tak niefrasobliwy, jako dzisiaj. Wziął ją w ramiona i całował długo, aż straciła dech i jęła mu lecieć przez ręce. — Mój! — szepnęła, upojona. — Mój ty, mój, mój... — Puścił ją nagle i począł przygotowywać narzędzia. Niebawem zabrał się ochotczo do roboty” (II, 24).

Tu runęła na nią mieszczańsko-chłopska partia Dołęgi. Polała się obficie krew, rozpętała palba muszkietów” (III, 30).

„Otumaniała Dołęgę aura schodzącej, jak się zdawało, do ludu ze stopni tronu królewskość” (III, 30).

Skoro zestawienie z *Potopem* byłoby zbyt okrutne dla Ziolkowskiego, może lepiej przypomnieć mniej ambitne próby odтворzenia tej samej epoki. W *Stefanie Czarnieckim* Michała Czajkowskiego, czy też w *Kordeckim* Kraszewskiego materiał historyczny przytłacza fabułę, ale za to daje zamkniętą kompozycję. Katalog faktów, choć nuży wyobraźnię, nie wymaga od niej, żeby przyjmowała przeszłość na wiarę. Ziolkowski posługuje się mimo woli techniką pisarską Czajkowskiego (romantyczne nadużywanie zbiegu okoliczności), lub, wedle metody Kraszewskiego, pakuje nudne wstawki informacyjne, żeby uzyskać jakiś przynajmniej pozór prawdopodobieństwa. Stąd te ciągłe charakterystyki postaci *a priori*, które nie wynikają z akcji, a zastępują ilustracje.

„Miał tłustą, nalaną, piegowatą twarz z trzema podbródkami, okoloną długim włosiem, rozdzielonym na głowie, spadającym w lokach na ramiona, oczy wypukłe, brwi podniesione ...” etc. (III, 6).

Kraszewski o wiele zręczniejszy umiał „ilustrować” (*Brühl, Hrabina Cosel*) i nigdy nie udawał, że był lepiej poinformowany

od naocznych świadków, których relacje wiernie powtarzał. Ziolkowski szyje swoim kukielkom stroje na wyrost: po banalnej charakterystyce Jana Kazimierza w rozdziale 28 (t. I) dodaje prze-mądrzałym tonem, że „zalet swych nie zdołał należycie spożytkować, wad — ukryć. Co go nieraz omal nie przyprawiło o utratę tronu”.

I jakiej tu niespodzianki psychologicznej można się spodziewać po takim szkicu „na wyrost”, a przecież jesteśmy dopiero na 226 stronie powieści.

Sienkiewicz był rozsądnym nowatorem w zastosowaniu dialogu pozwalał charakterom ujawniać się w żywej, potocznej mowie, a stylizował dialog bez przesady, wybierając z tekstów siedemnastowiecznych te właśnie zwroty kolokwialne, w których utrwalił się sposób myślenia ówczesnych ludzi, a więc i cechy charakteru. Nie była to aż tak prymitywna psychologia, jak się niektórym wydaje. Łatwo dziś krytykować jego maniery, nawroty pomysłów, efekty retoryczne, ale jakże umiejętnie przybliżał Sienkiewicz odległy temat historyczny, polegając bardziej na autentyczności języka, niż na martwej współczesności eksponatów muzealnych. Wśród zachowanych resztek przeszłości szukał zaś tych drobiazgów, które by mogły łatwiej ożyć w narracji; dla niego strój, uzbrojenie, architektura czy meble nie istniały w izolacji, ale uzewnętrzniały sens minionego czasu — i dlatego pamiętamy całe sceny z jego utworów, niejako sumę wrażeń, na które złożyły się frazy dialogu, gesty ludzi, konkretne przedmioty w toku akcji, krajobraz odbity w oczach człowieka, a nie doklejony do tła.

Ziolkowski mało widać wyniósł z lektury Sienkiewicza, bo kiedykolwiek próbuje umieścić szczegół w fabule, to albo go zaraz gubi w mętnej rzece słów, albo wystawia na pokaz pod szkłem gablotki, jakby wewnątrz powieści było antykwarnię. Biją się u niego plebejusze, przygotowują obronę Warszawy, pomagają Czarnieckiemu w Krakowie, wyręczają Kordeckiego, ale mimo dobrych chęci dydaktycznego Ziolkowskiego wszystko martwe, zgielek słów, ale rupieciarnia historyczna wciąż pokryta pajęczyną, ani śladu życia. Można powtarzać wyraz „muszkiet” sto razy, ale to wcale nie znaczy, że czytelnik będzie miał jakieś bliższe o nim pojęcie po setnym powtórzeniu. Oto jak strzela ze słów batalista Ziolkowski:

„zagrzmiała palba”, „zagrzmiały wszystkie działa polskie”, „zagrały działa a muszkiety”, „strzelano do nich z dział i muszkietów”, „huk dział i muszkietów”, „huraganowe grzmienie dział”, „piekielny terkot muszkietów i nie ustający grzmot dział”, „pod gradem kul”, „przysłi z armat”, „posypały się za nim kule”, „zajęła dogodnie stanowiska strzeleckie i także rozpoczęła bliski ogień muszkietowy”.

Tom trzeci, gdzie najwięcej wojennego hałasu, wygląda na karyturę *Potopu*, zamierzoną (bo Ziolkowski „po plebejsku” poprawia wersję Sienkiewicza), ale także i mimowolną, szcze-

gólnie w tych scenach, gdzie autor nabija działa, gra na muszkietach, ugania się po szanach i kładzie trupem tysiące Szwedów w patriotycznym zapale. Obrona Jasnej Góry została naturalnie odpowiednio spreparowana, w rozdziałach 21 i 22, żeby zatrzeć pamięć religijnych wzruszeń reakcjonisty Sienkiewicza. „Cała załoga — chłopcy. Kordecki mieszcuch iwanowicki”, czytamy komentarz, ale — niestety — zdeklasowana przeszłość nie chce ani rusz stanąć przed oczyma, mimo „grzmienia dział” i „chmary jasnogórskich chłopów”. Kraszewski, choć nie tak plebejski jak Ziolkowski, dał żebracze Konstancji pole do popisu, ale w *Homines novi* ledwie o niej wzmianka: po co pokazywać postać pełną religijnych przesądów?

Autor tej powieściowej kolubryny, kiedy mówi o religii, to zwykle w cudzysłowie, żebyśmy mu (Boże broń) nie wytknęli przesądu. Ślubowania Jana Kazimierza we Lwowie (III, 24); czytamy:

„Za czym dwaj diakoni w złocistych dalmatykach zdjęli ów ‘cudowny obraz’ Matki Jezusowej i przenieśli go na główny ołtarz katedry”.

A jak rozumiemy pocziwy plebs na początku rozdziału?

„Król ma wszystkich ubogich z uciemnienia wybić — mówiono. — Wolność ruskiemu ludowi przywróci. Sam hetman Chmielnicki mu teraz sprzyja”.

Uświadomieni postępowcy w *Homines novi* wiedzą coś niecoś o szerokim świecie. Bardzo oni pro-angielscy, przejęli się Cromwellem i, o dziwo, Miltonem także (akcja powieści kończy się w 1661 roku). Taki o nim śliczny dialog w ostatnim rozdziale powieści:

„— Milton pono kaleka ... — Oślepl w roku pięćdziesiątym czwartym, aliści umysł ma jasny i wielki — odparł Strubicz”.

A kilka stron wcześniej uczona wstawka samego autora:

„Poeta John Milton i filozof Thomas Hobbes, dwa wielcy myśliciele angielscy, których Jerzy znał i z których mądrości był korzystał przez kilka lat, stanowili coraz częściej materię ich rozmów. Podobno cała nauka europejska była pod wpływem tych dwu wielkości”.

Dowiadujemy się także o tak zwanych przekładach pamięciowych:

„Strubicz mówił o Miltonie z uwielbieniem. Znał jego wiersze na pamięć i znaczne okruczości prozy. Cytował je biegle po łacinie, po angielsku i nawet po polsku z własnych przekładów pamięciowych”.

Co on tam przełożył ten Strubicz? — chyba nie fragmenty *Paradise Lost*, bo jeszcze wtedy nie był wydany. Dlaczego nie?

Przecież Strubicz gadał z Miltonem, słuchał pilnie, a pamięć natychmiast przekładała. Zresztą bohater powieści, Dołęga, opuszcza trylogię Ziolkowskiego tylko po to, żeby pojechać do Anglii. Tam zajmie się Miltonem na dobre. Powody? Zazdrość samouka-intelektualisty.

„Dołęga zazdrościł przyjacielowi znajomości świata i studiów. Nigdy nie przestawał marzyć o dalszej edukacji a podróżach. Milton i Hobbes pociągali go przemożnie. Obiecywał sobie od dawna wyjazd, by poznać kraj Morusa i ‘równaczy’”.

Przed wyjazdem jednak musi Dołęga dać kilka dobrych rad, bo właśnie skończyła się jeszcze jedna wojna pańska z Moskwą, prowadzona „w nadziei uzyskania latyfundiów na ziemiach ruskich”. Roztropek prawi:

„Ja na miejscu króla, jego ministrów i wodzów szukałbym za wszelką cenę ugody z Moskwą — odparł Dołęga. — I gotowałbym w przymierzu z nią wojnę przeciw półksiężycowi, którego tylko patrzeć zwali się na Rzeczpospolitą. To zdanie zresztą nie moje. Słyszałem je od wielu bardzo rozumnych ludzi, których łapczywość na ruskie ziemie nie zaślepiła” (III, 50).

Kim w ogóle jest ten Dołęga, bohater wielce aktywny, pozytywny, tytan siły, cromwelczyk i miltończyk, który mimo tylu zalet ciała i ducha załamuje się, i rozżalony na króla (nie poznał się Jan Kazimierz na *homines novi*), jedzie tam, dokąd go „pociągali przemożnie” Milton i Hobbes...

To chłop Antek Hodorek, a usynowił go niejaki Miech-Dołęga, tajemniczy propagator idei radykalnych: stąd ta przemiana w szlachcica oraz pieniądze na grube i drobne wydatki. Hodorek dzięki tej przemianie może się uganiać po trylogii Ziolkowskiego, uświadamiać politycznie Jana Kazimierza i Czarnieckiego; raz jest szlachcicem, raz chłopem, tak jakby Kmicic udawał Kiemlicza a nie Babinicza. Poza tym energię ma tę samą co ów reakcjonista z *Potopu*. Tylko że autor musi co pewien czas przypominać czytelnikom kto zaczął Hodorek a kto Dołęga. Czyni to na stronie 376 tomu drugiego, bo dziadzio Wojciech, tak jak znużeni przygodami czytelnicy, nie wie dobrze o co chodzi, gdzie Krym a gdzie Milton.

„Jużem wam mówił — odparł podrażniony młodzieniec — że po Miechu-Dołędze dziedzicze, którego mnie usynowił... I papiery sposobne mam na to”.

Papiery są. Czyli informacja tudzież dokumentacja. Autor pamięta o wszystkim. A sam pan Czarniecki wróży bohaterowi przyszłość nielada:

„Zdumiewasz mnie — Czarniecki powstał. — Osobliwy z ciebie człek. Prawdę mówił Ignacy, Drugi Milton z ciebie wyrośnie. Podyskutuję kiedy w wolnym czasie ...” (III, 42).

Czarniecki, chociaż „ani z soli ani z roli”, na Miltonie się poznał.

Odkrywcą politycznym może Jan Ziółkowski i jest, ale nie odkrył nowości w formie powieściowej. Wręcz przeciwnie, osnuł banalną fabułę wokół staromodnego bohatera, który wyskakuje jak *deus ex machina* z nieprawdopodobnych sytuacji, orientuje się znakomicie w pogmatwanych wypadkach swego czasu, jakby co dzień słuchał komunikatów radiowych z zaświatów. Realizm w tym wszystkim — jaki? A rewizjonizm historyczny? Kraszewski przy Ziółkowskim wyrasta na wielkiego sceptyka, a Sienkiewicz aż mrozi swoją ironią w *Potopie*, nawet w opisie obrony Jasnej Góry. Smutna to i bardzo nudna lektura, ci *Homines novi*.

Dlaczego więc pisać o niej artykuł recenzyjny? Chyba dlatego, że słyszymy co chwila poważne głosy ekspertów, badaczy socrealizmu, odwilży pierwszej, odwilży drugiej, zamrażania i odmrażania literatury polskiej. Ile subtelności „na wyrost” i „na odległość”, ile domysłów, ile wnikliwości — a tu po prostu taje epigoństwo, leje się woda z zaśniedziałych kranów, a zbiorniki kolektywnego natchnienia wciąż te same, stare, nieoczyszczane od lat. Nie można zwyczajnie pisać o współczesności, więc dalej poprawiać Reymonta, Sienkiewicza, Kraszewskiego; a literatura stoi w miejscu i czeka aż ktoś wreszcie zacznie tworzyć po swojemu, trochę inaczej niż za dawnych lat bywało. Stare nie umarło, a nowe się nie narodziło.

W *Homines novi* nie ma wprawdzie odwilży, mróz tu siarczysty, od początku do końca powieści; historia zamrożona, i kukielka Hodorek czyli Dołęga, oraz Bogu-ducha-winny Milton. Co to będzie jak zacznie tajać na całej przestrzeni tych ogromnych trzech tomów? Czytam na ostatniej stronie każdego tomu:

„Wydawnictwo prosi o nadesłanie uwag o przeczytanej książce, dotyczących jej tematu, treści, języka, wyglądu zewnętrznego, popełnionych w niej błędów i omyłek oraz o wyrażenie życzeń, do których wydawnictwo mogłoby się zastosować w swej dalszej pracy”.

Wyrażam skromne życzenie: czy może wydawnictwo zaofiarować autorom przyszłych epepei dodatkową premię: za każdą skreśloną stronę maszynopisu podwójne honorarium. Dla Jana Ziółkowskiego potrójne. Radosna to będzie twórczość.

Jerzy PIETRKIEWICZ

Marzenie generała

Nie sposób odmówić powieści gen. Zygmunta Bohusza-Szyszki (*) swoistego wdzięku.

Istnieje w literaturze pewna granica banału i naiwności, którą nie tak łatwo przekroczyć. Poniżej tej granicy grafoman jest po prostu nudziarzem. Poza nią zaczyna się królestwo niezamierzonego humoru, kredensowy oleodruk, marzenie na jawie panny służącej. Autor musi tu niezawodnie utrafić w najbardziej wytarte określenie, pilnie uważać aby każdy Anglik był flegmatyczny, każda dziewczica cnotliwa, każdy bolszewik bestialski, każda hrabina dumna, każdy dzionek piękny. Mistrzowsko przestrzegając tych reguł, gen. Bohusz-Szyszko wskrzesił w swej „Atomowej Pożodze” rodzaj literacki, który wydawał się wygasły. Subtelni amatorzy „Zbrodni lorda Klejmur”, „Tragedii Sieroty”, czy „Pomyłki hrabiny Myszysławskiej” odnajdą w tej książeczce odległy zapach tego szarego papieru, na którym pokątny wydawca z Kielc czy z Kalisza dostarczał pokątnym sprzedawcom na wózkach „interesującej lektury” dla kucharek.

Spróbujmy oddać wdzięk tego stylu, rozbijając kilka zdań z „Atomowej Pożogi” na pytania i odpowiedzi:

— Co zastygło w skupionych rysach lorda Claymour?

— Wola walki o rodzinne gniazdo.

— Na co spoglądały ze zgrozą nieruchomym wzrokiem martwe źrenice lady Claymour?

— Na nagie, pokrwawione i sponiewierane ciała córki i wnuczek, sztywniejących już w objęciach śmierci.

— Od czego rzadko odstępował lord?

— Od zwyczajów ustalonych od dziesiątków lat.

Ale trzeba by cytować całymi stronami. Zaczyna się od wizyty sowieckiego ambasadora (jak się nazywa? „Ekscelejncja Bałwanow” — oczywiście) u brytyjskiego ministra spraw zagranicznych („stary, wytrawny dyplomata, wychowanek Eaton (sic) i Oxfordu, panował nad sobą w sposób niezrównany”). Sowiecka armia rusza do ataku? — „Bestie Apokalipsy wzięły w posiadanie i wyzwoliły z karbów dyscypliny ich dzikie dusze i instynkty”. Jest też niezrównany opis angielskiego zamku („nieprzeczuwane i niespodziewane stało się przez siedzibą lordów Claymour widmo zniszczenia i zagłady”).

(*) *Atomowa pożoga*, Wyd. „Książka dla Wszystkich”, Londyn, 1956.

Żeby w niczym nie uchybić przepisom Camery Obscure, autor nie uznaje reguł gramatyki i ortografii. Nie chcąc nużyć czytelnika długą listą nie przypadkowych, bo powtarzających się poprzez całą książkę tych samych błędów, skondensowałem je w jeden, sklecony przeze mnie paragraf:

„Blisko Londynu w Harrow, oszczędzonego przy bombardowaniu, amerykański lotnik lazał wśród krzedów. Dziesięciu minut nie minęło, a ściemniło się u podnóża. Twu! — wstchnął lotnik — jestem w hałasie, między Scyllą i Harybdą. Trzeba wziąć się do kupy. Klka bomb padło niespostrzeżenie, wybuchając raz po raz. Taki huk, że pękały benbenki. Mimo pawagi sytuacji, lotnik nie zdziwił się. Czy mają nas, obywateli Stanów Zjednoczonych, uważać za durni? Sbróbcie tylko! Wprawdzie nekła go myśl o ponad pół miliona ludzi, ale poczuł się zdrowym jak trzynastoletni chłopak. Wdział chęlm i ochrone rękawice. Dowódce nie zawołał — pomyślał. Z pod miasta nadchodzili Awerykanie. Wpradzie pięcioro z nich są Polakami. Co za radość! Porócili! Włane wojsko! Lotnik miał zwyczaj nie myśleć o przyszłości. Na jednej z pulek leżało pudelko. Lotnik wziął go, zastanawiając się do czego może słyżyć. Choć tu, Dziadziu, zawołał, pójdziemy się kopać. Pótem pojedziemy do Eaton, do Lourde, albo do Jakutsk. Rąbnąć w to wszystko ganatem!”

Byłoby zwykłą niewdzięcznością (i pedanterią) stosować do tak zabawnej książeczki kryteria „literackie”. Nie ma co robić tu zarzutu autorowi z „super-pol-realizmu”, ani biadać że w najczarniejszych latach polskiego żdanowizmu nie ukazała się w kraju książka równie „schematyczna”. „Atomowa Pożoga” należy do innej kategorii drukowanego słowa, której w normalnych warunkach nikt nie kwituje recenzją.

Jeśli piszę o niej w „Kulturze”, to dlatego że przedstawia ona ciekawy przykład psychologicznego „transferu”. Dotyczy on dziedziny politycznej. Nie wspominałem dotychczas, że „Atomowa Pożoga” jest „powieścią fantastyczną”, o losie świata w niedalekiej przyszłości, „1984” dla najuboższych.

— „Warunki polityczne w Europie i w basenie morza Śródziemnego układały się w ostatnich latach na korzyść Związku Sowieckiego” — zaczyna swą powieść generał. Przeskoczywszy „kolektyw”, generał umieszcza na czele Z.S.S.R. anonimowego i krwawego „Dyktatora” (braciszka „Wielkiego Brata”). Parę stron rozważań politycznych i gospodarczych na poziomie szkoły powszechnej wprowadza nas w sytuację: Amerykanie wycofali się z Europy, która „stała się łatwym łupem bolszewików” („zdobyli ją bez wojny, rękami jej rodzimych komunistów”). Środkowy Wschód i północna Afryka są również w ręku Kremla. Anglia jest jeszcze niezależna, ale komuniści weszli już w skład brytyjskiego rządu. Dominia nie chcą jej pomóc, „bo izolacjonizm Stanów Zjednoczonych stał się wzorem godnym do naśladowania”. W takiej to sytuacji (defetyzm czy szadenfrajda emigracyjnej Kasandry?), „ekscelencja Bałwanów” wręcza rządowi brytyjskiemu ultimatum, żądając dalszego rozbrojenia Anglii. Rząd brytyjski zdecydowany jest oczywiście na

przyjęcie tego ultimatum, mimo wystąpienia „szefa sztabu imperialnego marszałka Kindfielda”. Marszałek mówi (chyba z pełną sympatią autora):

— „Jestem wstrząśnięty faktem, że oddajemy się bez walki i oporu na łaskę i niełaskę Związku Sowieckiego... Czy moglibyśmy stracić więcej prowadząc wojnę, niż już straciliśmy bez wojny?” Ale odwaga powieściopisarza nie idzie tak daleko nawet w tej beznadziejnej sytuacji, by zmusić swój imaginacyjny Zachód do zbrojnego oporu. Obserwujemy tu swoisty hamulec, który można by określić „kompleksem podżegacza wojennego”. Autor jest obezwładniony niezliczonymi deklaracjami, w których emigracyjni generałowie i ministrowie zapewniali że nie życzą sobie wojny. I musi się uciec do absurdu chwytu: po wykazaniu w pierwszym rozdziale jak cały świat pada w ręce Sowieców jak zgniła gruszka — drugi rozdział zaczyna... atakiem Sowieców na Anglię! Nie można pogodzić inaczej kilku tez, które są najwidoczniej ukochane przez generała: 1) Świat zachodni jest zgniły i zasługuje na karę; 2) Agresji wojennej może dokonać tylko nikczemny przeciwnik; 3) Mimo że wszystko idzie na rękę Z.S.S.R., „dobro” musi odnieść pełne i całkowite zwycięstwo.

Doprowadziwszy w ten sposób do wojny, generał hula już na całego. Czego tu nie ma! I bomba atomowa, i gazy, i promienie śmierci, i broń bakteriologiczna... Ale ponieważ generała obowiązuje optymizm, ludzkość przechodzi przez tę strasliwą wojnę „obrońną ręką”. Ameryka zwycięża. „Legalne władze” wracają do Polski, „własność prywatna zostaje przywrócona”, a wszystko kończy się żenującą pseudo-chrześcijańską apoteozą.



„Atomowa Pożoga” jest pierwszą książką wydaną przez nowe emigracyjne wydawnictwo pod nazwą „Książka dla wszystkich”, „u podstaw (którego) leży przekonanie że książka polska wydana na emigracji — jeśli ma być pokupna, musi być

w a r t o ś c i o w a !
z a j m u j ą c a !
t a n i a !”

Powieść gen. Bohusza-Szyski zapowiedziano następująco:

„Akcję powieści rozpoczyna atak sowieckich broni atomowych na W. Brytanię i Stany Zjednoczone. Od tej chwili wydarzenia pędzą z huraganową szybkością, a oszołomiony czytelnik przeżywa je jak jakiś koszmarny sen. Ale nawet wśród okropności wojny atomowej triumfuje odwieczne prawo... miłości, która zjawiając się w kulminacyjnym momencie, stanowi jakby pierwszy promień słońca, jest niby zwiastunem pomyślnego zwrotu wydarzeń, które muszą w końcu doprowadzić — choć przez ciężkie doświadczenia — do pokonania władców Kremla”.

...koszmarny sen!

K.A. JELEŃSKI

Leki ludzi zagubionych

W jednym ze staropolskich tekstów czytamy: „Co Włoch /to doktor,/ Co Niemiec to kupiec. Co Polak to hetman”.

Od tego czasu wiele wody upłynęło w rzekach Europy, toteż i lapidarne definicje — gdyby ktoś dzisiaj próbował tego siedemnastowiecznego rodzaju — musiałyby być inne.

Co Polak to poeta — można by powiedzieć obecnie, sądząc po ilości rodaków piszących wiersze. Mam na myśli Emigrację, tutaj bowiem zdarzenie wspomnień utraconego Kraju z zachodnią, obcą emocjonalnie atmosferą wyzwoliło i wyzwało *marzenie*, będące pierwszym i najłatwiejszym budulcem liryki.

W chwilach melancholijnej samotności, emigrant pisze wiersz, chcąc jakby w ten sposób utrwalić swą polską odrębność, zagrożoną postępującym wynarodowieniem. (Błędy językowe są smutnym dowodem tego procesu...) Pragnie też, pisząc niemal odruchowo kilka tęsknych religijno-patriotycznych wierszy, wynieść się ponad otoczenie i podświadomie użyć poezji jako leku na swój kompleks niższości. Napisał bowiem wiersz, staje się kimś wyjątkowym. Ma prawo spoglądać z góry na towarzyszy pracy, Belgów, Francuzów, czy Anglików, których zainteresowania nie wybiegają przeważnie poza sport, gołębiarstwo, czy kupno auta na raty.

Autorom tych wierszy nie rzadko zdarza się korzystać z kolein poetów „zawodowych”. I jest rzeczą godną przemyślenia że zwłaszcza Norwid i Staff służą im za wzór, podczas gdy z dłoni na dłoń przesypują słowa polskie, pełni ufności, że wystarczy gest, aby słowo stało się ciałem...

Te myśli nasunęły mi się podczas czytania tomików Wacława Matejczyka (*) i Jerzego de Nisau (**).

Wiersze pierwszego z nich, powiedzmy to od razu, są utworami autora początkującego. Matejczyk pisze „na gorąco”, językiem nieskładnym, nie pamiętając o jednym spośród surowych praw mowy poetyckiej: o lapidarności. Celność zastępuje szukaniem, jak np. w wierszu „Słoneczniki”, gdzie czytamy: „... „Szlachetne? — nie powiedziałbym, / pozytywne, uczciwe, uczuciowe / jak żona...” Większość wierszy cechuje ton relacji, a prozaimy („Dla mnie / nawet rewolwerowcy / byli czymś nieodzownym, / organicznie związanym / z twym krajobrazem, / który mi śnił się w Kanadzie.”) są zjawiskiem tak częstym — że przeczytawszy tomik i próbując podsumować wrażenia, dochodzimy do przekonania iż jedyną wartością tych wierszy są dobre chęci autora i, tu i ówdzie, sympatyczna szczerść narracji.

Teksty Jerzego de Nisau mogą zainteresować historyków literatury. Ukazują bowiem, jak pewne prądy w poezji, zniknąwszy z powierzchni pism literackich od lat trzydziestu, istnieją nadal w utworach ludzi, których dola, czy niedola oddaliła od polskich środowisk kulturalnych (nie

(*) *Tristesse Eternelle*, Londyn, 1953 (Grupa „Rytm”).

(**) *Trzy Poezje, Trois poèmes*, Paris 1953; *Przyptywy i Odptywy*, Paryż, 1955.

przybliżając ich do środowisk obcych) i skazała na los plemion zagubionych w puszczach nad Amazonką.

I można by śmiać się z tych wierszy, gdzie żyje jeszcze słowo „rubież”, gdzie rozstrzelony druk usiłuje pomóc słowom, „aby znaczyły coś więcej niż znaczą”, gdzie nie brak młodopolskiego werbalizmu, „Apokaliptycznego zaćmienia słońca”, „Samozagłady! Samozatrącenia!” — gdyby nie to, że naraz, pośród lawiny norwidowszczyzny i pustostłowa, natrafiamy na wiersz zawierający ustępy wstrząsające swym autentyzmem.

.....
*Wszystkiegośmy się wyzybili,
 wszystko zostawili:
 dom, dobytek
 konie,
 krowy,
 ogród przy domu kwiatowy,
 owocem obfite grusze i jabłonie...*

*Nocąmy wstali, odeszli o świecie,
 wodą zalawszy popiół paleniską,
 drzwi zatrasnąwszy za sobą,
 kręśląc znak krzyża na rozstanie,
 na nowe życie...*

M. P.

Przegląd czasopism

KOLUMBOWIE I INKWIZYCJA

Po tylu odważnych, obrazoburczych, hardych, szczerych nawet wystąpieniach polskich pisarzy na oficjalnych zjazdach i w oficjalnych pismach, czekaliśmy na „przykręcenie śruby” (obryzdlive to wyrażenie pasuje do tej polskiej maszyny, „naprawianej przez tych samych ludzi którzy ją zepsuli”). Ciekawi byliśmy co najmocniej zaboli i kogo. Jaki będzie przypuszczalny rytm odwilżowego wahadła. W którą stronę zaczną przytakiwać polscy erenburzuje, czy poza ich czujnym węchem będzie wchodził też w grę poważniejszy wink z góry. Pierwszy głos nożyc (cenzora i tych które się odezwały) zarysował już wyraźnie pewne granice swawoli. Wywołał go zamieszczony w „Nowej Kulturze” z 29 kwietnia doskonały felieton Krzysztofa T. Toeplitza pt. „Z własnego prawa bierz nadania”. Dziesięć lat „Polski Ludowej” — to pochód. Barwny. Pierwszomajowy:

„...Tak oto komunizm, zwyciężając, z roku na rok porastał w barwne pierze szturmówek, transparenty z hasłami zamieniały się w balowe confetti, czerwone sztandary międzynarodówki kurczyły się do rozmiarów czerwonych chust; powiewano nimi ku trybunom jak ku odjeżdżającemu pociągowi. Chłopcy z dziewczętami trzymali się pod ręce śpiewając „Szła dziewczeczka do laseczka...”, maszynistki kupowały lemoniadę i kielbasę w samochodach WSS, starsze panie pocily się w majowym słońcu. To były piękne pochody. Mówiło się, że cały naród skupia się wokół partii. Spiker bulgotał entuzjazmem. Forma przerastała treść. To były piękne pozory. Pod różnokolorową falą szli ludzie. Komuniści i ich przeciwnicy. Prywatna i półprywatna inicjatywa. Robotnicy i aferzyści. Młodzież i emeryci. Był dzień wolny od pracy. 1. Maja. Majówka. Poeta, nazwany później zarówno wieszczem jak trubadurem, rzucał kwiaty na tor: „Robota — z piosenką, Warszawa — z Moskwą, słońce świeci — RAZEM”!

Razem. Rewolucja razem z kontrrewolucją. Ludzie pracy razem z bezkarnie grabiącymi ich ciemiężcami. Starzy rewolucjoniści razem z młodymi konformistami w ZMP-owskich mundurkach. Dewotki od Marii Panny razem z dewotkami od kultu jednostki”.

Sztuczne ognie, teatralne makiety, fajewerkowe efekty miały swoje konkretne przeznaczenie. „Chodziło o to, by ich przeypych oszołomił zgromadzonych i przesłonił kryjącą się za fasadą rzeczywistość”. Jaka to rzeczywistość? Toeplitz, za Monnerotem i Aronem, tyle że powołując się na Lenina, twierdził że rzeczywistość polega na dyktaturze biurokracji i nowym układzie kastowym:

„W wyniku dokonanej u nas zaraz po wojnie rewolucji społecznej, a jednocześnie na skutek skrzywiających tę rewolucję powikłań, nie wytworzyła się przecież u nas pustka, jakaś bezkształtna plazma pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem, jakiś socjalizm niedokształcony czy też kapitalizm nie dość rozbity. Takie pośrednie formy, takie społeczne bógwicie trwać może krótko — nigdy jedenaście lat. Przez jedenaście lat Polski Ludowej, na gruncie podstawowych, lecz nie doprowadzonych do końca i przyhamowywanych procesów socjalizacji życia powstał i ugruntował się twór społeczny dosyć konkretny — system socjalistycznej biurokracji. Lenin przestrzegał zawsze przed niebezpieczeństwem zagrażającym socjalizmowi z tej własnej strony. U nas niebezpieczeństwo to stało się namacalnym faktem.

Rewolucja wyniosła na swoich barkach nowy aparat rządzenia. Pokryła nim cały kraj, wciągnęła do tego aparatu tysiące ludzi, coraz zwięziej zainteresowanych w jego rozwoju i umocnieniu. Niekontrolowany początkowo przez masy, a później już zręcznie obwarowujący się przed kontrolą aparat ten zwyrodniał, uzbroidł się we własne kanony i zasady, obwarował własną policją broniącą bardziej interesów kasty urzędników niż mas, wyprodukował własną mitologię w postaci wiary w nieomylnego wodza, nawiązał własne klasowe eojuze w postaci niedwuznacznych powiązań kasty urzędniczej z kołami prywatnej inicjatywy i niektórych, szczególnie uprzywilejowanych grup wolnych zawodów, wreszcie wytworzył własną normatywną estetykę w żdanowskiej wersji realizmu socjalistycznego. Ktoś żartobliwie zauważył, że do pełnego ukształtowania się owej kasty w klasę brakowało jedynie majątkowej i tytułowej dziedziczności. Dla nikogo z ludzi zdrowo myślących nie może ulegać kwestii, że kasta ta stała się silnym czynnikiem zachowawczym na drodze do socjalizmu, a interesy jej stopniowo zaczęły stawać się sprzeczne z interesami pracujących”.

Przeciw temu stanowi rzeczy, „to co się dzieje obecnie, to jest rewolucja”. Na przyszły pochód pierwszomajowy (trzy dni po ukazaniu się artykułu) proponuje Toeplitz, by miast balowych confetti wprowadzono znów transparenty z hasłami:

„Hasło władzy robotników i chłopów, decydującego ich głosu w gospodarowaniu przemysłem i walce o nową wieś.

Hasło ludowładztwa — rzeczywistego, szerokiego ludowładztwa realizującego się poprzez odrodzone i wyposażone w należne im prawa rady narodowe — najbardziej demokratyczną formę rządzenia.

Hasło praworządności — faktycznej wolności słowa, dyskusji, niezawisłych sądów, poszanowania dla praw konstytucyjnych.

Hasło odrodzenia polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego na leninowskich zasadach demokracji wewnątrzpartyjnej i internacjonalizmu bez zapędów szowinistycznych.

Hasło przyjaźni braterskiej z radzieckimi robotnikami i chłopami, z ich partią, z ich państwem.

Hasło pokoju.

Czerwony sztandar klasy robotniczej. Jej hymn z pięknymi słowami: „z własnego prawa bierz nadania i z własnej woli sam się zbaw”. Wiare w siły ludu mądrość ludu, cele ludu”.

Tego rodzaju zasadniczy i rzetelny komunizm jest oczywiście w dzisiejszej Polsce nie do przyjęcia. Toteż reakcja była odpowiednio ostra. Nie wystarczyło widać ogłoszenie przeciwnego Toeplitzowi artykułu jakiegoś Brandysa czy postępowego katolika. Trzeba było wrócić do wypróbowanego w stalinizmie pokajania się całej redakcji. Najpierw przeprosza zespół „Nowej Kultury” za to że „felieton zawierał szereg niesłusznych uogólnień oraz obfitował w zbyt pochopne sformułowania:

„Wskutek fałszywości sformułowań z felietonu da się odczytać tezę, że przez jedenaście lat Polski Ludowej powstał u nas wyłącznie system socjalistycznej biurokracji, co przesłania sens dokonanych przeobrażeń rewolucyjnych i wartość naszego dorobku.

Taki sam brak odpowiedzialności w sformułowaniach dotyczących cech dokonującego się obecnie przełomu oraz niedostateczne podkreślenie tego, że jest to nowy potężny skok od lat toczącej się w kraju rewolucji, która swego zasadniczego charakteru nie zmieniła i wymierzona jest przeciw temu samemu wrogowi, spowodował możliwość odczytania szkodliwej tezy o rzekomo jakościowo odmiennym kierunku obecnego okresu”.

Ale teraz najważniejsze: o nożycach:

„Natomiast z gruntu fałszywa, krzywdząca i niesprawiedliwa jest zawarta w felietonie ocena całego aparatu władzy ludowej jako kasty urzędników, broniącej swoim interesów i powiązanej nawet z kołami prywatnej inicjatywy. Świadczy ona poza tym o niewidzeniu walki toczzonej przez Partię z istniejącymi w naszym życiu społecznym elementami biurokracji i kastowości”.

Jasno widać na tym przykładzie pewne granice swobody krytyki. Wolno krytykować, najbrutalniej nawet, stalinowską prze-

szłość, pod warunkiem że się pochwali pierwsze przynajmniej kroki powzięte w kierunku „naprawienia błędów”. Ale Toeplitz krytykuje sam *system socjalistycznej biurokracji*. A wszelkie zmiany dokonane w sowieckim bloku mają dotychczas na celu utrzymanie tego właśnie systemu.

W „Trybunie Ludu” z 20 maja porusza Karol Małcużyński podobny problem identyfikacji komunizmu ze stalinowskim reżymem koncentracyjnym. Tytuł artykułu jest znamieny: „Rok 1984 — i rok 1956”. Za punkt wyjścia bierze Małcużyński powieść Orwella, która jak widać szeroko jest znana w Polsce. Stwierdza on jak celna była krytyka Orwella w okresie stalinizmu:

„Ciężko też nieraz było wtedy dyskutować z ludźmi, którzy posługiwali się argumentami Orwella. Rodziły się u nas — a nieraz i rozwijały — wcale bujne niektóre z tych objawów, które w swoim paszkwile odmalował Orwell. Zamykanie na to oczu było głupotą, bo z zamkniętymi oczyma można co najwyżej rozbić nos, nie można zaś prowadzić polityki, a dyskutować też niewygodnie”.

Książka Orwella była wizją świata do którego miał niechybnie prowadzić sowiecki komunizm. Stąd, zdaniem Małcużyńskiego, jego powodzenie w „antykomunistycznym” obozie:

„Entuzjaści Orwella mówili: „Orwell nie tylko opisał zło. On pierwszy pokazał, że owo zło jest systemem, że stanowi fundament i cement waszego ustroju. Wykazał z żelazną logiką, że nie możecie w tym systemie zrobić najmniejszego wyłomu, gdyż podpisalibyście na siebie wyrok śmierci. To doprowadza was do pasji. Zróbcie ten wyłom, chociażby jego początek, a Orwell przegrywa, jego koncepcja upada. Ale właśnie ten wyłom jest niemożliwy”.

Ale — stwierdza Małcużyński — Orwell miał również „mimowolnych współwyznawców” wśród samych „budowniczych socjalizmu”:

„Chodzi o tych, którzy widzieli wiele zjawisk niedobrych, ujemnych, szkodliwych. Może nawet na swój prywatny użytek boleli nad tym i woleliby bez nich się obyć. Ale w gruncie rzeczy uważali — czy wmówili w siebie, że są to właśnie zjawiska nieodłącznie towarzyszące rewolucji, budowaniu socjalizmu, dyktaturze proletariatu. No cóż, mówili, może by i było lepiej obyć się bez kultu jednostki, na pewno byłoby lepiej przestrzegać w pełni praworządności, usunąć rodzący fałsz rozdźwięk między teorią a praktyką. Ale — mówili — taka jest widać cena rewolucji. Takie są widać koszty własne budowy nowego ustroju. A jeśli tak — to warto zapłacić każdą cenę i ponieść wszelkie koszty...”

... Czyż to nie była obawa, że skoro zaczniemy ze szczeliny — a czasem i rozpadliny — naszego życia wydobywać brud i wszelkie paskudztwo, to naruszymy jakieś spoiwo, cement który wiąże wzniezione przez nas mury. Czyż to — w ostatecznym rachunku — nie sprowadzało się do postawienia znaku równości między spoiwem a narosłym w szczelinach brudem? Cóż innego zrobił Orwell — postawił właśnie ten fałszywy znak równości”.

Małcużyński, podobnie jak Toeplitz, kroczy jedyną drogą, która oby stała dziś w Polsce otworem ku rozszerzeniu marginesu wolności. I jednemu i drugiemu chodzi o pogłębienie procesu którego jesteśmy świadkami: przywrócenia pewnych swobód obywatelskich, usunięcia strachu, zapewnienia swobody twórczości, dopuszczenia w pewnej choćby formie wpływu opinii publicznej na losy kraju, przy jednoczesnym zachowaniu społecznej, gospodarczej i państwowej struktury.

Że nie jest to droga łatwa, świadczy o tym zarówno wstydliwe pokajanie się zespołu „Nowej Kultury”, jak i szereg artykułów różnego kalibru oportunistów którzy po krótkiej odwilży już węższą przymrozek. Do tej kategorii należy artykuł Edmunda Osmańczyka pt. „Obrona Kolumbów” w „Świecie” z maja 1956.

Osmańczyk rzekomo broni „kolumbów”, jak nazywają polscy satyrycy ludzi odkrywających to, co już dawno zostało odkryte. Ale czyni to w tonie namaszczonego, państwowotwórczym, z całą retoryką zapalonego urzędasza. No i stawia wyraźne granice: owszem, należy „odkrywać” błędy, należy „uparcie przypominać dawno ustalone kryteria ludowej demokracji”. Ale prawo do tego mają tylko i wyłącznie „obywatele postępowi”. Tych „obywateli postępowych” („wszystkie zwierzęta są równe, a niektóre równiejsze od innych” — przepowiadał Orwell) poznaje się po czterech „kryteriach”. Oto one:

1) „Nieziemiennie sprawdzianem postępowości musiał i musi być stosunek do ZSRR”.

2) „Drugim kryterium postępowości był i jest stosunek do faszyzmu”.

3) „Trzecim stosunek do rasizmu. Te dwa wiążą się zresztą ze sobą w pewien określony sposób”.

4) „W krajach demokracji ludowej istnieje jeszcze jeden sprawdzian, a mianowicie stosunek do Partii”. To ostatnie „kryterium” jest postawione w sposób rozbijający. Francuski czy indyjski Osmańczyk, może być „postępowy” będąc antykomunistą. Ale polski Osmańczyk musi kochać komunistów, bo inaczej byłby „wsteczniakiem”. Czy po prostu nie dlatego że polski Osmańczyk może tylko pod tym warunkiem żyć i pisać, z tym, że „partia” może go również wsadzić w razie czego do kozy?

Ta mieszanina drzwi otwartych i wazeliny powtórzona jest przy końcu artykułu godnie, urzędowo i lapidarnie: „Sprawdzianem postępowości w kraju takim jak nasz musi być i stosunek do ZSRR, i stosunek do faszyzmu, i do rasizmu, i do Partii. Dopiero suma tych stosunków daje obraz postawy ideowej obywatela naszego kraju”.

Trudno o bardziej antypatyczne i agresywne powtórzenie znanej już w Polsce zasady że „prawo do naprawiania maszyny mają tylko ci, którzy ją zepsuli”.

WŚRÓD CZASOPISM AMERYKAŃSKICH

W początkach kwietnia br. tygodnik nowojorski „The New Leader” wydał specjalny dodatek o narodach ujarzmionych. Numer ten zawiera krótką charakterystykę położenia tych krajów, przygotowaną przez Zgromadzenie Narodów Ujarzmionych i wprowadzenie, napisane przez Adolfa A. Berle jr.

A.A. Berle słusznie podkreśla, że takie zestawienie ukazuje się po raz pierwszy na tym kontynencie. O warunkach życia narodów ujarzmionych wie się tutaj mniej, niż o życiu ludności Rosji; aczkolwiek terytorium objęte nazwą Europy środkowej jest decydującym czynnikiem i równowagą europejskiej i pokoju światowego. Po obaleniu mitu Stalina należałoby się spodziewać rozluźnienia ucisku krajów środkowo-europejskich będących tworem imperium Stalina. Ale, dodaje Berle, pamiętajmy że marksści zawsze sądzili, iż narody środkowej Europy winny być zmiecione na „śmietnik historii”, chodzi więc raczej nie tyle o utrzymanie ich w niewoli, ile o zniszczenie.

Jednym z największych złudzeń w sprawach międzynarodowych było pojęcie niezależnego państwa. Wydawało się, że wytyczenie granic i utworzenie niezależnego rządu jest jedynym warunkiem istnienia wolnego i niezależnego państwa. Obecnie może to zadecydować o przynależności do grupy językowej, struktury społecznej i obyczajów kulturalnych. Obywatel kraju — w obecnym sensie — jest członkiem trzech zbiorowisk: kraju, któremu podlega, organizacji gospodarczej wybiegającej poza granice państw, i organizacji obronnej obejmującej właściwie cały glob. Żaden kraj nie potrafi utrzymać się niezależnie w sensie gospodarczym i wojskowym. Te zasady — mówi Berle — winny przyświecać przy rozwiązywaniu problemów środkowo-europejskich i bliskiego Wschodu.

Wpływ zmarłego niedawno H.L. Menckena, dziennikarza, eseisty, założyciela „The American Mercury”, krytyka literackiego i twórcy potężnego „The American Language” da się odczuć zapewne przez szereg jeszcze lat. W tych dniach np. wyszedł zbiór ciętych i błyskotliwych notatek jego pióra pt. „Minority Report”. W majowym numerze „The Atlantic”, Alistair Cooke, przyjaciel i wielbiciel przypomina o ostatnich szczęśliwych dniach Menckena. Okazją była konwencja partii postępowej H. Wallace’a obradująca w Filadelfii w lecie 1948 roku. Mencken uważał konwencje partyjne, wyznaczające kandydatów na prezydenta za najlepsze widowiska, lepsze jeszcze od cyrku Barnuma. Obrady przypadły na okres blokady berlińskiej, ale w przemówieniach programowych sprawy te były odległe, jakby na księżycu. Mencken akuracie opisywał przebieg obrad, w jednym tylko miejscu określił osobę mówcy, adwokata-Murzyna, jako mającego „powierchowność dobrego, dziesięciocentowego cygara”. Następnego dnia konwencja powzięła rezolucję potępiającą Menckena jako „Żydo-żerę, komuno-żerę, Murzyno-żerę” itp. Mencken promieniał z zachwyty i tylko później przy piwie skarżył się Cooke’owi na wzrastające przeczułenie polityków. Kiedy kilka lat przedtem określił Hoovera, że wygląda jak „zakalec”, nikt się nie oburzył.

W okresie konwencji po Filadelfii maszerowały „Bataliony Młodzieży Postępowej” i pewnego dnia grupę dziennikarzy otoczyła taka bojówka.

„Kim właściwie jesteście?” — zapytał przywódca. Jeden z reporterów odpowiedział: „Reprezentujemy prasę, prasę kapitalistyczną”. „Poza p. Cooke — dorzucił Mencken — który reprezentuje londyńskiego „Daily Worker” (Cooke jest korespondentem „Manchester Guardian” i naturalizowanym obywatelem amerykańskim). Wieczory Mencken spędzał w piwiarniach, popijając z młodzieżą, wznosząc toasty na cześć Wallace’a i śpiewając hymny amerykański i angielski. Mencken zazwyczaj intonował wysokim tenorem i czekał aż reszta utknie beznadziejnie na za wysokiej nucie. Był to ostatni rozdział jego pracy dziennikarskiej, w kilka tygodni potem atak paraliżu zwałił go z nog.

W Stanach Zjednoczonych wykonuje się rocznie około 20 tysięcy koncertów muzyki poważnej, ale — jak twierdzi Jacques Barzun w artykule „Muzyka: dla pieniędzy czy dla przyjemności?” (numer majowy „Harper’s Magazine”) z tego jeszcze nic nie wynika. Życie kulturalne, a więc i muzyka zdane są na łaskę inicjatywy prywatnej i los muzyka czy kompozytora jest nie do pozazdroszczenia. Członkowie orkiestr są stosunkowo kiepsko płatni i ograniczeni przepisami związków zawodowych, systemu agencji koncertowych i firm nagrywających płyty. Związki walczą ze stacjami radiowymi o nadawanie więcej „żywych koncertów”, stacje zaś wolą korzystać z gotowych nagrań. Soliści zanim wejdą w obieg agencji koncertowych przeskoczyć muszą wiele przeszkód (Debussy twierdził, że od dobrego pianisty wymaga się umiejętności podniesienia w zębach fortepianu), zależnych z kolei od warunków lokalnych. W doborze programu agenci powołują się na rzekome gusty publiczności, publiczność zaś nie wypowiada się w ogóle, lub za słabo. Nowy Jork z trudem utrzymuje jedną orkiestrę (Londyn stać na pięć) i to tylko dzięki datkom publiczności. Oczywiście najlepszym rozwiązaniem, mówi Barzun, byłoby przyjęcie z pomocą ze strony rządu. Autor powołuje się na urządzenia europejskie w tej dziedzinie, jako godne naśladowania. Jednym z paradoksów tego stanu rzeczy jest instytucja mecenatu. Społeczeństwo demokratyczne w dalszym ciągu musi odwołać się do sakiewki „arystokratycznego” mecenasa. Ujemną stroną tego układu są ambicje poszczególnych ludzi czy instytucji fundujących nagrody muzyczne, lub organizujących festiwale w byle dziurze.

Notując ostatnie zmiany zachodzące w Polsce, korespondentka tygodnika „Time” dodaje, że choć wydarzenia ostatnie świadczyłyby o dojściu do głosu młodszych członków partii, poprawa jest tylko względna. Komuniści zdają sobie sprawę, że większość ludności przeciwna jest reżymowi, ale nie uznają tego za powód do zmiany. Przeciętny obywatel nie jest nawet bardzo zainteresowany w zmianach personalnych w łonie partii, poświęcając swą uwagę raczej sprawom dotyczącym żywności, mieszkania i odzieży. Warunki życia są obecnie lepsze niż były rok temu, ale wciąż są bardzo złe i nie ma widoków na ich polepszenie. Dopóki nie odpadną te codzienne troski, wszelkie zmiany tonu w prasie, w teatrze lub parlamencie, nie wydają się istotne.

Nadesłane nowości wydawnicze

MICKIEWICZIANA

MICKIEWICZ (Adam). *Pisma poetyckie*. Wydanie emigracyjne w stulecie zgonu. Do druku przygotowała Maria Danielewiczowa. Str. 829. (Nakł. Kat. Ośrodka Wydawniczego „Veritas”, Londyn, marzec 1956).

WYTRZENS (Günther). *Adam Mickiewicz 1798-1855*. Str. 66 (Wyd. Austriacki Komitet uczczenia 100-letniej rocznicy zgonu Mickiewicza, Wiedeń, 1956).

Adam Mickiewicz. *Księga pamiątkowa na stulecie zgonu Adama Mickiewicza*. Str. 90. (Wyd. staraniem Komitetu Obchodu Roku Mickiewiczowskiego w Szwecji, Stockholm, 1955, cena dol. 2,75).

LITERATURA

VINCENZ (Stanisław). *Na wysokości poloninie*. Obrazy, dumy i gawędy z wierchowiny huculskiej. W wyborze autora. Str. 298. Str. 298. (Nakł. Kat. Ośrodek Wyd. „Veritas”, Tom XXII serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, styczeń 1956, cena 15 sh.).

MIŁOŚZ (Czesław). *Sur les bords de l'Isa*. Traduit du polonais par Jeanne Hersch. Str. 330. (Ed. Gallimard, Paris, 1956, fr. 690).

GREENE (Graham). *Ministerstwo strachu*. Powieść. Przetłumaczyli Janusz Jasieńczyk i Olga Żeromska. Str. 220. (Wyd. „Książka dla Wszystkich”, Gryf, Publications, Ltd., Londyn, 1956, cena 600 fr.).

HESSE (Hermann). *Le voyage en Orient*. Traduit de l'allemand par Jean Lambert. Pp. 159. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1956, fr. 390).

SINCLAIR (Upton). *Saint Thomas d'Hollywood*. Traduit de l'anglais par Benoit Braun. Pp. 209. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1956).

ROMANOWICZOWA (Zofia). *Baśka i Barbara*. Str. 224. (Wyd. „Libella”, Paryż, 1956, cena 500 frs).

LEDNICKI (Wacław). *Bits of Table Talk on Pushkin, Mickiewicz, Goethe, Turgenev and Siemkiewicz*. (International Scholars Forum, Vol. 5). Str. 263. (Wyd. Martinus Nijhoff N.V., Haga, 1956, cena flor. 17,75).

BHATTACHARYA (Bhabani). *Qui cheuache le tigre... Roman hindou. Traduit de l'anglais par Dominique Guillet*. Pp. 295. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1956).

KASSNER (Rudolf). *Evocations et paraboles*. Traduit de l'allemand par Geneviève Bianquis. Pp. 280. (Ed. Plon, Paris, 1956, fr. 840).

MIŁOŚZ (Czesław). *Själär i fängenskap*. Tłum. Ingrid Ekman Nordgaard. Str. 255. (Wyd. Natur och Kultur, Stockholm, 1956, cena broszury kor. szw. 18,50, w oprawie kor. szw. 23.).

GOETEL (Ferdinand). *Kar-Chat*. Powieść. Wydanie czwarte. Str. 186. (Wyd. Składnica Książki Polskiej, Buenos Aires, 1956).

BOHUSZ-SZYSZKO (Zygmunt). *Atomowa pożoga*. Powieść fantastyczna. Str. 248. (Wyd. „Książka dla Wszystkich”, Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1956, cena 600 fr.).

HISTORIA

BRZEZIŃSKI (Zbigniew K.). *The permanent purge*. Str. 256. (Nakł. Harvard University Press, Cambridge, Mass. 1956).

PYZIUR (Eugene). *The doctrine of anarchism of Michael A. Bakunin*. Str. 158. (Wyd. The Marquette University Press, Milwaukee, Wis., 1955).

MARCINKOWSKI (Karol dr.). *Dwa listy przeora A. Kordeckiego*, 1655. Str. 17 plus 3 strony dodatków (Nakładem „Straży”, Scranton, Pa. USA, 1956).

Lwów. Literaturno-Mystecki Zbioryk w 700-ti rokowi zasnwanja Bohdana Romanenczuka. Str. 175. (Wyd. Kyjiw, Philadelphia, 1954).

NAUKA

RUDNYČKYJ (Jar.). *Studji z nazwoznawstwa. I. Słowiański nazownyckij folklor u Kanadi*. Onomastyka Nr 11. Str. 32. (Wyd. Ukrainskoji Wilnoji Akademiji Nauk, Winnipeg, 1956).

POEZJE

Poetae in exilo. Echange Tcheco-Esthonien. Pod redakcją Peeter Arumaa i Roberta Vlacha. Str. 64. (Stockholm, 1955, Ed. Kniznice Lyriky, cena dol. 1,25).

RÓŻNE

SHEEN (Fulton J. Biskup). *Sursum Corda*. Przetłumaczył Wiesław Pisarczyk. Str. 316. (Nakł. Kat. Ośrodek Wyd. „Veritas”, Tom VII serii niebieskiej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, luty 1956. Cena 15 sh.).

KORDECKI (Augustyn ks.). *Pamiętnik obłączenia Częstochowy*, 1655 r. Wstęp Jana Tokarskiego. Str. 214. (Nakł. Kat. Ośrodek Wyd. „Veritas”, Tom XXIII serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, luty 1956. Cena 15 sh.).

GRONOWICZ (Antoni). *Modjeska*. Her life and loves. Pp. 254. (Nakł. Thomas Yoseloff Inc., New York, 1956, cena dol. 5.).

BROCK (Peter). *W zaraniu ruchu ludowego*. Str. 80. (Nakł. Polskiego Stronnictwa Ludowego, Londyn, 1956).

LEGEŻYŃSKI (Stefan). *Wczoraj-dziś-jutro srebrnego ekranu*. Str. 28. Nakł. Rytm, Londyn, 1955).

BOŻYMIR (Michał). *Miryzm*. Str. 6. (1956).

CIEPLIŃSKI (Jan). *Szkic dziejów baletu polskiego*. Str. 85 z 24 ilustracjami w tekście. (Nakł. Kat. Ośrodek Wyd. „Veritas”, Londyn, 1956).

WITTLIN (Joseph). *A quarter century of Polish Literature* (1927-1952). Str. 5-12. (Przedruk z Books Abroad, University of Oklahoma Press).

GASIOROWSKI (Zygmunt J.). *The „Conquest” theory of the Genesis of the Polish State*. Str. 550-560. (Przedruk z „Speculum” a Journal of Mediaeval Studies. Vol. XXX. No 4. October 1955, The Mediaeval Academy of America, Cambridge, Mass.).

Zbirka Ukrajinskich Nowel. Str. 354. Wstępna statia Mykoły Hlobenka. (Wyd. Naukowe Towarzystwo im. Szewczenka w Americi. New York, 1955).

Statements and resolutions adopted by the Third World Conference of the Bund. April 8-15, 1955, Montreal, Canada. Str. 28. (Wyd. World Coordinating Committee of the Jewish Labor Bund, New York, 1955).

Orhanizacija Ukrajinskych nacionalistiw, 1929-1954. Praca zbiorowa. Opracowanie graficzne: Jurij Kulczycki. Str. 446 plus 52 tablice. (Wyd. P.I.U.F., 1955).

RUDNYČKYJ (Jaroslav dr.). *Biblioteka oseredku ukrajinskoi kultury i osvity w Kanadi*. Str. 32. (Wyd. Winnipeg, 1955).

BEZUSZKO (Vol dr.) i RUDNICKYJ (Jar. dr.). *Wydannia UVAN u perszomu desiatylitti*. Str. 22. Nakł. UVAN, Winnipeg, 1955).

IPSEN (G.). *Die Verteilung der polnischen Bevoelkerung in der Nachkriegszeit*. Str. 17 in 4-o plus 2 mapy (z wydawnictwa Osteuropa-Handbuch, Band Polen). (Wyd. Arbeitsgemeinschaft fuer Osteuropaforschung, Tuebingen, 1955).

RUDNYČKYJ (Jaroslav). *Z podorozi nawkolo piuswitu*, 1955. Str. 128. (Wyd. Iwan Tyktor, Winnipeg, 1955).

Listy do Redakcji

18 maja 1956.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze !

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. K.A. Jeleńskiego „Po trzęsieniu ziemi” w majowym numerze „Kultury”. Liczne cytaty zamieszczone w artykule i komentarz p. Jeleńskiego nasuwają wiele uwag. Obecny proces „odwilży” w Polsce autor artykułu scharakteryzował następującym zdaniem: „...polscy intelektualiści starają się przyczynić do rozszerzenia marginesu prawdy i wolności”. Wydaje mi się, że margines ten wyznaczony jest faktem, iż cała dyskusja „odwilżowa” toczy się „z jednej pozycji ideologicznej”. Tą przyjętą przez dyskutantów pozycją jest marksizm-leninizm. Rozszerzanie marginesu odbywa się przy pomocy prób nowej interpretacji starych, sloganowych pojęć. A więc w dalszym ciągu „rewolucyjność” i „postępowość” w muzyce, malarstwie i literaturze ale rewolucyjność i postępowość inna niż dawniej.

Oczywiście nasuwa się pytanie, jaka. Czy próby nowej interpretacji idą w jakimś określonym kierunku ?

P. Jeleński zwraca uwagę na nawiązywanie przez intelektualistów polskich do leninizmu i pisze dalej, że leninizm jest może dla Rosji świeżym powiewem, ale w Polsce nim nie jest.

Wydaje mi się, że leninizm w Polsce jest raczej stęchłą. A więc nawiązywanie do leninizmu jest asekurantwem — pisze pan Jeleński.

Nie zupełnie zgadzam się z tym stwierdzeniem. Powoływanie się na leninizm jest przede wszystkim asekurantwem, ale dowodzi również braku rodzimej koncepcji, która w obecnych warunkach pewnego złagodzenia stosunków mogłaby stanowić podstawę do ewolucyjnej i specyficznej zmiany na lepsze.

Nie sądzę, byśmy mogli określić obecnie kierunek opozycji intelektualistów czy też może „polskiego odchylenia”.

Interpretacja starych pojęć marksizmu-leninizmu idzie nieraz bardzo daleko. Jeden z mówców na XIX sesji Kultury i Sztuki powiedział, że marksizm jest dla niego tylko metodą poznawania rzeczywistości, a nie zbiorem „prawd”. W takim ujęciu marksizm przeciwstawia się wszelkiemu doktrynerstwu. W dalszym ciągu jednak w Polsce mówi się o „rewolucyjności” i „postępowości” za wszelką cenę. Niektóre jednak interpretacje tych pojęć idą tak daleko, że mogą zaprowadzić wprost... do współczesnych prądów kulturalnych na Zachodzie.

Obserwując proces odwilży w Polsce dochodzę do wniosku (bardzo prostego wniosku), że zarysowuje się tam konkretna grupa opozycyjna.

Pojęcie „opozycji” w Polsce jest dla nas na emigracji sprawą bardzo delikatną. Wiadomo bowiem, że „cały naród” jest w opozycji do „oku-

pantów”. Nie mniej jednak pozwolę sobie zauważyć, że „opozycja ukryta” ma charakter negatywny (w tym sensie, że mówi tylko „nie” — że się „sprzeciwia”) a poza tym jest właściwie nieuchwytna. Wierzę, że kiedyś opozycja ta okaże się czynnikiem decydującym. Obecnie jednak „opozycja intelektualistów” (niestety ograniczona i skromna) ma charakter pozytywny, bo domaga się i konkretnie walczy o rozszerzenie wolności. Opozycję tę można w dodatku w sensie ogólnym określić.

Fakt ukazania się takiej opozycji otwiera, moim zdaniem, nowe możliwości dla emigracji. Jeżeli w Polsce ma powstać nowa literatura, mają powstać nowe dzieła sztuki (bardzo skromne żądania na początek), to polscy intelektualiści i artyści muszą mieć dostęp do nowych, różnorodnych źródeł kulturalnych.

Emigracja (mówię tu przede wszystkim o intelektualistach na emigracji, których jest przecie sporo) może odegrać tu wielką rolę pośrednictwa.

Rozmawiałem niedawno o tym z jednym z emigracyjnych działaczy politycznych. Otrzymałem odpowiedź zaskakującą: „Nie możemy być mentorami Kraju. Emigracja nie może się stawiać w pozycji nauczyciela”.

Przyszło mi wówczas na myśl, że mój rozmówca należy do stronnictwa, które pretenduje do reprezentowania poglądów bardzo poważnej części społeczeństwa polskiego. Emigracja utrzymuje i właściwie uznaje najwyższe instytucje państwowe, które również reprezentują naród i państwo. Czy to nie jest mentorstwo ?

Wydaje mi się więc, że zachodzi tu pewna sprzeczność.

Rzekoma obawa przed stawianiem się w roli nauczyciela wynika moim zdaniem z podświadomości, że emigracja (ta polityczna) nie jest zdolna dać cokolwiek pozytywnego krajowi.

A przecież chodzi właściwie o świadome i inteligentne pośrednictwo. Chodzi przy tym o pozbycie się wszelkich schematów w osadzaniu sytuacji w kraju i działanie w wypadku każdej zmiany elastycznie. Ta elastyczność w ocenie sytuacji jest rzeczą zupełnie zasadniczą.

Wyłania się tu jednak zasadniczy problem emigracji: ghetto czy asymilacja ?

Utrzymywanie polskiego ghetta jest moim zdaniem czymś najgorszym. Wolę obojętnie drugą skrajność, to jest asymilację, jeżeli oczywiście jest to asymilacja nie powierzchowna lecz kulturalna. Taką asymilacją świadczy przynajmniej o inteligencji i „zdolności pojmowania” petenta. Ghettoizm (przepraszam za ten nowotwór) jest niestety jedynie przejawem prowincjonalizmu, skostnienia, a co gorsza zamierania umysłowego.

Istnieje jednak dla emigranta mniej skrajna możliwość, którą nazwałbym przetwarzaniem nabywanych wartości kulturalnych. Nie bałbym się przy tym jak najbardziej subiektywnego podejścia do tego zagadnienia. Ludzie, którzy pójdą tą drogą, będą mogli odegrać wielką rolę pośredników. Jeśliby udało się im wpłynąć na kierunek rozwoju opozycji w Polsce, opozycji takiej, która się w danym okresie ujawnia, to mogą przyspieszyć proces w kierunku liberalizacji stosunków, który wydaje się obecnie jak najbardziej prawdopodobny.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku,

Jan KROK-PASZKOWSKI

Po przeczytaniu powyższych uwag pragniemy wyrazić nasze poparcie dla teź, zawartych w liście.

Wojciech GNIATCZYŃSKI

Stanisław SZABŁOWSKI

Buenos Aires, 2 maja 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

W Argentynie wychodzące litewskie pismo literackie „Literatūros Lankai” powziawszy zamiar stworzenia swojej własnej biblioteki, wydało tom wierszy wybranych Czesława Miłosza po litewsku. Fakt zdawałoby się całkiem normalny i nie powinienby budzić szczególnego zainteresowania lub podziwu. Cóż może być bardziej naturalnego jak wymiana dóbr kulturalnych między narodami i to w dodatku sąsiadującymi i posiadającymi moc więzów w przeszłości? Wziawszy jednak pod uwagę przykre zjawisko jakim był (i ciągle, niestety, jest) dzielący nas pożałowania godny chiński mur, wydanie książki Miłosza po litewsku nabiera znaczenia zasługującego na uwagę. Książka ta, jak i z okazji jej ukazania się zamieszczenie w „Kulturze” artykułu dr. J. Gimiusa, obok innych „materiałów litewskich”, jest godną uwagi próbą łamania dzielących nas lodów.

W prologu Czesław Miłosz pisze, że pisanie słowa wstępnego jest dla niego zadaniem wyjątkowo przyjemnym. Otóż i ja z całą szczerością mógłbym tu rzec, że pisanie niniejszego listu sprawia mi niemało radości. Radość z powodu spontanicznego i naturalnego, nie zaś z góry i „politycznie” narzuconego zainicjowania naszego zbliżenia. Dowodem tego jest nie tylko książka poety polskiego po litewsku, lecz również lojalność polska wyrażona na stronach pisma przez Pana redagowanego. Mam tu na myśli nr 10/96 „Kultury” oraz niektóre listy do Redakcji. Próba wszczęcia dialogu polsko-litewskiego nie może nie pobudzić nas do entuzjastycznego powitania zdrowej inicjatywy. Zgadzam się, by list ten został opublikowany, pragnąc przynajmniej w ten sposób podkreślić swą solidarność z przedsięwzięciem „Kultury”.

Dla Miłosza Troki, Zielone Jeziora, Jaszuny — są nazwami magicznymi. Przyznam się, że takimi są one również dla mnie. Ten magiczny wykaz uzupełniłbym takimi nazwami jak — Telsiai, Satrija, Rubezaičiu Kalnas, Rambynas, z którego szczytu oglądaliśmy małowitewskie wzgórza, itp. Z tymi magicznymi nazwami na ustach i w sercach błąka się dziś po świecie spora ilość synów i cór naszego narodu, i trudno o ich zapamiętanie.

Czesław Miłosz i jego przyjaciele w Polsce byli nazywani mianem „katastrofistów”. Poeta i jego przyjaciele istniejący podówczas porządek rzeczy uważali za skazany na zagładę. Będąc o wiele starszy od Miłosza, coś mógłbym powiedzieć o sobie, wspominając ów dobiegający do końca okres międzywojenny? Obawiam się, że to samo co i Miłosz. Okres ów, szczególnie lata 1935-1939, nie tylko dla niego, lecz również dla wielu innych, między innymi dla piszącego te słowa, nie był zbyt sprzyjający i dobry. Gdy w roku 1934 wróciłem z „przymusowego wygnania” w Ameryce Południowej, nie byłem w stanie zrozumieć za co byłem karany przez swoich. Odjęto mi prawo publicznego wyrażania swoich myśli. Ze względu na „podeszły wiek” (20 lat temu!) pozbawiony urzędu ośmieliłem się perswadować Prezydentowi że sprawy należy szybko rozstrzygnąć i szukać skutecznych dróg, póki czas. Toczyliśmy się ku strasznej katastrofie i grozi nam zmiążdżenie w obcęgach dwu potęg: wschodniej i zachodniej. Konieczność szukania trzeciego wyjścia nie jest sprawą jedynie rządu, lecz całego narodu, bo wszyscy jesteśmy pasażerami tego samego pociągu, to jest Litwy. Moje przestrogi traktowano na sposób „wishfull thinking”. A kryzys uderzył był Litwę bardzo dotkliwie, szczególnie po odcięciu eksportu do Niemiec. Na odcpepnego wysłano mnie wówczas w charakterze turysty do innych krajów bałtyckich w celu przestudiowania tam objawów kryzysu. Nie miałem jednak możliwości rozwinienia należytej działalności ani przeprowadzenia zamierzonych studiów,

a to ze względu na reżymowy ekskluzywizm na który natknąłem się u północnych sąsiadów. W obliczu nadciągającej burzy i nadchodzącej Golgoty narodu niepokoiłem się bardzo, ale czułem się samotny i bezradny. Duch „katastrofizmu” zataczał coraz szersze kręgi nie tylko gdzie indziej, lecz również i u nas, w Litwie.

Do tych wspomnień z ostatnich międzywojennych lat pobudził mnie Miłosz i jego „Poezja świadoma epoki”. Jestem mu bardzo wdzięczny że dał mi możliwość ponownego przemyślenia (sercem i mózgiem) doświadczeń z minionych lat:

*„W tych czasach nie dość było zawodzić słowami
czystymi nad patosem świata wiekuiстым,
była epoka burzy, dzień apokalipsy,
państwa dawne zburzono, stolice wrzeczionem
kręciły się pijane pod niebem spienionem”.*

Tę strofę z „Książki” mimowoli zestawiam z zakończeniem „Powolnej rzeki”:

*„Po trzykroć muszą zwyciężyć kłamiwi,
zanim się prawda wielka nie ożywi,
i staną w blasku jakiejś jednej chwili
wiosna i niebo, i morza, i ziemię”.*

Mają słuszność wszyscy ci, którzy uważają, że przy normalizowaniu naszych stosunków należy się uzbroić w obustronną cierpliwość. A na całość zagadnienia trzeba spojrzeć nowym wzrokiem, wyzbywając się starych przesądów, bo „bez postępu jest tylko gnienie i śmierć” (Miłosz). Pragnienie zbliżenia jest obustronne. Trzeba nam ludzi i czynu. Myśl o naprawie stosunków musi „obrosnąć ludźmi”. Musimy przemyśleć obustronne błędy, by się nie powtarzały. W języku litewskim jest świetne słowo „talka”. Tak określa się wzajemną pomoc sąsiadów w potrzebie. Dążmy do współpracy, w której „współpracownik” nie będzie najemnikiem lecz partnerem wolnym.

Teodoras DAUKANTAS

O tym, że w „Kulturze” były ciekawe artykuły o stosunkach litewsko-polskich dowiedziałem się z tłumaczeń na język litewski, umieszczonych w dodatku literackim „Literatura” dziennika „Wiadomości” (Naujienos) w Nr. Nr. 307 i 308.

Nie wiem, od ilu Polaków i jakie wypowiedzenia się otrzymała „Kultura”, ale umieszczone artykuły wskazują, że wszystkie są tej samej redakcji, i z punktu widzenia litewskiego — są mocno za polskie.

Ale jeżeli ten sympatyczny organ, jak podkreślono w wymienionym tłumaczeniu, zechce na ten temat pogawędzić w przyszłości — trzeba będzie liczyć się i z „inną redakcją”, to jest z poglądem litewskim.

Mnie najwięcej utkwił artykuł p. Tadeusza Katelbacha, który jakby podsumował inne, jeszcze ostatecznie niewypowiedziane zdania. Pana T. Katelbacha znałem osobiście, gdy on odwiedzał naszą rodzinę, jako gość w Kaunas (Kownie). Był on i w naszym majątku na Suwalki (Suwałsz-

czyźnie), ale mnie może i nie przypomina, ponieważ wtenczas byłem tylko młodzieniec. Chociaż on (p. T. K.) w naszej rodzinie słyszał wiele otwartych zdań w sprawie Wilnius i ówczesnego odnoszenia się Polaków, ale on w obecności mnie, przynajmniej, nie razu nie podniósł się gorączkowo bronić interesów polskich.

Natomiast, czytając tłumaczenie jego odpowiedzi — dziwiłem się, jakby wcale inna osoba pisała, gdyż silnie broni związku, czyli unii Polsko-Litewskiej... w Wilnius nawet teraz, gdy Litwa i Polska są rozbitkami w upadku i kto wie, kiedy i w jakiej formie odzyskają Niepodległość.

Komu, komu ale panu T. Katelbachowi, sporo czasu przebywałem u między Litwinami, musiałyby być jasne, że Litwini nie zgodzą się z żadnym podziałem ani Wilnius (Wilno) ani innej części obszarów Litwy w charakterze unii. (Chybaż tylko w wypadku, gdy całe społeczeństwo byłoby położone na kowadle śmiertelnym, co dzisiaj mamy w uciemiężonej Litwie, ale to, już same przez siebie jasne, że to nie jest władza z woli wolnego Narodu).

Żyjąc nam na emigracji, w państwach demokratycznych większość Polaków mogła przekonać się, jaki złośliwy błąd Polacy zajmujący się polityką robili w sprawie Wilnius (Wilno) i w innych sprawach, ale z artykułu p. T. K. wygląda, że takich Polaków jest *mniejszość*.

Nie zgadzam się z wywodami p. K., że nie ma Polaka, który by wyrzekł się Wilno itd. Nie wdając się w spory, mogę wskazać szczerego Polaka, bywającego w armii gen. Andersa, bywającego na Sybiru w obozie niewolników, ranny w walkach i otrzymującego obecnie za to emerytura od rządu W. Brytanii itp. Z tym *szczerym* Polakiem, przyszło się razem pewien czas żyć i niemało rozmawiać. On bardzo potępia szowinizm polski w sprawie stolicy Litwy — Wilnius.

Inna sprawa, która utkwiała mi się w serce, to „błędy Kaunas (Kowno) które wyzwały energiczną reakcję Warszawy”. To znaczy ultimatum Polskie, czy nie tak?

Panie Katelbach, w przyszłości będzie uprzejmy w ten sposób nie wyrażać się, ponieważ w imię sprawiedliwości trzeba byłoby nie Kowienskie a Warszawskie. I można byłoby wskazać fakty. Ale my do tych szpalt przychodzimy nie spory wznosić, a szukać sposobów o przyjacielskie współżycie między Niepodległą Litwą i Niepodległą Polską. To było w przeszłości i choć z bolącym sercem — zostawmy to w przeszłość.

Po trzecie, mnie bardzo zdziwiło to, że p. K., po dobrej wymówce Litwinom, złośliwie reaguje w sprawie artykułu prof. S. Suziedelisa, w którym mówi się to, że Karaliaucius (Królewiec) musi należeć do Litwy. I cóż to dziwne? Polska Rządu Sowieckiego włada południowe Prusy i p. K. dla tego wcale nie oburza się. Sowiety Północne Prusy, za zgodą angielsko-amerykańską otrzymali we władanie opierając się na etnograficznych, historycznych (nazwy miejscowości i mowa) podstawach Litwy. Trudno, nie od nas zależących czynników, Litwie obszary i obecnie są pod kontrolą Rosji Sowieckiej. Może p. K. i Karaliaucius (Królewiec) chciałby umieścić na mapie Polski?... Czy, przynajmniej pogawędzić o Królewcu, jako wspólnie litewsko-polsko władanym mieście...

Chcę wierzyć, że logicznie rozumujący Polak, nawet i nie myśli zagrabie Litewskie Prusy wschodnie, czy nieprawda?

Ale otóż wam inny przykład. W roku 1943, w New Yorku, USA wydano S. P. Mirzwy napisana książeczka „Nicholas Copernicus”, gdzie, między innymi na str. 39 na umieszczonej mapie i litewskich Wschodnich Prusach — napisano: „East Field of Poland Prussia”. To jak to nazwiemy: kradzież faktów historycznych, cierpienie maniaka, czy wprost blzganie?

Polacy przyswajają się litewski folklor, czyli powieście narodowe.

Jeżeli by wydanie było wydane w wieku XVIII, czy XIX — powiedziałbym zapomnijmy bywające niezdarność i dbajmy o to jak w przyszłości żyć po przyjacielsku. Nie zwracałbym uwagi nawet na wyrażenia się p. K., że kultura litewska w latach 1933-1937 miała już swoje korzenie dość głęboko zakorzenione. (Co za nonsens: te korzenie były już w średniowieczu!)

Czytając wydanie M.M. Coleman „The Polish Land. Ziemia Polska. An Anthology in prose and verse”. Copiled by Klub Polski of Columbia University, 1943, U.S.A., nie mogłem wprost wstrzymać się z oburzenia.

Proszę powiedzieć, jakimi słowami Polacy nazwaliby taką książkę i jej autora, który by te stare utwory polskiego narodu, nazwałby nie polską twórczością.

Otóż w tamtej, wyżej wymienionej książeczce, stare litewskie legendy i opowieści o Perkunas (Bóg z czasów pogańskich), Egle, królowa węzów i inne są nazwane polską twórczością (!). Czyż to nie wstrętne kradzież za bytków kulturalnych naszego narodu? Jeżeli są Polacy, którzy popierają to trudno będzie nam omawiać w przyszłości dobre Litewsko-Polskie stosunki.

Litwini bardzo chcą dobrych stosunków z Polakami. Ja również. I zawsze Litwini będą ustosunkowani po przyjacielsku względem Polaków, nie chcą i nie będą chcieli ich ograbić.

Ale Polacy musieliby Litwinów traktować na równi ze sobą (nie pod względem ilości ludzi) i tylko wtenczas zacząć coś mówić o wspólnej miłości, pokoju i braterstwie.

Algirdas GUSTAITIS
Los Angeles, California.

Szanowny Panie Redaktorze,

W małym sprostowaniu Dr. Józefa Pawlikowskiego, zamieszczonym w numerze 5/103 „Kultury”, autor listu pisze: „Otóż mogę stwierdzić, że właśnie na tryptyku, o którym autor wspomnień mówi trochę dalej i który został zakupiony przez Paderewskiego do jego siedziby w Riond-Bosson pod Morges, Jacek Malczewski malował rybę na talerzu”.

Sprostowanie wywołał ustęp z moich wspomnień o Ojcu: „Jacek Malczewski nie malował nigdy ryb na talerzu”. Zawiniłem nie wyrażając się ściśle: Jacek Malczewski nie malował nigdy martwych natur, z rybami na talerzu, jabłkami itd. Muszę jednak zaznaczyć, że w części drugiej moich wspomnień piszę: „Jacek Malczewski nigdy nie malował martwej natury, takiej oczywiście, którą by uznał za godną wystawienia. Przyznam się, że nie pamiętam żadnej nie tylko wśród ukończonych obrazów ale i wśród notatek”.

Mój Ojciec nie był iluzjonistą i wątpię czy ów napój w szklance znajdujący się na tryptyku zawierał w sobie kulki gazu jak na przykład reklamy piwa Schlitza w Life Magazine lub innym. Sądzę, że nie muszę wyjaśniać co rozumiemy pod wyrażeniem: martwa natura. Cieszę się jako czytelnik „Kultury”, że moja nieścisłość w określeniu czego mój Ojciec nie malował, spowodowała list p. Pawlikowskiego tak obfity w szczegóły z życia sławnych ludzi. Szczególnie ciekawy jest ustęp odnoszący się do Romana Dmowskiego. Jego wypowiedź na temat wyżej wymienionego tryptyku, jest potwierdzeniem jaki był stosunek Dmowskiego do spraw kultury. Toporny i wrogi. Zrozumiały dla tego dziadka faszyzmu, cepra z dołów nie znają-

cego gór, nie bywającego nigdy w Zakopanem — co już samo w sobie jest bardzo podejrzane. Nie przypuszczałem jednak, że był w jednej dziedzinie geniuszem. W dziedzinie poznawania piwa i jego pochodzenia na obrazach polskiego malarstwa. Autor „Dziedzictwa” kierując się raczej niechęcią do owego tryptyku i Galicji, przezwiał ów płyn w szklance piwem okocimskim. Myślę, że może wiedział, że mój Ojciec mieszka stale w Krakowie, tam maluje i nie będzie sprowadzał Habermuscha i Schielego z Warszawy, leżącej wówczas za „kordonem”, by pozowało do obrazu. Chociaż wątpię czy Roman Dmowski myślał o czymkolwiek mówiąc o obrazie mojego Ojca.

Chcę równocześnie sprostować ustęp ze strony 85 w numerze 2/100 „Kultury” w szóstym wierszu od dołu: „Istniały tylko pejzaże malowane z natury, portrecisko rodzinne z nowosądeckim tłem... Powinno być zamiast „Portrecisko” — portret rodzinny. Nie widzę powodu bym się z taką niechęcią odnosił do tego właśnie malowidła.

I jeszcze jedno. Chodzi o ustęp z moich wspomnień o Ojcu — Nr 3/101 „Kultury”. W wierszu dwudziestym czwartym od dołu strona 18: „Co najdziwniejsze jednak to to, że anioł ów ma trzy pary skrzydeł. Pierwszy raz spotkałem się z czymś takim w anielsko-malarskiej aeronautyce”.

Józef Wittlin pisząc do mnie zwrócił mi uwagę: „Twój Ojciec musiał widzieć tak jak ja, pełno aniołów o trzech parach skrzydeł: mianowicie na każdym fresku, czy obrazie, przedstawiającym stygmatyzację św. Franciszka z Asyżu. Na tej górze w miejscowości La Vernia (z czego zapewne wzięła się podkrakowska Alwernia — czy nie koło Kalwarii Zebrzydowskiej?), gdzie św. Franciszek modlił się w zachwyceniu, ukazał mu się Cherubin z trzema parami skrzydeł z których jedna była zwinięta. Współcześni biografowie zgodnie podkreślają ten szczegół z tym, że twarz Cherubina czy Serafina była twarzą Chrystusa. Ten to sześcioskrzydły anioł stygmatyzował św. Franciszka...”

Łączę wyrazy głębokiego szacunku z prośbą o umieszczenie w „Kulturze” powyższych wyjaśnień.

Rafał MALCZEWSKI



**POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA**

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England

Wysyłając paczki przez Londyn

skrucasz drogę do Kraju.

**MATERIAŁY — LEKARSTWA — ŻYWNOŚĆ
PLASTYKI — NYLONY I INNE ARTYKUŁY**
idą szybko do Polski przez

WHITE EAGLE STORES

(SKŁADY „POD BIAŁYM ORŁEM”)

8A, Thurloe Place, LONDON S.W.7, England

Telefon: KEN 4281



2 HOGARTH ROAD,
LONDON S. W. 5,
ENGLAND

**POMOC DO POLSKI
LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ**

Katalog

100 POPULARNYCH PACZEK

oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

LEKARSTWA

MATERIAŁY

ŻYWNOŚĆ

NAJSZYBCIEJ, NAJKORZYSTNIEJ, NAJTANIEJ
wyslesz przez

P. C. STORES

STEFAN BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London S.W.7, England

Cennik nasz, dostosowany do przepisów celnych w Polsce
jest naszą najlepszą reklamą.

Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKA "KULTURY"

W JESIENI BR. UKAZĄ SIĘ
W WYDANIU KSIĄŻKOWYM

TOM XVI

CZESŁAW MIŁOSZ

TRAKTAT POETYCKI



TOM XVII

SIMONE WEIL

WYBÓR PISM

W układzie i ze wstępem Czesława Miłosza. Teksty z książek: *La condition ouvrière*, *L'enracinement*, *Attente de Dieu*, *Oppression et liberté*, *La pesanteur et la grâce* — wprowadzające w myśl francuskiej autorki.

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Witold GOMBROWICZ :

TRANS-ATLANTYK I SLUB

Cena 600 frs (12 sh., \$ 2,00)

George ORWELL :

R O K 1984

Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)

Czesław MIŁOSZ :

ZNIEWOLONY UMYŚŁ

Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)

James BURNHAM :

BIERNY OPÓR CZY WYZWOLENIE ?

Cena 600 frs. (12 sh., \$ 2,00)

Czesław MIŁOSZ :

ŚWIATŁO DZIENNE (Poezje)

Cena 350 frs. (7 sh., \$ 1,00)

Czesław STRASZEWICZ :

TURYŚCI Z BOCIANICH GNIAZD

Cena 650 frs. (13 sh., \$ 2,00)

Stefan KORBOŃSKI :

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ...

(wyczerpane)

Cena 1.250 frs. (25 sh., \$ 3,50)

Józef ŁOBODOWSKI :

ZŁOTA HRAMOTA (Poezje)

Cena 700 frs. (14 sh., \$ 2,00)

Czesław MIŁOSZ :

ZDOBYCIE WŁADZY

Cena 650 frs (13 sh., \$ 2,00)

Czesław MIŁOSZ :

DOLINA ISSY

Cena 700 frs (14 sh., \$ 2,00)

Marian PANKOWSKI :

SMAGŁA SWOBODA

Cena 350 frs (7 sh., \$ 1,00)

Teodor PARNICKI :

KONIEC „ZGODY NARODÓW”

Cena 1.500 (30 sh., \$ 4,50)

Stefan KORBOŃSKI :

W IMIENIU KREMLA

(Cena 1.000 frs. (20 sh., \$ 3,00)

Raymond ARON :

KONIEC WIEKU IDEOLOGII

(Cena 750 frs. (15 sh., \$ 2,25)

Nowość

TOM XV - Biblioteki "Kultury"

GRAHAM GREENE

MOC I CHWAŁA

w przekładzie Bolesława Taborskiego

Największa powieść Graham Greene'a rozgrywa się w Meksyku, w okresie prześladowań religijnych. Na tle konfliktu polityczno-religijnego autor ukazuje prawdziwe oblicze świętości, kontrastując słabość człowieka z wielkością jego powołania.

Książka Graham Greene'a poruszając najważniejszą problematykę naszych czasów — walkę komunizmu z chrześcijaństwem — nabiera specjalnej aktualności dla czytelnika polskiego. Znajdzie on w niej odpowiedź na szereg problemów które mu stawia rzeczywistość krajowa i pozwoli mu przede wszystkim ocenić i osądzić tych, którzy mu próbują wytłumaczyć możliwość współzycia marksizmu z katolicyzmem.

Cena egz. 650 frs (13 sh., 2 dol.)

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH15wick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 3^e Trimestre 1956.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S. & O.)
Telefon: Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-rocza	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Paraná; Hanna Lekszycka, r. Guirara 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 ^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Atkins St., Winnipeg/Man.; H. B. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Lubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; L. Duda-rew Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W. 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. S. Dobczyński, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y. The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London. S.W.11.	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Biblioteka "Kultury"

TOM XIII

STEFAN KORBOŃSKI

W IMIENIU KREMLA

„W imieniu Kremla” jest dalszym ciągiem wspomnień autora „W imieniu Rzeczypospolitej” obejmującym okres bezpośrednio powojenny w kraju.

Cena egz.: 1.000 fr. (£1.; \$3,00).



TOM XIV

RAYMOND ARON

KONIEC WIEKU IDEOLOGII

Tytuł oryginału: *L'OPIUM DES INTELLECTUELS*
Z przedmową autora dla czytelnika polskiego.

*Czy ewolucja świata komunistycznego idzie w kierunku pragmatyzmu
oddalając się od ideologii?*

*Czym jest wyzwolenie „rzeczywiste” proletariatu a czym wyzwolenie
ideowe?*

*Jakie realia społeczne i historyczne wpływają na ideologie inteligencji
w różnych krajach?*

Raymond Aron, profesor Sorbony i publicysta, który w szeregu dzieł analizował mity świata współczesnego, stara się w swej ostatniej książce odpowiedzieć na te pytania.

Cena egzemplarza 750 fr. (15 sh., \$2,25)